

WŁADYSŁAW  
KOZAKIEWICZ

MICHAŁ  
POL

# WŁADYSŁAW KOZAKIEWICZ

MICHAŁ  
POL

Nie mówcie mi jak mam żyć

Nie  
mówcie  
mi **jak**  
**mam**  
**żyć**

Wydawnictwo  
Sport i Rekreacja



**Władysław Kozakiewicz**

**Michał Pol**

**Nie mówcie mi jak mam  
żyć**



## Wstęp. Ten od wała

Kozakiewicz? To ten od wała powiecie. I słusznie. A właściwie ten od wałów, bo wtedy, w 1980 roku na stadionie olimpijskim w Moskwie, pokazałem go dwukrotnie. Tak naprawdę oba te gesty były spontaniczną zemstą za gwizdy i wrogość na trybunach. Za oszustwa sędziów forujących przez całe igrzyska zawodników gospodarzy i za opresyjną atmosferę w wiosce olimpijskiej. Czymś w rodzaju komunikatu: „A gwizdźcie sobie, ja i tak jestem najlepszy!”.

Na stadionie nikt tego wała chyba nie zauważył, bo nie było żadnej reakcji. Co innego w telewizji: tam cały świat zobaczył, że „Polak pokazał Ruskim wała, i to jeszcze w Moskwie”. Nie miałem pojęcia, że w trakcie olimpijskiego konkursu przerwano nadawanie „Dziennika Telewizyjnego”, największej medialnej świętości PRL, specjalnie po to, by pokazać na żywo mój skok na 5,75.

Po powrocie do Polski nie mogłem spokojnie przejść ulicą, żeby ktoś nie podszedł, nie uścisnął ręki, nie wziął w ramiona. Ludzie od razu dorobili sobie do mojego gestu głęboką filozofię. Do nikogo nie docierało, że mnie tylko o tę publiczność chodziło. Gdy się tłumaczyłem, mrugali, że dobrze, dobrze, muszą tak mówić, ale oni wiedzą, co i jak. Nawet na uroczystym poolimpijskim bankiecie u ówczesnego premiera Edwarda Babiucha partyjni dygnitarze podchodzili do mnie, klepali po plecach i mówili: Zuch! Należało się im!

Ale choć tę moją zgietą w łokciu łapę nazwano nawet „gestem Kozakiewicza”, zapewniam Was, że daleko mi do tego utrwalonego powszechnie obrazu człowieka, który był dzieckiem szczęścia, a przeciwnościom losu tylko grał na nosie. Bo życie pokazywało mi ten gest znacznie częściej niż ja radzieckiej publiczności już od wczesnego dzieciństwa, przez całą sportową karierę i jeszcze długo, długo po jej zakończeniu. Aż do wyprowadzki byłem w domu wrogiem, podobnie zresztą jak moja mama, siostra i brat, bitym przez ojca kata przy każdej okazji (a najczęściej bez). Później wała co rusz pokazywał mi PRL, w którym działacze na każdym kroku starali się dzięki nam, sportowcom, załatwiać własne interesiki. I w którym bunt sportowca wobec tego systemowego kombinatorstwa, zakłamania i

złodziejstwa oznaczał koniec jego kariery. Własny sprzeciw okupiłem wyjazdem z ojczyzny i przyjęciem obcego obywatelstwa.

Na szczęście jakaś cecha charakteru kazała mi przez lata wyrzucać z głowy to, co złe, nie międląc tego w sobie i przeć do przodu. Miałem też w życiu kupę szczęścia, bo trafiałem po drodze na wspaniałych i życzliwych ludzi.

Pewnie dzięki jednemu i drugiemu, mimo tak wielu przeciwności, udało mi się przez kilkanaście lat utrzymywać się w światowej czołówce skoku o tyczce, założyć wspaniałą rodzinę i trwać w udanym związku aż do dzisiaj.

O tym wszystkim jest ta moja historia...

## **Byłby muzyk w rodzinie**

Na świat przyszedłem 8 grudnia 1953 roku we wsi Soleczniki Małe leżącej 45 kilometrów od Wilna w kierunku granicy z Białorusią. Liczyła z pięciuset mieszkańców, w przeciwieństwie do pobliskich Solecznik Dużych, w których mieszkało ich prawie 5 tysięcy i które rok przed moimi urodzinami zyskały prawa miejskie.

U zaprzyjaźnionego księdza pomieszkiwał tu Adam Mickiewicz w czasie wileńskich studiów, tuż przed II wojną światową odwiedzał to miejsce Melchior Wańkowicz. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku Soleczniki znalazły się w jej granicach. Po 17 września 1939 roku wcielono je do sowieckiej Białorusi, a następnie przekazano Litewskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Dlatego jako nowego obywatela ZSRR zarejestrowano mnie pod litewskim nazwiskiem Kozakiewiczus. Dziś Soleczniki należą do Litwy, więc pewnie mógłbym ubiegać się zarówno o rosyjski, jak i litewski paszport. Ale nigdy nie przyszło mi to do głowy.

W czasie wojny w Solecznikach najpierw stacjonowały oddziały Armii Czerwonej. Potem weszli hitlerowcy, którzy pacyfikowali okoliczne żydowskie wsie, mordując przy tym pomagających Żydom Polaków, w tym dwóch księży. Swoje robiła też Saugumo litewska policja bezpieczeństwa w służbie Niemców, którzy podczas odwrotu spalili część Solecznik. Po powrocie władza sowiecka zabrała się do szabrowania okolicznych majątków, folwarków i zaścianków oraz likwidacji ziemiaństwa, tropienia „wrogów ludu” i rozkułaczania majątnych chłopów.

Mojej rodziny żadne okropności wojny nie dotknęły, mimo iż wujowie służyli przed wojną w ułanach i polegli w kampanii wrześniowej. Żadnymi kułakami nie byliśmy. Mieliśmy dwie krowy, dwie świnie, mniej więcej tak jak wszyscy tam wtedy. Ojciec po pradziadkach odziedziczył kawałek ziemi, na którym postawił wielką chałupę w pięknym miejscu, na skraju Solecznik Małych, pod lasem, a właściwie otoczonym lasem. Obok mały staw. Był to ładny drewniany dom z ogrodem, w którym było mnóstwo kwiatów.

Ale że chodził na bok, gdzieś tam z kimś we wsi zdradzał mamę, ktoś to podejrział, doniósł, komu trzeba, i sąsiedzi mu tę chałupę spalili. Nie poznałem nigdy szczegółów tej historii, ale pamiętam, że o kimś tam mówiło się w domu, że „to ten, co nas spalił”.

Z pożaru ocalał tylko obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej i maszyna do szycia ojca. Ogień zaskoczył rodziców. Mama zdołała tylko chwycić na ręce naszą siostrę Tereskę i wybiegła z domu. Ojciec postanowił zabrać obraz, który wisiał na tyle wysoko, że aby go zdjąć, musiał na czymś stanąć. Szczęśliwym trafem stanął właśnie na maszynie do szycia i w ten sposób sobie o niej przypomniawszy. Ogień ogarnął już cały budynek i buchał już tak wysoko, że czekająca na zewnątrz mama była pewna, iż ojciec tam zostanie. Ale wyłonił się z tego dymu z maszyną w jednym ręku i obrazem w drugim. Ledwo przeszedł próg domu, a zawalił się za nim dach. Obraz Matki Boskiej został w naszej rodzinie do dzisiaj wisi w gdyńskim mieszkaniu mojej drugiej siostry Karoliny, z którą mieszkała mama do śmierci latem 2013 roku.

Na miejscu pogorzeliska ojciec wybudował jeszcze większy dom. Skrawek ziemi niby był, ale jemu nie bardzo się chciało harować na roli. Imali się z mamą różnych zajęć, na przykład potrafili pracować cały dzień przy układaniu drogi za bochenek chleba, a musieli drałować do roboty na piechotę parę kilometrów w tę i z powrotem.

Dwuletni Władysław Kozakiewicz. Wilno, 1955

Ojciec miał bardzo trudne dzieciństwo. Jego tata zmarł, kiedy miał dwa lata. Gdy miał siedem lat, musiał służyć za pastucha. Musiał szybko dorosnąć. Sam nie zaznał miłości i może dlatego nigdy nie umiał jej okazać. Wręcz przeciwnie: był dla nas tyranem, katem, lejąc za byle co, niestety, przede wszystkim mamę.

Kiedy jako nastolatek wymyślił sobie, że zostanie krawcem „mężczyznianym”, pojechał do Wilna, gdzie miał jakąś daleką ciotkę. Tam gdzieś się przyuczał i na koniec zdał egzamin. Ciotka kupiła mu tę maszynę do szycia, którą później ocalił z ognia.

Po powrocie do Solecznik szył ludziom ubrania (jak to mówiliśmy między sobą gacie i koszule). Ludzie przychodzili po miarę, a on tymi swoimi wielkimi jak bochny chleba łapami ciął materiał i szył im jeden rodzaj spodni i jeden koszuli, bo tylko jeden umiał. Ale miał z tego więcej, niż miałby z tego, co by mu wyrosło na tym skrawku ziemi. Tyle że płacili mu nie pieniędzmi, bo tych nikt nie miał, ale w naturze. Jeden dał beczkę wódki, drugi dwie kury, trzeci przyniósł kielbasę czy inną żywność.

Słowem, krawiec to był ktoś. Koleżanki bardzo zazdrościły mamie, że zwrócił na nią uwagę. Uważały, że wychodzi niemal za bogacza. Mama miała zaledwie 17 lat, jak się pobrali. Ona akurat miała szczęśliwe dzieciństwo, choć biedne. Babcia była cudownym człowiekiem. To ona odbierała pierwszą trójkę dzieci moich rodziców; tylko ja urodziłem się w szpitalu.

Była wówczas bardzo mroźna zima. Rodzeństwo brat Edek i siostra Karolina nie zostało poinformowane, że mama jest w ciąży, toteż moje pojawienie się bardzo ich zaskoczyło, i to niemiłe. Opowiadają, że byłem strasznym wrzaskunem. W dodatku tuż po moim powrocie ze szpitala odbyły się huczne chrzciny, które obserwowali z przerażeniem z wysokości pieca kaflowego. Z przerażeniem, bo zabawa była taka, że wyleciały drzwi z futryną między pokojem a kuchnią. Po chrzcinach mężczyźni trzeźwieli przez dwa dni. Trzeba było się po domu poruszać ostrożnie, żeby na nich nie nadepnąć, bo leżeli na podłodze

pokotem.

Rodzeństwo nie było mną zachwycone także dlatego, że spadło na nich mnóstwo nowych obowiązków. Musieli się mną zajmować, przy czym ojciec rozliczał ich pasem z wykonanej pracy. Trzyipółletnią Karolinę tak złał za to, że źle mnie umyła, że do dziś ma na głowie bliznę po klamrze od pasa.

Niestety, gdy przyszedłem na świat, nie było już Tereski. W 1946 roku, gdy miała prawie sześć lat, zachorowała na dyfteryt. Zbyt późno trafiła do szpitala w Solecznikach i lekarze nie mogli pomóc. We wsi nie było ani szpitala, ani nawet lekarza. Zresztą długo nie było wiadomo, że z Tereską jest naprawdę źle. Skarżyła się tylko, że ją główka boli.

Mama bardzo przeżyła jej odejście, wspominała ją do śmierci. Że była bardzo mądrym i kochanym dzieckiem. O uczuciach ojca ciężko coś powiedzieć, bo jeśli nam jakieś okazywał, to tylko te najgorsze. Grób został w Solecznikach, jest pochowana obok dziadka.

Pierwsze wspomnienie z dzieciństwa mam z dnia, w którym miał być smołowany dach nowej chałupy. Miałem wówczas ze dwa, dwa i pół roku. Przyjechała ciężarówka ze smołą, którą wywalili wprost na ziemię obok domu. To były takie wielkie kawały, ułożone jeden na drugim, ale że było lato, ta smoła ładnie się rozlała. Mama musiała mnie spuścić z oka tylko na chwilę, ale wystarczyło.

Nadbiegłem na bosaka i tup, tup wdrapałem się na wielką, tajemniczą czarną górę, która nie wiadomo skąd wyrosła nam przed gankiem. A ta góra tak się leciuteńko ugiwała pod moimi nóżkami. Stoję na niej, stoję, aż tu nagle bul, bul, bul zapadam się w tę smołę. Zapadłem się po kolana. W sumie fajnie, stoję sobie w tej smole, ciepłutko, miłutko w nogi, bo tak się przyjemnie kleiła. Ale, cholera, nie idzie wyjść. Nie mogę zrobić ruchu. Utkwiłem na amen.

Co zrobić? Oczywiście się rozplakałem wniebogłosy. Zlecieli się rodzice, rodzeństwo, ludzie, co mieli tę smołę kłaść. Pół wioski się zleciało, jedni się zaśmiewają, inni lamentują. W końcu ojciec wziął siekierę i wyrąbał mnie z tej smoły najostrożniej, jak umiał, bo baby panikowały, że mi stopy odrąbie. Wyjęli mnie z tej smoły, ale problem się nie skończył, bo okazało się, że mam na nóżkach dwa czarne kalosze, których się nie da zdjąć. Kalosze

permanentne. I jak to teraz zmyć? Dziś pewnie rozpuszczalnikiem, ale skąd było rozpuszczalnik wziąć na tej wsi radzieckiej? Najpierw rodzice oskrobali mi nóżki nożem, żeby została jak najcieńsza warstwa smoły, a potem ktoś doradził, żeby mnie wstawić do miski z benzyną. Nie pamiętam już, ile w niej stałem, długo, ale pomogło. A ile cała wioska z tego śmiechu miała... Na szczęście zbyt mały byłem, żeby się przejąć.

Pamiętam też, że często brano mnie za dziewczynkę, co mnie strasznie irytowało, jak każdego chłopaka. Bez przerwy słyszałem nad sobą:

Uuuu, a jaka ty jesteś ładna, aniołku. A jaką masz śliczną sukieneczkę.

Bo rzeczywiście małe dzieci puszczano na podwórko po prostu w takiej dłuższej koszuli za kolana. Kto by się tam przejmował, żeby takie małe bachory chodziły w gaciach. Było to o tyle wygodne, że jak dzieciak chciał siusiu, to tylko zadzierał kiecę i sikał, gdzie chciał, na polu; to samo, gdy chciał zrobić kupę. Do tego miałem długie, lokowate blond włosy. Ale jak tylko usłyszałem o ślicznej dziewczynce, z miejsca zadzierałem suknię do góry i już każdy widział, że dziewczynką to ja nie jestem. Ktoś musiał mi wytłumaczyć, że jest zasadnicza różnica między płciami i łatwo ją udowodnić.

Dni w Solecznikach mijały mi głównie na zabawie z innymi dzieciakami, na bieganiu z patykami za krowami czy innymi zwierzętami. Brat, starszy o pięć lat, i siostra, starsza o trzy, chodzili już do szkoły, umieli pisać i czytać po polsku i po rosyjsku. Ja też znałem już jako tako rosyjski, a już na pewno świetnie wszystko rozumiałem. Choćby z zabawy z dziesięcioma żołnierzami Armii Czerwonej, których nam dokwaterowano do chałupy, jako że była jedną z najbardziej okazałych we wsi.

To byli radiotelegrafiści. Na łące zaparkowali dwa samochody z urządzeniami do nasłuchu. Odstąpiliśmy im dwa pokoje z osobnym wejściem. Byli całkiem przyjaźni, a nawet bardzo pomocni, czynni. Gdy ojciec zapił czy zniknął, szyjąc po wsiach, pomagali mamie w domu. To oni zawieźli ją swoim wozem nasłuchowym do szpitala do Solecznik, gdy miałem się urodzić.

Ciasno nam z nimi było, ale przynajmniej płacili jakiś czynsz. Mnie traktowali przy tym najlepiej ze wszystkich domowników, bo była ze mnie taka wesoła, dwuletnia zabawka, a



każdy z nich gdzieś tam w różnych rejonach imperium zostawił swoje dzieciaki.

Dzięki tym zabawom miałem później zawsze piątki z rosyjskiego w każdej szkole. Ten wileńskopolski zaśpiew z charakterystycznym „euł”, który kazał mi własne imię wymawiać: „Władysław”, sprawił, że po przyjeździe do Polski bardzo długo nazywano mnie „Ruskiem”. Bardzo to przeżywałem, nieraz dawałem za to w ucho w przedszkolu czy wczesnej podstawówce, bo brzmiało mi to jak obelga. Z czasem zaczęto mnie nazywać „Kozą”, od nazwiska do dziś często tak mówią o mnie za granicą, zwłaszcza we Francji czego też specjalnie nie lubiłem. Dopiero kiedy zacząłem na dobre trenować skok o tyczce, zostałem najpierw „Tyką”, a potem „Kozakiem”, i to spodobało mi się najbardziej. Kozak to ktoś nietuzinkowy, swój chłop, odważny, zadziorny, którego się szanuje, a już na pewno ktoś, z kim lepiej nie zaczynać. A za „Ruska” i dzisiaj bym przylał.

Kiedy po wojnie władze Polski i ZSRR dogadały się w sprawie repatriacji osób, które przed 1939 rokiem miały polskie obywatelstwo, ojciec od razu złożył papiery. Niestety, w latach 1945-1949 Rada Najwyższa ZSRR dopuszczała prawo zmiany obywatelstwa radzieckiego na polskie tylko u tych, którzy służyli w Armii Polskiej w ZSRR lub walczyli o wyzwolenie. Potem ojciec w ogóle przestał się starać, ponieważ Stalin zaostrzył kurs. Dopiero po jego śmierci w 1953 roku, gdy Władysław Gomułka z Józefem Cyrankiewiczem przekonali w Moskwie Nikitę Chruszczowa, ruszyła kolejna repatriacja. Ale my na zgodę musieliśmy zaczekać kilka lat.

Ojciec dorabiał sobie przygranicznym przemytem, wyprawiając się do Polski przez zieloną granicę na koniu. Coś tam zawoził, coś sprzedawał, kupował głównie te produkty, których w ZSRR nijak nie można było dostać. Czasy były tak ciężkie, że nie chodziło o pieniądze, bo nie było czego za nie kupić, ale o handel wymienny. Któregoś razu ojca przyskrzynili pogranicznicy, akurat kiedy szedł na piechotę. Ale na szczęście potraktowali go jak przemytnika, a nie szpiega, bo odesłali do domu, a nie do łagru. Tyle że znalazł się na cenzurowanym i każda jego prośba o repatriację spotykała się z odmową. Nie zaprzestał jednak swoich przemytniczych wypraw. W ich trakcie jeździł po Polsce, szukając idealnego miejsca na osiedlenie się i idealnej pracy. Odwiedził Olsztyn, gdzie już jakiś czas temu przeniosła się część jego rodziny, a także Elbląg. Ale najbardziej spodobała mu się Gdynia, prężnie rozwijające się miasto i port. Usłyszał tam, że potrzebują robotników właściwie wszystkich specjalności i pracowników do portu, a każdy zatrudniony może liczyć na

mieszkanie, bo w okolicy bloki rosną jak grzyby po deszczu. Wiedział już, gdzie zamieszkamy, potrzebna była tylko zgoda na wyjazd.

Chodził i chodził, prosił i prosił, aż wreszcie ją sobie wychodził i wyprosił. Zgodę dostaliśmy w samej końcówce repatriacji, w grudniu 1957 roku. Jak to zwykle w podobnych przypadkach w socjalistycznej organizacji bywało, pozytywna decyzja przyszła nagle i trzeba się było zbierać natychmiast. Prawo przewidywało, że repatrianci mogą zabrać ze sobą do Polski tylko przedmioty osobiste, sprzęty domowe, wiejski inwentarz, a wszystkiego do dwóch ton na rodzinę. Nie wolno było wywozić żadnych metali szlachetnych, kosztowności, dzieł sztuki czy cennych samochodów, z czym akurat nie mieliśmy żadnego problemu. Rodzice, przerażeni, że granica zaraz znów zostanie zamknięta, bo kto przewidzi, co Ruscy wymyślą, rzucili się spieniężać cały majątek. W tym meble, których także nie wolno było zabrać.

Pal diabli żywy inwentarz, którego nie zamierzaliśmy tarabanić ze sobą do Gdyni. Ale co zrobić z chałupą? Chałupą, w której w dodatku wciąż mieszkało czterech dokwaterowanych żołnierzy radzieckich płacących czynsz? Dodatkowy problem polegał na tym, że kupujący doskonale orientowali się w okolicznościach towarzyszących wyjazdom Polaków i bezwzględnie wykorzystywali sytuację, oferując haniebnie niskie ceny. A jeszcze większy, że prawie nikt nie miał pieniędzy (zresztą wywieźć wolno było zaledwie tysiąc rubli na głowę), a już na pewno nikt nie miał tyle, żeby kupować domy. Głównie wymienialiśmy się na produkty, które dało się sprzedać w Polsce, na przykład worek mąki czy kaszy. No, ale na co wymienić dom?

A jednak ojcu udało się znaleźć kogoś, kto zgodził się przejąć nasz dom w zamian za... motocykl. Dom za motocykl! Ale piękny i do tego z kosztem dla pasażera. Nie pamiętam już, jakiej był marki. Byliśmy bardzo zadowoleni, bo za taką maszynę na pewno będzie można wziąć spory grosz w Polsce. A może i będzie ona w stanie na siebie zarabiać?

Franciszka i Stanisław, rodzice Władysława Kozakiewicza, po ślubie

Jako że sprzedający też był bardzo zadowolony z nowego domu, postanowili z ojcem

opić transakcję. W trakcie opijania ojciec uświadomił sobie, że właściwie nie sprawdził, czy ten cały motor działa. Odpalili go działa. Czemu w takim razie nie pojechać na jazdę próbną, zwłaszcza że ojciec nigdy jeszcze nie prowadził motocykla? Jak ruszyli z warkotem na całą wieś, jak pojechali do lasu, to motocykl ledwo przeszedł obok pierwszego drzewa. Niestety, kosz się zatrzymał na tym drzewie, a siedzący w środku pijany nabywca domu skończył z połamanymi nogami. Ojciec nie od razu zauważył brak kosza i jakiś czas jechał dalej samotnie, wychwalając byłemu właścicielowi maszynę, aż jazdę przerwało kolejne drzewo. I było po motocyklu. Ojciec, o dziwo, wrócił do nas poobijany, ale o własnych siłach i na całych nogach. Taki był z niego handlarz.

W dniu wyjazdu było piekielnie zimno. Dokładnie pamiętam wielkie uczucie podniecenia i dumy. Nie z powodu tego, że wracamy do Polski, naszej ojczyzny. Byłem za mały, żeby zrozumieć, co się dzieje. Miałem cztery lata i byłem zachwycony, że pojedę gdzieś wielką ciężarówką, zwłaszcza że pozwolono mi zasiąść w szoferce na kolanach mamy. Nigdy wcześniej nie jechałem pojazdem mechanicznym. Ruszyliśmy wieczorem. Oniemiały spoglądałem, jak światła reflektorów omijają drogę i drzewa, które zostawiamy za sobą. Do obozu uchodźców pod Szczecinem jechaliśmy ponad dwa dni, ale dla mnie podróż mogła się nigdy nie skończyć.

Czy wiedziałem, że opuszczamy rodzinny dom na zawsze, że nigdy tu nie wrócimy? Czy żegnałem się z ulubionymi miejscami? Wątpię, by ktoś zadał sobie trud, żeby mi o tym powiedzieć. Nie pamiętam, żebym czuł szczególny żal, odjeżdżając. Znałem już ojca na tyle, by wiedzieć, że u niego nie ma miejsca na rozklejanie się. Gdybym tylko lekko zamarudził, dostałbym kopa w tyłek: Co tak wolno leziesz, baranie, zamiast wchodzić do samochodu?

Ojciec nie był typem człowieka, który pochyla się nad synkiem i pyta, czemu ten płacze.

Nie sędzę też, żebym żałował, że cokolwiek zostawiam. Z tego prostego powodu, że jako dziecko nigdy nie miałem nic swojego. Nigdy nie miałem nawet jednej zabawki. Nigdy. Ani wówczas, ani później w Polsce. Żadnej piłki, sanek, roweru, łyżew czy choćby skakanki czyli tego, o czym marzyła większość moich rówieśników, a co ich rodzice, nawet biedni, zawsze potrafili dla nich skombinować. Nigdy nam niczego nie kupił. Karolina pierwszą i jedyną lalkę dostała na bierzmowanie. Pieniądzy brakowało u nas zawsze, ponieważ ojciec pił

na potęgę, a mamie wydzielał tylko na jedzenie. Dbał wyłącznie o własne przyjemności i zachcianki. Pamiętam, że kilka razy odważyłem się poprosić go o kupienie tego czy tamtego. Ale zawsze kończyło się pytaniem: „Ale na cholerę ci to gówno?”.

I to kończyło sprawę. Moje odpowiedzi nigdy nie były przekonujące. Edek z Karoliną ze smutkiem słuchali tych starań; sami już dawno stracili wszelkie złudzenia. Z czasem i ja odpuściłem. Dopiero po latach, już dawno po przeprowadzce do Gdyni, gdy miałem ze 1415 lat, przełamałem się i poprosiłem ojca o trąbkę. Zauroczył mnie dźwięk trąbki Louisa Armstronga, którego muzykę często puszczano w radiu. Nie miałem złudzeń, że mógłbym śpiewać jak on, ale już grać na trąbce czemu nie? Odważyłem się poprosić podczas kolacji. Ojciec się zastanowił: „Może to i nie takie głupie? Byłby muzyk w rodzinie”.

I zapowiedział, że następnego dnia pójdziemy do sklepu muzycznego na Świętojańską, dosłownie pięć minut od naszego mieszkania. Długo nie mogłem zasnąć, bo już wielokrotnie tam zachodziłem pogłodzić z namaszczeniem złote trąbki, poprobować palcami klawiszy... Bałem się, że ojciec może do rana zapomni o obietnicy, ale nie. Poszliśmy. Wchodzimy, ja od razu pędzę do trąbek. W pewnym momencie ojciec mnie woła. Patrząc, a on stoi przy kasie z... akordeonem. Zapłacił i wyszliśmy. Kupił mi akordeon! W domu wepchnął mi go w ręce i kazał grać.

Ale ja chciałem trąbkę...

Zamknij się i graj! Jaka trąbka, kiedy akordeon najlepszy do przygrywania na biesiadach? Czastuszki będziemy śpiewać.

Usiadłem zszokowany na krześle. Ciężki ten akordeon jak cholera. Wielki taki, harmonia sięgała mi od brody do kolan. Czarny, błyszczący, z jednej strony klawiatura jak w pianinie, z drugiej ze 120 przycisków. Trąbka miała tylko trzy... I tak siedziałem bezradny, nie wiedząc, co robić.

Czemu nie grasz?

No przecież nie umiem.

Co nie umiem? Musisz dusić harmonię wte i wewte i przebierać palcami.

No to zacząłem przebierać, ale nie wiedziałem, co, jak i w którą stronę. Jak naciskałem na basy, to w ogóle żaden dźwięk się nie wydobywał. Wyszedł z tego jeden wielki kociokwik.

I na cholere kupiłem gówniarzowi akordeon, jak on nie potrafi grać!

Wściekł się, dostałem w łeb, zabrał mi akordeon i wrzucił do szafy. I tak skończyło się moje muzykowanie. Parę razy nawet zajrzałem do szafy, żeby popróbować, jak go nie było w domu. Ale wkrótce zabrakło mu pieniędzy na wódkę, zabrał akordeon i komuś go sprzedał.

Wyjeżdżając z Solecznik, byliśmy pewni, że opuszczamy je na zawsze i nigdy więcej ich nie zobaczymy. A okazało się, że to ja z całej rodziny najszybciej do nich wróciłem. 13 lat po wyjeździe. W 1970 roku pojechałem do Wilna na mecz lekkoatletyczny młodzików Wybrzeża. Wygrałem, bijąc przy tym rekord stadionu. Po zawodach mieliśmy jeszcze trochę czasu, więc rozpytałem o autobus do Solecznik. Namówiłem kolegę tyczkarza z Bałtyku Gdynia, Wieśka Szkolnickiego. Wsiadliśmy, kupiliśmy bilety bodaj za 30 kopiejek i pojechaliśmy. W autobusie tłok jak cholera, klatki z kurami, worki z dobytkiem, pierzyny. Nagle ktoś do mnie mówi po polsku:

Weź no się przesuć, młody człowieku.

Pomyślałem sobie: oho, rozpoznali Polaka. Ale zaraz gdzieś obok:

Proszę, pani siądzie.

Uwaga, ja tu jajka mam.

Wszyscy pasażerowie mówili po polsku!

Wsiadliśmy w Solecznikach Małych, a ja, nawet nie pytając o drogę, na pamięć poszedłem tam, gdzie nasza chałupa. Patrząc, domu nie ma. Tylko fundamenty zostały i sad rósł sobie w najlepsze nad stawem. Złapałem jakichś ludzi, pytam, co i jak. Odparli, że dom

się spalił, właściciel wyjechał. Przyglądają mi się i zaraz w krzyk:

Jezu, ty od Stacha!

Cała wieś się zleciała, że syn Kozakiewicza z Polski przyjechał. Zaciągnęli nas do kuzynki Wandzi Lisowskiej, która nie zdecydowała się wyjechać do Polski. Zgodziła się nas przenocować, choć nocowanie cudzoziemców bez zgłoszenia odpowiednim służbom było w ZSRR poważnym przestępstwem. Jej córki, nasze rówieśniczki, były zachwycone przyjazdem dwóch młodzieńców z Polski. Wiadomo: Zachód. Wieczorem zebrało się wesołe towarzystwo i urządziliśmy potańcówkę. Na stół obowiązkowo wjechała wódka, ale gdzież nam, 17letnim sportowcom, wódka w głowie. Rozmowom nie było końca do rana: jak wam się żyje w Polsce, a jak tutaj itd. A rano w autobus i z powrotem do Wilna. Nie mam pojęcia, czy wtedy można było aż tak swobodnie podróżować sobie po Związku Radzieckim, ale byliśmy nastolatkami i może dlatego nikt nie zwracał na nas uwagi, nikt nas nie pilnował. Autobus dowiózł nas pod Ostrą Bramę, wysiedliśmy i do hotelu. Nikt nie zauważył, że nas nie było.

Kolejny raz odwiedziłem Soleczniki siedem lat później, razem z Władkiem Komarem. Przyjechaliśmy do Wilna na trójmecz Polska NRD Związek Radziecki w 1977 roku. Od razu zapowiedziałem Władkowi, że chcę odwiedzić rodzinną wieś. Jego bliscy też stamtąd pochodzili, więc umówiliśmy się, że najpierw razem skoczmy do jego rodzinnej posiadłości. Pochodził ze starej szlacheckiej rodziny pieczętującej się herbem Komar odwróconą lilią nad krzyżem. Chwalił się, że jego przodkowie walczyli w bitwie pod Grunwaldem pod wodzą Witolda, za co dostali kawał ziemi na Litwie. Mieli pałacyk w Komarowie. Ojciec kulomiotą, również Władysław, zarządzał przed wojną majątkiem wielkości 8,5 tysiąca hektarów. Ukrywał tam przed gestapo między innymi Hankę Bielicką i Ludwika Sempolińskiego. Zginął w 1944 roku, rozstrzelany przez litewską policję w ramach odwetu na Polakach za akcje oddziału Łupaszki.

Mecz Litwa Wybrzeże. Władysław Kozakiewicz (z lewej) wygrał z rezultatem 4,26 m, ustanawiając najlepszy wynik zawodów i rekord życiowy. Turniej odbył się w pionierskich warunkach rozbieg prowadził po asfalcie, a za zeskok służyła siatka druciana nakryta plandeką. Przy okazji Kozakiewicz po raz pierwszy odwiedził rodzinne Soleczniki.  
Wilno, 1970

Władek postanowił odwiedzić rodzinny Rogówek, leżący nieopodal Poniewieża.

Stamtąd moja rodzina, chcę zobaczyć, jak to dziś wygląda. Pies trącał, wiadomo, że majątku już nie odzyskam, ale chociaż srebra spróbuję odzyskać! stwierdził.

Problem polegał na tym, że nie byliśmy już anonimowymi nastolatkami, ale wielkimi gwiazdami sportu. Komar, wiadomo, mistrz olimpijski z Monachium w pchnięciu kulą, do tego wielki chłop, bardzo charakterystyczny, znał go tam każdy. Ja w 1977 roku byłem za to w fenomenalnej formie, nie przegrałem ani jednego startu i też każdy mnie rozpoznawał. Nie żeby pilnowała nas jakaś obstawa, po prostu cały czas ktoś się wokół nas kręcił, a gospodarze bez przerwy starali się organizować nam czas wolny.

W dniu, w którym mieliśmy wyskoczyć do Rogówka i Solecznik, oni zaplanowali wycieczkę autokarową do jakiegoś najlepszego kołchozu w okolicy czy coś w tym stylu. Cała enerdowska ekipa stawiała się w komplecie, karnie, gęsiego wkroczyła do autobusu, ale z Polaków zjawił się jedynie nasz politruk. Reszta albo poszła pooglądać miasto, albo leżała w łózkach, ktoś wyskoczył za róg kwasu chlebowego się napić. A Ruscy biegają po pokojach, że jak to, autokar podstawiony, czemu nie schodzimy. A że najlepiej znałem rosyjski, to im wyjaśniłem, co i jak.

Nie chce się nam, mamy inne plany. Chcecie jechać, to jedźcie, ale bez nas.

Nie mogli uwierzyć, że u Polaków taka niesubordynacja.

Co to za porządki, żeby każdy robił to, co chce? Gdzie szef ekipy, czemu na to przyzwala?

Ale szef w łóżku dochodził do siebie po pijaństwie i pewnie nawet nie wiedział o wycieczce. W końcu machnęli ręką i pojechali.

To my z Władkiem myk w taksówkę i kazaliśmy się wieźć za parę rubli do Rogówka, a właściwie do Raguvele, bo tak się już wtedy nazywał. Dojechaliśmy, wychodzimy z

samochodu, ludzie natychmiast rozpoznają Władka, bo choć gdy opuszczał wieś, jak ja miał zaledwie cztery latka, to teraz był z postury i twarzy niezwykle podobny do ojca. I rums! przed Władkiem na kolana, całować go w rodowy sygnet z herbem, który ten dumnie nosił na palcu.

Kniaź Komar przyjechał!

Podobny do ojca, toczka w toczkę!

Nasz dziedzic!

A Władek wczuł się w rolę udzielnego księcia i zaczął im rozdawać pieniądze. Temu wcisnął do ręki po kilkadziesiąt rubli, tamtemu dziesięć. Myślałem, że śnię. Komar przyjechał do własnej wsi, chodzi po ulicy, ręce ściska, ludziska się do niego przytulają, a on im pieniądze rozdaje. Zaprowadzili nas do dawnego dworku Komarów, przerobionego bodaj na technikum. To dopiero był numer! No, dziedzic przyjechał po prostu! Kniaź Komar! Mało tego: jakiś chłop przyniósł mu rodowe srebra, zakopane przez jego matkę przed ucieczką do Polski, tłumacząc, że je wykopali i ukryli przed władzą radziecką!

W Solecznikach nikt nas pod nogi nie podejmował, a ja nikomu pieniędzy nie rozdawałem, ale też było serdecznie. Wieś wydała mi się jeszcze biedniejsza, podobnie jak ludzie, z których wielu chwaliło mi się, że ma na sobie ciuchy uszyte jeszcze przez ojca! Razem z Władkiem zdjęliśmy z grzbietów nasze białoczerwone bluzy reprezentacji Polski i oddaliśmy potrzebującym. To samo z butami. Sportowe, zachodnie buty to był dla tych biedaków cymes niebywały, a my wiedzieliśmy, że i tak dostaniemy kolejne od sponsora. Taksówką do Wilna wróciliśmy na bosaka i w koszulkach bez rękawów. Ale wzruszeni i szczęśliwi.

## **Rusek? A jaki ty Rusek?**

Po swoich wyprawach przez zieloną granicę do Polski ojciec doszedł do wniosku, że



najlepiej będzie nam się odnaleźć w nowej rzeczywistości w budowanej niemal od zera Gdyni. A on sam najlepiej sprawdzi się w roli dokera.

Załadunek i rozładunek statków, noszenie ciężarów było czymś w sam raz dla takiego dwumetrowego siłacza jak on, o łapach jak dźwigi rozładunkowe. A też i na pewno liczył na to, że tam, gdzie jest mnóstwo towarów przenoszonych z jednego miejsca na drugie, zawsze będzie można uszczknąć coś dla siebie. Przede wszystkim jednak wywęszył, że pracownicy portu i stoczni bardzo szybko dostają mieszkania.

Mimo że ojciec miał nagraną robotę w porcie, Państwowy Urząd Repatriacyjny kazał nam udać się do obozu w Gryficach pod Stargardem Szczecińskim. Władza ludowa postanowiła osadzać na Ziemiach Odzyskanych przesiedleńców z Ukrainy, Białorusi, Litwy, Kazachstanu, byłych łagierników i Sybiraków. Zbyt wiele z pobytu w obozie nie pamiętam, tyle że nie były to żadne drewniane baraki za płotem, tylko normalne robotnicze osiedle bloków. Dostaliśmy jeden pokój ze wspólną kuchnią. Władze organizowały dla przesiedleńców pogadanki o czekających wyzwaniach i starały się wyszukiwać robotę w zależności od tego, kto co umiał. Wyświetlały też filmy radzieckie i nawet zorganizowały dla dzieciaków choinkę.

Większość czasu po prostu bawiłem się na powietrzu z tą międzynarodową ferajną. Zaprzyjaźniłem się z dziewczynką, która mieszkała w Gryficach na stałe. Któregoś razu zaprosiła mnie do swojej rodziny na obiad. Do dziś pamiętam, że dostałem zupę owocową, która wydała mi się najwspanialszą potrawą, jaką jadłem w życiu. Najbardziej ujęła mnie ciepła, rodzinna atmosfera w tym domu, żarty i śmiechy podczas wspólnej rozmowy przy stole. Toteż mój pobyt przedłużyłem aż do kolacji i w ogóle nie zamierzałem stamtąd wychodzić. Zrobiło się późno i w końcu mama dziewczynki wzięła mnie za rękę i odprowadziła do mieszkania w obozie. Rodzice jeszcze się nie zaniepokoiili, gdzie w nocy zniknął ich czteroletni syn, wychodząc z założenia, że na pewno sobie poradzę.

Po przybyciu do Gdyni i podjęciu pracy przez ojca rzeczywiście dość szybko przenieśliśmy się do służbowego mieszkania przy ulicy Abrahama 66, w świeżo oddanym bloku w samym centrum miasta. Niestety, ojcu tak się spieszyło, żeby wreszcie sprowadzić

nas pod własny dach, że wziął pierwsze lepsze mieszkanie, jakie mu dawali: pokój z kuchnią, 36 metrów. Urzędnicy przekonywali go: „Zaczekaj, za trzy miesiące na tej samej ulicy oddajemy kolejny blok. Dostaniesz tam dwa pokoje. No, gdzie się będziesz gnieździł z żoną i trójką dzieciaków w jednym?”.

Władysław Kozakiewicz w wieku czterech lat gdyński marynarz, 1957

Ale on nie słuchał. Pilno mu było, żeby wreszcie wyprowadzić się na swoje. Przez kilka miesięcy od przyjazdu z Gryfic mieszkaliśmy na gdyńskim Grabówku u jego stryja, z którym bez przerwy wybuchały konflikty. A już najgorzej ojciec kłócił się ze stryjenką, z której była niezła zołza, więc wszyscy mieliśmy już dosyć tej gościny.

Abrahama była wówczas jedną z dwóch głównych ulic Gdyni. Obok istniała jeszcze tylko o wiele szersza i bardziej reprezentacyjna Świętojańska, przemianowana podczas wojny przez Niemców na Adolf Hitler Strasse. Podobnie jak nasza była równoległa do wybrzeża. Od morza dzielił ją tylko park, dziś imienia Lecha i Marii Kaczyńskich. Patrząc w przeciwnym kierunku, mogłem z mieszkania dorzucić kamieniem do torów, którymi szła kolejka z Gdańska do Wejherowa. Gdy się sprowadziliśmy, między torami a naszą ulicą zaczęto właśnie budować kolejną Władysława IV, równoległą do naszych. To już był kawał ulicy, miała dwa pasy w jedną stronę i była szeroka, że hej. Po drugiej stronie od razu wybudowano przedszkole, do którego zostałem posłany, i Szkołę Podstawową nr 14, do której poszło rodzeństwo, a później jeszcze liceum ogólnokształcące. Wszystko mieliśmy pod nosem, wystarczyło przejść na drugą stronę.

Nasze mieszkanie składało się z kuchni, łazienki, przedpokoju i głównego pokoju wielkości 18 metrów. Można więc sobie wyobrazić, jak musiała się tam czuć pięcioosobowa rodzina. W kuchni dało się wygospodarować kącik, w którym ojciec zbił drewniany stelaż na łóżko dla siostry. Kolejnego nijak nie dałoby się już wcisnąć. W połowie dużego pokoju stanęła szafa, od której sznurkiem do drzwi szła zasłonka, za nią stanęło łóżko rodziców. Nam z bratem do spania przypadła składana kozetka, którą rozkładało się dopiero wieczorem, bo inaczej nie byłoby się jak poruszać po pokoju. W nocy jakoś więc to było, a w dzień wszyscy się rozchodzili do pracy, szkoły, przedszkola.

Pierwszą rzeczą, jaką ojciec zrobił po wprowadzeniu się, było rozstawienie w łazience aparatury do dziś nie wiem, skąd ją właściwie wziął by pędzić bimber według receptury z Solecznik. Na Litwie wraz z kumplami pędził bimber w lesie. Raz mu nawet aparatura wybuchła i długo leżał poparzony na twarzy i piersiach. Miesiąc trwało, zanim się wylizał.

Ciasnotę potęgował piec węglowy na cztery fajerki, który po latach wymieniono nam na gazowy. Do tego jeszcze chłopska mentalność kazała ojcu hodować inwentarz. No, już świń na szyneczkę nie udało mu się wcisnąć do tego małego mieszkania, ale za to zamontował w kuchni klatki i hodował króliki. Jak się rozmnożyły, to ich tam było najwięcej z dziesięć. Nie pachniało w domu jak w perfumerii, ale za to jak się je podkarmiło, jak podrosły, to w łeb i na obiadek.

Idąc do pracy w porcie, ojciec zarzucał też żyłkę z wieloma haczykami i przynętami, a wracając, wyciągał po pięć, sześć węgorzy naraz. To była chyba najbardziej popularna ryba w tamtych czasach, dziś już jej w porcie nie złowisz. No i często udawało mu się podprowadzić coś przy załadunku. Na przykład kiedyś ze statku z darami z USA przytargał pięć albo sześć wielkich, kwadratowych puszek, w których było 1,5 kilograma amerykańskiej szynki. Innym razem puszki z ciemnożółtym serem o smaku plastiku. Tylko zamiast na stół wszystko to szło do piwnicy. Miał tam taki składzik, w którym trzymał to na czarną godzinę. Myśmy go błagali, bo na obrazku ta szynka taka apetyczna, że aż ślinka leci.

Tato, no kurczę, nic tej szynki nie pojemy?

Ale za każdym razem odpowiadał, że będzie na później. I tak było na później, że gdy po pięciu latach w końcu otworzyliśmy, to natychmiast wywaliliśmy na śmieci, bo już dawno się przeterminowały te szyneczki. Nie nadawały się nawet do tego, by dać je psom.

Ojciec miał zresztą manię odkładania na później. Kupował kielbasy, kupował chleb i suszył to wszystko w domu. Zbudował w przedpokoju nad wejściem szafkę i tam to trzymał. Na wszelki wypadek, bo wiedział to kto, czy znowu nie wybuchnie wojna? Nas dwa razy bardziej skręcało z głodu, jak wiedzieliśmy, że tu, pod bokiem, tyle dobra się marnuje. Czasami coś mu podprowadzaliśmy z tej skrytki, ale w wielkim strachu, bo jak spostrzegł, to tłukł wszystkich na kwaśne jabłko. Tylko z tych kielbas już nie było żadnego pożytku, bo cały

tłuszcz dawno z nich wyszedł, więc lżej było wgrzyźć się w kołek od siekiery niż w nie.

Ojciec często zwijał też z portu worki z ziarnami kawy, ale że były na ogół jeszcze zielone, to urządził w mieszkaniu ni mniej, ni więcej, tylko palarnię kawy. Ustawiał na piecu wielki bęben (od pralki może czy skąd go tam wziął), pod to ogień, sypał ziarno i cały czas kręcił. I faktycznie, rewelacyjną kawę palił. Tylko że to kopcilo jak jasna cholera! Za pierwszym razem zakopcił całe mieszkanie, to za drugim przyciągnął rurę nie pamiętam, może to była rynna którą skądś wyszabrował, puścił ją od bębna do okna i wówczas cały dym szedł na ulicę. Nie tylko na nasze podwórko, ale trzy ulice w jedną stronę i trzy ulice w drugą szedł zapach. Ludzie kręcili nosami i komentowali: „Oho, pan Kozakiewicz kawę pali”. Na szczęście władze nigdy się nie zainteresowały, skąd nagle tyle kawy w prywatnym mieszkaniu. Gdyby przyszli, toby pewnie też odkryli instalację do pędzenia bimbru, która zajmowała pół łazienki. Bo przecież w domu musiał być przede wszystkim bimber.

Pamiętam naszą pierwszą Wigilię w nowym miejscu, poprzedzoną długimi poszukiwaniami sianka pod obrus, ponieważ Wigilie zawsze mieliśmy wschodnie, czyli stół zastawiony dwunastoma potrawami, siano pod serwetą, obowiązkowa kutia. Potrawy to były same ryby, bo o nie było najłatwiej. Trochę nałowił ojciec, trochę przyniósł z Dalmoru. Wigilia to był jedyny moment w roku, kiedy dostawaliśmy prezenty. Każde z nas zwykle dostawało po trzy pomarańcze, które ojciec zwędził z jakiegoś tradycyjnego transportu cytrusów na święta. Na te trzy pomarańcze czekało się i marzyło o nich cały rok. To było coś wyjątkowego, egzotycznego, prawdziwie bajkowy świat. Nierealny. Więc chociaż sama przyjemność trwała krótko, cieszyliśmy się z takiego prezentu bardziej, niż gdyby to były na przykład łyżwy, których zresztą nigdy nie dostaliśmy.

Mama została dozorczynią naszego bloku, co oznaczało koszmarną harówkę dla nas wszystkich za śmieszne pieniądze. Blok miał cztery klatki, które codziennie trzeba było utrzymywać w porządku, sprzątać, zmiatać, pomyć, a zimą odśnieżyć drogę przed nimi i naokoło bloku. A w tamtych czasach jak nasypało śniegu, to po kolana albo lepiej; dziś już nie ma takich zim. Musiała więc wstawać o 5 rano, żeby na 7, jak ludzie idą do pracy, było już odśnieżone. Pomagaliśmy jej wszyscy, cała nasza piątka chwytiała za szufle i ruszała tyralierą jak pługi, jeden obok drugiego. Trwało to dwie godziny. Więc jeszcze zanim dotarłem do szkoły, byłem wykończony i marzyłem tylko o ciepłym łóżeczku i drzemce.

„Batory” w porcie w Gdyni. Załadunek. Maj 1958

Jeszcze gorszą mordęgą od odśnieżania było usuwanie lodu z chodników, co także należało do obowiązków dozorca. Kuliśmy go specjalnymi narzędziami, które ojciec zrobił, osadzając na kijku kawałki grubych blach, ale kosztowało nas to mnóstwo sił. Najłatwiej byłoby posypać lód solą, tylko gdzie w tamtych czasach tyle tej soli dostać, przecież nie pójdziesz i nie kupisz. Ojciec wykombinował, że gdzieś tam w lesie pod Witominem wywalają sól do konserwowania śledzi w beczkach, która po jakimś czasie przestaje się do tego nadawać. Udaliśmy się tam z bratem i wielkim wózkiem, szerokim jak cztery taczki. Na piechotę z centrum Gdyni to był naprawdę kawał drogi, z sześć, siedem kilometrów. Na wszelki wypadek wyruszyliśmy po zmroku, bo do końca nie wiedzieliśmy, czy możemy sobie wziąć tę sól z hałdy, czy może to zabronione. Naszuffowaliśmy kopiastą górę i z powrotem do domu, do wózkowni, w której mama trzymała swoje miotły i szufle do odśnieżania. Ależ to była dla mamy ulga, że mogła sobie rano wyjść i rozsypywać sól, zamiast walczyć ze śniegiem i lodem. Wszystko pięknie się roztapiało.

Po powrocie ze szkoły zawsze obowiązkowo siadaliśmy przy jednym stole do odrabiania lekcji, które dla rodziców były świętością. Dopiero po uporaniu się z zeszytami brat mógł sobie iść na trening, siostra do swoich zajęć, a ja na podwórko. Tam moim ulubionym zajęciem była gra w palanta. Dziś mało kto kojarzy, o co w tym chodziło. Dla dzisiejszych dzieciaków palant brzmi pewnie równie współcześnie co turniej rycerski na kopie. Ale dla nas palant był tym, czym dziś jest piłka nożna. Drużyny liczyły od siedmiu do piętnastu graczy, w zależności o tego, ilu chłopaków się akurat zebrało. Grało się na prostokątnym boisku, a ten węższy bok był „gniazdem” albo „niebem”, z którego wybijało się piłkę pałką... Tyle że tak to grały bogate dzieciaki w USA. My zamiast pałki mieliśmy zwykły kijek, a zamiast piłki drugi, mniejszy patyk, który trzeba było tym kijkiem uderzyć jak najdalej. Wówczas zawodnik biegł do przeciwległej linii boiska i z powrotem, za co przyznawano punkt. Zadaniem przeciwników było złapanie patyka i trafienie nim biegnącego, czyli „skucie” go. Po skuciu rywala lub trzykrotnym złapaniu kijka w locie, zanim dotknął ziemi, drużyny zamieniały się miejscami. Graliśmy w to dzień w dzień.

Nasze podwórko mieściło się między ulicami Kilińskiego a Żwirki i Wigury. Dalej

było podwórko między Żwirki i Wigury a Obrońców Wybrzeża i kolejne, między Obrońców Wybrzeża a dzisiejszej Armii Krajowej. Tam działały już inne „gangi” i grało się w coś zupełnie innego, w zależności od układu podwórka. Zaczęło się bowiem budowanie schronów, których wyjścia takie betonowe domki stawiano na środku podwórkowych boisk, nie licząc się z dziećmi. Czasami zdarzały się bitwy między „gangami”, ale nie naparaliśmy się na poważnie. Ot, najwyżej ktoś komuś sprzedał kopa w tyłek czy walnął pięścią w ucho i w nogi.

Edkowi i Karolinie nauka szła świetnie, byli piątkowymi uczniami. Ze mną było znacznie gorzej, nieraz zdarzyło mi się dostać dwóję na koniec okresu. Uczniem nie byłem wybitnym, ale i nie najgorszym. Przeciętnym, co brało się głównie z lenistwa i braku zapału do żmudnego zakuwania. Jak większość chłopaków w moim wieku po prostu wolałem podwórko niż ślęczenie nad zeszytami. Uciekałem na nie, bo jak nie graliśmy tam w palanta, to budowaliśmy w piaskownicy statki z działami z patyków. Każdy w swoim rogu miał po kilka statków, a potem rzucaliśmy w nie kamykami raz po razie. Jeśli ze statku sterczały jeszcze jakieś działa, to gracz miał prawo rzucać kamykiem w jednostkę przeciwnika. Ważniejsza od mocy rzutu była precyzja obliczona na wyeliminowanie dział.

Wspinaliśmy się też na drzewa, do wysokości trzeciego piętra, aż któraś z przerażonych matek dojrzała nas z okna i spędziła na dół. Albo na środku trawnika stawialiśmy namioty z patyków i koców, w których bawiliśmy się w doktora z jedną czy drugą dziesięcioletnią sąsiadką.

Przedszkola ani szkoły nie lubiłem, bo tu i tu byłem „Ruskiem”. Naśmiewanie się z mojego śpiewnego akcentu było stałym punktem programu na przerwach. Dzieciaki bezlitośnie drwiły też z mojego ubioru, a zwłaszcza oficerki, które dostaliśmy w obozie przesiedleńczym. W Solecznikach Małych ganiałem przez większą część roku na bosaka, bo kto by tam dbał o kupowanie butów dla dzieciaka, który szwenda się po polach i lesie. Tylko na zimę mama zszywała mi coś w rodzaju walonek. Byłem więc niezwykle dumny, gdy w obozie dostałem za duże skórzane oficerki. Ale w gaciach uszytych przez ojca, wychodzących z za dużych wojskowych bucisków, rzeczywiście musiałem wyglądać jak mały ruski żołdat. Trudno więc się dziwić, że dzieciaki wyśmiewały się ze mnie, ale strasznie mnie to bolało. A że byłem przeciętnej budowy i wzrostu, to nie walczyłem z prześmiewcami, tylko wracałem do domu splakany, skarżąc się mamie, że mówią na mnie „Rusek” i śmieją się z tego, jak

jestem ubrany. Raz skargę usłyszał ojciec, a że był akurat podпиты, to mi poradził: „Rusek? A jaki ty Rusek? Lej w mordę, jak ci ktoś tak jeszcze raz powie!”.

Władysław Kozakiewicz pamiętka I klasy

Kiedy poszedł spać, mama wyperswadowała mi ten pomysł, strasząc, że jeszcze mnie wyrzucą ze szkoły. Z „Ruskiem” dali mi spokój gdzieś tak w trzeciej czy czwartej klasie, bo też i mój wileński zaśpiew gdzieś się w tych podwórkowych zabawach rozpląnął.

Dzieckiem byłem żywym, ciężko mi było wysiedzieć w ławce przez 45 minut lekcji, buzia mi się nie zamykała. Byłem szkolnym rozrabiaką, choć cóż to w sumie było za rozrabianie? Żadna chuliganeria, zwykłe, niewinne szkolne wygłupy, przeszkadzanie na lekcji, kawały robione dziewczynom, mazanie kredą po tablicy. Co rusz zbierałem uwagi do dzienniczka. Za nawet najbardziej banalne przewinienie w rodzaju: „uczeń darł się na przerwie” albo „biegał po korytarzu” w domu czekało mnie lanie pasem. I to nie w tyłek. Ojciec, jak tylko dostał uwagę do podpisu, chwycił za pas i lał, gdzie popadnie. Sprzączką po głowie, przez plecy, po nogach. Gdy zasłaniałem się ręką, to wpadał w jeszcze większą furię i lał dłużej i mocniej, aż z ran leciała krew.

Moją wychowawczynią była nauczycielka polskiego pani Opałkowa, stara kobieta i straszna zołza, której kompletnie nie interesowało, że chodzę cały zapuchnięty, z krwiami i śladami po razach. Świadomość, że dostanę lanie, jakby sprawiała jej satysfakcję. Ilekroć błagałem ją, żeby nie wpisywała uwagi do dzienniczka, ona oddawała mi go z zaciętą twarzą i zastrzeżeniem, że to nie matka ma podpisać, ale ojciec. A przecież doskonale wiedziała, co to oznacza. Gdzieś w czwartej czy piątej klasie zhardziałem i coraz częściej się jej stawiałem. Któregoś razu kazała mi pokazać dzienniczek, czy jest podpis ojca. Stanąłem przed nią, ściągnąłem koszulę przez głowę i goły do pasa odwróciłem się do niej plecami, pokazując świeżą ranę po sprzączce, całą nabiegłą krwią. I mówię, że w dzienniczku ojciec zapomniał, ale tutaj jego podpis widać wyraźnie. Kazała mi się ubierać i następnego dnia przyjść z ojcem, bo może ranę zrobiłem sobie sam, a o uwadze wcale nie powiedziałem. Ojciec poszedł cały wściekły, że musi za mnie świecić oczami, więc po powrocie czekało mnie kolejne potężne lanie. Taka to była z niej zacięta baba.

Gdzieś tak w szóstej klasie, kiedy po raz kolejny ewidentnie napuściła na mnie ojca, mama nie wytrzymała, i choć pewnie było jej ciężko się przemóc, wybrała się do dyrektora na szczerą rozmowę. Powiedziała mu, jak jest i czym to się może skończyć, i oświadczyła, że nie wyjdzie z gabinetu, jeśli dyrektor nie przeniesie mnie do innej klasy. Dyrektor obiecał, słowa dotrzymał i moje problemy z wredną polonistką się skończyły. Co nie oznaczało, że ojciec przestał spuszczać mi manto przy byle okazji. Ze znalezieniem pretekstu nigdy nie miał najmniejszego problemu...

## **Kat**

Dzieciństwo wspominam jako lanie na okrągło. Jeszcze przed wizytą mamy u dyrektora dostawałem od ojca łomot za zachowanie w szkole tak często, że kiedy to tylko było możliwe, fałszowałem jego podpisy w dzienniczku. Żeby choć część siniaków czy krwiaków zdążyła się zagoić, nim sprezentuje mi następne.

Czasem fałszować pomagała mi mama, wiedząc, że gdyby ojciec lał mnie za każdą podpaduchę, mógłbym tego nie przeżyć. Gdy miał jakieś wątpliwości, „przypominała” mu, że przecież już za to oberwałem. Podczas lania też starała się interweniować, ale raczej prośbą, błaganem, by przestał, że już dostałem za swoje. Wiedziała, że jeśli przesadzi ze wstawiennictwem albo nie daj Boże spróbuje mnie osłaniać, to sama oberwie, i to najostrzej.

Prawda wygląda tak, że ojciec był dla nas katem. Interesowała go tylko własna wygoda, własny interes. Nas traktował jak zło konieczne, niewygodny balast, który trzeba ciągnąć ze sobą, bo nie da się go pozbyć. Byłby najszczęśliwszy, gdyby nas nie było wcale. Wracał z roboty do domu, a tu nie mógł napić się w spokoju wódki, pobiesiadować z kumplami, bo myśmy mu się plątali pod nogami. Żona upominała się o pieniądze na jakieś codzienne sprawy, ubrania dla dzieci czy jedzenie. Z dziećmiakami też wieczne utrapienie, bo to cicho siedzieć nie chcą i ciągle trzeba z nimi jak nie do lekarza, to do szkoły.



Za ten swój podły los mścił się przede wszystkim na mamie i na niej odreagowywał. Z biegiem lat w kolejnych awanturach wybił jej wszystkie zęby, aż do ostatniego. Rzucał w nią wszystkim, co mu podeszło pod rękę doniczkami, żelazkiem, garnkami, sztućcami. Nieraz w furii połamał na niej krzesło, zresztą na bracie i na mnie tak samo. Był przy tym tak potwornie silny, że jak przywalił komukolwiek z nas z kopniaka, to lądowaliśmy na ścianie po drugiej stronie pokoju. Niestety, najczęściej mama. Nieustannie chodziła w siniakach. Bez przerwy jeździła do lekarza albo na pogotowie, gdzie kłamała, że się poślizgnęła albo spadła z drabiny czy ze schodów po ciemku, a zimą, że się wywaliła na zamrożonej kałuży. Lekarze chyba doskonale zdawali sobie sprawę, co się dzieje, ale skoro kobieta sama nie informowała odpowiednich organów, to nikt nie chciał się wtrącać, żeby jej jeszcze nie zaszkodzić. To były zupełnie inne czasy. Pojęcie przemocy domowej nie było jeszcze znane. Sąsiedzi, jeśli wiedzieli, to nigdy się z tym nie zdradzili. Zresztą dla nich ojciec był najmilszym człowiekiem pod słońcem, uprzejmym i uczynnym, zawsze gotowym do pomocy. Tak samo dla swoich kumpi, których sprowadzał do domu na wódkę.

Po mamie najbardziej obrywał brat. Za wszystko, pod byle pretekstem. I to nie żadnym pasem, pas i sprzączka były zarezerwowane dla mnie. Edek obrywał krzesłem przez plecy, dechą do prasowania, kijem, który ojciec specjalnie przytargał do mieszkania. Po Edku byłem ja, a na końcu Karolina, bo jakoś powstrzymywał się przed agresją wobec małej, zalęknionej dziewczynki. Ale i jej zdarzało się oberwać w twarz z otwartej ręki, że aż krew jej poszła z nosa, jeśli akurat sobie ubzdurał, że mu w czymś podpadła. Dzień bez lania był dla nas dniem szczęśliwym, który się później wspominało tygodniami. Tyle że takie dni zdarzały się rzadko.

Edek zawsze w milczeniu przyjmował razy od ojca. Zacięty, zamknięty w sobie. Nigdy w żaden sposób nie reagował na jego pijackie ekscesy. Gdy obrywał, a obrywał mocno i dużo, nigdy nawet się nie zająknął z bólu. Nigdy nie prosił, żeby ojciec przestał. Wytrzymywał z zaciśniętymi zębami, ile trzeba było. Ze mną było inaczej. Od małego byłem krnąbrny, a z wiekiem robiłem się coraz bardziej i bardziej. Nie żebym kiedykolwiek odpyskował ojcu, wiedziałem, że za to czekałby mnie grób, mogiła. Ale nie umiałem też siedzieć cicho. Zawsze coś tam sobie mruczałem pod nosem, czasem spierałem się z nim na argumenty. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz zakwestionowałem jego zdanie, mówiąc „dobra, dobra” czy coś w tym stylu, to aż go zatkało ze zdziwienia. Ale zaraz potem, wziuuut, już

miał pas wyciągnięty ze spodni i gonił mnie wokół stołu, a ja bezczelnie uciekałem. Oczywiście na końcu rozmazał mnie za nieposłuszeństwo na ścianie.

Dodatkowo było z nim tak, że jak podczas lania pojawiała się krew, to bił jeszcze mocniej. A najlepsze było to, że już po godzinie zachowywał się wobec skatowanej osoby tak, jakby nic się nie stało, potrafił być miły, zagadać, oczywiście bez słowa „przepraszam”. Jakby cała ta przemoc miała miejsce w telewizji, po drugiej stronie ekranu. Koniec filmu i wieczorne życie toczy się dalej w najlepsze.

Najgorszy bywał na kacu. Jak wracał pijany albo schlał się w domu, to już wiedzieliśmy, że następnego dnia musimy schodzić mu z drogi, siedzieć jak myszy pod miotłą, a najlepiej w ogóle zniknąć z domu na jak najdłużej. Niestety, mama zniknąć nie mogła. Podpaść można mu było dosłownie czymkolwiek. Ojciec zawsze mógł uznać, że siedząc przy stole, ktoś uśmiechnął się po jego słowach albo zmarszczył. Albo wzruszył ramionami. Nie interesował się nami do tego stopnia, że nie kojarzył, do której klasy akurat chodzimy. Ale uwaga w dzienniczku była doskonałym pretekstem. Często bywało, że gdy Edek i ja siedzieliśmy za stołem, odrabiając lekcje, on przechadzał się za naszymi plecami wkoło stołu, sapiąc gniewnie, więc wiedzieliśmy, że zaraz nadciągnie furia. A on nagle nachylał się nad zeszytem któregoś z nas: „A dlaczego literę s tak krzywo piszesz?” i uuuu, prosto w mordę.

Gdy wracał z pracy trzeźwy, ale zmęczony albo miał chandrę, bo coś mu tam nie wyszło, było to samo. Tylko szukał pretekstu, żeby wyładować się na kimś z rodziny. Co kazał, trzeba było robić, nie było dyskusji. Kto próbował dyskutować obrywał. Kto wykonywał polecenie nie dość energicznie obrywał. Kto zbyt wolno podniósł się z krzesła trrrrach!

Miałem już 15 lat i trenowałem skok o tyczce. Wróciłem z treningu potwornie zmęczony i padłem odpocząć na łóżko siostry w kuchni. Wszedł, stwierdził, że mam już za długie włosy, dał mi pięć złotych i kazał iść do fryzjera. W tamtych czasach chłopcy musieli nosić króciutkie fryzury, a na strzyżenie mógł wysłać ucznia nawet szkolny woźny. Jeśli uznał, że ktoś ma zbyt długie włosy, po prostu nie wpuszczał do szkoły. Ojciec kazał mi iść do swojego stałego fryzjera. Ale że tam była olbrzymia kolejka, poszedłem do innego, dwie przecznice dalej. Wróciłem ostrzyżony elegancko w kancik. „U tego i tego byłeś?” zapytał.

Odpowiedziałem, że u innego, bo kosmiczna kolejka, a ja, zmęczony, nie chciałem czekać. I uwalilem się z powrotem na łóżko. A on zerwał się od stołu i gardłuje: „Oż ty kur... jakim prawem to małe gównio nie słucha moich poleceń?! Widziałaś ty, co za bezczelny sukinsyn? Mówilem, że masz iść tam. Co za gnój mały...” i tym podobne. Leżąc na plecach na łóżku, odparłem, że przecież cena ta sama. Na to wparował do kuchni, chwycił z blatu wielką drewnianą deskę do krojenia chleba ze sznurkowym uchwytem i jak nie zdzielił mnie kantem prosto w twarz.

Trafił w samą nasadę nosa, krew trysnęła na całą kuchnię. Matka w rozpacz, ja w takim szoku, że nawet nie od razu poczułem ból, chociaż nos złamany, prawie wbity do środka. Jakby trafił w czoło albo skroń, toby zabił.

Mama jakoś odstawiała mnie na pogotowie. Tam mnie poskładali, zszyli i nawet nie pytali, co, jak i dlaczego. Wiadomo, nastoletni chłopak ze złamanym nosem to nie jest jakaś niecodzienna sytuacja, chociaż na oddziale świetnie nas już znali i kojarzyli rękę ojca. Zdaje się, że któryś lekarz nawet do mnie mrugnął porozumiewawczo, dodając otuchy. Wróciliśmy do domu, wszedłem cały zapuchnięty, zaklejony, a on do mnie: „Synku, ale ty wyglądasz, ale już chyba nie boli, co? Dzielny jesteś...”. Jakby to nie było jego dzieło, jakbym pobił się z chłopakami na podwórku. Zachowywał się jak gdyby nigdy nic. W jego mniemaniu dalej byliśmy kumplami. Żyję? Żyję. Chodzę? Chodzę. To dla niego sprawa była załatwiona.

Mama chwytiała się przeróżnych sztuczek, żeby ochronić nas przed laniem. Pamiętam, jak mając sześć czy siedem lat, pobiegłem za capstrzykiem, czyli orkiestrą, nie pamiętam już: milicjantów, strażaków, marynarzy, i z jakiej okazji, która przeszła pod oknami naszego bloku. Szło ze sto osób. Wybiegłem na podwórko na bosaka, w krótkich gatkach, i z czterema takimi samymi gówniarzami jak ja poleciliśmy za tą barwną kolumną. Dla nas była to wielka atrakcja, radocha jak cholera. Odprowadziliśmy ją kilka ulic, przy porcie odbyła się jeszcze jakaś uroczystość, którą chłonęliśmy oczami. Nie było mnie parę godzin. W tym czasie mama z bratem i siostrą ruszyli na poszukiwania, ojciec oczywiście został w domu i stamtąd dyrygował. Jak wracałem, zaczynało już ciemnieć. Na ulicy napatoczyłem się na przerażoną rodzinę. „Gdzieś ty zginął!? Ale teraz dostaniesz od ojca, cały jest wściekły, zabije cię jak nie!”. Z miejsca się rozplakałem, jeszcze tam, na ulicy, łzy mi się polały jak groch, bo zrozumiałem, że lanie mnie nie minie, dostanę jak sto pięćdziesiąt. I rzeczywiście, wszedłem do domu, a ojciec cały czerwony z wściekłości, dwie gule mu sterczą. Powitał mnie

najbardziej ordynarną wiązańką, jaką miał w swoim programie: „Ty taki owaki, poszedłeś sobie, a myśmy się denerwowali...”, ściągnął pas i wywijał sprzączką w powietrzu. Na to mama chwyciła za pas z wściekłą miną i rzuciła: „Stój, ja się naszukałam wrednego bachora, to ja leję!”. I to było najpiękniejsze. Bo oczywiście zrobiła tak, żeby mnie uratować z jego potężnych łap. Lała mnie i lała, ze złością, aż się popłakała, ale nie bolało nic a nic. I oczywiście nie sprzączką, ale tą drugą stroną. Ojciec jakoś dał się wtedy oszukać. Wdzięczność i miłość, jaką wtedy do niej czułem, pamiętam do dzisiaj.

My z kolei byliśmy pod takim terrorem ojca, że bardzo długo nie byliśmy w stanie bronić mamy, kiedy ją lał. Każde z nas chowało się wówczas w swój kąt, żeby nie widzieć i samemu nie oberwać. Brat, gdy skończył może z 15 lat, próbował go hamować, ale dostawał za to okrutnie. Ale hamować to znaczy co najwyżej zasłaniać sobą. Nigdy nie oddaliśmy ojcu, nigdy nie podnieśliśmy na niego ręki, nigdy nie doszło do bójki.

Z ojcem nigdy nie było wiadomo, co mu strzeli do głowy i jak akurat zareaguje. Kiedyś, pamiętam, oblał mnie dla żartu wodą ze szklanki. Ja uciekałem, on polewał i trochę tej wody wylało się na podłogę. Już po śmiechach mówi: „Dobra, to teraz to wytrzyj”. A ja do niego: „Przecież to nie ja rozlałem”. Mama spojrzała na mnie przerażonym wzrokiem i aż się cała skuliła w sobie, w jednej chwili zrobiło jej się mniej. Siostra szybko wstała od stołu i zaszyła się w swoim kącie. Edek już wówczas z nami nie mieszkał. Miałem 14 lat i po raz pierwszy mu się przeciwstawiłem. Tak go to zaskoczyło, że stanął i zaczął się jąkać: „Co za gównu, on mi każe wycierać!”. Ale wziął szmatę i sam wytarł, mamrocząc przekleństwa pod nosem. Wtedy odpuścił, ale tak poza tym cały czas lał nas równo.

Albo taka historia. Kiedyś dostałem wciry od jakiegoś starszego o trzy lata chłopaka. Nie miałem szans, bo był większy i silniejszy, a poszło, zdaje się, tradycyjnie o żarty z wileńskiego akcentu. Poszedłem na skargę do brata, który tylko zapytał, o jakiego chłopaka chodzi. Zaczekał na niego przed szkołą i bez żadnych wstępów przylutował mu piąchą prosto w nos, że ten padł plackiem do tyłu. Podszedł do leżącego i oznajmił mu, że jak jeszcze raz mnie tknie, to oberwie dziesięć razy mocniej niż teraz. Matka pobitego przysłała z kolei na skargę do ojca. „Edek pobił pani syna? To na pewno miał rację. Spieprzaj mi stąd, jędzo, i ciesz się, że twój synalek nie oberwał mocniej” wyrzucił kobietę z mieszkania. Ale brat nie wiedział o tej reakcji i bał się wrócić do domu, bojąc się, że czeka go gigantyczne lanie. Ale w końcu musiał. Tymczasem ojciec Edka pochwalił: „I zawsze tak właśnie trzeba”. Ale

dodał, że jeśli jeszcze raz jakaś baba przyjdzie mu zawracać głowę, to pogoni i ją, i brata.

Ten wieczny strach, przerażenie, słuchanie kroków na schodach, czy wraca i w jakim stanie, to oczekiwanie furii, tych niezliczonych razów, to był jeden wielki koszmar. Do tego w domu zawsze brakowało pieniędzy. Jak już wspomniałem, ojciec żadnemu z nas nigdy nie kupił żadnej zabawki, o rowerze nie wspominam, ale to się pożyczało od innych dzieciaków, żeby zrobić kółko wokół bloku czy dwa. Nigdy też nie kupił nam żadnych słodczy, choćby najmniejszego lizaka czy dropsa, ani żadnych owoców. Chyba że zwędził z portu przy rozładunku jakieś cytrusy. Byliśmy najbiedniejszą rodziną w okolicy, ludzie zresztą o tym doskonale wiedzieli, toteż co jakiś czas ktoś przychodził, przynosił w darze dla dzieciaków sweter, spodnie czy jakąś koszulkę, co mnie, jak już stawałem się nastolatkiem, coraz bardziej bolało.

Mama nie dość, że musiała znosić nieustanny terror ojca, nie dość, że bez przerwy lękała się o zdrowie dzieci i własne, to jeszcze ciężko pracowała fizycznie. I nic z tego nie miała, bo pieniądze wiecznie brakowało. Po prostu wszystko, co zarobił, wydawał na wódę, najnormalniej w świecie przepijał swoją pensję. Sam, z kolegami, wpadając w kilkudniowe ciągi. Pił, kiedy chciał, gdzie i z kim mu się akurat podobało. Mama musiała utrzymywać całą rodzinę tylko ze swojej pensji. A to była śmieszna pensja dozorczyń. Najlepszy dowód, że kiedy mama po trzydziestu kilku latach pracy przechodziła na emeryturę, dostała zaledwie 800 zł. Można więc sobie wyobrazić, na jakim poziomie żyliśmy. Mimo że oboje rodzice ciężko pracowali i jeszcze dorabiali do tego szyciem. Mieliśmy w mieszkaniu dwie maszyny do szycia, mama wykonywała jakieś przeróbki dla zakładu krawieckiego, z czasem zaczęła pomagać też siostra, która poszła do technikum odzieżowego. Dorabiała też, sprzątając w domu znanej aktorki Teatru Wybrzeże Krystyny Łubieńskiej, która była wówczas bardzo popularna w Trójmieście (grała między innymi w przedstawieniach w reżyserii Zbigniewa Cybulskiego i Bogumiła Kobieli, u boku Edmunda Fettinga). W trudnych chwilach, kiedy pieniądze się kończyły, pomagała nam finansowo, żeby dało się przeżyć do pierwszego.

Kiedyś, w tych pierwszych latach w Gdyni, kiedy z pieniędzmi nie było aż tak krucho, ojciec założył mamie i sobie książeczki oszczędnościowe. Za regularne wpłaty można było wygrać samochód. No i jego pech, a nasz szczęśliwy traf, że mama wygrała syrenkę! To było chyba pod koniec lat 60. I ta syrenka elegancko stanęła pod naszym blokiem. Stała i stała, bo przecież nikt w rodzinie nie miał prawa jazdy, ojciec swoją jedyną przygodę z pojazdami

mechanicznymi zakończył na drzewie w Solecznikach. Szukaliśmy kupca i w końcu zgłosił się po nią jakiś tam daleki znajomy. Szczęśliwie ojca nie było w domu, więc mama mówi do nas: „Za cholere nie dam mu tych pieniędzy, bo przecież zaraz je przepije”. Szybko kupiliśmy nową wersalkę, bo już stara się prawie rozsypała, a resztę wpłaciliśmy na książeczkę mamy, żeby było coś na czarną godzinę.

Ojciec pracował w systemie 24godzinnym, po którym miał 24 godziny odpoczynku. Ponieważ nie miał żadnego doświadczenia, przez pierwsze lata był zwykłym ładowaczem, a potem już pilnował załadunku. Jako że pracował w porcie, miał tytuł marynarza i nawet dostał odświętny mundur, który zakładał raz w roku na pochód pierwszomajowy. Wówczas przechodził dumny ulicami z innymi marynarzami.

Gdyby wiedział, co się działo w domu pod jego nieobecność, dopiero by się wkurzył i lał nas bez opamiętania! To jest ta druga, radosna strona dzieciństwa. Bo myśmy cały czas żyli w poczuciu, że nasza czwórka kontra on, że życie jest nieustanną walką o przetrwanie, i to nas bardzo scalało. Tylko zamykały się za nim drzwi, gdy szedł do roboty i w domu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaczynał się inny świat. Kiedy byliśmy starsi, pod nieobecność ojca robiliśmy w domu nawet potańcówki, na co on nigdy by się nie zgodził, nie było nawet sensu pytać. Przychodziły koleżanki siostry, paru kolegów brata, stół szedł na bok, na nim stawał przyniesiony patefon i były tańce. Jak była mama, to przygotowywała coś do przegryzienia. I w naszym ponurym mieszkaniu robiło się wreszcie radośnie i wesoło. Chociaż byłem najmłodszy w towarzystwie, nie odpuszczałem i też zawsze tańczyłem ze starszymi dziewczynami.

A jeśli mamy nie było, graliśmy obowiązkowo w butelkę. Siadaliśmy w kręgu na podłodze, na przemian chłopak dziewczyna, w środku butelka, którą ktoś kręcił. Na kogo wskazała szyjka po zatrzymaniu, tego można było pocałować w usta. Oczywiście, jeśli wypadło na osobę płci przeciwnej. Koleżanki Karoliny z technikum odzieżowego, piętnasto, szesnastolatki, nie paliły się specjalnie do całowania się z młodszym o trzy lata chłopakiem z podstawówki, ale ze względu na siostrę pozwalały mi przysiąść się do kręgu i uczestniczyć w zabawie. Byłem wesołym chłopakiem, którego w towarzystwie raczej się lubiło. Myślę, że w mojej psychice działał jakiś mechanizm obronny, który wypierał cały ten koszmar z ojcem, sprawiając, że dla otoczenia byłem radosnym, otwartym na świat optymistą. W przeciwieństwie do Edka, który wszystko kisił w sobie i był bardzo zacięty.

W wakacje czy ferie uwielbiałem wyjeżdżać na organizowane przez stocznię dziecięce kolonie. Przez resztę wolnego pomagałem mamie w pracy. Szczotka i szufelka do ręki i dalej sprzątać klatki dzień w dzień. Piętro za piętro, wycieraczka na bok, zamiatanie, sprzątanie, mycie. Roboty z tym było od cholery. Robiłem, co mogłem, żeby zarobić swoje własne parę groszy, bo żadnego kieszonkowego oczywiście nie dostawaliśmy. Ale że Polska nie USA, gdzie dzieciaki rozwożą gazety czy myją samochody sąsiadom, nie miałem wielkich możliwości. Na przykład sprzątałem warzywniak na koniec dnia zaprzyjaźnionemu właścicielowi, który mnie bardzo lubił, i choć inne dzieciaki też były bardzo chętne, zawsze wybierał mnie. Dawał mi za to jakieś 2 złote, za co mogłem sobie kupić parę irysów. Czasami wśród zgniłków, które były do wywalenia, znajdowałem takie, które nadawały się do zabrania do domu.

Jak byłem już nastolatkiem, to latem sprzedawałem lody Mewa robione na śmietanie przez jakiegoś prywaciarza w Gdyni. Były to lody na patyku, okrągłe jak bazie. Chodziłem z kartonem po skwerku Kościuszki albo po plaży i wołałem: „Lody! Lody!”. Jeśli miałem czas, to wieczorem szedłem do kina, gdzie mnie wpuszczali, żebym sprzedał je ludziom, którzy zasiedli już w fotelach. Nie dość, że zawsze ze 20 lodów się sprzedawało, to jeszcze czasem zaliczyłem za darmo seans.

Z innych przyjemnych momentów z dzieciństwa mile wspominam mamine bliny. Przygotowywała je dla ojca za każdym razem, gdy wychodził do pracy, to był taki rytuał jeszcze z Solecznik. Tarła kartofle na masę i rozprowadzała ciekawą warstwę na powierzchni patelni. Wychodził z tego nie mały, ale gruby placek kartoflany, ale cieniutki blin. Przypiekała go z dwóch stron, kładła na talerz, troszkę masła, i kolejny blin. Ojciec zjadał ich na śniadanie z dziesięć. Choć to było bardzo wcześnie rano, przed szóstą, i mógłbym jeszcze pospać przed wyjściem do przedszkola czy szkoły po drugiej stronie ulicy, lubiłem się zrywać i asystować przy smażeniu tych blinów, a potem usiąść przy stole z ojcem i pojeść trochę. Brat z siostrą nie wstawali nigdy, ale oni oboje mieli inny charakter, bardziej zacięty. Byli też starsi, więc ojciec zdążył im zależeć za skórę dużo bardziej niż mnie. Ja zresztą byłem dość radosnym dzieckiem, a przy tym dość szybko wybaczałem i zapominałem.

Takich rytuałów jak ten z blinami było u nas więcej. Na przykład z myciem nóg ojca. W łazience mieliśmy wannę, ale ojciec wołał moczyć je w misce w pokoju. Nabierałem więc

miskę ciepłej wody z mydłem, on wkładał nogi, a ja mu je myłem. To był mój obowiązek i nawet go lubiłem. Podobnie jak rytuał towarzyszący goleniu ojca. Szykowałem mu wówczas jeden kubek z gorącą wodą, drugi z mydlinami, do którego wkładał pędzel, i najpierw długo się malował, a potem powolutku przejeżdżał brzytwą po policzkach i szyi, a ja siadałem cichutko na krześle naprzeciwko i obserwowałem. Fascynujące to było dla mnie bardziej niż film w telewizji, zresztą telewizora długośmy nie mieli.

Nienawidziłem za to innego ulubionego rytuału ojca. Wymyślił sobie, nie wiadomo czemu, żebyśmy całowali w rękę każdego gościa, który przychodził do nas do domu. Nie kobiety, bo te prawie wcale nie przychodziły, ale pijaków, jego kumpli od wódki. Od 1958 roku przez 13 lat każdego najgorszego obdartusa, najgorszego lumpa, którego sprowadzał do domu, żeby z nim chlać, jego rodzone dzieci musiały ucałować w rękę! O ile byliśmy w domu. Jak z kimś wchodził, wiedzieliśmy, że musimy lecieć i ustawiać się przy drzwiach, bo inaczej po wyjściu gościa będzie nieziemskie lanie. A mama od razu do kuchni coś pichcić, bo musiała być zagrycha.

Te pijaczki, obszczymury, były tym oczywiście zszokowane. Ale on im tłumaczył z dumą: „U mnie jest taki zwyczaj”. Chciał, żeby widzieli, że tak sobie wychował rodzinę. Może myślał, że dzięki temu bardziej go będą szanować? Im byłem starszy, tym bardziej czułem się tym upokorzony, tym bardziej ohydne mi się to wydawało, aż w końcu, ale już nie pamiętam, po ilu latach, odmówiłem zginania karku przed brudnymi łapskami jego gości. Natomiast na mamę zawsze mógł liczyć, że z miejsca ruszy przygotować coś do jedzenia, i nie do pomyślenia było, żeby nawet zająknęła się, by nie pił czy przestał. Taką odzywką przy gościach tylko by sobie założyła sznur na szyję.

## **Tyczkarza to z ciebie nie będzie**

Sportem zająłem się trochę przez przypadek, trochę z nudów, a trochę za namową brata. Nikt w rodzinie nie miał przed nim nic wspólnego ze sportem, można by rzec, że wręcz przeciwnie.



Nie to, co na przykład u Władka Komara, którego ojciec przed wojną reprezentował Litwę w boksie, a mama pobiła rekord Polski w pchnięciu kulą należący do słynnej Haliny Konopackiej. Edek, starszy ode mnie o pięć lat, był pierwszy. Trener lekkoatletyki Walenty Wejman, który rozpoczynał właśnie pracę w Bałtyku Gdynia, krążył po szkołach w poszukiwaniu materiału na zawodników. Któregoś dnia zawitał do szkoły brata, gdyńskiej „czternastki”, i poprosił nauczyciela wuefu, żeby mu pokazał, którzy chłopcy są szczególnie wszechstronnie utalentowani sportowo. Szczęśliwie nauczyciel jako pierwszy dostrzegł w Edku materiał na dobrego lekkoatletę. Brat najszybciej biegał, najdalej skakał, był silny, szybki i w ogóle nie miał w sporcie równych sobie. Wuefista od razu go wskazał.

Wejman pochodził z rodziny niemieckich osadników, którzy przez wieki gospodarzyli na roli pod Kaliszem. Jego ojciec czuł się bardziej Polakiem niż Niemcem i po klęsce wrześniowej odmówił podpisania Volkslisty, za co trafił do obozu w Buchenwaldzie, z którego już nie wrócił. Pan Walenty pracował najpierw przy załadunku statków, potem jako spawacz w Stoczni im. Komuny Paryskiej, jednocześnie uprawiając skok o tyczce; jego życiowym rekordem było 4,13 metra. Właśnie skończył karierę zawodniczą i zaczynał trenerską. Nie miał nawet jeszcze uprawnień trenerskich, tylko instruktorskie, ale rękę do szkolenia od samego początku miał dobrą. Świetnie przygotowywał ogólnorozwojowo, bo zawodnicy trenowali u niego wszystkie lekkoatletyczne dyscypliny. Szybko wychodziło, kto jest w czym najlepszy, a że był typem trenerskiego kata, to błyskawicznie dochodziło się u niego do wyników.

Edek szybko biegał, ale nie wystarczająco szybko, żeby zostać sprinterem. Na skoczka wzwyż też się nie nadawał, bo miał tylko 178 centymetrów wzrostu. Okazało się, że najlepsze wyniki osiąga w skoku o tyczce. Miał idealne warunki: średnio wysoki, szybki, silny i bardzo sprawny. Z miejsca stał się najlepszym tyczkarzem na Wybrzeżu i juniorem w Polsce. Od razu wskoczył do kadry.

Władysław Kozakiewicz pamiątka Pierwszej Komunii Świętej, 1967

Ja na początku zupełnie się nie przejąłem nową pasją braciszka, jego dobrze zapowiadająca się kariera niewiele mnie obchodziła. Miałem 10 lat i bardziej interesowałem się swoimi sprawami na podwórku i kłopotami w szkole. To nie były te czasy i ta rodzina, w której rodzice dokładnie planują dzieciakom czas i zajęcia, jak angielski, tenis, piłka nożna, szkoła muzyczna etc. Ojciec bardzo długo nie wiedział, że Edek w ogóle zaczął cokolwiek trenować, mną interesował się jeszcze mniej. Wiedział, że chodzimy do szkoły po drugiej stronie ulicy, i nic więcej go nie obchodziło.

Było lato 1966 roku, wakacje. Miałem jeszcze nieskończone 13 lat i wróciłem z jakichś kolonii. Mama brała dodatkowe zajęcia, nie miała czasu mnie pilnować, a nie chciała, żebym całymi dniami włóczył się po podwórku i okolicy. Może się bała, że zacznę chuliganic? A że nie wiedziała, co ze mną zrobić, namówiła Edka, żeby zabrał mnie ze sobą na trening. Brat złapał mnie przed domem, podchodzi i mówi:

Chodź, Władek, odprowadzisz mnie na stadion, bo mnie się, kurczę, nudzi.

Z domu na stadion Bałtyku w Orłowie było 6 kilometrów w jedną stronę i Edek zawsze chodził na piechotę. Nie było sensu prosić ojca o te żalodne 50 groszy na trolejbus, wiadomo, że by nie dał. Na gapę nigdyśmy nie jeździli, bo gdyby nas złapali, byłoby jeszcze gorzej: nie dość, że grzywna, to jeszcze manto w domu.

Władysław Kozakiewicz przed blokiem na ul. Abrahama obok samochodu syrenka, który jego mama wygrała na książeczkę oszczędnościową. Gdynia, 1968

Iść mi się nie chciało, ale starszy brat prosi, to przecież nie powiem, że nie. No i poszliśmy we dwójkę. W sumie byłem mu wdzięczny, bo sam też zabiłem nudę. Trening lekkoatletyczny bardzo mi się spodobał, bo tyle się naraz działo: dziewczyny skakały w dal, chłopaki wzwyż, na bieżni rywalizowali sprinterzy, tu ktoś pchał kulą, tam brat skakał o tyczce. Więc jak szedł kolejny raz, to już nie musiał mnie namawiać, sam się rwałem go odprowadzać. Raz, że po drodze sobie gadaliśmy, a dwa, że na treningu czułem się jak na prawdziwych zawodach.

Za którymś razem sam zacząłem próbować różnych dyscyplin. Poskakałem sobie w dal, pobiegłem na bieżni, wziąłem kulę i pokulałem, gdzie akurat było wolne, żeby nie przeszkadzać prawdziwym zawodnikom. Spodobało mi się nawet bardziej niż palant na podwórku, zwłaszcza że szybko łapałem, o co chodzi. I tak lato i jesień zeszły mi na podpatrywaniu treningów. Zimą cała sekcja lekkoatletyczna trenowała na sali gimnastycznej w szkole nr 3 na ulicy Witomińskiej, od nas z domu to był kawałeczek. A jeszcze latem brat wziął mnie na bok i mówi:

Ganiasz i skaczesz bez sensu po stadionie. Zamiast tego pokażę ci, jak się skacze o tyczce.

No dobra, pokazuj odparłem.

Dał mi najkrótszą tyczkę, jaka była, postawił stojaki do skoku wzwyż na skoczni w dal i zawiesił poprzeczkę na wysokości 90 centymetrów. I pokazał, że stąd muszę się rozpędzić, tutaj na piasku przyłożyć tyczkę, wybić nogami do góry tak, żeby przelecieć nad poprzeczką i spaść z drugiej strony. Wziąłem rozbieg, zapierniczam z tą tyczką ileś tam kroków, wbiłem tyczkę w piasek i... zostawiłem ją, gdzie się wbiła, a sam zrobiłem jeszcze krok i przeskoczyłem przez poprzeczkę jakiś takim dziwnym nożycowym stylem czy innym tygrysem. Kto to widział, to się zaczął zanosić śmiechem, bo wyszedł z tego skok w dal, wzwyż i o tyczce w jednym. Ale poprzeczkę przeskoczyłem, więc stoję dumny.

Brat pokręcił głową i kazał mi wszystko powtórzyć tak, jak mi tłumaczył, w jakiej kolejności co i jak wykonać. Spróbowałem ze trzy czy cztery razy i za każdym razem tak samo: tyczka wbita w piasek, ja ze dwa kroki do przodu i przeskok bez tyczki. Nie umiałem skoordynować czynności, o których mówił. Widząc przed sobą poprzeczkę, działałem instynktownie, a może bałem się wybijać w powietrze już nie pamiętam.

Edek machnął w końcu ręką:

Dobra, spylaj, tyczkarza to z ciebie nie będzie.

Więc ja też machnąłem ręką, „Boże, co za dziwaczna dyscyplina”, i dalej bawiłem się w skoki w dal, wzwyż i biegi. Wszędzie było mnie pełno, plątałem się wszystkim pod

nogami, aż trener Wejman i jego zawodnicy ochrzcili mnie „Tygrysem”, trochę od wszędobylskiego Tygrysa z „Kubusia Puchatka”, a trochę od tych skoków. Stałem się trochę taką maskotką całej grupy.

Ale tamte nieudane próby skoku o tyczce gdzieś we mnie siedziały. Coraz częściej podglądałem, jak Edek wykonuje swoje skoki. Któregoś dnia sam sobie postawiłem stojaki do skoku wzwyż i ustawiłem na zeskoku do skoku w dal. Brat w tym czasie skakał obok o tyczce, spadając na zeskok z gąbek, ale widziałem, że od czasu do czasu zezuje bokiem, co ja tam robię. Miałem w pamięci jego technikę, wystartowałem, rozpędziłem się, wybiłem z rozbiegu, zadarłem nogi w górę i... przeleciałem nad tą poprzeczką. Jezu, jak mi się to spodobało! No to drugi raz, ustawiając poprzeczkę troszkę wyżej. Udało się, to jeszcze wyżej i jeszcze wyżej. Jak przeskoczyłem 150 centymetrów, to uznałem, że koniec ze skokami na piasek, bo to już kawał wysokości. Poszedłem na prawdziwą skocznię i w pierwszej próbie przeskoczyłem 170 centymetrów! Na to podszedł do mnie trener Wejman i oznajmił:

Bardzo dobrze, młody. Jedziesz na swoje pierwsze zawody.

Nie miałem pojęcia, że ogląda moje próby. Ćwiczyłem sobie z boku, stadion Bałtyku wielki, jak to stadion, trener stał w środku, szedł, coś tam mówił do płotkarzy, to do kulomiota poszedł, to do sprinterów, cały czas wszyscy ćwiczyli wokół. A jednak cały czas miał na mnie oko.

Klub Bałtyk Gdynia. Na czymś takim lądowali skoczkowie o tyczce. Gdynia, 1969

I rzeczywiście, tydzień czy dwa później, w trakcie których Edek cały czas starał się mi przekazać jak najwięcej rad, pojechaliśmy na zawody do nieodległego Sopotu na stadion Spójni. I od razu zderzyłem się z problemem, który później bez końca spędzał mi sen z powiek i był utrapieniem przez całą karierę: jak przewieźć te cholerne tyczki. Daleko nie mieliśmy, ale trzeba było wsiąść z tyczkami do kolejki elektrycznej. Niełatwo i bardzo nieporęcznie było wtaszczyć do środka długie na 4,6 metra żerdzie, a ja, jako debiutant, i tak dostałem do dyspozycji najkrótszą z możliwych, mierzącą 3,2 metra metalową tyczkę. Kombinowaliśmy skosem przez okno, a gdy się udało, ułożyliśmy je na półkach. Wszystkie

tyczki związane, a tylko moja, jedyna metalowa, oddzielnie. Niestety, kolejka się zatrzęsała i ta moja tyka zleciała ludziom na głowy. Pamiętam, że jakiś marynarz oburzył się wtedy:

Te, kurde, byś pilnował te swoje drągi.

Patrzcie, marynarz, wilk morski, a tyczki się boi. Nic się przecież nie stało zgasił go mój trener.

Klub Bałtyk Gdynia trening, 1969

Na stadionie Spójni miałem portki pełne strachu, cały się trząsałem i pościłem z nerwów. Nie bałem się, że zawałę na oczach brata, trenera, mamy, kolegów z klubu, kibiców, że ich zawiodę. Takie myśli przychodziły dopiero w późniejszych startach, kiedy często miałem poczucie, że startuję „dla kogoś”. Wtedy, w Sopocie, byłem tylko ja i chciałem nie zawieść samego siebie. Nie myślałem o żadnej karierze, o przyszłości, było tylko tu i teraz. Strasznie nie chciałem się skompromitować, a jednocześnie czułem ekscytację, że to oficjalne zawody. Poprawiłem swój rekord, skoczyłem 180 centymetrów i nie byłem ostatni w swojej kategorii, bo kilku zawodników w ogóle nie zaliczyło żadnej wysokości. A następnego dnia ukazała się pierwsza wzmianka o mnie w trójmiejskiej gazecie.

Zostałem też oficjalnie zarejestrowany jako zawodnik Bałtyku Gdynia. Ale jeszcze przez rok skok o tyczce nie był dla mnie niczym więcej niż tylko zabawą. Nadal byłem najmłodszy, reszta zawodników była co najmniej trzy lata starsza, i nadal trochę na przyczepkę, jak ta maskotka. To im trener poświęcał całą uwagę i trudno się dziwić, bo reprezentowali już jakiś poziom, a ze mną nie było wiadomo, czy traktuję całą sprawę do końca poważnie. Choć regularnie przychodziłem na treningi, rad udzielał mi wyłącznie brat, jakby moje treningi były prywatną sprawą Kozakiewiczów. Tymczasem dla mnie sport powoli stawał się wszystkim. To, że regularnie poprawiałem wyniki, było źródłem ogromnej satysfakcji, której dotąd nie miałem okazji odczuwać. Było też doskonałym pretekstem do ucieczki z domu do wspaniałego, życzliwego środowiska takich samych pasjonatów sportu jak ja.

Sytuacja zmieniła się nieco, gdy latem 1967 roku do naszej grupy dołączyło dwóch moich rówieśników, kuzynów trenera Wejmana. Byli to bracia Szkolniccy Wiesiek, urodzony jak ja w 1953 roku, i młodszy od niego o rok Jurek. Było nas już trzech, nie byłem już tym najmłodszym, przestałem czuć się outsiderem. No i wreszcie miałem konkurencję, co dodatkowo mnie motywowało i pozwalało sprawdzać się na czyimś tle. Nigdy nie byli lepsi ode mnie, ale osiągnęli te same wysokości. Byli niżsi i bardziej umięśnieni. Ja akurat strasznie szybko wówczas rosłem, po paręnaście centymetrów rocznie, i stawałem się coraz słabszy z powodu tego wydłużania się mięśni, a przez to wiotki jak jakiś gibbon. Potrafiłem wisieć na tyczce jak flak, ale w pewnym momencie podnosiłem nogi i przeskakiwałem nad poprzeczką, bo miałem znakomitą koordynację.

Jak zaglądam dziś do dzienniczka sportowca z tamtego czasu, to się łapię za głowę. Pierwszy wpis, z grudnia 1968 roku, liczba podciągnięć na drążku: cztery. Śmiech na sali! Co to za sportowiec, który jest w stanie podciągnąć się cztery razy? U szczytu kariery mogłem się podciągać właściwie bez końca, aż do znudzenia. Ale weźmy poziomkę. Poziomka jest wtedy, gdy człowiek zwisa na drabinkach, trzymając się rękami najwyższego szczebla, i podnosi wyprostowane nogi pod kątem prostym do reszty ciała. Zapisywałem, ile sekund jestem w stanie wytrzymać z podniesionymi nogami. W grudniu 1968 roku było to dokładnie zero sekund. Nawet nie dałem rady machnąć nimi porządnie do góry. Taki byłem mocny.

Ale z treningu na trening stawałem się coraz lepszy, i to było dla mnie najważniejsze. Czułem, że co rusz powoli pokonuję granice własnej słabości. Jeśli chodzi o skoki, to najpierw byłem w siódmym niebie, gdy przekroczyłem 2 metry, potem 2,20, 2,40, 2,50 i 2,60. Człowieka aż rozsadzała energia, gdy widział, że w czymś staje się coraz lepszy. Trening sprawiał mi wielką przyjemność, przy czym wcale się nie przemęczałem, bo zajęcia odbywały się dwa razy w tygodniu. Edek oczywiście trenował częściej, ale ja zaczynałem od dwóch sesji w tygodniu, potem przerodziło się to w trzy. Ale mnie było mało, przychodziłem więc w pozostałe dni i robiłem sobie trening ogólnorozwojowy.

Dzienniczek sportowca kazał mi założyć brat. To taki zeszyt, w którym zapisuje się szczegółowo każdy trening, każde ćwiczenie, każdy start, każdy wynik. Komuś może się wydawać, że był to jakiś typowo PRLowski biurokratyczny przeżytek, zmuszający nawet początkujących sportowców do zbędnej buchalterii. Ale ja i dziś polecam zakładać takie dzienniczki moim zawodnikom w Hanowerze (oczywiście, dziś są one profesjonalnie

wydrukowane, mają odpowiednie rubryki itp.). Każdy zawodnik poważnie traktujący swoją dyscyplinę i myślący o karierze powinien podobne notatki prowadzić, bo to pozwala sportowcowi i trenerowi na bieżąco kontrolować pracę, obciążenia, zaangażowanie w treningi i rezultaty.

Wpierw pomyślałem sobie: dzienniczek? A co to, szkoła? Przecież treningi miały być właśnie ucieczką od szkoły. Ale wiedziałem, że brat wie lepiej. Skoro on sam prowadził takie zapiski, to nie dyskutowałem. Rozejrzałem się za odpowiednim zeszytem. Nie było sensu prosić ojca o pieniądze na nowy. Z góry znałem odpowiedź, więc postanowiłem zaadaptować któryś z zeszytów szkolnych. Najmniej zapisany był ten od religii. Mam go do dziś, jak zresztą wszystkie moje dzienniczki. Kilka wklejonych świętych obrazków, Anioł Pański, Zdrowaś Mario, wykaz grzechów głównych, dziesięć przykazań, zaliczenia z podpisem księdza i mnóstwo wolnego miejsca. Zacząłem go więc zapisywać od tyłu.

Początek kariery sportowej symbolicznie zbiegł się zresztą z końcem mojej obecności w kościele. Religia w naszej rodzinie to był obowiązek. Rodzice chodzili do kościoła co niedziela, jak trzeba, a całą naszą trójkę posłali na przykościelną katechezę już od pierwszych dni pobytu w Gdyni. Choć czasy były trudne, wszyscy przystąpiliśmy do komunii i bierzmowania, na którym dostałem po dziadku imię Karol. Zajęcia z religii były dla mnie przymusem takim samym jak szkoła, do której trzeba było iść, czy człowiek chciał, czy nie.

Asem ani w szkole, ani na religii nie byłem, raczej rozrabiaką, którego ciągnęło do zabaw na podwórko. Ksiądz Ciecholewski nieraz wyszarpał mnie za ucho za gadanie i wygłupy. Lubił młodych chłopców, co tu dużo mówić. Nieraz kazał mi czy innym chłopakom zostawać za karę godzinę czy dłużej w zakrystii. Brał na kolana, żeby lepiej przemówić do krnąbrnych głów. A jeśli któryś przeskrobał coś poważniejszego, lubił wklepać mu w tyłek parę różg. Przekładał wówczas delikwenta przez kolano, wygładzał pośladki, żeby były równiutko, elegancko ułożone. Miał w tym dużą przyjemność. Przez te lata pamiętam, że dostałem podobne baty co najmniej z dziesięć razy. Głównie za dziecięce przeszkadzanie, gadanie, rozśmieszanie klasy.

Ze względu na rodziców na religię pilnie chodziłem aż do bierzmowania. Do kościoła trochę dłużej, ale gdy zacząłem coraz intensywniej trenować i startować w zawodach, przestałem mieć na to czas. Jednak to nawet nie rozwijająca się kariera była pretekstem do

odejścia od Kościoła; mnie się w nim po prostu nudziło. Najnormalniej w świecie nie byłem w stanie wysiedzieć godzinnej mszy w ławce i nic nie robić, raz uklęknąć, raz wstać. Dla mnie to była męka. Gapiłem się na witraże, obrazy, liczyłem wszystkie świece, sama liturgia miała dla mnie najmniejsze znaczenie.

Życie bardzo szybko zmusiło mnie do bycia pragmatycznym. Doświadczenie zbierane od małego dziecka nauczyło mnie twardej, żelaznej logiki, że skoro jest tak, to tak. Śmieszyły mnie więc kazania księży i ich opowieści, na przykład o Bogu, który ukazał się jako krzak gorejący i przemówił. To był dla mnie bzdet, wymysł, i nie umiałem tego zaakceptować. Nie potrafiłem uwierzyć.

Władysław Kozakiewicz przed zeskokiem. Gdynia, 1969

Miałem zresztą już swoich własnych bogów. Nazywali się Bob Seagren i Wolfgang Nordwig i byli najlepszymi skoczkami o tyczce na świecie. Pierwszy, reprezentant USA, był mojego wzrostu, ale piekielnie mocny w rękach. Uznano go nawet za najszybciej wspinającego się na linie człowieka. Pewnie gdyby chciał, mógłby zagrać Tarzana w Hollywood, bo był bardzo przystojny, zresztą po zakończeniu kariery występował w filmach i serialach telewizyjnych. Bił kolejne rekordy świata, skacząc 5,50, 5,55, 5,58, 5,60, 5,63... Zdobył złoto na igrzyskach w Meksyku w 1968 roku i srebro cztery lata później w Monachium. Tam wygrał mój drugi idol, Nordwig z NRD, bo Seagren nie zdołał się przystosować do tyczek nowego typu. Kiedy udało mi się zarobić jakieś własne pieniądze czy to sprząając po całym dniu warzywniak zaprzyjaźnionego sąsiada, czy sprzedając lody kupowałem sobie magazyny sportowe, żeby czytać o nich i wycinać zdjęcia. Wklejałem je do dzienniczka.

Nie traktowałem jednak Seagrena i Nordwiga jak wzorów, których śladem chciałbym iść. To była dla mnie zbyt wielka abstrakcja. Podziwiałem ich, ale nawet do głowy mi nie przyszło marzyć o dorównaniu im. Wklejałem ich zdjęcia do zeszytu (nie dysponowałem kawałkiem ściany, żeby tam je zawieszać, ojciec dopiero dałby mi popalić). Tak jak wkleja się zdjęcia gwiazd kina, Roberta de Niro czy Marilyn Monroe, nie rojąc sobie przecież, że kiedyś zagra się z nimi w jednym filmie.



Tak wyglądał dzienniczek treningów Kozakiewicza od 1969 do 1989 roku

Jeśli już chciałem kogoś naśladować, to brata. Na swój sposób też był moim idolem. Podziwiałem zwłaszcza to, jak twardy potrafi być Edek. Z przerażeniem patrzyłem, jak podczas skoku złamała mu się tyczka i wylądował na plecach poza miękkim zeskokiem. Wstał, otrzepał się, wziął następną tyczkę i wziął kolejny rozbieg. I złamał kolejną, znów tłukąc się przy tym niemiłosiernie. Ale tylko splunął, pożyczył od kogoś kolejną tyczkę i znów popędził na skocznię. Tyle że ta cudza tyka okazała się zbyt twarda, nie zdołał jej wyczuć, dobrze się wygiąć i wylądował na żużlu... Tylko zacisnął zęby i skoczył jeszcze raz; wreszcie udało mu się przelecieć nad poprzeczką. Taki był. Tę twardość wyniósł z domu, gdzie ojciec wpoił mu ją swoją ręką. Nieraz przejechał go przez plecy dechą do prasowania czy krzesłem, ale Edek nigdy nawet nie pisnął. Nie widziałem też nigdy, by uronił choć jedną łzę. Zagryzał tylko zęby i milczał.

Chciałem być taki jak on, o karierze Seagrana i Nordwiga nawet nie marzyłem. Ani o tym, że zostanę mistrzem olimpijskim, bo nawet nie roilem sobie, że w ogóle wystąpię na jakichś igrzyskach. Nie wiązałem ze skokiem o tyczce wielkiej przyszłości. Miałem dopiero 14 lat i podobało mi się, że jestem zawodnikiem klubowym, częścią jakiegoś środowiska. Że trener Wejman zachodzi do szkoły, żeby usprawiedliwić moje nieobecności przed dyrektorem i zwolnić na jakieś zawody w Polsce albo na obóz. Obozy zimowe i letnie zawsze zachodziły na rok szkolny. Z czasem, gdy byłem już czołowym juniorem polskiej kadry, na treningowe konsultacje jeździłem aż do Spawy. Jeśli chodzi o przyszłość (o ile w ogóle się nad nią zastanawiałem), to widziałem siebie jako kucharza okrętowego serwującego pożywną strawę załodze podczas rejsu do jakiegoś cudownie egzotycznego miejsca...

## **Kucharz okrętowy**

Pod koniec podstawówki zmieniała się moja pozycja w szkole. W siódmej klasie byłem

już najwyższy ze wszystkich chłopaków. W ciągu ostatnich dwóch lat podstawówki urosłem ze 160 centymetrów do 185! Powoli zaczynałem patrzeć na innych z góry, najpierw tylko w dosłownym znaczeniu.

Sport dodał mi niesamowitej pewności siebie. Pozwolił poczuć swoją wartość, która rosła z każdym kolejnym własnym rekordem i kolejnymi wygranymi zawodami. Nie wahałem się wchodzić w konfrontacje z silniejszymi. Byli tacy w szkole, którzy rozstawiali resztę po kątach. Zaczepiali, walili barkiem, gdy się przechodziło obok nich, popychali, kazali się wynosić, bo sami chcieli zająć to miejsce, słowem prowokowali na różne sposoby. Wszyscy schodzili im z drogi i ja też, ale pewnego dnia odpowiedziałem na zaczepkę. Podczas przerwy jeden z nich, starszy o rok ósmoklasista, potrącił mnie złośliwie, a kiedy się za nim odwróciłem, posłał mi wiąchę zakończoną ostrzeżeniem:

Uważaj, bo dostaniesz po ryju.

Nie byłem wówczas jeszcze bardzo znany z sukcesów sportowych, ale miałem już na koncie tytuł mistrza Wybrzeża młodzików. Czy wiedział i dlatego mnie sprowokował? Nie wiem, ale być może właśnie dlatego tym razem nie odpuściłem.

Te, uważaj, bo sam dostaniesz odpowiedziałem.

Stanęliśmy naprzeciw siebie i mierzyliśmy się wzrokiem. Od razu zbiegła się cała szkolna gawiedź, węsząc awanturę, widzowie otoczyli nas kołem, zwisali z galerii nad nami. Serce poszło mi w pięty. Ale pomyślałem: co on takiego mi zrobi? Nos mi najwyżej złamie, to dla mnie nic nowego, zabić mnie nie zabije. W końcu wyprowadził cios, żeby mnie w ten nos trafić, ale zdążyłem się cofnąć i jego pięść tylko mignęła mi przed oczami. Zrobiłem ruch nogą, on spojrzał w dół, a ja jak nie wyprowadzę prostej lufy między oczy! Fiknął do tyłu, zalał się krwią i padł bez przytomności. Trafiłem na dywanik do dyrektora, skończyło się wezwaniem ojca i laniem w domu, ale od silnorekich, jak to się o nich mówiło, miałem już spokój do końca szkoły. Wiedzieli, że ze mną nie warto zadzierać.

Władysław Kozakiewicz próbuje nowej potrawy w szkole gastronomicznej na

zajęciach praktycznych, 1969

W 1967 roku poszedłem do zasadniczej szkoły hotelarskogastronomicznej. Tak postanowił ojciec. To on zaplanował nam drogę życiową. Edka wysłał do szkoły łączności, gdzie wyuczył się na elektryka i zanim stał się uznanym sportowcem, pracował na etacie w Stoczni im. Komuny Paryskiej. Karolinę do technikum odzieżowego, żeby kontynuowała rodzinną tradycję krawiecką. Ale choć siostra ukończyła szkołę, nigdy nie pracowała w zawodzie. Zrobiła kurs ekonomiczny i pracowała jako księgowa, a później kierownik wydziału budowlanego.

Dla mnie ojciec wymyślił karierę kucharza. W sumie to nawet nie życzył mi źle, bo kucharz siedzi w ciepłe i zawsze ma co zjeść. Tyle że w gdyńskiej szkole hotelarskogastronomicznej kształcono kelnerów i kucharzy okrętowych. Wy tłumaczył mi, że będę miał jeszcze lepiej niż zwykły kucharz, bo nie dość, że nigdy nie będę głodny, to jeszcze zarobię i świat zwiedzę. I rzeczywiście, większość moich kolegów z klasy po szkole trafiła na okręty.

W pierwszej chwili byłem przerażony, bałem się egzaminów. Myślałem o szkole kolejarskiej, bo tam łatwiej było się dostać. Ale nie miałem nic do gadania, z ojcem nie było dyskusji. Jakoś się dostałem. Pamiętam, że po wynikach wróciłem spłakany do domu, bo egzaminy zawałił mój najlepszy kolega. Mama załamała ręce, bo myślała, że się nie dostałem i ojciec znów się wścieknie, i dopiero się na nas wyżyje. Jak usłyszała, że to kolega nie zdał, a nie ja, to sama się zezłościła na potęgę, że tak ją nastraszyłem.

W nowej szkole najważniejszą i najprzyjemniejszą zmianą było dla mnie to, że nikt już nie mówił na mnie „Rusek” ani nawet „Koza”, ale „Tyka”, bo byłem wysoki i chudy jak tyczka, każdy też już wiedział, że skaczę o tyczce. Trener coraz częściej przychodził zwalniać mnie na zawody gdzieś w Polsce. Lekcje wyglądały tak, że połowa z nich to były zajęcia praktyczne, a połowa teoretyczne. Do tego jeszcze wszystkie normalne szkolne przedmioty, jak polski, matematyka, fizyka itp. Na zajęciach praktycznych siedzieliśmy po dwóch przy blacie z kuchenką gazową i zlewem i pichciliśmy tam sobie to, co nam kazano.

Zaczęliśmy od najprostszego dania, czyli jajecznicy. Wydawało mi się, że co jak co, ale jajecznicę to każdy głupi potrafi zrobić. Nudziłem się więc, kiedy nasza nauczycielka, pani Kmiecik, długo opowiadała, co i jak. Kiedy przyszło do smażenia, zrobiłem jajecznicę najlepiej, jak umiałem. Byłem przekonany, że perfekcyjną, ale dostałem tróję. I pani Kmiecik jeszcze mnie przy wszystkich opierniczyła, że źle wymieszałem jajka, nie dodałem mleka, mąki.

Bój się Boga, Kozakiewicz, co z ciebie za kucharz będzie, jak ty nawet jajecznicy nie potrafisz zrobić?

Patrzę, a te najwyżej ocenione to takie grudy zmielone, jakie się widzi czasami w barach.

Przecież to ja będę jadł tę jajecznicę. Chyba ma przede wszystkim smakować, a nie wyglądać odparłem bezczelnie.

Nauka właśnie tak wyglądała, że na lekcjach wszystko musieliśmy robić tak, żeby dobrze wyglądało. Jarzyny kroiliśmy pod linijkę, żeby kawałeczki marchewki były równiutkie niemal co do milimetra. Kotlety de volaille smażyliśmy tak, żeby masło się w środku nie stopiło, choć wydaje się to niemożliwe. Przy szkole funkcjonowała stołówka, która wydawała obiady dla robotników trzysta, czterysta dziennie. Tam obowiązywały już zupełnie inne zasady niż w sterylnych warunkach na lekcjach. Zapieprz był jak nie wiem. Żadnego czasu na pieszczonienie się z warzywami i dokładne krojenie, pomalutku. Ciach, ciach i do gara, jak w fabryce przy taśmie.

Mieliśmy tam codzienne praktyki. Na przykład jednego dnia praca przy ziemniakach we dwóch chłopaków siedzieliśmy cały boży dzień i obieraliśmy kartofle. Albo cały dzień spędzaliśmy przy myciu naczyń. Najfajniej, jak trafiliśmy na dyżur przy gotowaniu. Oczywiście na samym początku praktyk starsi podpuszczali co bardziej gamoniowatych pierwszoklasistów. Na przykład delegowali takiego do mieszania wody, żeby się nie przypaliła. Stał jakiś biedny chłopina i mieszał wodę z poważną miną. Albo wysyłali delikwenta na miasto: „Leć, kup korzeń św. Jana, bo skończył się w magazynie, a na gwałt potrzebny!”. Biedak biegł od warzywniaka do warzywniaka i pytał o korzeń św. Jana, a sprzedawczynie robiły wielkie oczy. Jako dzieciak, który nigdy nie narzekał na nadmiar

słodczy, najbardziej lubiłem zajęcia w cukierni, gdzie uczyliśmy się robić lody i piec ciastka. Nigdy ich nie zostawało dużo, bośmy sami większość zjadali, a głównie ja za te wszystkie niesłodkie czasy.

Po trzech latach szkoły zasadniczej zdałem egzaminy do technikum gastronomicznego, które mieściło się w tym samym budynku. Uznałem, że nie chcę być zwykłym kucharzem, którego szef kuchni goni do obierania ziemniaków przez cały dzień. Woląłem sam zostać takim szefem kuchni i wydawać polecenia. Albo dietetykiem zbiorowego żywienia. Tu było więcej teorii, uczyliśmy się, co jest w warzywach, jakie witaminy, co z czym się podaje, ile się podaje w wymiarach i wadze. Co z czym pasuje, a z czym nie pasuje. Kształcono tu już bardzo wykwalifikowanych kucharzy. Trzyletnia nauka kończyła się maturą, która dawała możliwość dalszego studiowania.

Ciągle jeszcze nie wiązałem przyszłości z tyczką, traktując ją jak miłe spędzanie wolnego czasu. Bo rzeczywiście zabawa była przednia, zwłaszcza że jesienią i zimą przenieśliśmy się ze stadionu Bałtyku na salę gimnastyczną Szkoły Podstawowej nr 3. Żeby skoczyć w niej o tyczce, trzeba było zacząć rozpędzać się w ciasnym, niskim korytarzu prowadzącym na salę i zmieścić się w wąskich drzwiach. I uważać przy tym, żeby nie zaczepić o nic tyczką, ponieważ z oczywistych względów nie dało się biec, trzymając ją na sztorc, jak na stadionie, ale pochyloną jak kopię do walki. Po wbiegnięciu na salę do wybiecia było z 15 metrów. Jako że na sali leżał parkiet, nie było dołka, w którym dałoby się osadzić tyczkę. Opieraliśmy ją więc o ustawioną przed zeskokiem długą drewnianą ławkę, która mogła się w każdej chwili przesunąć. To zaś mogło się skończyć dla skaczącego bardzo niebezpiecznie, bo zeskok miał tylko 5 metrów szerokości, a tuż za nim była ściana. Skakanie na tej sali wymagało więc maksymalnej koordynacji i ekwilibrystyki: wybiecie w odpowiednim miejscu, kontrola lotu, żeby nie przywalić głową w sufit, który wisiał nisko, i jeszcze tak wycyrklować przy upadku, żeby spaść na materace, a nie obok czy zatrzymać się na ścianie. Słowem, wszystko to nie wyglądało na kuźnię przyszłych mistrzów.

W 1969 roku w klubie powiało jednak nowoczesną technologią: dostaliśmy cztery tyczki z włókna szklanego, tak zwane fiberglasy. Każda o innej giętkości, ale jedna bardzo miękka, w sam raz dla takiego wyrostka jak ja. Tyle że one były tylko do użytku starszych, doświadczonych zawodników, nam nie wolno było ich tknąć. Zasada była taka, że tyczkę z włókna szklanego dostają tylko ci, którzy przekroczyli granicę trzech metrów. A mój

najlepszy wynik, cholera, cały czas wynosił 2,95. Staralem się, jak mogłem, marzyłem o tych nowoczesnych tyczkach, niemal śniły mi się w nocy. Ale na tej swojej metalowej, przedpotopowej, staroświeckiej żerdzi za Chiny ludowe nie byłem w stanie skoczyć tych cholernych pięciu centymetrów wyżej. W końcu Edek się nade mną zlitował i chyłkiem, gdy trener nie widział, dawał mi tę miękką tyczkę, żebym się z nią oswajał. Potrzebna była do niej kompletnie inna technika, ponieważ tuż przed wybiciem trzeba było ją nagiąć, by prostując się, sama wyrzucała zawodnika w powietrze. To było jak objawienie, jak przesiadka z roweru na motor! W ciągu dwóch, może trzech tygodni poprawiłem swój rekord z 2,95 na 3,80 m!

Stało się to na mistrzostwach Wybrzeża w Gdyni. W oficjalnych statystykach figuruje wynik 3,95, a wzięło się to stąd, że konkurs skoku o tyczce młodzików przeciągnął się tak bardzo, że sędziom znudziło się doglądanie dzieciaków i poszli sobie do domu, zanim zawody oficjalnie się zakończyły. Ale protokoły zostawili, żebyśmy za nich powpisywali wyniki, wszystko musiało być lege artis, przecież brali za sędziowanie pieniądze. Trener Wejman wkurzył się na to: „A, bydlaki, to my teraz możemy tu wpisać wszystko, co chcemy!”. I wpisał mi po złości 5 centymetrów więcej, niż skoczyłem naprawdę. Tak się rozbisurmanił, że koledze, który skoczył 3,60, wpisał 4,20, co już mnie zabolalo. No, bo żeby mi wpisał, skoro skoczyłem 20 centymetrów więcej od tamtego, ale tak? Oczywiście ani nic się nie wydało, ani nie było żadnych konsekwencji tego oszustwa, zwłaszcza że regularnie zacząłem skakać w okolicach 4 metrów. Na koniec sezonu miałem trzeci wynik w Polsce wśród młodzików i 90. wśród wszystkich polskich skoczków. Ale szału nie było, a przynajmniej nie aż taki, żebym mógł snuć plany, że zostanę sportowcem, a nie kucharzem okrętowym.

Władysław Kozakiewicz (z lewej) podczas pierwszego startu w reprezentacji Polski w meczu juniorów Polska Węgry. Wygrał Joachim Burkert. Warszawa, 1970

Jednak w lipcu 1970 roku nastąpił kolejny przełom. Zostałem po raz pierwszy powołany do kadry Polski, na razie juniorów, na lekkoatletyczny mecz z Węgrami w Warszawie na stadionie Skry. Zająłem drugie miejsce z wynikiem 4,10 metra. Ale ważniejsze niż medal było dla mnie to, że dostałem białoczerwony dres z napisem „Polska” na plecach i godłem na piersi. I jeszcze koszulkę z orłem. Nigdy dotąd żadna rzecz, którą posiadałem, nie napawała mnie taką radością i taką dumą. Nigdy nie miałem nic wartościowego i

niespecjalnie cierpiałem z tego powodu. Jakoś o tym nie myślałem, że inni mają lepiej, więcej ode mnie. Nikomu niczego nie zazdrościłem. Teraz jednak miałem coś, czego, jak mi się wydawało, zazdrościli mi wszyscy. Ten strój dawał mi poczucie przynależności do wyjątkowego grona, do absolutnej elity. Paradowałem w nim niczym paw z rozłożonym ogonem. Nie rozstawałem się z nim, no i oczywiście po powrocie do Gdyni poszedłem w nim do szkoły.

A tam już chyba przeczuwali, że nie dołączę do kucharzy okrętowych. Coraz częściej zarywałem lekcje, jeżdżąc na kolejne zawody. W tym także międzynarodowe. Pierwszym wyjazdem zagranicznym był ten do Wilna, o którym wspominałem, kiedy udało mi się wpaść na chwilę do Małych Soleczników. Zawalałem terminy kolejnych praktyk, zaliczenia kolejnych potraw przekładali mi w nieskończoność, aż w końcu machali ręką i przepychali do kolejnej klasy. Ja jednak nie chciałem rzucać szkoły albo przenosić się gdzie indziej, gdzie daliby mi jeszcze więcej luzu. Skoro już ją zacząłem, a wcześniej skończyłem zasadniczą gastronomiczną, to chciałem ją skończyć. Zależało mi też na maturze, bo już wiedziałem, że będę jej potrzebował, żeby dostać się na AWF.

Dlatego kiedy już przychodziłem na lekcje, starałem się być normalnym uczniem, nadrabiać zaległości, jak się da, i uczyć się wszystkiego jak najlepiej. Ale też zdawałem sobie sprawę z wyjątkowości swojej pozycji i czasami pozwalałem sobie na żarty i wygłupy. W ostatniej klasie zacząłem rok szkolny z miesięcznym opóźnieniem, ponieważ miałem obóz treningowy w Spale. Pierwszego dnia mieliśmy akurat jakieś zajęcia praktyczne, wszyscy siedzimy w klasie w białych kitlach. Patrzę, a tu przez drzwi wchodzi jakaś ładna, fajna dziewczyna. Zastąpiłem jej drogę.

A gdzie się pchasz, malutka? Nie znamy się, chyba jesteś tu nowa?

I tego typu przekomarzanie się, ale do klasy nie wpuszczam.

Jeśli ktoś tu jest nowy, to chyba ty ona na to.

A cała klasa śmieje się jak cholera. W końcu jednak miała dość, zrobiła się wyraźnie zła na mnie i mówi: „Dosyć tego! Proszę na miejsce”. Poszła i stanęła za pulpitem nauczyciela, bo to była nauczycielka, o czym nie wiedziałem, a te obwiesie, moi koledzy i

koleżanki, oczywiście nie dali mi znać, bo mieli świetną zabawę. Potem byliśmy z tą nauczycielką zaprzyjaźnieni i śmialiśmy się z tego. Bo wprawdzie często robiłem wygłupy, ale nigdy nie byłem złośliwy.

W technikum gastronomicznym. Gdynia, 197071

Niestety, mój urok i żarty nie działały na panią od propedeutyki nauki o społeczeństwie. Była to bardzo atrakcyjna, seksowna 30letnia kobieta, ale niestety cholernie poważnie traktująca swoją misję. Mnie polityka nudziła, nie miałem do niej głowy. Marks mylił mi się z Engelsem, a Lenin ze Stalinem, możliwe nawet, że przez jakiś czas wydawało mi się, że to jedna i ta sama osoba. Nudziło mnie omawianie dróg życiowych wszystkich najważniejszych towarzyszy i jeśli akurat byłem obecny, wygłupiałem się, dopowiadając jakieś niestworzone historie do ich biografii. I dostawałem jedną lufę za drugą, czym się specjalnie nie przejmowałem. Do momentu, aż pani mi oznajmiła, że na koniec roku nie mam szans na inną ocenę z propedeutyki niż dwójka, mogę więc zapomnieć o maturze, bo ona nie może mnie do matury dopuścić.

Strach zajrzał mi w oczy, wizja studiów na wymarzonej AWF odjechała gdzieś daleko, a zamiast niej pojawiła się na horyzoncie służba wojskowa, pewnikiem w roli kuchcika na jakimś okręcie podwodnym.

Poleciałem w panice do dyrektora. Ten jakoś uprosił nauczycielkę, żeby zrobiła wyjątek i dała jeszcze szansę sportowej nadziei całego Wybrzeża, a właściwie już całej sportowej Polski, jako że byłem już wtedy w czołówce. Niestety, tak się złożyło, że na ten dodatkowy termin przyznałem prosto z kolejnych zawodów i nie zdążyłem się porządnie przygotować. Znow liczyłem na swój czar i żarty. Ale ona była nieugięta.

Skoro nawet na ten wyproszony ostatni termin nic nie umiesz, ja cię przepuścić nie mogę. Trzeba się było nauczyć.

Wizja biletu z powołaniem do jednostki Marynarki Wojennej stała się już bardzo klarowna. Ale jeszcze się nie załamałem. Wywiedziałem się, gdzie mieszka. Następnego dnia



poleciałem do kwaciarni, kupiłem wielki bukiet kwiatów, samych róż, i poszedłem do niej. Myślałem sobie tak: co mam do stracenia? Nic, najwyżej przegram. Poczuję się, jakby został mi ostatni z serii skok o tyczce: może i nie mam szans na rekord świata, ale skoro jest jeszcze ostatnia próba, to lecę. Dzwonię, dzwonię, stoję z tymi kwiatami, już chcę je cisnąć i zwiewać. Ale ona otwiera i mówi właściwie nawet w strachu: „A ty co tutaj robisz? Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?”.

Odpowiadam, że chciałem ją mimo wszystko jeszcze raz poprosić, żeby mi dała już naprawdę ostatnią szansę. Bo bardzo zależy mi na maturze i AWF. Nie nauczyłem się, bo musiałem wyjechać, tam były obozy, a jeszcze musiałem zaliczać matematykę, no i nie zdążyłem. Ale jak mi da jeszcze jeden termin, to tak się wykuję, że hej! Zgodziła się przeprosić mnie w czwartek, bo w piątek oceny musiały być zatwierdzone. Na koniec dodała z uśmiechem, że jeszcze nigdy w życiu nie dostała od nikogo tylu kwiatów. A mi przemknęło przez głowę, że chciałbym zostać tam u niej w mieszkaniu znacznie dłużej niż na tej kawie, którą wypiliśmy. Ale byłem zbyt nieśmiały, żeby spróbować. Poza tym bałem się, że odbierze moje starania jako perfidną metodę zdobycia zaliczenia.

Poleciałem do domu jak na skrzydłach i zabrałem się do nauki. Przez te parę dni tak zakuwałem, że nawet odpuściłem treningi. Przychodzę do szkoły w czwartek i nigdzie nie mogę jej znaleźć. Latam po całej szkole, klasa za klasą no, nigdzie jej nie ma! Z przerażeniem przybiegłem do naszej wychowawczynie.

Nie mogę znaleźć pani od propedeutyki, a obiecała mi termin ostatniej szansy. Jestem przygotowany na mur beton, tylko jej nigdzie nie ma.

O czym ty mówisz? Już w zeszłym tygodniu wystawiła ci ocenę i wyjechała.

Musiałem bardzo zblednąć, bo dodała: No przecież masz tę trójkę.

Co za ulga! Widocznie postanowiła mnie już nie męczyć. Skoro przyszedłem tak zdesperowany z kwiatami, to chyba się, do cholery, nauczę na ten dodatkowy termin...

Żeby zdobyć dyplom technika żywienia i usług gastronomicznych, musiałem najpierw zaliczyć egzamin praktyczny z takich działów, jak garmaż, kuchnia i cukiernia. Czyli

przyrządzić przystawkę na zimno, danie główne na ciepło i deser. Pichciliśmy to w wielkiej auli, mając wcześniej przygotowane produkty. Pamiętam już tylko, że przyrządziłem kurę w majonezie, która nie dostała wysokiej oceny za wartość artystyczną, ale za to najwyższą za wartość smakową.

Na maturze pisemnej drżałem jak osika, bo zawsze byłem kiepski z ortografii. Dziś pewnie, jak wszystkie dzieciaki, załatwiłbym sobie zaświadczenie, że mam dysleksję, ale kto wtedy wiedział, że istnieje coś takiego? Pracę z polskiego pisałem o „Weselu” Wyspiańskiego. Zapisałem kilka kartek, podeszła nauczycielka, patrzy, podgląda i tylko pokazuje palcem: „Tu masz błąd ortograficzny, popraw, o, i tutaj... i tutaj” (za trzy byki już się oblewało). I jeszcze mówi, że pięć stron to mało, żebym dopisał jeszcze ze dwie. Dopisałem, poprawiła dwa kolejne byki i było po egzaminie. Matematyki nie bałem się w ogóle. Co prawda nic nie umiałem i normalnie nie miałbym prawa zdać, ale przede mną siedział mój serdeczny kolega Stasiu Lewańczyk, matematyczny geniusz, który co tylko skończył zadanie, ciach, karteczka do tyłu. Kolejne i karteczka do tyłu. Dzięki Stasiowi dostałem czwórkę. Gdyby nie on, byłbym bez szans.

Matura w technikum gastronomicznym. Z najlepszym przyjacielem szkolnym Stanisławem Lewańczykiem (po lewej)

Egzaminy ustne były dwa tygodnie po pisemnych, żeby znane były wyniki tych drugich. Ale ja zdawałem je już następnego dnia, ponieważ kolejnego czekała mnie podróż do Toronto. Zaproszenie od Kanadyjczyków dostała tylko Irena Szewińska i ja. Czekał nas tam cały miesiąc startów. Jak tu się skupić, jak zaraz wyjazd do tej mitycznej Ameryki i pierwszy lot przez ocean? Propedeutyka, którą tak kułem, poszła mi nawet nieźle, z matematyką nie było już tak wesoło. Matematyk wręczył mi karteczkę i mówi: „Proszę nam ten wzór rozwinąć”. Patrzę w kartkę, mało jej nie przewiercę wzrokiem na wylot i nic. Ni cholery nie mam pojęcia, w którą stronę go rozwijać. Na to matematyk mówi do mnie cichutko: „No, przecież napisałeś na czwórkę”. Zanim zdążyłem spanikować, na szczęście mrugnął okiem. Musiał doskonale wiedzieć, że wszystko zerznąłem od Stasia. Staś był tak genialny, że matematyk często dawał mu zadanie do rozwiązania na tablicy, a sam siadał i ruszali jednocześnie. I Staś był szybszy od niego! No, ale jakoś zaliczył te moje męczarnie na tróję.

Na polski miałem misterny plan. Polonistka oznajmiła mi wcześniej, że z racji wyjątkowego terminu będzie mnie pytał sam dyrektor szkoły. „Naucz się przede wszystkim interpretacji wierszy Władysława Broniewskiego, bo to jego ulubiony poeta, ma na jego punkcie prawdziwego bzika”. No to ja wykułem na blachę dwa wiersze Broniewskiego i pewny siebie poszedłem na egzamin. A tu pada pierwsze pytanie kompletnie niezwiązane z Broniewskim. Coś tam wydukałem. Pada drugie i też o czymś zupełnie innym. Coś tam dukam i dukam. Marnie to musiało wyglądać, bo dyrektor postanowił rzucić mi koło ratunkowe.

A ma pan, panie Kozakiewicz, jakiegoś swojego ulubionego poetę albo pisarza?

Tylko na to czekałem.

Bardzo lubię poezję. Jak wyjeżdżam gdzieś na zawody reprezentować Polskę, to zawsze zabieram ze sobą tomik wierszy Broniewskiego. Nikt tak pięknie nie pisze o Polsce!

O, skoro tak, to może zna pan jakiś na pamięć?

Ha, no to byliśmy w domu!

„Kiedy przyjdą podpalić dom,

ten, w którym mieszkasz Polskę,

kiedy rzucają przed siebie grom

kiedy runą żelaznym wojskiem

i pod drzwiami staną, i nocą

kolbami w drzwi załomocą

ty, ze snu podnosząc skroń,

stań u drzwi.

Bagnet na broń!

Trzeba krwi!”.

Wyrecytowałem, a dyrektor słuchał zachwycony.

To bardzo piękny, bardzo poruszający wiersz. A może zna pan jakiś inny jeszcze?

Proszę bardzo, panie dyrektorze, jaki pan chce, znam je prawie wszystkie.

I grzeję mu:

„Ze spuszczoną głową powoli

idzie żołnierz z niemieckiej niewoli.

Dudnią drogi, ciągną obce wojska,

a nad nimi złota jesień polska...”.

Znów siedział zaszuchany, cały wniebowzięty. Skończyłem, a on milczy. A ja pomyślałem sobie z przerażeniem: rany boskie, co będzie, jak poprosi o jeszcze jeden? Przecież wykułem tylko te dwa.

Na szczęście tylko bardzo mi podziękował i mówi: „Gratulacje, matura zdana. Teraz może pan lecieć do Ameryki”.

No to poleciałem...

## **Czarny czwartek**

Nie sądzę, żeby w sobotę 12 grudnia 1970 roku dotarła do mnie informacja, że władze podniosły ceny żywności w całym kraju średnio aż o 23 procent. Bardzo możliwe, że rodzice czy sąsiedzi głośno to komentowali następnego dnia, ale ja się tymi sprawami nie interesowałem.

Miałem 17 lat i w głowie już tylko sport, zwłaszcza że z każdym treningiem, z każdymi zawodami czułem, że staję się coraz lepszy. W szkole polityka Gomułki też była ostatnią kwestią, jaka zajmowała uczniów. To, że wokoło jest bieda, sam wiedziałem najlepiej, bo byliśmy najbiedniejszą rodziną ze wszystkich. Na nic nie było nas stać, choćby i było co w sklepach kupić. Tyle że nie obwinialiśmy za to niewydolnej socjalistycznej gospodarki, ale pijaństwo ojca, który choć harował nie mniej niż mama i cały czas dorabiał na boku wszystkie pieniądze przepuszczał na wódę i biesiady z kumplami.

W tamtych czasach nie było komórek, internetu, Twittera itp. Obieg informacji był bardzo powolny, jeśli nie szła ona oficjalnym, rządowym kanałem. Ale oczywiście dotarło do nas w Gdyni, co się dzieje w Gdańsku. Najpierw to, że przeciwko podwyżkom zastrajkowała Stocznia Gdańska i poszedł jakiś protest pod Komitet Wojewódzki PZPR. I że dzień później, po tym jak władza odrzuciła postulaty, ogłoszono strajk powszechny, do którego przyłączyła się nasza gdyńska Stocznia im. Komuny Paryskiej. Opowieści stawały się coraz straszniejsze i coraz bardziej nieprawdopodobne: że podpalono budynek KW PZPR w Gdańsku, że wojsko i uzbrojona milicja strzelały do stoczniowców, że jakiegoś człowieka rozjechał czołg... Ktoś,

kto wrócił z Gdańska, opowiadał, że tam na ulicach kałuże krwi. Że ludzie puszczali rozpędzone ciężarówki na kordony milicji i rzucali butelkami z benzyną w wozy bojowe. Słuchało się tego z niedowierzaniem, jak o jakiejś odległej wojnie. „Że niby co, u nas tak? W mieście obok?”.

Ale nie wiedzieliśmy, że w nocy ze środy na czwartek 17 grudnia stocznie i porty, w tym te nasze, gdyńskie, otoczone zostały szczelnym kordonem milicji i wojska. Gdy od 5 rano na peron Szybkiej Kolejki Miejskiej Gdynia Stocznia zaczęli wysiadać spieszący do pracy stoczniowcy, drogę zablokowały im uzbrojone formacje. Tłum gęstniał, nadjeżdżające wagony wypływały kolejnych ludzi. Część z nich, nie wiedząc, co robić, około 6 ruszyła na kładkę nad peronami, w kierunku bramy stoczni. Wówczas padły strzały, które usłyszeliśmy w domu. Pojedyncze strzały, terkot serii z kałasznikowów i potężny wystrzał armatni, jak się później okazało z czołgu. Słychać było latające w powietrzu śmigłowce, z których zrzucano petardy i gaz łzawiący. Potem tłum przeniósł się do centrum Gdyni najpierw pod Dworzec Główny, a potem pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, które obrzucił kamieniami.

Nie wiedziałem, że na stacji SKM zginęło wówczas dziesięć osób. Gdy dotarłem do szkoły przed 8, już ich tam nie było. Wysiadając na stacji SKM Gdynia Stocznia i wchodząc z peronu w lewo, dochodziło się do Stoczni im. Komuny Paryskiej, a idąc w prawo do gmachu naszej szkoły przy ul. Czerwonych Kosynierów. Budynek znajdował się dokładnie naprzeciwko bramy stoczni, oddalony od niej może o jakieś 100-150 metrów. To była chyba druga lekcja. Ledwo usiedliśmy w ławkach, gdy okazało się, że pochód z centrum Gdyni, z biało-czerwonymi flagami na przedzie, wrócił na nasz przystanek SKM i znów starał się dostać do stoczni. Doszło do starcia z wojskiem. Usłyszeliśmy terkot karabinów i oczywiście rzuciliśmy się do szyb. Widzieliśmy bardzo wyraźnie, że na moście nad peronami, na wysokości naszych okien, stoją karabiny maszynowe, wokół których uwijają się żołnierze, a może milicja. Widzieliśmy, jak strzelają do stoczniowców, jak ktoś pada na ziemię, a ktoś próbuje go podnieść. W tym momencie do sali wleciał przerażony dyrektor i ogłosił, że na dziś szkoła się skończyła. Mamy zmykać do domu i najlepiej nie wychodzić.

Kolejka już nie kursowała, ale trolejbusy tak. Nie miałem daleko do domu, parę przystanków. Ale jak dojechałem na Świętojańską, która była pierwszą równoległą do mojej ulicy Abrahama, okazało się, że zbliża się pochód ze stacji SKM, który maszeruje w kierunku gmachu Miejskiej Rady Narodowej. Na przedzie ludzie nieśli na drzwiach ciało zabitego

młodego chłopaka, jak się później okazało, Zbyszka Godlewskiego, przedstawionego w słynnej balladzie jako Janek Wiśniewski.

„Na drzwiach ponieśli go Świętojańską,

Naprzeciw glinom, naprzeciw tankom...”.

Tuż obok podążali ludzie z biało-czerwonymi flagami, wyraźnie pomazanymi krwią. Szli nie tylko mężczyźni, stoczniowcy, w kaskach i kombinezonach, podobnie ubrani portowcy, ale mnóstwo zwykłych ludzi w każdym wieku, kobiety, wyrostki. Dołączyłem do pochodu, pchany ciekawością.

W tłumie mówiono, że wojsko strzelało do robotników, że w tym niedawnym starciu na stacji SKM zginęło kilka osób. Niesiono rannych, po których podjeżdżały karetki pogotowia, by zabierać ich do szpitali, stawały też prywatne samochody. Pochód podszedł pod MRN, gdzie za czarnymi tarczami czekał już kordon milicji, chyba z jakiejś specjalnej jednostki, i dwa czołgi. Ludzie skandowali: „Mordercy, mordercy!” i domagali się, by wyszedł do nich ktoś z urzędu. Tamci przez megafony nawoływali, żeby się rozejść. Ale ta ludzka masa była olbrzymia, a tych milicjantów kilkudziesięciu, może ze stu. Atmosfera była strasznie napięta, ale ludzie chyba wyczuwali, że tamci nie mają szans nic im zrobić. Pamiętam, że z okien budynku ktoś robił tłumowi zdjęcia.

Długo staliśmy na tym wielkim placu, z czasem napięcie nawet się uspokoiło. Ludzie podeszli do tych czołgów, rozmawiali z żołnierzami. Sam podeszedłem, bo nigdy w życiu nie widziałem z bliska czołgu, chciałem dotknąć, obejrzeć. Był dokładnie taki sam jak Rudy 102 z „Czterech pancernych i psa”. Cóż, miałem przecież tylko 17 lat, byłem zwykłym ciekawskim chłopakiem. Stałem, przysłuchiwałem się. Ludzie mówili do żołnierzy, że wszystko w porządku, że nikt do nich nie ma pretensji. Że to wina komunistów, co się dzieje.

Czołgi na ulicach Gdańska, 15 grudnia 1970

Tłum cały czas domagał się, żeby ktoś z prezydium wyszedł, co się oczywiście nie

stało. Zamiast tego stale napływały nowe oddziały milicji. W pewnym momencie milicja ruszyła w kierunku ludzi. Ni stąd, ni zowąd. Może przyszedł taki rozkaz? Raptem ruszyli i ludzie nie wiedzieli, co robić, pełna konsternacja, a było ich naprawdę dobrych kilka tysięcy. Najpierw milicjanci tylko szli, spychając protestujących, potem nagle zaczęli walić w tarcze pałkami, takim groźnym, miarowym łomotem. Ludzi to rozwścieczyło. Poleciały jakieś kamienie, ale żadnego szturmu na budynek czy próby podpalania go nie było.

I wówczas czołgi oddały dwie salwy ślepakami. To były chyba takie hukowe pociski, którymi strzelali pod nogi. Pamiętam, że ludzi podrzuciło do góry, ja też zresztą poleciałem na plecy, chociaż stałem ze 20 metrów od wybuchu. Mnóstwo osób się poprzewracało, inne w panice po nich deptały. Ci, którzy byli na przedzie, zaczęli się cofać, ale nie było gdzie, bo z kolei ci z tyłu stali w miejscu. Zrobił się straszny chaos i naprawdę niebezpiecznie, bo ludzie zaczęli się miotać z jednej strony w drugą, część znów przesunęła się w kierunku napierających milicjantów. A ci zatrzymali się, wyciągnęli broń i zaczęli strzelać. Nie w tłum, pod nogi. Ale i tak od rykoszetów co rusz ktoś gdzieś padał. Jakiś facet przewrócił się tuż obok mnie, ale nawet nie miałem czasu spojrzeć, co z nim, czy żyje, czy trzeba pomóc. Miałem takiego stracha, że myślałem tylko o ucieczce w bezpieczne miejsce. Nad naszymi głowami pojawiły się śmigłowce, z których zrzucano petardy hukowe, z gazem łzawiącym i świece dymne. Ledwo było coś widać, prawie nie można było oddychać. Tłum rozpieczęł się we wszystkich kierunkach po całej Gdyni. Milicja zaczęła nas ganiać. Jak kogoś złapali, to spuszczały taki łomot, że człowiek już się nie podnosił. Łapali nie po to, żeby zamknąć, tylko żeby stłamsić i rozgonić protestujących. Dobiegłem do kościoła, przed którym kłębił się spory tłum. Ale zanim dostałem się do środka, nadjechały gaziki, z których obrzucono nas pojemnikami z gazem. Usłyszałem strzały, więc nie czekałem, tylko rzuciłem się do ucieczki.

Ulice opustoszały. Milicjanci maszerowali spokojnie trójkami, czwórkami i rzucali świece gazowe do klatek. Jak dotarłem do domu, to już było dobrze ciemno. Byłem cały zapłakany od gazu, oczy mnie piekły jak nie wiem. Ledwo widziałem drogę, szedłem na pamięć. Już od salwy z czołgu nic nie słyszałem, w uszach tylko jednostajny tępy pogłos. Na klatce schodowej po omacku, piętro za piętrzem, z ręką na balustradzie, szukałem, gdzie klamka. Cały śmierdziałem gazem, sweter, spodnie, włosy. Cała Gdynia śmierdziała tym gazem.

Następnego dnia, jak gdyby nigdy nic, poszedłem do szkoły. Lekcje odbywały się



normalnie. Właściwie jakby ktoś nie wiedział, co się wydarzyło, toby się nie domyślił. Na ulicach nie było śladów po starciach. Owszem, jak się jechało obok spalonego komitetu, to widać było ziejące czarną dziurą okna, ale poza tym życie toczyło się w miarę normalnie. Kursowała już SKM i komunikacja miejska, sklepy były otwarte. W szkole nauczyciele nie rozmawiali z nami o tym, co się stało, nie było ani pogadank politycznych, umoralniających, ani żadnych innych. Po prostu nie było tematu. A przecież wszyscy widzieliśmy z okien, i nauczyciele, i uczniowie, jak milicja (czy wojsko) strzela z mostu do robotników. Trudno byłoby zapomnieć ten terkot karabinów maszynowych. Jedyna odczuwalna zmiana była taka, że wprowadzono godzinę milicyjną.

Ale my przecież mieliśmy od zawsze w domu naszą własną godzinę milicyjną. Tę narzuconą przez ojca. Więc ta rządowa nie robiła na nas wrażenia...

## **Nasz Grudzień 70**

Dosłownie parę dni po masakrze na Wybrzeżu ledwo uniknęliśmy naszej własnej, domowej. Ojciec przekroczył granicę w swojej agresji wobec nas. Nie pamiętam dokładnie, czy to był poniedziałek, czy wtorek, w każdym razie wieczór zbliżał się już do końca, gdy rzucił się na nas z nożem.

Nie pamiętam, o co mu poszło. Pewnie jak zwykle o nic. Nigdy nie potrzebował szczególnego powodu. Po prostu coś mu nie przypasowało i wpadł w jedną ze swych niezliczonych furii, których nie kontrolował. Czy był na kacu, czy źle się czuł, czy może w pracy miał jakieś przykrości albo nie udało mu się czegoś zwinąć? To nie miało znaczenia. Można by wymyślić sto tysięcy powodów i każdy by pasował. Może uznał, że ktoś krzywo na niego spojrział? Dostawałem już w łeb za to, że siedziałem krzywo na krześle albo huštałem się na nim. Albo gdy ktoś mu zrobił na złość w pracy, przychodził i myśmy byli tymi, na których się wyżywał.

Różnica polegała na tym, że teraz chwycił do ręki wielki nóż kuchenny. Widocznie akurat nie miał niczego innego pod ręką. Pewnie gdyby miał doniczkę, cisnąłby w którąś z nas doniczką. Gdyby obok stała deska do prasowania, toby próbował zdzielić nas deską. A gdyby był jakiś kołek, rzuciłby się prać nas tym kolkiem.

Edek już z nami nie mieszkał, bo może rzuciłby się spacyfikować ojca. Ale my z siostrą też już byliśmy starsi, ona miała 20 lat, ja 17, i kiedy wpadał w furję, nie staliśmy już jak te barany czekające na rzeź, w strachu, że jak mu się nie poddamy, to dopadnie i przywali jeszcze mocniej. Nie czekaliśmy na jego ciosy, tylko uciekaliśmy jak trzeba było, to za drzwi. Tym razem też spróbowaliśmy. Postanowiłem nas bronić. Chwyciłem krzesło, odwróciłem nogami do przodu, starając się odepchnąć ojca od mamy, bo nie wiadomo, jak by się to skończyło. Mamie z siostrą udało się wymknąć na korytarz, po chwili dołączyłem do nich na schodach. Uciekając z mieszkania, słyszałem za sobą jego wrzaski i obelgi.

One z płaczem, ja z wściekłością, wszyscy w szoku, że to koniec, nie ma gdzie wracać, bo za duży strach. Wypadliśmy na podwórko, na dworze już ciemno, bo noc. I zimno jak diabli, bo grudzień. Mróz, a my bez płaszczy, kurtek, staliśmy tak, jak wybiegliśmy. Ja tylko w koszulce, dobrze, że miałem buty na nogach. Nie bardzo wiedzieliśmy, co robić. Ustaliliśmy, że trzeba iść na milicję. Tylko gdzie ją znaleźć? Nie stała przecież akurat na rogu, choć była godzina milicyjna... W tym czasie milicja miała poważniejsze sprawy. Gasiła rewolucję, więc gdzie by tam ją obchodziły jakieś historie rodzinnej przemocy.

Ale jakoś w końcu dowlekliśmy się na posterunek. Po przesłuchaniu wydelegowano dwóch posterunkowych, żeby nas odprowadzili do domu i zobaczyli, co i jak. Ojciec siedział spokojnie przy stole. Milicjanci spytali, czy wszystko w porządku.

W porządku.

Nie będzie pan już robił problemu?

Żadnych problemów nie będzie.

Ale spojrzał na nas przy tym tak, jakby chciał powiedzieć: „No, to teraz czekajcie...”. Bo zanim wpuścił milicję do środka, ze strachu wylał cały baniak bimbru. To, że myśmy

polecili na milicję, to pół biedy, że na niego naskarżyliśmy, to też go specjalnie nie obeszło. Ale że ten bimber musiał wylać, a zacier już był prawie dobry, tego nam nie mógł darować.

Zasypiając tej nocy, życzyłem ojcu wszystkiego, co najgorsze, i nie był to pierwszy taki przypadek. Był bardzo złym człowiekiem. Miał takiego kumpla do wypitki, którego do tego stopnia polubiłem, że poprosiłem go na świadka przy bierzmowaniu. To był bardzo poczciwy i pogodny facet, który wiele w życiu przeszedł. Łagiernik, trafił z Syberii do armii Andersa, z którą przemierzył cały szlak bojowy, z bitwą pod Monte Cassino włącznie. Zwiedził kawał świata, po wojnie wrócił do Polski i jeździł w Gdyni na taksówce. Mieszkał dwie ulice od nas i uwielbiałem do niego zaglądać, bo zawsze proponował mi coś do jedzenia. Tylko przekraczałem próg jego mieszkania, a od razu pytał: „Co, pewnie głodny jesteś?”. A ja, wiadomo, zawsze byłem głodny. Przeważnie smażył mi jajka sadzone na maśle, do tego pajda chleba. Dla mnie to były najcudowniejsze uczyty na świecie.

Niestety, mocno popijał i z czasem przestał jeździć na tej taksówce; może odebrali mu prawo jazdy? Regularnie pili z ojcem, a jak już pili, to ojciec za każdym razem go lał. Ale to lał tak, że go katował do krwi, do zwalenia pod stół. I to bez żadnego powodu, bo ten poczciwina w życiu żadnego pretekstu by nie dał. Ot, z pijackiej fantazji. Bo musiał, miał taką potrzebę. Ten człowiek był jedyną osobą spoza rodziny, którą traktował dokładnie tak samo jak nas. A tamten bardzo możliwe, że chciał być członkiem rodziny i dlatego pozwalał się tak traktować przez wiele lat.

Naprawdę porządnie przeciwstawiłem się ojcu, dopiero mając 20 lat, gdy już sport pozwolił mi nabrać i krzepy, i pewności siebie. Po jakiejś kolejnej awanturze doskoczyłem do niego i zapowiedziałem, że jeśli jeszcze raz tknie mamę, to go zabiję. Dosadnie mu powiedziałem, że jak ją kiedyś uderzy, to tak mu przyłożę, że nie wstanie. „Dawno bym to zrobił, ale szkoda mi ręki na ciebie! Niech jeszcze raz usłyszę, że ją nękasz”. To nim wstrząsnęło. Napisał mi list na kartce, że się mnie wyrzeka, że nie jestem jego synem, ale cudzym bachorem, i nie chce mnie więcej widzieć na oczy. Odpowiedziałem, że bardzo dobrze, dziękuję, nie ma sprawy, kończymy znajomość, ale swoje podtrzymuję:

Mamy ci nie wolno tknąć, bo się nie pozbierasz.

Nie mieszkałem już wówczas z rodzicami. Wyprowadziłem się dwa lata wcześniej,

tuż po osiemnastych urodzinach. Jako najlepszy junior w Polsce w skoku o tyczce otrzymałem od Bałtyku Gdynia przydział na pokój w domku jednorodzinym. Tym samym, w którym jakiś czas wcześniej podobne klubowe lokum dostał Edek jako wybitny dziesięcioboista i kadrowicz. Ale regularnie odwiedzałem mamę.

Pierwszy z gniazda wyfrunął Edek. Mając już 18 lat, wrócił kiedyś do domu po 19 i zastał drzwi zamknięte na klucz. Od początku ojciec wprowadził w domu zasadę, że po 19 wszyscy domownicy muszą być na miejscu. Dlaczego właśnie o 19 tego nie wiem do dzisiaj, ale nie było od tego odstępstwa. Słyszeliśmy, jak Edek ciągnie za klamkę, ale kluczy nie miał, a my nic nie mogliśmy zrobić. Kiedy rano ojciec otworzył drzwi, okazało się, że brat przespał całą noc na klatce, bo nie miał co ze sobą zrobić. Ojciec ucieszył się, że syn postąpił tak pokornie, i chyba nawet go pochwalił.

Za jakiś czas sytuacja się powtórzyła. Edek znów wrócił po 19 i znów zastał drzwi zamknięte na amen; nikt mu nie zamierzał otworzyć. Ale następnego dnia rano już go nie było na wycieracze. Poszedł spać do kumpla do hotelu robotniczego, który jakoś go tam przewaletował. Skończył już wówczas technikum łączności, miał etat elektryka w stoczni i wielu kolegów robotników, u których snuł się po pokojach przez miesiąc czy dłużej, aż w końcu dostał własny przydział. I już nigdy nie wrócił do domu. Nie tak, żeby z nami mieszkać. Ojciec bardzo długo nie zainteresował się, co się z nim dzieje. Dopiero po jakimś czasie spytał nas podczas kolacji, czy nie wiemy, co z Edkiem. Odparliśmy zgodnym chórem, że nie mamy pojęcia. A prawda wyglądała tak, że kiedy tylko ojciec wychodził do pracy, brat nas odwiedzał, przychodził na obiad czy późne śniadanie, o ile akurat nie miał zmiany.

Czasem zastanawiam się, jak to się stało, że dzieciństwo z takim ojcem nie zwichrowało mi charakteru. Że nie wyrosłem na jakiegoś sadystę bez empatii, który krzywdziłby własne dzieci i najbliższych. Myślę, że to dzięki temu, że odziedziczyłem charakter po mamie. Podobnie jak ona jestem życiowym optymistą. Choć miała tak tragiczne życie, nigdy nie narzekała, nie załamywała rąk, nie rozpamiętywała przeszłości. Zawsze patrzyła w przyszłość, i to radośnie, z optymizmem. A przecież zmuszona była przetrwać z nim tyle lat piekła. Bił ją od pierwszego dnia po ślubie. Miała 17 lat, gdy wyszła za tego starszego o pięć lat mężczyznę, i była od niego kompletnie uzależniona. Też miała ciężko w domu i chciała z niego jak najszybciej wyfrunąć, a ojciec wydawał się dobrą partią, nie najbiedniejszą w ich biednej wiosce. Chciała iść na swoje. Pierwszą tragedią, jaką przeżyła,

była śmierć córeczki. Dopiero po latach mama wyznała, że Tereska zmarła na dyfteryt, ponieważ ojciec pił przez tydzień i małej nie miał kto odwiedzić do szpitala. Jakimś cudem jednak mama nigdy nie dawała się pokonać rozpacz, nie wpadała w depresję. Zawsze umiała znaleźć w sobie energię, żeby się podnieść i iść naprzód, mimo że musiała nieść prawdziwy krzyż pański.

Choć pod koniec życia pojedналиśmy się z nim pamiętam jedną taką Wigilię, kiedy cała rodzinka siadła do stołu, było dużo śmiechu i radosnych rozmów, nawet z ojcem i bratem przepijaliśmy do siebie to jednak do dziś czuję do niego żal. Od dawna nie żyje i wiele razy wydawało mi się, że go sobie odpuściłem, że go dla mnie nie ma i nie było. A jednak nie. To, jak traktował mamę, bo już nawet nie mnie czy rodzeństwo, siedzi we mnie do dzisiaj.

Pamiętam, jak dowiedzieliśmy się o jego śmierci. A miał ją lekką jak na takie życie. Po kolejnym wielodniowym pijaństwie pękła mu wątroba. We śnie. Po prostu zasnął i już się nie obudził. Był grudzień 1987 roku, mama przyjechała do mnie do Hanoweru na moje urodziny, żeby już zostać do świąt. Ojciec przyjechać nie chciał. Siostra zadzwoniła z informacją o jego śmierci akurat w trakcie przyjęcia urodzinowego i szampańskiej zabawy. Odebrałem, usłyszałem, co mówi, i powiedziałem:

Aha, rozumiem.

I dałem do telefonu mamę. Łzy poleciały jej po twarzy jak grochy, ale tylko westchnęła:

Nareszcie.

## **Ja płonę**

Rok 1971 okazał się dla mnie z kilku względów rokiem przełomowym. Po pierwsze, mojej obiecująco zapowiadającej się kariery o mało co nie zdusił w zarodku koszmarny wypadek. Poparzyłem się wrzącą żywicą. Podgrzewałem ją sobie w garnku, żeby

wyprodukować klej.

Klejem smarowaliśmy łapy, żeby podczas skoku tyczka nie wyslizgnęła się z ręki, zwłaszcza w końcowej fazie. Jak wiadomo, tyczki z włókna szklanego mają to do siebie, że są cholernie śliskie i wręcz uwielbiają wyslizgiwać się z rąk skoczka. Taki delikwent po wybiciu się zjeżdża z góry na dół niczym strażak do pożaru po rurze.

Dziś sportowcy zresztą nie tylko tyczkarze, ale także sztangiści, gimnastycy podciągający się na drążkach czy ci, którzy wspinają się na ściankach stosują magnezję, czyli biały proszek, który zapobiega ślizganiu się spoconych dłoni na tym, za co akurat chwytają czy co próbują dźwignąć. Często można zobaczyć w telewizji, że mają białe łapska albo przed wejściem na ciężarowy pomost czy do sali gimnastycznej nabierają w dłonie magnezji ze specjalnego pojemnika. Nasze łapy były przeważnie brudnoszare lub czarne od produkowanych domowym sposobem klejów lub taśmy izolacyjnej. Magnezji nie szło nigdzie kupić, a sprzedawane w sklepach kleje przeważnie się do tego nie nadawały, choć pamiętam, że na przykład piłkarze ręczni przed meczem smarowali koniuszki palców butaprenem, żeby im piłka lepiej siedziała w dłoniach.

W tyczce zdarzały się jednak historie, że ktoś przesadził z mocą kleju i w momencie wybicia tyczka zostawała mu w rękach. Pamiętam, że Paweł Iwiński, bijąc rekord Polski w 1973 roku, który mu zresztą odebrałem już rok później, podczas rekordowego skoku nie zdołał się odkleić od tyczki i... zabrał ją ze sobą. Przeskoczył poprzeczkę wiszącą ponad 5 metrów nad ziemią wraz z tyczką! Wyglądało to kuriozalnie, ale nie było powodów, żeby skoku i rekordu nie uznać.

Smarowanie rąk klejem to także rodzaj rytuału pomagającego zawodnikowi podbudować psychikę. Ktoś, kto już się przyzwyczaił, bez tego nie jest w stanie startować. Bo jak lekko pokropi deszczyk, odrobina wody na tyczce i od razu dopada człowieka strach, że na pewno wypuści tyczkę w kluczowym momencie. Bez kleju na łapach człowiek czuje się jak bez spodenek, od razu traci pewność siebie.

Podczas obozów treningowych w Spale często wyruszaliśmy do otaczających ośrodek

lasów, żeby podprowadzać leśnikom żywicę z wiszących na drzewach kubelków, do których ściekała. Mieszaliśmy ją później z terpentyną lub benzyną w odpowiednich proporcjach, uzyskując w ten sposób mazidło do rozsmarowywania w dłoniach. A po zawodach za pomocą kolejnej porcji benzyny paskudztwa dawało się pozbyć. Żywica, którą zdobyłem, była już mocno zeschnięta. Gdzieś tam, za pawilonami mieszkalnymi, rozpałem ognisko, rozstawiłem stojaczki i wrzuciłem żywicę do garnka, żeby doprowadzić ją do stanu ciekłego. Mikstura warzyła się w najlepsze, a ja, kompletny idiota, dodałem do żywicy benzyny. Z garnka buchnął wielki ogień, bo zajęły się opary. Nie miałem żadnej pokrywki, żeby go stłumić, więc chwyciłem garnek szczypcami i dalej machać wte i wewte, żeby tymi zamachami zgasić to cholerstwo. A gdy już wydawało się, że jest zgaszone, ogień wybuchał od nowa...

Mistrzostwa Polski juniorów w 1970 roku. Władysław Kozakiewicz skacze z oparzoną po gotowaniu kleju ręką

Machałem tak i machałem tym garnkiem, aż niechcący uderzyłem nim w stojaki i benzyna z żywicą wylały mi się na prawą rękę. W pierwszym odruchu chciałem ją po prostu strzepnąć z ręki, ale wrząca żywica zaczęła schodzić razem ze skórą. Skóra zrolowała się niemal od dłoni do łokcia, odsłaniając żywe mięso. Z powodu stresu i nagłego skoku adrenaliny nawet specjalnie nie bolało, tylko na samym początku mocno zapiekło. Pamiętam, że bardziej byłem zdumiony niż przerażony, i przez głowę przeszła mi myśl: „Ale się narobiło...”. No i że trzeba lecieć do lekarza. Lekarz sportowy był na miejscu w ośrodku. Jak zobaczył rękę, to o mało nie zemdlął, bo głównie zajmował się skręceniemi kostek, zerwaniami mięśni i tym podobnymi kontuzjami sportowymi, a nie idiotami, którzy oblewają się wrzącą żywicą.

Rany boskie, panowie, co wyście robili!? krzyknął do mnie i do Wieśka Szkolnickiego, który był świadkiem wypadku.

Klej gotowałem.

Klej?! To nie mogłeś pan kupić w sklepie?

Człowieku, ratuj rękę, zamiast robić przesłuchanie! zawołałem, ponieważ ból zaczął narastać.

Chlusnął spirytusem na żywą ranę, a potem ostrożnie starał się wyczyścić ją z kleju i zaczął po troszeczku naciągać tę zrolowaną skórę z powrotem na swoje miejsce. Tego było już za wiele. Zachwiałem się i zdążyłem jeszcze usłyszeć:

Co, źle ci jest?

Obudził mnie straszny ból. Leżałem na tylnym siedzeniu w samochodzie, którym wieźli mnie do szpitala w Tomaszowie. Tam lekarze nafaszerowali mnie środkami przeciwbólowymi i dokończyli naciąganie skóry na rękę. Ponieważ ból już mi nie doskwierał, patrzyłem na ich starania ze spokojem. A po głowie chodziło mi tylko jedno pytanie: za dziesięć dni mistrzostwa Polski w Poznaniu, czy zdążę wykurować rękę i wystartować? Lekarze, gdy ich o to zapytałem, tylko się popukali w głowę.

Ty się martw, czy w ogóle będziesz mógł jeszcze skakać, a nie czy za niecałe dwa tygodnie.

Ale ja się zawniłem. Uznałem, że akurat, kurczę, jestem w takiej świetnej formie, że szkoda by ją było zmarnować. Przez te dziesięć dni trenowałem z opatrunkiem na rękę biegi, siłę, wyskok, wszystko, tylko tyczki nie mogłem wziąć do ręki. Poparzona dłoń nie chciała działać. Zaglądałem pod opatrunek, ale wolno się wszystko goiło. Mimo to pojechałem na mistrzostwa Polski, licząc, że może w ostatniej chwili coś się poprawi.

Żeby wejść do finału, trzeba było skoczyć chyba 3,80. Moją życiówką było już wówczas 4,60, ale zaczynam od tych 3,80. Pierwsza próba, ruszyłem, biegowo wszystko dobrze, wybijam się ale gdzie tam. Dłoń nie chciała się zacisnąć na tyczce, zjechałem z niej z góry na dół. W drugiej próbie nawet zdołałem dojechać do pionu. Przed trzecim skokiem spojrzałem w kierunku trenera Wejmana, licząc, że doda mi otuchy i wiary. Patrzę, a on zakrył twarz rękami. No, bo rzeczywiście załamka, pewny, wydawało się, kandydat do medalu nie wejdzie nawet do finału. Ruszyłem z tyczką i z tych nerwów uderzyłem stopą o łydkę drugiej nogi i kompletnie wybiłem się z rytmu. Dwa ostatnie kroki nie dość, że



zrobiłem zbyt krótkie, to jeszcze jak paralityk. Tyczkę włożyłem do dołka w zupełnie innym miejscu, niż planowałem. Ale przez myśl przemknęło mi, że to ostatnia próba i ni cholery nie odpuszczę. Wygiąłem tyczkę, dojechałem na niej do poprzeczki, zadarłem nogi do góry i przeskoczyłem ją, może z centymetrowym zapasem.

Wszedłem do finału, który szczęśliwie był na drugi dzień. Następnego dnia skoczyłem 4,50, czyli tylko 10 centymetrów mniej od mojej życiówki. Ale na moje nieszczęście aż dwóch zawodników pobiło własne rekordy życiowe: Sławek Niezgoda ze Skry Warszawa i Wiesiek Szkolnicki, który skoczył 4,60. Wygrał Joachim Burkert z Górnika Zabrze, który był w tym czasie poza naszym zasięgiem i skoczył 4,80. A ja byłem, kurna, czwarty. Najgorsze miejsce z możliwych.

Wzniesienie pożaru żywicą było najwyraźniej specjalnością Kozakiewiczów, ponieważ bratu też się to raz przytrafiło. Podobnie jak ja gotował klej i benzyna też wybuchła mu w garnku. Na szczęście się nie poparzył, ale że operacja odbywała się u nas w domu, na Abrahama, spanikowany braciszek podbiegł z garnkiem do okna i tak go sprawnie wyrzucił, że ogniem zajęła się cała futryna. Jakimś cudem mieszkanie się nie spaliło, choć wiadomo, jak ciężko zgasić benzynę.

Od tego czasu daliśmy sobie spokój z żywicą i benzyną. Zaczęliśmy wyrabiać klej z kalafonii, którą skrzypkowie nacierają smyczki.

Tego roku po raz pierwszy w życiu wyjechałem na Zachód, do RFN. To był mój drugi wyjazd zagraniczny, po wspomnianej eskapadzie do Wilna i Solecznik. Tym razem pojechałem do Diepholz pod Bremą na mecz z tamtejszą reprezentacją juniorów. Oczywiście słyszałem już z opowiadań innych zawodników, którzy wracali z zagranicznych zawodów, choćby od Edka, że Zachód to inny świat. Ale widok pełnych sklepów, pięknych, uporządkowanych, oświetlonych ulic kompletnie mnie oszołomił. A najbardziej wykwintnie zastawione stoły w eleganckiej restauracji, do której zaproszono nas na bankiet. Ilość sztuców i kieliszków przeraziła mnie. Poczulem się jak żebrak wprowadzony nagle na królewski dwór.

Po meczu Polska NRD w Poznaniu. Już z wygojoną ręką Kozakiewicz (z lewej) zajął pierwsze miejsce 4,60 m

Gospodarze byli niezwykle uprzejmi i starali się przychylić nam nieba. Ale tylko do czasu zawodów. Na stadionie leżał żużel, ale rozbieg został przykryty gumową nawierzchnią, żeby była lepsza przyczepność, a zawodnikom łatwiej rozpędzało się z tyczkami. Było to częste rozwiązanie, na które byliśmy przygotowani, przywożąc z Polski buty z krótkimi kolcami. Gdy jednak organizatorzy zobaczyli, jak fantastyczne wyniki osiągamy na treningu, zwinęli gumę. Na szczęście Burkert przywiózł ze sobą zapasowe długie kolce, idealne na żużel, i wygrał zawody. Ja ich nie miałem i znów zająłem to najgorsze, czwarte miejsce. Wściekłość i poczucie krzywdy przyćmiły oszołomienie Zachodem. Po zawodach zaszyłem się w pokoju i odmówiłem udziału w ostatnim wyjściu do Bremy. Jednym z Niemców, którzy mnie wyprzedzili, był mój rówieśnik Günther Lohre, późniejszy dziesięciokrotny mistrz i rekordzista RFN w skoku o tyczce. Skoczył 5,65. Gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że za 15 lat, jako świeżo upieczony obywatel RFN, odbiorę mu ten rekord, uznałbym go za wariata i wezwał lekarzy z kaftanem.

W grudniu z okazji 18. urodzin Edek postanowił mnie rozprawiczyć. Wcześniej już chodziłem z dziewczynami, ale nigdy do niczego poważnego nie doszło. Moją pierwszą miłością była Danusia, która trenowała skok wzwyż w Bałtyku Gdynia, a potem poszła do tej samej szkoły co ja, tylko na kierunek hotelarski. Mieliśmy po 1415 lat, a mój braciszek zaczął prowadzić się z jej koleżanką. Edek imponował dziewczynom, bo nie dość, że był o pięć lat starszy, to jeszcze osiągał świetne wyniki w dziesięcioboju, więc można powiedzieć, że trochę podłączyłem się pod jego sławę. Tyle że w tamtych czasach wszystko odbywało się bardzo wolno i romantycznie. Człowiek pomalutku smażył cholewki. Szczytem odwagi było wzięcie dziewczyny za rękę na spacerze albo taniec przytulaniec na prywatce.

Próbowaliśmy z Danusią posunąć się troszeczkę dalej, ale bardzo daleko się nie posunęliśmy. Sami nie wiedzieliśmy, czego od siebie chcemy. A raczej to ona wiedziała, że nie chce mi na zbyt wiele pozwolić. Wyjeżdżaliśmy razem na zawody, czasem się przytulaliśmy. Raz nawet gdzieś tam się rozebraliśmy i wskoczyliśmy do łóżka. Ale tylko leżeliśmy objęci. Uznałem, że skoro Danusia nie chce, to ja nie będę naciskał.

Zerwaliśmy ze sobą z powodu jednej jedynej poważnej kłótni między mną a Edkiem.

Żyłem z nim w braterskiej zgodzie i nigdy, ani wcześniej, ani później, nie starliśmy się w jakiejś fundamentalnej sprawie. Ale on, jak każdy sportowiec, nienawidził przegrywać. Dokładnie w tym samym stopniu, w jakim ja uwielbiałem wygrywać. I poprzytkaliśmy się po meczu w piłkę nożną na hali. Byliśmy w przeciwnych drużynach i moja, znacznie młodsza, wygrała. Uśmiełem się po wszystkim z niego, choć wiedziałem, jaki jest ambitny. Zrobił się zły jak cholera, co dało mi powód do kolejnych żartów. Wtedy już się bardzo wściekł, dał mi sójkę w bok, rzucił: „A to s...pylaj” i poszedł do domu. Miał już wówczas swój pokój w Gdyni, od klubu, ja nadal mieszkalem z mamą i siostrą. To było tuż przed sylwestrem, na który miałem do niego pójść z Danusią i jej koleżanką, dziewczyną Edka. Ale z powodu kłótni zostałem w domu. Myślałem, że Danką dołączy do nas z mamą i siostrą. Tymczasem ona wolała pójść z koleżanką do Edka. Pamiętam, że ryczałem w tego sylwestra jak bóbr.

Oprócz niej zdarzyło mi się pójść z jedną czy drugą dziewczyną to na studniówkę, to na jakąś prywatkę, ale wszystko to było bardzo niewinne. Inna rzecz, że od pewnego momentu tak bardzo skupiłem się na treningu, że nie miałem czasu myśleć o dziewczynach.

W urodziny znalazłem się w Warszawie, gdzie brat trenował już od dawna, a ja przyjechałem na obóz i zamieszkałem w ośrodku olimpijskim na AWF na Bielanach. Wieczorem zajrzał do mnie Edek i mówi:

Władek, szykuj się. Masz osiemnastkę, to jedziemy, pokażę ci, jak życie wygląda.

Wraz z nim przyszedł jego najlepszy przyjaciel i kolega, dziesięcioboista Leszek Nikityn, oraz trener dziesięcioboistów Andrzej Mankiewicz. Brat tworzył z nimi taką trójkę nierozłączek. Poczułem się mile doceniony, bo raczej trzymał się swego towarzystwa, a tu chce mi pokazać życie. Odparłem, że jasne, z miłą chęcią, i pojechaliśmy we czwórkę gdzieś do centrum Warszawy. Nawet nie wiem gdzie, bo grudzień, zasypany śniegiem i ciemno. Dojechaliśmy pod jakiś blok, idziemy do trzeciej klatki i chłopaki dzwonią. Otwiera nam jakaś kobieta.

A, jesteście! Świetnie, bo już czekamy. No to rozbierajcie się.

Wchodzimy, patrzę, a brat i cała reszta rozbierają się do naga.

„Co za czort? Do naga?” myślałem sobie. Ale słyszę od braciszka:

Młody, co tak stoisz? Rozbieraj się jak wszyscy.

Pomyślałem, że przecież stąd nie ucieknę. Rozebrałem się, ale czułem się strasznie. Jak to tak, przychodzić do kogoś w gościnę i w przedpokoju rozbierać się do naga? Ale wchodzimy do środka, a tam zwykle peerelowskie M3: meblościanka, składana kanapa, stół. A za stołem trzy kobitki, wszystkie nagie, roześmiane, siedzą i wyraźnie czekają na nas. Gospodyni miała jeszcze jakiś fartuszek, ale zaraz się go pozbyła.

Oczywiście to nie była żadna tajna agencja towarzyska, a dziewczyny nie jakieś cichodajki. To były normalne studentki AWF, koleżanki brata, które po prostu umówiły się z chłopakami na takie wspólne spędzanie wieczoru. Mimo to poczułem nie tyle szok, co wielkie zawstydzenie. No bo pierwszy raz znalazłem się w takiej sytuacji, a tu jeszcze obok brat i jego trener. Dla niego to był kumpel, ale dla mnie „pan trener”. Ale dziewczyny pomogły mi się przełamać. Postarały się, żeby spełniły się wszystkie moje marzenia o sam na sam z dziewczyną. A nawet i to, o czym nigdy nie ważyłem się marzyć...

Zabawa się rozkręciła i trwała do rana. W taki sposób braciszek, który najpierw wciągnął mnie do tyczki, teraz zainicjował moje męskie życie. Oczywiście ta eskapada nie zmieniła mojego życia erotycznego ani na jotę, to był jednorazowy prezent. Wkrótce obóz się skończył, a ja wróciłem do Gdyni. Niby jeszcze spotykaliśmy się z Danusią, ale wiedziałem, że z nią nie uda mi się wykorzystać zdobytego w Warszawie doświadczenia. Zaczęliśmy się spotykać coraz rzadziej. Szkoda mi było czasu na spacer, każdą wolną chwilę od szkoły i nauki wołałem poświęcać na treningi. Już wkrótce miało to przynieść efekty, o jakich nawet nie marzyłem.

## **Moja krew**

Rok 1972 rozpocząłem od pobicia rekordu Polski juniorów, skacząc 4,92. Był to pierwszy rekord z wielu, jakie mnie jeszcze czekały, ale oczywiście nawet nie śmiałem o tym

marzyć i cieszyłem się jak szalony.

Osiągnięcie było tym większe, że rekord ustanowiłem podczas zawodów na naszej sali gimnastycznej gdyńskiej szkoły nr 3, dokąd zima w zimę przenosiliśmy się ze stadionu Bałtyku. Jak wspominałem, rozbieg do skoku o tyczce zaczynał się w ciasnym korytarzu, z którego na salę wbiegało się wąskimi drzwiami i trzeba było przy tym uważać, żeby nie wyrznąć głową o futrynę. Sufit sali znajdował się na wysokości 5,30 i omal nie szorowałem po nim kolcami, przeskakując nad poprzeczką zawieszoną 38 centymetrów niżej.

To było w lutym. W kwietniu ustanowiłem rekord Polski juniorów na otwartym stadionie, po raz pierwszy osiągając wysokość 5 metrów, co dało mi status najlepszego juniora w kraju. I tak naprawdę dopiero wtedy podjąłem decyzję, że swoje życie na stałe zwiążę ze sportem, bo naprawdę jestem w stanie coś w nim osiągnąć. Dotąd skok o tyczce, treningi, wyjazdy na zawody traktowałem jak przygodę, świetny sposób na spędzanie wolnego czasu i ucieczkę z domu. Posiadanie dresu reprezentacji Polski napawało mnie dumą i poczuciem wyjątkowości, ale to cały czas była kadra juniorska. Nie mieściło mi się w głowie, że byłbym w stanie rywalizować z seniorami. Przekroczenie bariery 5 metrów dało mi do myślenia. Wśród seniorów tylko Tadeusz Ślusarski i Wojciech Buciarski ze Skry Warszawa skakali w tym roku, odpowiednio: 5,30 i 5,20. A legionista Tadeusz Olszewski 5,10. Braciszek też pobił tego lata swój rekord życiowy 5,13, ale on był już wówczas dziesięcioboistą.

Wdarcie się do czołówki polskiej tyczki nie zmieniło mnie. Trener Wejman był zamordystą, trzymał nas twardą ręką i dbał, żeby przytrzymać swojego zdolnego zawodnika na ziemi. Pamiętam, że wracaliśmy z mistrzostw Polski juniorów w Warszawie, które wygrałem. Idąc do pociągu, tradycyjnie taszczyliśmy nasze długachne tyczki we trójkę z braćmi Szkolnickimi. W pewnym momencie stwierdziłem dla żartu:

Zaraz, zaraz, skoro właśnie zdobyłem złoty medal, to niech tych dwóch niesie tyki. Coś mi się od życia należy.

A Wejman na to:

Coooo? Ożeż ty, taki owaki! Bierz tyczki i zapierdzielaj. Sam będziesz wszystko niósł.

I poniosłem. Cztery tyczki, 3,5 kilo każda. Tylko tego brakowało, żeby Wejmanowi zawodnik odleciał.

Może i był to z mojej strony rodzaj odlotu, ale zacząłem się łudzić, że a nuż zakwalifikuję się na igrzyska olimpijskie w Monachium. Po raz pierwszy zderzyłem się wówczas z brutalną polityką działaczy Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, którzy uznali, że bezcelowe jest wysyłanie na igrzyska 19letniego zawodnika (dopiero cztery lata później, w Montrealu, odważyli się postawić na 19letniego Jacka Wszolę, który odpłacił za zaufanie złotym medalem). Uznali, że Kozakiewicz mógłby co najwyżej wejść do finału, a to za mało. A że przy okazji zdobyłby doświadczenie w starcie na tak wielkiej imprezie? A kto go tam wie, w jakiej formie będzie za cztery lata? Tymczasem mnie w Montrealu, choć byłem czołowym tyczkarzem świata i faworytem, do zdobycia medalu zabrakło właśnie doświadczenia.

Ul. Witomińska, Szkoła Podstawowa nr 3, hala. Władysław Kozakiewicz bije rekord Polski juniorów 4,91 m. Widać rozbieg z zakrętem i w dali drzwi, przez które wbiegało się z korytarza. Gdynia, 1972

Akurat w tym czasie bardzo zmężniałem. Wcześniej chudy jak tyka, teraz zacząłem wreszcie obrastać mięśniami. Pomagały mi ogólnorozwojowe ćwiczenia trenera Wejmana, u którego skakałem w dal, rzucałem kulą, dyskiem, oszczepem, biegałem i sprinty, i na 1500 m. Czuję narastającą we mnie siłę. Mimo to szef szkolenia PZLA Ludomir Nitkowski uznał, że nie jestem perspektywiczny. Publicznie wyśmiewał moją sylwetkę. Podczas halowych mistrzostw Polski stwierdził, że biegam wolno jak cielę i żadnego tyczkarza ze mnie nie będzie. A przecież nie znał się na tyczce, bo był trenerem skoku w dal (między innymi Grzegorza Cybulskiego). Niestety, jako szef szkolenia to on decydował, kto jedzie na igrzyska. Pojechali Ślusarski i Buciariski, którzy rzeczywiście byli wówczas najlepsi w Polsce. Czemu mnie pominął, nie wiem do dzisiaj. Przecież nie z oszczędności, bo igrzyska nie były

na innym kontynencie, w Meksyku czy Tokio, ale tuż obok, w Monachium.

Prawda jest jednak taka, że sam zawałem ostatnią szansę na przekonanie wszystkich do siebie, czyli taki skok, że musieliby mnie wysłać na igrzyska, czyby tego chcieli, czy nie. Wszystko przez wygłupy na treningu. Zdarzało się, że trener Wejman miał do załatwienia jakiejś sprawy w związku, miał przecież na głowie mnóstwo lekkoatletów, i nie było go na zajęciach. Nam z braćmi Szkolnickimi natychmiast przychodziły do głowy kretyńskie pomysły, żeby sobie urozmaicić żmudny trening. Na przykład gdy mieliśmy po 16 lat, wyzwaliśmy razem z Wieskiem Szkolnickim mojego brata na pojedynek w dziesięcioboju. Zakład był taki, że my obaj zdobędziemy więcej punktów niż on sam. Nie dość, że przetrzęliśmy sromotnie (choć ja akurat zrobiłem chyba ze 4,5 tysiąca punktów), to jeszcze upuściłem sobie na nogę siedmiokilową kulę, bo nie umiałem porządnie jej wypchnąć. Dobrze, że nie zabiłem przy tym Wieśka, który z boku stał i rechotał.

Wtedy, w czerwcu 1972 roku, dopadła nas kolejna kompletna głupawka. Jeden biegł z tyczką, a dwaj, którzy stali przy zeskoku, mieli za zadanie go rozśmieszać. Mało nam było wygłupów, to postanowiliśmy, że będziemy skakać nie dość, że na bosaka, to jeszcze kompletnie nadzy. Skocznia na stadionie Bałtyku leżała w odległym, niemal niewidocznym miejscu. Od strony torów tuż przy płocie zasłaniały ją drzewa, z drugiej nowa hala, w której cieniu mieliśmy swój zakątek. Skakanie nago jest ciężkie, niewygodnie biegać z intereselem na wierzchu, na bosaka niełatwo się rozpędzić, taki skok wymaga koncentracji. Ale jak miałem się skoncentrować, skoro biegnę z tyczką, a tu dwóch nagusieńkich Szkolnickich przechodzi samych siebie, błaznując przy zeskoku? Umierałem ze śmiechu. Wybiłem się w górę, źle wyginając tyczkę, nie doleciałem do poprzeczki i zamiast na zeskok, gdzie leżały materace, spadłem obiema nogami na koryto, w którym opierało się tyczkę. Śmiech natychmiast zamarł mi na ustach, bo poczułem piekielny ból w obu kostkach. Natychmiast spuchły jak banie, od stóp aż po łydki. Zmroziło mnie, że złamane, ale szczęście w nieszczęściu w obu poszły tylko torebki stawowe.

Dziś oznaczałoby to kilka tygodni w gipsie, ale wówczas stosowało się wyłącznie okłady z altacetu. Opuchlizna zeszła w dwa tygodnie. Staralem się w tym czasie truchtać, żeby nie wypaść z formy, ale bolało jak diabli. Pod koniec czerwca wystartowałem w Memoriale Kusocińskiego w Warszawie, ale udało mi się skoczyć zaledwie 4,60, więc Nitkowski miał prawo rozpowiadać, że proszę, jak to się świetnie na mnie poznał, przecież

mówił, że z młodego Kozakiewicza nic nie będzie. Kiedy w lipcu na meczu lekkoatletycznym Polska NRD we Wrocławiu skoczyłem 5,02, poprawiając o dwa centymetry własny rekord Polski juniorów, już nic mi to nie pomogło.

Świadomość, że igrzyska będę mógł obejrzeć co najwyżej w telewizji, tak mnie zdeprymowała, że w sierpniu w Otwocku zaliczyłem podczas zawodów swoją pierwszą „zerówkę”. Czyli spaliłem wszystkie trzy próby i mój wynik w zawodach wynosił okrągłe zero. Inna rzecz, że dołek do oparcia tyczki był ustawiony tak kuriozalnie blisko zeskoku, że nie było jak wygiąć zerdzi. Wygięta tyczka wyrzucała zawodnika z powrotem na zeskok, więc z 32 startujących tylko trzech w ogóle przeskoczyło poprzeczkę. Reszta zaliczyła „zerówkę”, mimo że zaczynała próby od zaledwie 3 metrów. Wszyscy widzieli, że wymaga się od nich determinacji kamikadze, więc skakali na pół gwizdka. Byłem najlepszym juniorem w kraju, zamierzałem skoczyć 4,60 i pójść do domu. Ale i mnie zabrakło determinacji.

Pod koniec września wystąpiłem w meczu Polska RFN juniorów w Nowym Sączu, który był rewanżem za nasz wyjazd sprzed roku do Bremy. Znow zająłem najgorsze, czwarte miejsce. Tym razem najlepszy był Lohre, z którym po zawodach wymieniliśmy się dresami. Nałożyłem dla szpanu niebieską bluzę z czarnym orłem na piersi, nie mając pojęcia, co oznacza ten omen...

W 1973 roku mój okres juniorski dobiegł końca i zacząłem rywalizować z seniorami. W lutym zająłem trzecie miejsce w halowych mistrzostwach Polski w Warszawie, choć wszyscy na podium zwycięzca Tadeusz Olszewski i drugi Włodzimierz Sokołowski skoczyliśmy 5,10. Włodek wiosną tego roku „wybrał wolność” podczas pobytu w USA, gdzie zaciągnął się do słynnego Cyrku OHary, grupy lekkoatletycznych zawodowców. Zdołał w niej wyśrubować rekord życiowy do 5,25 i ostatecznie skończył w Nowym Jorku jako architekt.

To zdjęcie wisiało w Gdyni na wystawie u fotografa przy ul. Świętojańskiej

Wynik 5,10 kwalifikował mnie do występu w halowych mistrzostwach Europy w Göteborgu. Jednak, jak w przypadku wszystkich zagranicznych wyjazdów, znow do głosu



doszła polityka PZLA. I znów ktoś uznał, że zamiast mało perspektywicznego Kozakiewicza lepiej wysłać do Szwecji jednego działacza więcej, który „wszystkiego dojrzy, dopilnuje”. Na mistrzostwa pojechał sam Olszewski. Znów miotałem się z wściekłości z powodu pominięcia i zastanawiałem się, czy nie lepiej rzucić wszystko w diabły, skoro co krok mają mną tak pomiatać. Ale ponieważ czułem w sobie rosnącą siłę, jeszcze bardziej przycisnąłem na treningach. Zagryzałem zęby i myślałem sobie:

Czekajcie, sukinsyny, wykręcę wam taki wynik, że sam sobie będę wybierał, na jakie zawody pojedę.

I wykręciłem! W pierwszych zawodach sezonu letniego, podczas Memoriału Kusocińskiego, skoczyłem 5,20. Dwa tygodnie później w meczu Francja Polska w Paryżu było 5,30. Cztery dni później w Gdyni powtórzyłem ten wynik. A następnego dnia, 12 lipca, na tym samym stadionie Bałtyku o dwa centymetry pobiłem rekord Polski seniorów, skacząc 5,35. I był to czwarty rezultat na świecie! Tylko trzech zawodników w historii dyscypliny skoczyło wyżej ode mnie.

No, to wdarłem się na szczyt i łatwo mnie z niego nie spędzicie! pomyślałem sobie.

Ze stadionu Bałtyku jak na skrzydłach pogałem do domu. Wpadam rozpromieniony i krzyczę do rodziców:

Słuchajcie, pobiłem rekord Polski! Jestem najlepszy w kraju! A i na świecie niewielu lepszych ode mnie!

A ojciec na to:

Cisza, bez wrzasków mi tu. Jaki rekord, w czym?

Nie miał pojęcia, co robię od sześciu lat. Nie obchodziło go to. Interesowała go tylko woda, biesiady, własne przyjemności i towarzystwo. Coś tam słyszał, że z Edkiem trenujemy jakieś tam sporty, ale na poważnie czy nie a co za różnica? Nie wtrącał się, bo w niczym mu to nie przeszkadzało. Na żadnych naszych zawodach nigdy nie był, choć przecież co rusz startowaliśmy pod domem, na stadionie Bałtyku. Najważniejsze, że miał od nas w domu

spokój. Natomiast zabronił sportu siostrze, choć próbowaliśmy i ją wciągać na treningi do Wejmana. Karolinie na nic nie pozwalał. Od razu po szkole do domu i szyć, pomagać matce itd. Tak postanowił i szlus.

Radosne okrzyki mamy i siostry jakoś mu uświadomiły, że rekord Polski w skoku o tyczce jego syna to w sumie dobra wiadomość. Zareagował więc w typowy dla siebie i najbardziej w jego mniemaniu serdeczny sposób: wyciągnął na stół pół litra.

No, jak tak, Władek, to dawaj, napijemy się. Dorosły już jesteś.

Daj spokój, tato, jestem sportowcem, nie piję.

Ale ojciec był już podpity, więc rozlał wódkę do kieliszków.

Masz, nie zaszkodzi ci. Skoro mówisz, że jest co świętować, to świętujemy.

Dziękuję, nie piję. Zawody jutro mam.

Co ty pierniczysz? Jak nie pijesz? Z ojcem się nie napijesz!?

Cholera mnie wzięła, patrzę na tę butelkę, w której było więcej niż połowa. I mówię:

A, dobra, skoro nalegasz, no to dawaj.

Wziąłem butelkę, przycisnąłem do ust i bul, bul, bul i wyduldałem do dna.

Napiłem się z ojcem, wystarczy?

On patrzył szeroko otwartymi oczami i zaśmiał się:

Jezus Maria, moja krew! No, nie wyprzesz się. Moja krew!

Był zachwycony. Aż usiadł z wrażenia na krześle. To był dla niego wyczyn, a nie jakieś tam wygłupy na stadionie. Skakanie z tyczką jak jakaś małpa, widział to ktoś?

Moje przyszłe sukcesy niczego nie zmieniły. Nigdy nie obejrzał mnie na żywo, na stadionie. Jeśli już, to w telewizji. Telewizyjne transmisje z mityngów lekkoatletycznych stały się doskonałym pretekstem do wypitki z kumplami. Gdy zrobiłem się znany w całej Polsce, bez przerwy ktoś mu na ulicy gratulował zwycięstw syna. Tuż obok, w zakładzie fotograficznym na Świętojańskiej, w witrynie bez przerwy wisiało moje zdjęcie, stale aktualizowane, jako chłopaka z sąsiedztwa, który odniósł sukces.

Bez przerwy ktoś go zapraszał na wódkę.

Choć, twój Władek będzie startował. Wypijemy.

Ale ojciec był honorowy i nie chciał korzystać na tym, że ma sławnego syna. Zawsze stawiał on. Nigdy też nie poprosił mnie o forszę ani na alkohol, ani na nic innego, chociaż od 1973 roku zacząłem wreszcie dobrze zarabiać. Moje pieniądze nie interesowały go tak samo jak moje sprawy.

Na zawody nie wybrał się nigdy, ale jak przed igrzyskami w Montrealu w 1976 roku premier Piotr Jaroszewicz zaprosił olimpijczyków wraz z rodzinami na spotkanie w Kancelarii Rady Ministrów w Warszawie, to owszem, wziął i przyjechał razem z mamą. W swoim galowym marynarskim mundurze stawał na baczność, gdy tylko ktoś obok niego w tej kancelarii przechodził. Z jego twarzy widać było, że jest ogromnie zadowolony. Pierwszy raz w życiu widziałem go takiego. Jeśli kiedykolwiek był ze mnie dumny, to właśnie wtedy. Jak ktoś podszedł gratulować mu syna, nadymał się i w kółko powtarzał:

Wiadomo, moja krew, moja krew...

A mnie cholera brała, bo myślałem sobie: jaka twoja krew, kiedy w twoich żyłach płynie wódka?

Na szczęście nie odziedziczyłem jego pociągu do alkoholu. Wręcz przeciwnie: choć nigdy nie byłem abstynentem, to przez całą karierę popijałem bardzo umiarkowanie i nigdy nie przeholowywałem. Jakiś szampanik na bankiecie po zawodach, jakieś winko w małych ilościach w fajnym momencie, w uroczym towarzystwie to tak. Ale nigdy w dniu zawodów,

nigdy tak, żeby być dętką na treningu. Byłem stuprocentowym sportowcem i nawet goniłem mojego trenera na trening, ochrzaniałem, gdy pojawił się lekko wczorajszy. I może dlatego kiedy już się wdarłem do światowej czołówki, to tak długo pozostałem na topie.

Ileż wspaniałych karier rozmyło się w morzu wody! Niedawno spotkałem Grzesia Cybulskiego, który w latach 70. był czołowym skoczkiem w dal na świecie. Talent na miarę Ireny Szewińskiej czy Jacka Wszoły. Jego rekord Polski, 8,27 metra z 1975 roku, przetrwał aż 26 lat! Ale choć był na dwóch igrzyskach, medalu nie zdobył. Alkohol go zniszczył. Kiedy wpadliśmy na siebie, nie rozpoznał mnie, tak bardzo było z nim już źle. Oczywiście i mnie przydarzyło się w karierze kilka drobnych ekscesów alkoholowych, o których jeszcze opowiem, ale widocznie ten ojcowski nałóg odstręczył mnie od ciągłego garowania kosztem sportu i uchronił przed roztrwonieniem talentu.

## **Dwaj ludzie z tyczką**

Pamiętacie etiudę filmową Romana Polańskiego „Dwaj ludzie z szafą”? Zapewniam was, że dwaj faceci taszczący ulicami miasta długachne tyczki na ramieniu wyglądali równie pociesznie. Od 1973 roku, kiedy zostałem seniorem, aż do zakończenia kariery w 1988 roku moje życie było jedną wielką podróżą.

Możliwość jeżdżenia po całym świecie, po wszystkich kontynentach, była w czasach PRL czymś cudownym i wyjątkowym. Mąciła ją tylko konieczność zabierania wszędzie ze sobą paki z czterema, pięcioma tykami długimi na 5,20 metra, ważącymi 12 kilo i nieporęcznymi jak cholera. Taki sprinter Marian Woronin czy skoczek wzwyż Jacek Wszoła po prostu pakowali do torby swoje kolce, jak mieli fantazję, to jeszcze zapasowe, i fruuu. Ja od Londynu po Tokio, od Zurychu po Nowy Jork, od Rio de Janeiro po Zabrze czy Wałbrzych wszędzie musiałem targać ze sobą najbardziej niewygodny bagaż świata.

Po prawdzie, to do Zabrza dostać się było trudniej niż do Rio. Zawsze na początku

trzeba było zaplanować, jak ze stadionu Bałtyku czy warszawskiego AWF udać się na dworzec, a potem ewentualnie na lotnisko. Bardzo długo nie miałem własnego samochodu, a taksówki nie wchodziły w grę, bo w tamtych czasach warszawy miały przepastne kufry zamiast bagażników na dachu jak taksówki dziś, na których można przyczepić i deskę surfingową, i rower. Zostawał autobus albo trolejbus. A w autobusie, wiadomo, tłok jak diabli. Otwierały się drzwi, wrzucałem torbę sportową do środka i krzychałem:

Uwaga! Bagaż niewymiarowy wnoszę!

Ludzie bardzo często pomagali, zwłaszcza gdy już stawałem się bardziej rozpoznawalny. Wychodzili, pokrzykiwali na kierowcę, żeby czekał. Zawsze znalazł się ktoś, kto chciał zarządzać całą operacją.

Dawaj, dawaj, dalej, dalej! Przesuń się, kobieto, nie widzisz, że sportowiec ze sprzętem?!

Jedni ustępowali, drudzy się burzyli, sarkali pod nosem. Co jakiś czas zdarzał się konduktor, który nie chciał mnie wpuścić. A bo tłok, ludzi poturbuję, nie ma czasu, żeby czekać... Albo że takich rzeczy nie wozi się komunikacją miejską. Raz, pamiętam, wepchnąłem do autobusu tyczki, wsiałam z torbą, a tu tyki łuuup! z powrotem na chodnik. Co u diabła!? Chwyciłem je, wpycham na powrót do autobusu, a z drugiej strony czuję wyraźny opór. Ktoś mi je wypycha. I tak się chwilę siłujemy.

Oż ty w życiu! Jak się nie zapałem, jak nie pchnąłem tyczek do środka. Weszły gładko. Sam wskakuję, patrzę, a tu konduktor leży na ziemi do góry nogami. To on mi je wypychał. Doszło do awantury i musiałem wysiąść na następnym przystanku. Ledwo na pociąg zdążyłem.

Na dworcu czekał kolejny koszmar, bo wiadomo: tu też tłumy narodu. Niosłem te tyczki na barku, ledwo widziałem, co przede mną. Staralem się, jak mogłem, żeby kogoś nie dziabnąć. Ale co zrobiłem unik, żeby kogoś ominąć, to z tyłu ktoś obrywał w łeb.

Panie, uważaj pan, kurka żeż twoja rurka!

Jak odruchowo odwróciłem się, żeby przeprosić, to łup, dostawał ktoś przede mną. Jak w slapstickowej komedii.

Kiedy już pociąg nadjechał, na gwałt szukaliśmy wagonu z korytarzem od strony peronu. Jeden z nas wpychał się do środka i otwierał okno, a drugi ukośnie podawał mu tyczki. Nie zdarzyło się, żeby w wagonach nie panował dziki tłok. I znów jedni pomagali, inni przeklinali i wydziwiali. Prawdziwe szczęście, jeśli na stacji końcowej korytarz nadal znajdował się po stronie peronu. Prawdopodobieństwo wynosiło 50 procent, więc bywało, że musieliśmy wywlekać tyczki na tory między peronami, jak trzeba, to uskakując przed nadjeżdżającym z przeciwka pociągiem.

Do Zabrza można było dojechać z dworca w Katowicach wyłącznie tramwajem. Niestety, były to składy bardzo starego typu, w których okna się nie otwierały, drzwiami zaś nijak nie dawało się wcisnąć tyczek do środka z powodu przedsionka. Wypracowaliśmy więc następujące rozwiązanie: jeden z nas stawał na tylnych stopniach pierwszego wagonu, a drugi na przednich drugiego wagonu. Trzymając pod pachą tyczki, tworzyliśmy swoisty przegub. Tyle że tramwaj nie poruszał się w linii prostej i kiedy wagony łamały się przy skręcie, musieliśmy albo przyciskać tyczki do boku wagonu, albo maksymalnie je od niego oddalać. Nie mam pojęcia, jakim cudem milicja nigdy się do nas nie przyczepiła. Dobrze, że motorniczy mieli to gdzieś. Najgorzej, jeśli zawody odbywały się zimą. Podróż tramwajem trwała godzinę, więc nieraz marziliśmy na kość.

Potrzeba matką wynalazków. Podróży komunikacją miejską mieliśmy tak bardzo dość, że wpadliśmy na pomysł, jak transportować tyczki samochodem osobowym własnym, pożyczonym czy taksówką, jeśli taryfiarz się zgodził. Braliśmy dwa ręczniki i owijaliśmy nimi tyczki z przodu i z tyłu. Następnie otwieraliśmy klapę silnika samochodu i przytrzaszaliśmy końcówkę ręcznika z przodu, a klapę bagażnika z tyłu. I tak przytrzaśnięte tyki podróżowały przyklejone z jednego boku auta. Owszem, wystawały z metr z przodu i z tyłu, a czasem coś się na nich wieszało. Ale nikt się wtedy aż tak bardzo nie przejmował bezpieczeństwem.

Albo pasażer z przodu i pasażer z tyłu otwierali szyby, wystawiali ręce i po prostu trzymali tyczki w łapach. Trzeba było uważać, żeby przejeżdżający samochód nie wyrzucił cię w wystawiony łokieć. No i to rozwiązanie było dobre na lato, ale nie na srogie polskie zimy.

Z transportem lotniczym było zaś tak, że przed kupieniem biletu dobrze było się zorientować, co to za maszyna i jaka linia lotnicza. Niby samoloty to wielkie stalowe potwory, ale do większości z nich nie było jak wpakować pięciometrowych tyczek. Kadłub może i był długi, ale luki bagażowe wyglądały tak, że po wejściu drzwiami były cztery metry w lewo i cztery w prawo. Jeśli lecieliśmy zaprzyjaźnionym LOTem, można było liczyć, że pilot zgodzi się otworzyć przednią szybę, tamtędy wpakować tyczki do środka przez swój kokpit i ułożyć wzdłuż foteli pasażerskich. Przywiązywaliśmy je do nóg siedzeń, więc w momencie jakiegś poważnej awarii czy zgaśnięcia świateł mogłaby być masakra, bo żeby uciekać, trzeba by było dać krok przez pakunek.

Nie było problemu, jeśli lecieliśmy gdzieś antonowami, które służyły w większości linii lotniczych krajów tak zwanej demokracji ludowej. Budowane z myślą o wojnie, miały specjalny luk w podłodze, pewnie na bomby, przez który idealnie wślaczało się tyczki. Dziś już żaden sportowiec nie polecą pasażerskim samolotem z tyczkami; trzeba je wysłać specjalnym cargo. Bagaż ponadwymiarowy obejmuje rzeczy tylko do długości 2,20 metra, tak żeby można było nadawać deski surfingowe.

W liniach międzynarodowych nie dawało się już tak łatwo dogadać z pilotami. Tyczki po prostu nadawaliśmy na bagaż. No i niezwykle często po dotarciu na miejsce okazywało się, że po drodze zaginęły, poleciały gdzieś indziej i będą za dwa, trzy dni.

Kiedyś przyleciałem do Nowego Jorku, a tyczek nie ma. Pytam, gdzie są. Sprawdzają.

Namierzyliśmy je, są w Algierii.

No, świetnie, więc na czym wystartuję w mistrzostwach Stanów Zjednoczonych? Na szczęście zawodnicy byli wtedy charakterni. Gdy amerykańscy skoczkowie usłyszeli, co i jak, mówią:

Wolly, nie może być tak, że przyleciałeś na drugą stronę Kałuży i nie będziesz skakał. Dobierz sobie tyczki z naszych, nawet jeśli mamy przez to nie wygrać.

Byliśmy wtedy jak fajna rodzina. Zналиśmy się świetnie z mityngów, a przede

wszystkim z szalonych bankietów po nich. Zwycięstwo w mistrzostwach USA przekładało się dla nich na konkretne pieniądze i kontrakty reklamowe. Wiedzieli, że jestem najlepszy na świecie, ale chcieli mnie pokonać na skoczni, a nie dzięki zrządzeniu losu. Tyczki mają numery, zawodnicy byli podobnej wagi, wzrostu, łatwo dobrałem więc odpowiednie. I co miałem robić? Oczywiście ograłem ich na tych zawodach.

Tymczasem linie lotnicze zafundowały moim tyczkom kolejną podróż, z Algierii w jakieś inne ciekawe miejsce. Na szczęście na kolejne zawody amerykański producent zdołał dostarczyć nowe, więc machnąłem ręką na tamte. Łatwo przyszły, łatwo poszły.

Rok później leciałem przez USA na zawody do kanadyjskiego Winnipeg. Ląduję w Nowym Jorku, w którym miałem zmianę lotniska z JFK na Newark, podaję kwit, oddają tyczki. Chcę wychodzić, a oni:

Zaraz, zaraz, jeszcze te drugie.

Jakie drugie? Nie mam żadnych innych.

Masz, masz. Rok już tu leżą. U nas nic nie ginie. Myśleliśmy, że to jakieś cholerne rury kanalizacyjne, ale dziś nam się skojarzyło. Sprawdziliśmy kwit, jest twoje nazwisko, więc je zabieraj w diabły.

Patrzę: rzeczywiście to te, co wtedy poleciały do Algierii. Linie lotnicze zdążyły mi nawet wypłacić odszkodowanie. Pieniądze przyjąłem z ochotą, chociaż tyczki od producenta dostawałem za darmo. Stare, zużyte sprzedawałem w Polsce na maszty do windsurfingów. Całą resztę byli w stanie zbudować sami, ale maszt musiał się lekko wyginać i nie być za ciężki. Odpadały więc materiały metalowe, które sporo ważyły i rdzewiały, a maszty z drewna zbyt łatwo się łamały. Tyczki z włókna węglowego nadawały się idealnie.

Zaprzyjaźniłem się z radzieckim skoczkiem o tyczce Władimirem Trofimienką, mistrzem Europy z Pragi z 1978 roku. W przeciwieństwie do rodaków był niezwykle otwarty i nie bał się kontaktów z cudzoziemcami. Lubiliśmy go także dlatego, że był bardzo zabawny. Na którymś mityngu zagadał do mnie, że ma problem z tyczkami. Jak zamówi w swoim związku sportowym, to musi czekać rok i dostaje dwie: jedną twardą jak cholera, drugą



giętką. A wiadomo, że potrzebny jest komplet na różne warunki atmosferyczne, na taki wiatr czy inny, na różne nawierzchnie. Z tyczkami jak z butami: dopóki noga rośnie, trzeba co rok kupować buty o rozmiar, półtora większe. A zawodnik z sezonu na sezon się poprawia, zmieniają się jego warunki fizyczne, raz się czuje lepiej, raz gorzej, więc potrzebuje twardszych, o różnej giętkości itd.

Nie ma sprawy mówię skontaktuję cię z producentami najnowocześniejszych tyczek z włókna węglowego, którzy mnie zaopatrują za darmo. To są amerykańskie firmy, SkyPole czy KataPole. Skoro przysyłają mi tyczki do Warszawy, to czemu nie mają tobie przysłać do Moskwy?

Potem dzwonił telefon z Okęcia: proszę przyjść i odebrać tyczki. Przyjeżdżałem, cła nie płaciłem, bo to specjalistyczny sprzęt sportowy, przecież nie pójde z nimi na bazar i ich nie sprzedam, żeby się wzbogacić, bo komu one i na co. Chyba że na tyczki do chmielu czy do pomidorów. Czysta sprawa.

Przedstawiciele tych firm byli zwykle na każdym mityngu, zaraz ich ze sobą poznałem i uradowany Trofimienko przybiegł do mnie cały rozjaśniony.

Władek! Sześć! Obiecali, że mi przyślą sześć tyczek. To dla mnie jak największy skarb. Jakbym dostał daczę pod Moskwą, tobym się bardziej nie ucieszył wołał cały podniecony.

Spotykamy się parę miesięcy później i co mi opowiada? Że wraca któregoś dnia do domu, a tu awizo z poczty. Stoi w niej, że jest do odebrania przesyłka z USA, a w niej „materiały z tworzywa sztucznego sztuk sześć”. Tylko że to ostatnie słowo zostało przekreślone i ktoś dopisał „12”. I że mu to dostarczą pod adres następnego dnia. Wład nie mógł się doczekać z radości, że tych tyczek aż 12. Już kombinował, na ile miesięcy startów mu wystarczą, że z kolegami będzie mógł się podzielić. Następnego dnia przyjeżdża furgonetka z poczty i wypakowują mu... sześć tyczek przeciętych na pół. Każda miała po 2,5 metra długości, bo się pocziarzom nie mieściły do bagażówki! I do tego jeszcze byli zdumieni, że Trofimienko na przemian to wpada w szal, to w rozpacz.

O co chodzi, obywatelu? Miały być materiały plastikowe i są. A gdzie napisane, że

miały być w jednym, pięciometrowym kawałku? Przecież tak nie nadają się do transportu. Skoro niczego nie brakuje, to nie ma podstaw do reklamacji. Miejcie pretensje do siebie.

Ze łzami w oczach mi to opowiadał: Tyle czekałem, Władek, tyle czekałem! Taki wstyd, że boję się Amerykanom przyznać i o nowe prosić.

Ale takie rzeczy to nie była tylko radziecka specyfika. W drodze na uniwersjadę w Meksyku w 1979 roku mieliśmy przesiadkę w Brukseli. Siedzę już w samolocie do Mexico City i patrzę przez okno, a tu na moich oczach ciężki wózek z bagażami przejeżdża po moich tyczkach, które leżą na pasie obok samolotu! Myślałem, że mnie szlag trafi. Że wysiądę, dopadnę kierowcę wózka i zaduszę gołymi rękami. Oczywiście nie wysiadłem, ale całą drogę gryzło mnie, na czym ja będę startował. Po wylądowaniu sprawdziłem, że szczęście w nieszczęściu koła wózka przetoczyły się gdzieś z dziesięć centymetrów przed końcem tyczki, w miejscu gdzie się je trzyma przy wybiciu. Gdyby gdzieś bliżej środka, to byłyby do wywalenia na śmietnik, a tak spróbowałem je uratować. Znalazłem kawał patyka, wystrugałem sobie drewniany kołek długości pół metra, który wetknąłem w tą rozklapiałą na końcu tyczkę. Całość oblepiłem kilka razy plastrem, żeby się nie rozchodziło. Mogłem ją złapać i skakać, ponieważ u góry się nie wygina, ale właśnie w środku. Jakoś udało się wygrać i te zawody.

Połamalem w karierze 27 tyczek, wszystkie w trakcie skoku. Dziś złamanie tyczki przez zawodnika to wielkie wydarzenie, które zaraz trafia na YouTubea i do serwisów informacyjnych. Nie wiem, czy prowadzący Księgę rekordów Guinnessa mają taką kategorię, ale podejrzewam, że wśród łamaczy tyczek nie mam konkurencji. Złamanie tyczki nigdy nie należało do przyjemności. Najczęściej naprężona żerdź pękała w momencie salta w tył, gdy ciągnęło się wyprostowane nogi nad poprzeczkę. Raz na obozie treningowym w Font Romeu, przed mistrzostwami Europy w Rzymie w 1974 roku, część złamanej tyczki tak mocno wyrznęła mnie w plecy, że straciłem przytomność. Spadłem na zeskok jak nieżywy. Ci, co nadbiegali, myśleli, że leżą zwłoki. Przebudził mnie potworny ból, miałem wrażenie, że mi rękę wyrwało z barku. Podniosłem głowę i szukam wzrokiem, czy ręka nie leży gdzieś obok. Ale patrzę, ręka jest na swoim miejscu więc dlaczego tak boli? A to tyczka trafiła mnie w plecy, od barku skosem aż po biodro po przeciwległej stronie. Nosilem potem pręgę jak od pałki zomowca przez dobrych kilka tygodni.

I nawet nie mogłem mieć do nikogo pretensji. Na pewno nie do producenta, bo zrobione były z najlepszych ówczesnych materiałów. Te dzisiejsze nie łamią się prawie wcale, a i nasze łamały się od wielkiego dzwonu. Akurat w Font Romeu miałem pecha, że przy poprzednim skoku, gdy już ją puściłem, tyczka spadła na stalową szynę i pękła w niej jedna czy druga warstwa włókna szklanego. A przy kolejnym skoku dokonała się reszta zniszczenia. A takie tyczki potrafiły wytrzymać nieprawdopodobne naprężenia. Podczas pewnych zawodów na warszawskim AWF Paweł Iwiński doprowadził do pełnego wygięcia tyczki, która wyrwała mu się z rąk i wyleciała w powietrze na dobrych kilkanaście metrów, obracając się z olbrzymią prędkością niczym śmigło helikoptera. Całe szczęście, że spadła pięćdziesiąt metrów dalej, nikogo po drodze nie kosząc.

Pozostałe pękły mi w rękach z przegięcia. Jedne na dwie części, inne na trzy. Nie były tak doskonale technologicznie jak dzisiejsze, do których produkcji wykorzystywane są materiały stosowane przez NASA do budowy promów kosmicznych. Tamte tyczki produkowali ręcznie Meksykanie, nakładając na siebie i sklejjając warstwy cienkiego materiału. Kładli na ziemi te pięciometrowe warstwy i zwijali w rurkę, jak monstualny papieros. Im więcej warstw, tym twardsza była tyczka. Im mniej, tym bardziej giętka. Poziomów giętkości było dziesięć, bo jednemu zawodnikowi lepiej skakało się na takiej, innemu na innej. Jak jakiś Meksykanin się nie przyłożył i gorzej wysmarował warstwę klejem, to szybciej pękała.

Przygodę z tyczkami zaczynałem od ciężkich, metalowych, które wcale się nie wyginały. Z roku na rok stawały się lżejsze i bardziej sprężyste. Ale i tak tamte nie wytrzymałyby porównania z dzisiejszymi.

Innym razem skakałem w Bolonii z Tadkiem Ślusarskim na pokazowym mityngu na zabytkowym rynku. Organizatorzy ułożyli rozbieg na podeście na środku placu, dookoła tłum ludzi. Kiedy zaczynaliśmy zawody, wiatr był normalny, ale akurat podczas mojego skoku powiał mi troszeczkę mocniej w plecy. Na tyle mocniej i w ostatniej chwili, że nie zdążyłem niczego skorygować. Lecąc nad poprzeczką na wysokości 5,50, już wiedziałem, że nie spadnę na zeskok. Poleciałem w bok i spadłem plecami na wybrukowany gładzi plac, waląc przy tym mocno o ziemię głową. Oczywiście straciłem przytomność. Po jakimś czasie się budzę i widzę nad sobą przerażone twarze. Wszystkim wydawało się, że już po mnie.

O Boże, żyje! Otworzył oczy! Poruszył!

A ja nie tylko się poruszyłem, ale wstaję i pytam:

Co jest? Moja kolej skakania?

Bo odjechałem całkowicie. Rzeczywiście, chciałem wstać i skakać, ale nogi miękkie, zachybotało mną, wywaliłbym się, gdyby mnie nie podtrzymali. Wsadzili mnie do karetki i odwieźli do szpitala. Tam zszyto mi łepetynę, parę szwów, i na szczęście wykluczono pęknięcie czaszki. Jako że plecy też wcale mnie aż tak nie bolały, odmówiłem położenia się do łóżka i kazałem się odwieźć z powrotem na zawody. Skakać już nie skakałem, ale zdążyłem jeszcze obejrzeć świetny skok Tadka na 5,70, którym wygrał zawody.

Następnego dnia był podobny mityng na stadionie w Rovereto, przepięknym miasteczku nieopodal jeziora Garda. Na głowie miałem turban z bandaży, ale postanowiłem sobie, że jeśli łeb nie będzie mnie boleć, to wystartuję. Nie bolał. Wystartowałem, wygrałem zawody i jeszcze pobiłem rekord stadionu.

Widocznie trzeba na głowę upaść, żeby tak skakać i bić rekordy śmiał się któryś z organizatorów.

Obliczyłem kiedyś, że w całej karierze wykonałem ze 25 tysięcy skoków. Wiadomo, że część musiała być spaprana. Ale tylko kilka razy przydarzyła mi się „zerowa”, czyli trzy zepsute próby z rzędu. Szczęśliwie nigdy nie przydarzyło mi się to, co Zbigniewowi Radzikowskiemu na mityngu w Kolonii, któremu po wybiciu tyczka wsunęła się w nogawkę spodenek, rozrywając je na strzępy, gdy spadał na materace. Biedak nie mógł wstać z zeskoku. Siedział, wstydliwie obciążając koszulkę, żeby nie zaświecić kibicom klejnotami rodowymi, i rozpaczliwie prosił:

Władek, ratuj! Przynieś mi spodnie od dresu!

Znacznie gorsza przygoda spotkała kiedyś Earla Bella, amerykańskiego skoczka i brązowego medalistę igrzysk w Los Angeles. Tyczka wdarła mu się nie tylko w nogawkę spodenek, ale i pod koszulkę. Gdy spadł, miał plecy rozorane do tego stopnia, że w szpitalu

założono mu aż 52 szwy.

## **Zawijas, czyli porządny autograf**

Moja eksplozja formy w 1973 roku zbiegła się z wprowadzeniem w lekkoatletyce klas sportowych. Za mistrzowską, międzynarodową, związek postanowił wypłacać 15 tysięcy złotych, podczas gdy średnia miesięczna pensja wynosiła wówczas parę tysięcy.

Miałem do tego szczęście, że klasę mistrzowską zapewniłem sobie, jako jedyny, skacząc 5,35. Pamiętam, że pierwsze, co zrobiłem, kiedy dostałem do ręki niespodziewane pieniądze, to polecałem kupić wymarzony czeski adapter. Ależ to była radocha! Jeszcze do tego parę płyt! Resztę pieniędzy odłożyłem do szuflady pod papier, którym była wyścielona, pojechałem na jakieś zawody i kompletnie o nich zapomniałem. Żadnych kont, przelewów, wyciągów jeszcze nie było, a dla mnie brak pieniędzy był zupełnie naturalny. Kiedy je odnalazłem, strasznie się ucieszyliśmy z mamą, bo wreszcie można je było wydać na coś, czego normalnie byśmy nie kupili: jakieś buty, bluzeczkę dla niej.

To nie był ostatni zastrzyk gotówki, bo po maturze jak większość sportowców w PRL dostałem lewy etat. Sport zawodowy postrzegany był jako wymysł zgniłego kapitalizmu. My, sportowcy socjalistyczni, biliśmy się o medale wyłącznie dla chwały ludowej ojczyzny. I oficjalnie żadnych pieniędzy nie dostawaliśmy. Ale nie było zawodnika, który nie byłby zatrudniony jak nie w kopalni (w przypadku sportowców ze Śląska), to na kolei, w hucie, milicji albo wojsku (jak w przypadku sportowców z Gwardii i Legii Warszawa). Wszystko zależało od tego, do jakiej branży należał zakład pracy utrzymujący klub danego zawodnika.

Władysław Kozakiewicz, Mieczysław Świdorski i Ryszard Skowronek na lotnisku,  
1976

Słynna anegdota opowiada o tym, jak piłkarze reprezentacji Kazimierza Górskiego wypełniali jakieś formularze przy wyjeździe za granicę. Kazimierz Deyna, który nie znał jeszcze wtedy angielskiego, podglądał, co w poszczególnych rubrykach wpisuje Włodzimierz Lubański. Imię, nazwisko, data urodzenia tu nie było żadnych wątpliwości. W rubryce „zawód” Lubański wpisał: górnik, bo rzeczywiście był zatrudniony na lewym etacie w kopalni jako sztygar. A Deyna... Legia. Bo uznał, że w rubryce chodziło o nazwę klubu, a Lubański był wówczas piłkarzem Górnika Zabrze.

Obecny prezes PZPN Zbigniew Boniek opowiadał mi kiedyś, że w czasach gry w Widzewie miał aż pięć fikcyjnych etatów w pięciu różnych zakładach włókienniczych. Pierwszego dnia każdego miesiąca chodził do pięciu miejsc, żeby odebrać pensję. Z kolei Władek Komar jako zawodnik warszawskiej Polonii, która była klubem kolejarskim, był zawiadowcą stacji w Skierniewicach, operatorem dźwigu, kierownikiem bazy transportu i czym się przechwalał operatorem ręcznej maszyny czyszczącej. Czyli miotły.

Ja jako młody, obiecujący zawodnik dostałem tylko jeden etat: kompletatora narzędziowego w Stoczni im. Komuny Paryskiej, która opiekowała się Bałtykiem Gdynia. Był to etat najbardziej przeciętnego pracownika Stoczni. Moja pierwsza lewa pensja wynosiła 2,5 tysiąca złotych, ale i tak było to więcej, niż zarabiała mama po wielu latach jako dozorczyń. W tym czasie piłkarze Bałtyku, którzy grali najpierw w III czy II lidze, byli aż na trzech etatach. Wściekało mnie to, ale tłumaczyłem sobie, że ja przynajmniej podróżuję po całym świecie, a oni po okręgowych boiskach.

Piłkarze nigdy nie przychodzili po pieniądze. Czekali, aż ktoś przyniesie im wypłatę do klubu. Ja zawsze trzydziestego każdego miesiąca osobiście wpadałem do Stoczni. I szedłem do moich kolegów robotników, którzy na co dzień oglądali mnie co najwyżej w telewizji, żeby usiąść, pogadać, poopowiadać o wielkim sporcie czy podzielić się ploteczkami. Żeby chociaż w ten sposób okazać im szacunek i zainteresowanie, bo przecież to oni na mnie harowali. Odwiedzałem zresztą nie tylko ich, ale i głównego dyrektora, a do sekretarek zawsze zachodziłem przywitać się z kwiatówkami. Lubilem to i jakoś różnie się czułem, kasując tę lewą kasę. Za to, że nie unikałem kontaktu, byłem w Stoczni lubiany i akceptowany. Wiedzieli, że jestem sportowcem na lewym etacie, ale mieli mnie za swojego człowieka. Wielokrotnie słyszałem, że czuli się dumni, słysząc o kolejnym rekordzie czy

zwycięstwie.

Etat straciłem dopiero w okresie „Solidarności”, gdy związkowcy uznali, że trzeba skreślić z listy płac wszystkich zatrudnionych na lewo.

W 1973 roku, zanim jeszcze pobiłem rekord Polski, najpierw po raz pierwszy w życiu skoczyłem na zawodach wyżej od brata. Poza środowiskiem lekkoatletów mało kto jeszcze wówczas kojarzył, że jest dwóch Kozakiewiczów. Bez przerwy brano mnie za Edka. Byliśmy do siebie podobni, chociaż różnica pięciu lat musiała być widoczna. Pamiętam, że podczas wizyt w Polskim Związku Lekkiej Atletyki na Foksal świętej pamięci Maria KwaśniewskaMaleszewska, brązowa medalistka w rzucie oszczepem z igrzysk w Berlinie w 1936 roku, wielokrotnie brała mnie na bok i perorowała: „Edku to, Edku tamto...”. A ja stałem grzecznie i słuchałem, bo byłem zbyt onieśmielony, żeby wyprowadzić ją z błędu.

Ale gdy przeskoczyłem brata, dziennikarze to zauważyli i polecieli go wypytywać, jak to odebrał. On oczywiście cieszył się, że zacząłem skakać tak wysoko. Praktycznie biorąc, byłem jego uczniem, jego wychowankiem. Był moim nauczycielem, ale i przyjacielem. Przekazał mi wszystko, co umiał. Jak to starszy brat, nieraz dał mi kopa w tyłek i wymuszał posłuszeństwo, ale poważnie pokłóciliśmy się może raz w życiu. Gazety przedstawiły wówczas tamto zwycięstwo jako zmianę warty: „Za Edwarda Władysław Kozakiewicz!”.

To nie była do końca prawda, bo Edek poświęcił się już wówczas w całości dziesięciobojowi. Dwukrotnie został medalistą mistrzostw Polski, zdobywając srebro w 1971 i brąz w 1972 roku. Rok później jako reprezentant Polski wywalczył Puchar Europy w dziesięcioboju w Bonn wraz z Tadeuszem Janczenką, Ryszardem Katusem i Ryszardem Skowronkiem, który był z nich wszystkich najlepszy (pojechał na dwa igrzyska olimpijskie i został mistrzem Europy).

Halowe mistrzostwa Polski: Władysław Kozakiewicz, Tadeusz Ślusarski i Wojciech Buciarski. Rozmowę prowadzi redaktor Zieliński. Warszawa, 1977

I właściwie to ja niechęć przyczyniłem się do przedwczesnego zakończenia kariery

przez brata. Jak wiadomo, krótko po przejęciu władzy przez Edwarda Gierka życie Polaków na chwilę się polepszyło. W sklepach pojawiły się wreszcie towary, a na ulicach fiaty 126p, czyli „maluchy”. Jako że zarabiałem w miarę nieźle, a nie bardzo miałem na co wydać pieniądze, załatwiłem sobie w FSO talon i prawo nabycia „malucha” bodaj za 30 tysięcy złotych. Tyle że, choć miałem już 20 lat, nie zdążyłem jeszcze zrobić prawa jazdy. Nie miałem do tego głowy, nie spodziewałem się zresztą, że w najbliższej przyszłości będę mógł sobie pozwolić na taki zakup. Samochód był więc mój, ale jeździł nim brat. Jeździł, jeździł i niestety miał wypadek. Jadąc do Poznania, gdzie studiował na AWF, zjechał lekko na pobocze. Było ślisko, padał deszcz, zatrzymały się prawe koła, „maluch” kilka razy zakręcił się w miejscu i sturlał ze skarpy. Po drodze parę razy dachował i na dole był kompletnie zrolowany. Edek najwyraźniej nie był zapięty, bo wylądował na tylnym siedzeniu. Lewa noga gdzieś tam zaplątała się między siedzeniami i doznał otwartego złamania podudzia.

Po wypadku spędził w szpitalu kilka miesięcy i mimo długiej rekonwalescencji nigdy już nie odzyskał całkowitej sprawności w feralnej nodze. Chcąc nie chcąc, musiał skończyć z uprawianiem sportu. Ukończył AWF i został trenerem w Bałtyku Gdynia oraz nauczycielem wuefu w szkole. Trenował dziesięcioboistów i tyczkarzy, w tym od 1983 roku mnie.

A ja w tym czasie wskoczyłem na światowy świecznik i nie dawałem się z niego strącić. W 1973 roku, jak już pobiłem rekord Polski, wygrywałem wszystkie zawody, w jakich startowałem, i nigdy nie schodziłem poniżej 5,30. Wywalczyłem pierwsze mistrzostwo Polski seniorów, byłem najlepszy w meczu Francja Polska w Paryżu. Wygrałem też Spartakiadę Armii Zaprzyjaźnionych w Pradze, co akurat było banalnie proste, ponieważ startowali tam prawdziwi żołnierze, a mnie wcielono do wojska tylko na te jedne zawody. I to do Marynarki Wojennej, przed którą tak drżałem, gdy ważyły się losy mojej matury. Opór nie zdał się na nic.

Rozumiem, że jedzie Tadek Olszewski. On, jako zawodnik Legii, jest przynajmniej oficerem Ludowego Wojska Polskiego, ale ja?

Wicie, rozumiecie, pojedziecie, wystartujecie usłyszałem w odpowiedzi. Nie było dyskusji. Pojechałem i jako młodszy marynarz wtłukłem biednym zaprzyjaźnionym wojakom.

Oprócz niezłych jak na ówczesne czasy pieniędzy pojawiły się i inne przyjemne



efekty popularności. Po pierwsze, bez przerwy ktoś mnie rozpoznawał, zaczepiał, prosił o autograf. Pamiętam, że ten pierwszy dałem we Wrocławiu po pobiciu rekordu Polski juniorów, gdzie skoczyłem 5,02. Nabazgrałem go drżąca, niewprawną ręką, zaskoczony prośbą. Po powrocie do szkoły opowiedziałem o tym z dumą Stasiowi Lemańczykowi, który dla żartu też poprosił o jeden. Potem spojrział i mówi:

Władek, co to za kulfon? Z czym do ludzi? Zaraz będziesz wielkim sportowcem, to musisz mieć porządny autograf. Dawaj, ćwicz na różne sposoby. Trzeba wymyślić coś ekstra.

I jedna lekcja za drugą, zamiast słuchać, jakich składników dodawać do potraw i na jakim ogniu gotować, czy na polskim, czy na biologii siedzieliśmy i zapisywaliśmy kolejne kartki, szukając odpowiedniego podpisu. Nauczyciele zdumieni: co my tak pilnie notujemy? I Stasiu wymyślił, jak ma wyglądać autograf. Nauczyłem się zawijasa i tak się podpisuję do dzisiaj.

Oprócz kibiców proszących o autografy zaczęło się pojawiać wokół mnie coraz więcej dziewczyn, które o nic nie prosiły. Wręcz przeciwnie, same miały sporo do zaoferowania. Pamiętam, jak skakaliśmy na treningu czy zawodach hali warszawskiego AWF: całe balkony pełne pięknych, roześmianych dziewcząt, które specjalnie przychodziły „na tyczkarzy” i posyłały nam zachwycone spojrzenia, machały i uśmiechały się do nas. Na trybunach stadionu Skry to samo. Co tu dużo mówić: nie dość, że byliśmy przystojni (tyczkarze, z racji specyfiki dyscypliny, zawsze byli najładniej zbudowani ze wszystkich lekkoatletów), to jeszcze wiadomo było, że tworzymy światową czołówkę. Ślusarski, Buciariski, Murawski, Kozakiewicz... Każda z tych dziewczyn podkochiwała się w którymś z nas i gotowa była pójść za nami na koniec świata.

Pewnie, że jako młody człowiek korzystałem z tego. Czerpałem pełnymi garściami. Nie zawałałem nocy w knajpach, papierosów nie paliłem, alkoholu też prawie wcale (to znaczy gorzały nie ruszałem, co najwyżej jakaś lampka wina czy szampana). Ale spędzić miły wieczór z dziewczyną to była dla mnie wówczas najmiłsza rozrywka i najlepszy relaks. Nie szukałem jeszcze wówczas narzeczonej. Nie chciałem się z żadną wiązać na dłużej. One, owszem, wyobrażały sobie dłuższe związki. Ale jak, skoro spotykamy się raz, drugi i trzeci i zaraz wyjeżdżam na zgrupowanie czy cykl zawodów?

W Zakopanem poznałem dziewczynę, przepiękną blondynkę, najładniejszą góralkę, jaką w życiu widziałem. Zakochała się aż do niemocy, a i mnie nie była obojętna. Ale co z tego, skoro zgrupowanie się skończyło, ja gdzieś w świat, a ona wyjechać nie mogła? Zobaczyliśmy się dopiero po roku. Znów było miło, ale ile to mogło tak trwać? Zwłaszcza że w kolejnym roku przyjechałem do Zakopanego już z żoną. Z duszą na ramieniu, że tamta nas znajdzie i ukatrupi.

W 1974 roku przenieśliśmy się z Gdyni do Warszawy na stałe, żeby trenować w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich na Bielanach. Dostałem wówczas pokój w słynnym „Meksyku”, czyli jednym z dwóch akademików na AWF. Była to oddzielna część domu studenckiego, w którym mieszkali mężczyźni. Żeński akademik mieścił się w innym budynku, tym samym, gdzie ośrodek olimpijski. Wchodziło się jednym wejściem i na lewo do ośrodka, a na prawo do dziewczyn, których bursę nazywaliśmy między sobą dosadnie „tartakiem”. Pokój był przechodni, to znaczy jak byłem w Warszawie, to był mój, a jak gdzieś wyjeżdżałem na dłużej, to kwaterowano w nim zawodników, którzy akurat przyjechali do stolicy. W szafach zostawały jednak moje ciuchy i sprzęty.

Później przeprowadziłem się do dwupiętrowego domku sto metrów dalej, w którym pokoje były co prawda dwuosobowe, ale za to miały własną łazienkę, co było absolutną sensacją. Mieszkałem przeważnie sam, współlokatorów miałem tylko od czasu do czasu i często się zmieniali. Taki pokój w „Meksyku” to był absolutny skarb dla osoby prowadzącej mój tryb życia...

## **Sprać mistrza**

Szybko też odkryłem ciemne strony popularności. Gdy już stałem się znany, nie mogłem pójść do dyskoteki czy knajpy, zwłaszcza w mniejszej miejscowości, bo zaraz znalazł się ktoś, kto chciał mi coś udowodnić, zmierzyć się z mistrzem, olimpijczykiem.

Wiele razy starano się mnie sprowokować, ale ja w takich sytuacjach od razu się wycofywałem. Staralem się nie wchodzić w bójkę, bo zdawałem sobie sprawę z własnej siły i ewentualnych konsekwencji. W Polsce nie było wówczas jeszcze siłowni i klubów fitness na każdym kroku, jak dziś. Ludzie dźwigali ciężarki w piwnicy i wydawało im się Bóg wie co. Przychodziły potem takie byczki i prowokowały. Nie zdawali sobie sprawy, jaka kipi we mnie energia i siła. Żeby unieść się na tyczce, trzeba naprawdę silnych mięśni i barów. Potrafiłem podciągać się na drążku bez końca, w górę i w dół, że głowa boli. Seryjnie robiłem przysiady ze sztangą o wadze 220 kilogramów. Skakałem z miejsca 3,50 metra w dal i 2,10 metra wwyż. Mięśnie brzucha miałem jak ze stali. Wiedziałem, że jak się zapomnę i przyłożę komuś nawet otwartą dłoń, to polecą trzy metry w powietrze. Bałem się zrobić komuś krzywdę, nie daj Boże zabić.

Edward Kozakiewicz skacze obserwowany przez brata Władysława. Stadion Skry, Warszawa, 1973

Pamiętam, byliśmy na zawodach w Kielcach i wieczorem, jak to młodzi ludzie, poszliśmy do dyskoteki coś zjeść, potańczyć, muzyki posłuchać. Razem ze mną Michał Joachimowski, trójskoczek, olimpijczyk z Monachium i Montrealu, oraz dwaj koledzy od tyczki, Paweł Iwiński i Romuald Murawski (z żoną). No i bawimy się w swoim gronie, nikogo z miejscowych nie zaczepiamy. Zaczęliśmy sobie tańczyć, ja ze znajomą, Murawski z małżonką. A tu podchodzi jakiś facet o głowę niższy od nas wszystkich i niby zaczyna tańczyć obok nas, ale co rusz złośliwie depcze nam po nogach. Widać było, że szuka rozróby. Specjalnie odsunęliśmy się kawałek, ale on do nas i dalej depcze. W końcu Murawski nie wytrzymał i do niego:

Nie masz lepszego zajęcia, tylko nam deptać po nogach? Spylaj, palancie, nie psuj ludziom zabawy.

Ale facet tylko na to czekał i do razu, z pierwszej rury, wziął zamach i wyprowadził cios. Murawski, jako sportowiec ze świetnym refleksem, zdołał się uchylić i niestety facet przyfastrygował jego biednej żonie. Ona w ryk, tośmy się oczywiście wszyscy rzucili na faceta. Przyleciała kupa ludzi. Jedni po naszej stronie, bronią, pomagają, bo widzieli, co się

stało. Inni przeciwko nam. Zamieszanie, rozgardiasz, dintojra. Wziąłem naszych na bok i mówię:

Zmywamy się! Chodźcie, opuszczamy lokal.

Ulotniliśmy się z lokalu, przeszliśmy ulicą mały kawałek, patrzymy, a tu biegnie jakieś towarzystwo.

E, podobno gdzieś tu Kozakiewicza biją? Nie wiecie gdzie?

Wiemy, o, tam. Spieszcie się, bo zaraz już nic dla was nie zostanie.

Polecieli ochoczo.

Tamci w knajpie mieli szczęście, że nie było z nami Edka. Braciszek nigdy nie czekał, aż rozwinie się sytuacja, tylko od razu walił po mordzie, i to niezwykle skutecznie, do zamroczenia. Kiedyś na ulicy w Gdyni szliśmy we dwóch, chyba na stadion Bałtyku, na trening. Nagle facet, który szedł z przeciwka, specjalnie zahaczył mnie barkiem o bark, ale tak mocno, że aż mnie rzuciło na bok.

Edek od razu:

Co jest?

Bo co? Coś się nie podoba?

I już rozwijał tradycyjną wiązanę, ale Edek wyprowadził szybkie trzy ciosy i facet nakrył się nogami. Leżącemu sprzedał na do widzenia kopa i poszliśmy.

Pamiętaj, Władek, zawsze musisz być pierwszy. Jak nie zdążysz, to sam oberwiesz.

Ale pierwszy to ja wolałem być na skoczni. W takich wypadkach zawsze wolałem ustąpić, wycofać się.

Zarzewiem wielu knajpianych awantur było to, że w miarę jak śrubowałem rekord Polski, jak najpierw zostałem mistrzem Europy, a potem świata, i było mnie coraz więcej w mediach, każdy, kto spotkał mnie w knajpie, stawiał sobie za punkt honoru napić się ze mną wódki.

Oooo, nasz mistrz! Czy mogę mistrzowi pobrać?

Nie, dziękuję, nie piję.

No, ale ze mną mistrz się napije.

Nie, nie napiję się z panem.

Ale jednego.

Ale żadnego.

Coś ty taki, człowieku, nieużyty? Trzymałem za ciebie kciuki, a ty mi odmawiasz?

A daj mi pan w spokoju zjeść kolację.

Oooo, patrzcie, jaki bufon! Parę razy wygrał jakieś zawody i myśli, że jest najlepszy. Ja ci pokażę, kto tu jest lepszy.

I już idzie na mnie z odwróconym krzesłem albo zamierza się kuflem. A jego kumple albo go odciągają, albo jeszcze podburzają. I weź tu zjedz kolację.

A już największą tragedią stało się podróżowanie po Polsce z tyczkami, ponieważ z nieznanych powodów te tyczki zawsze przyciągały wszelkich pijaczków, którzy aż się palili mi udowodnić, że poradziłoby sobie ze skakaniem nie gorzej niż ja. Ciągle musiałem się o nie szarpać. Kiedyś podczas przesiadki na dworcu w Tomaszowie Mazowieckim w podróży z Łodzi do Spały przyczepił się do nas z Wieśkiem Szkolnickim właśnie taki typowy podpity facecina. I dawaj wrywać mi tyczki on mi zaraz pokaże, co i jak. Odpycham go lekko, proszę, żeby się odczepił. Przeszliśmy nawet na drugi koniec peronu, żeby się od niego

uwolnić. Ale ten ciągle za nami. I nagle ni stąd, ni zowąd, w środku pijackiego bełkotu, jak mi nie przyłoży z piąchy w samo oko. A ja to oko miałem już całe sine, napuchnięte, łuk brwiowy nabrzmiały krwią jak po starciu w ringu z Muhammadem Ali, bo dzień wcześniej, po zawodach w Łodzi, idąc korytarzem hotelowym, obejrzałem się za przepiękną i najzgrabniejszą płotkarką i rekordzistką świata Teresą Sukniewicz. Gwarantuję, że za Teresą obejrzałby się z zachwytem każdy facet na świecie. Mój pech polegał na tym, że kiedy, nasyciwszy wzrok, odwróciłem się z powrotem, wyrzniętem głową w betonowy filar. Zadudniło, zobaczyłem wszystkie gwiazdy, a od filaru odłupał się z hukiem chyba dwukilogramowy kawał betonu. Teresa w śmiech i ja też w śmiech, że z jej powodu zdewastowałem słup. Trudno, stało się. Ale kiedy w tym Tomaszowie pijaczyna poprawił mi w tę, i tak już gigantyczną, śliwę, puściły mi nerwy. Jak go nie chwycę za krawat, jak mu nie zasunę. Poleciał kilka dobrych metrów do tyłu i usiadł oszołomiony na ziemi. A Szkolnicki dołożył mu jeszcze od siebie.

Władek podczas treningu w hali AWF. Warszawa, 1977

Na te zawody do Spały pojechaliśmy z Wieśkiem nielegalnie. Trener Wejman puścił nas z Bałtyku tylko na mityng w Łodzi. Tam jednak starsi i doświadczeni koledzy, Buciariski, Ślusarski i Olszewski, namówili mnie na kolejny w Spale. Głupio było odmówić, bo poczytywałem sobie za zaszczyt startowanie z nimi. Poza tym czułem się w formie i rwałem do skakania. Po powrocie Wejman, z którego był despota, raptus i gwałtownik, zmył nam głowy za tę samowolkę i zagroził dyskwalifikacją w razie powtórki. Nie mógł się pogodzić z tym, że na małą chwilkę wymknęliśmy mu się spod kontroli. Że przyjęliśmy zaproszenie od innego trenera. A nas przecież zapraszał między innymi trener kadry narodowej. Jak się miało okazać, nie był to mój ostatni samowolny występ, który wpędził mnie w kłopoty.

## **Montreal: niespełniony sen**

W 1974 roku postanowiłem zmienić trenera. Im miałem lepsze wyniki, tym gorzej

współpracowało mi się z Walentym Wejmanem. Nie kwestionowałem jego warsztatu, choć był samoukiem i do wszystkiego doszedł, eksperymentując na naszych żywych organizmach. Skoro jednak pod jego okiem poprawiłem się z 3,80 na 5,40, to znaczyło, że eksperyment się powiódł.

Inna rzecz, że technikę skoku wypracowałem po części dzięki radom brata, a do reszty doszedłem instynktownie: kiedy trzeba się wybić, ile powisieć, jak nogi zaciągnąć, żeby nie tracić poprzeczki. Miałem przy tym ten wyjątkowy talent, że z tyczką w rękach biegałem najszybciej ze wszystkich chłopaków, choć w biegu na setkę bez tyczki z większością z nich przegrywałem. Tadek Ślusarski biegał 100 metrów w czasie 10,5 sekundy, a ja w 10,9. Ale ostatnie 10 metrów przed skokiem z tyczką w rękach przebiegałem z prędkością 9,6 metra na sekundę, a on o 0,2 metra na sekundę wolniej.

W kwestii techniki Wejman niczego szczególnego mi nie pokazał. Ale też i niczego nie zepsuł. Cały czas mnie zachęcał:

Władek, ty nic nie zmieniaj. Skacz, jak skaczesz, bo to jest rewelacyjne!

Miał twardą rękę, nie znosił sprzeciwu, wszystkich sobie całkowicie podporządkowywał. Myślę, że wyszło mi to na dobre, bo nauczyło żelaznej dyscypliny i uczciwości wobec samego siebie. Jego słowo było dla mnie święte, zawsze wypełniałem z zaangażowaniem każdą wskazówkę. Do głowy mi nie przyszło, żeby go oszukiwać, wykonać mniej powtórzeń jakiegoś ćwiczenia, kiedy nie patrzył, czy ściemniać, że już to zrobiłem. A to była powszechna praktyka wielu kolegów, którzy sami najlepiej wiedzieli, co, jak i kiedy.

Niestety, Wejman nie chciał (czy nie potrafił) dzielić się mną z nikim innym. Najchętniej pozwoliłby mi trenować tylko u siebie, na stadionie Bałtyku, i startować w zawodach tylko pod jego okiem. Ale ja byłem przecież reprezentantem Polski, co rusz dostawałem powołanie od trenera kadry na obozy, konsultacje, międzynarodowe starty. Zawsze po powrocie do Gdyni był dla mnie niezwykle oschły, wyraźnie obrażony. Co dostałem wezwanie na wyjazd, na przykład do ośrodka przygotowań olimpijskich, to słyszałem z jego ust:

I po cholere na okrągło jeździsz do tej Warszawy? Tylko cię tam zepsują. Stolica cię wciągnie, będziesz źle trenował, opuścisz się, to prosta droga na dno. Chcesz coś osiągnąć, to musisz trenować u mnie.

Mistrzostwa Europy w lekkoatletyce: Władysław Kozakiewicz z trenerem Ryszardem Tomaszewskim. Włochy, Rzym, 1974

Ale ja oczywiście nie mogłem odmówić wyjazdu na zgrupowanie kadry. Jeśli byłem w Gdyni, trenowałem u niego najpilniej i najlepiej, jak umiałem. Zawsze z pełnym zaufaniem do niego. Ale latem 1974 roku zrobił mi wyjątkowo katorżniczy indywidualny trening. Czy dlatego, że nie chciał, żebym za dobrze wypadł na wrześniowych mistrzostwach Europy w Rzymie? Oznajmił mi, że jestem za gruby, i kazał biegać wokół stadionu w dwóch dresach. A przecież u mnie były same mięśnie. Przez to, że bez przerwy kazał mi ćwiczyć siłę, brakowało mi świeżości. Dopadły mnie potworne zakwasy, ledwo mogłem się ruszać. Kompletnie mnie zajechał. Forma spadła mi całkowicie, na skoczni ledwo przekraczałem 5 metrów. Zastanawiałem się, czy coś mu się nie pomieszało w głowie. Czy to jakiś nowy eksperyment, tym razem nieudany?

Ale dowiedziałem się, że przy tym wszystkim wygaduje o mnie niestworzone rzeczy w Polskim Związku Lekkiej Atletyki podczas wizyt w Warszawie. Oczernia mnie, jaki to jestem zły, niedobry, leniwy, nieposłuszny. Mało tego: że hulam i swawolę, że w domu z bratem urządziliśmy burdel na kółkach, co już było kompletną bzdurą.

Miałem tego dosyć. Uznałem, że więcej mi zaszkodzi, niż pomoże. Poszedłem do niego i oznajmiłem:

Trenerze, kończymy współpracę. Dziękuję za wszystko, ale jadę do Warszawy i już do pana nie wracam. Będę trenował z trenerem Ryszardem Tomaszewskim.

Dodałem, że klubu nie zmieniam, oficjalnie nadal będę zawodnikiem Bałtyku.



Nic nie odpowiedział. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Był rozgoryczony i prorokował, że się skończę w tej Warszawie. Że jeszcze wrócę do niego po prośbie, ale będzie już za późno. I nigdy mi nie darował. Pamiętam, że już mieszkając od dawna w Niemczech, przyjechałem do Polski w 1991 roku, już bez strachu, że nie będę mógł wrócić. Spotkałem Wejmana na treningu w Sopocie. Podeszedłem się przywitać, zapytać, co słyhać. Spojrzał tylko na mnie.

A ty skąd tu się wzięłeś?

I znów się odwrócił, by zająć się swoimi młodzikami, którym nawet nie powiedział, kim jestem. A dzieciaki nie kojarzyły, że na ich trening przyszedł mistrz olimpijski.

Zdecydowałem się na współpracę z Tomaszewskim, który był też trenerem Legii Warszawa. Zajmował się wyłącznie skoczkami o tyczce, mógł więc poświęcać im znacznie więcej czasu niż Wejman, który w Bałtyku prowadził jeszcze płotkarzy, skoczków w dal czy dziesięcioboistów. Pod względem charakteru był absolutnym przeciwieństwem Wejmana. Mimo że miał stopień kapitana artylerii, nie był wybuchowym, ale łagodnym, wrażliwym i cichym człowiekiem. O ile Wejman wybuchał przy najmniejszej próbie sprzeciwu ze strony zawodnika, o tyle Tomaszewski odpuszczał. Nie chciałeś go słuchać, wiedziałeś lepiej twoja strata. Nigdy drugi raz nie próbował przekonać opornego delikwenta. Treningi i wyniki wykazywały, że racja była po jego stronie.

Niestety, ten kij miał dwa końce. Tomaszewski nie potrafił walczyć o swoich zawodników u przełożonych, przez co wielu od niego odeszło. Nigdy na przykład nie zaproponował mi przejścia z Bałtyku do Legii, mimo że władze klubu go naciskały. Szanował to, że nadal jestem zawodnikiem Bałtyku, a z nim trenuję w ośrodku przygotowań olimpijskich na AWF. Może bał się, że taka propozycja doprowadzi do scysji? Ale ja pewnie dałbym się przekonać, gdyby ktoś mnie do tego zachęcił. Legia dawała sportowcom stopień oficerski i mieszkanie w stolicy. Dostałbym też pewnie znacznie wyższe stypendium, takie, jakiego zazdrościłem wielu moim kolegom legionistom, jak sprinter Marian Woronin. I nie musiałbym co rusz tłuc się pociągami na Wybrzeże.

Lojalność wobec Bałtyku odbiła mi się zresztą czkawką. Mój klub, jako pierwsza

instytucja w Polsce, zdyskwalifikował mnie, gdy bez zgody PZLA wyjechałem na starty na Zachód w 1985 roku. Już wcześniej zresztą dostawałem po nosie. Po igrzyskach w Moskwie w 1980 roku, w apogeum popularności, gdy wygrywałem wszystkie ogólnopolskie plebiscyty na najlepszego sportowca roku, a nawet na najlepszego lekkoatletę świata, w plebiscycie na sportowca Wybrzeża byłem drugi. Wejman jako szara eminencja sportu w Trójmieście miał wielkie wpływy i z nich korzystał.

#### Skok po srebro podczas mistrzostw Europy. Rzym, 1974

Postawiłem na współpracę z Tomaszewskim, bo potrzebowałem wówczas trenera przyjaciela, z którym dałoby się pogadać, podzielić wątpliwościami różnej natury. Od razu złapaliśmy świetny kontakt i nigdy, aż do końca współpracy w 1983 roku, nie mieliśmy żadnych niesnasek. Jego łagodna ręka mi nie przeszkadzała. Nie potrzebowałem nad sobą bata, ponieważ sam byłem dla siebie największym katem i nikt nie mógłby narzucić mi większego reżimu treningowego. Tomaszewski miał za to wielką wiedzę na temat techniki skoku o tyczce i niezwykle oko do szczegółów. Był bardzo dokładny, prawdziwy szczegółarz. Wideo jeszcze wówczas nie było, ale nakręcaliśmy skoki na taśmę filmową i klatka po klatce analizowaliśmy każdy aspekt. Poprawiał drobiazgi, ale okazało się, że miały one wpływ na wszystko. Już byłem bardzo szybki, a on jeszcze poprawił prędkość na rozbiegu. Stałem się silniejszy i coraz lepiej potrafiłem tę siłę wykorzystać. I nigdy nie czułem się u niego przetrenowany.

Nie czułem się też niewdzięczny wobec Wejmana. Chciałem tylko jednej rzeczy: skakać wyżej. Uznałem, że u Tomaszewskiego łatwiej będzie przełamać barierę 5,40, co w tamtym momencie już udało się Buciarowskiemu i Ślusarskiemu. Na wrześniowych mistrzostwach Europy w Rzymie udało mi się jednak wypaść lepiej niż oni. Wynik 5,35 dał mi srebrny medal i tytuł wicemistrza Europy. Wygrał reprezentant ZSRR Władimir Kiszkun, dla którego był to pierwszy i ostatni międzynarodowy sukces w karierze. Skoczył tyle samo co ja, tyle że w pierwszej próbie. Mogłem wtedy wygrać, ale zgubił mnie brak doświadczenia. Gdybym przesunął stojaki, na których wspierała się tyczka, o 5 centymetrów w stronę zeskoku, pokonałbym tę magiczną barierę 5,40. Miałem spory zapas, ale spadając, trąciłem poprzeczkę piersiami.

Trzeba umieć się cieszyć. Na podium podczas mistrzostw Europy zdobył srebro.  
Rzym, 1974

W ostatnich zawodach sezonu poprawiłem własny rekord, skacząc 5,38. Wejman mógł więc opowiadać, że cała ta fanaberia ze zmianą trenera pozwoliła mi się poprawić zaledwie o trzy centymetry, gdy u niego to były prawie trzy metry. Ja jednak byłem ze zmiany zadowolony. Skakałem bardzo regularnie, a najlepsze miało dopiero nadejść.

Rok 1975 zacząłem od brązowego medalu halowych mistrzostw Europy. Później znów byłem trzeci podczas transmitowanej przez telewizję imprezy „Skok o tycze z piosenką” w Hali Gwardii. PRL uwielbiał takie połączenia. Maryla Rodowicz śpiewała swoje przeboje, a ja znów nie zdołałem pokonać 5,40.

20 czerwca odbył się tradycyjny Memoriał Kusocińskiego na warszawskiej Skrze. Skoczyłem 5,10, potem 5,30, ale obie próby przełamania zakłętej wysokości 5,40 znów zakończyłem niepowodzeniem.

No ile można, na Boga! Ostatnia próba: teraz albo nigdy pomyślałem.

Dokładnie odliczyłem kroki, jak do pojedynku. Usztywniłem się, ponieważ podczas biegu liczyłem sekundy: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. W górę i w jakimś koszmarnym, nie swoim, sztywnym stylu bo przecież słyłem z gibkości przeskoczyłem tę cholerną wysokość.

Pal diabli styl, ważne, że jest życiówka!

Wpadłem w ramiona trenera Tomaszewskiego i pytam, co dalej. Skakać 5,45?

Nie, zakładaj 5,52. Co ci po 5,45, skoro Buciarowski właśnie ustanowił nowy rekord Polski?

A Buciariski właśnie skoczył 5,50. Niedostępna wysokość dla kogoś, kto cudem, stylem polamańcem, przełamał właśnie 5,40. Normalnie pewnie nogi by się pode mną ugięły na sam dźwięk: „5,50”. Ale byłem szczęśliwy i rozluźniony życiówką. I te 5,52 skoczyłem w pierwszej próbie! Pobitem rekord, i to nie tylko własny, o 14 centymetrów! No to skaczę dalej. Oficjalny rekord Europy Szweda Kjella Isakssona od trzech lat wynosił 5,55, ale trener kazał mi założyć poprzeczkę pięć centymetrów wyżej.

Jest w tobie moc, chłopaku. Wykorzystaj moment!

Dobra, trener wie lepiej. Biegnę, skaczę, spadam. Patrę, poprzeczka wisi, gdzie wisiała.

Rany, pewnie przeleciałem pod nią. Co za wstyd, tyle narodu na trybunach przemknęło mi przez głowę.

Ale już się podniósł radosny tumult, oklaski, gwizdy i spiker ogłosił nowy rekord Europy: 5,60! Znowu w pierwszej próbie. Poprawiłem już życiówkę o 22 centymetry! No to co? To atakuję rekord świata, który należał wówczas do Amerykanina Davea Robertsa: 5,65. Skoczyć 5,67 już nie zdołałem, ale wiedziałem, że wdarłem się do światowej elity. Że teraz PZLA nie ma wyjścia i musi wysłać mnie na przedolimpijskie zawody do Montrealu. Występ na wymarzonych igrzyskach stał się realny.

I wysłał! Na stadionie w Montrealu, gdzie za rok miał zapłonąć znicz olimpijski, wyprzedził mnie tylko Amerykanin Earl Bell, choć obaj skoczyliśmy 5,40. I niestety, jak się miało okazać, na igrzyskach obaj odegraliśmy tylko rolę statystów.

Jako że w tym roku na świecie nikt nie skoczył wyżej, zrobiło się o mnie głośno, czego efektem było między innymi zaproszenie na pokazowy mityng w Tokio. Polecieliśmy razem z trenerem Tomaszewskim. Na miejscu zamieszkałem w hotelu luksusowym jak cesarski pałac. W dodatku na klucz hotelowy we wszystkich sklepach mogliśmy sobie kupować, co chcieliśmy. Baseny, sauna, gabinety odnowy biologicznej, restauracja na dachu... Aż się nie chciało z tego hotelu wychodzić. Pierwszy oficjalny trening odpuściłem, pojechaliśmy dopiero trzeciego dnia. Limuzyna zawiozła nas na stadion, a tam kilka kamer, ze 20 fotoreporterów i nikogo więcej. Wycelowali we mnie obiektywy i co tylko się

ruszyłem, tatata i tatata zasuwiają migawki. Organizatorzy chcieli dokładnie udokumentować moją technikę, stąd to zaproszenie. Ale mnie po drugim kółku wokół stadionu zakręciło się w głowie. Kręci się, kręci i czuję, że dziś ze skakania nici. Jet lag. Inna strefa czasowa, jeszcze się nie zdążyłem zaaklimatyzować. W Ameryce to przychodziło od razu pierwszego dnia, ale gdy latałem do Azji, zawsze musiałem się męczyć przez kilka dni. Jeszcze prosto z samolotu dałbym radę wystartować, ale następnego dnia rano byłem kompletną niewyspaną dętką. Organizatorzy byli zawiedzeni.

Jak to, już po treningu? Przecież wcale pan nie skakał. Dlaczego pan nie skacze?

Wyjaśniłem, że taki mam rytm przygotowań. Oni na to, że aha. Wiadomo, najlepszy zawodnik na świecie ma swoje metody.

Okładka magazynu z Japonii, gdzie Władysław Kozakiewicz pobił rekord Stadionu Olimpijskiego w Tokio (5,50 m)

Następnego dnia czułem się lepiej. Rozgrzałem się, wziąłem tyczkę i chciałem skakać. Ale co dobiegłem z tyczką do końca rozbiegu, brakowało mi sił, żeby się wybić. A słyszę, że co dobiegam, to te wszystkie aparaty tylko furczą. Organizatorzy potwornie zawiedzeni, a i ja czułem się jak kochanek, który naobiecował Bóg wie co, a potem zawiódł w sypialni. Byliśmy w Tokio od poniedziałku, zawody w sobotę, a ja dopiero w piątek zdołałem przeskoczyć poprzeczkę. Ale skoki były naprawdę kiepskie. Mimo to wszystkie gazety następnego dnia dały moje zdjęcie, że proszę: oto jest u nas Kozakiewicz. Cholera wie, co oni tam pisali, wołałem nikogo nie pytać.

Inna rzecz, że skoki nie mogły być dobre, bo cały nasz pobyt był jedną wielką ucztą. W restauracji na dachu zamawialiśmy „na pokój” wielkie tbone steki, przepyszne owoce morza i tak cały tydzień. Któregoś dnia poszliśmy do innej restauracji, na I piętrze. Ale tam wszystko zwyczajne: pizza, makarony jakieś, to wróciliśmy na górę.

W dniu zawodów przeczekałem, aż Japończycy skoczą to, co byli w stanie, a nie było najgorzej, bo doszli do 5,40. Rozpocząłem od 5,20, potem 5,40, 5,50, 5,60, wszystko w

pierwszej próbie. No i znów zaatakowałem rekord świata. Niestety, zabrakło mi centymetra, więc stanęło tylko na rekordzie stadionu.

Ale organizatorzy i tak byli zachwyceni. Jak się wymeldowaliśmy z hotelu, przyszedł nas pożegnać sam szef japońskiej federacji lekkoatletycznej. Wziął do uregulowania rachunek i... aż go zgięło w pół.

To panowie nie jedli posiłków w hotelowej restauracji na I piętrze?

Okazało się, że ta na dachu była astronomicznie drogą prywatną restauracją, w której też honorowano gości hotelowych. Mój rekord stadionu słono więc Japończyków kosztował.

W roku olimpijskim regularnie skakałem 5,505,60. 29 maja na mityngu w Bydgoszczy obaj z Tadkiem Ślusarskim, jeden po drugim, poprawiliśmy rekord Europy. Skoczyliśmy 5,62, tyle że ja jako pierwszy. Czułem się tak rozluźniony i pewny siebie, że po przeskoczeniu poprzeczki przytrzymałem ją sobie ręką, żeby nie spadła. Tylko jeden Roberts raz jeden skoczył 5,65.

Do Montrealu przylecieliśmy odpowiednio wcześniej, żeby się zaaklimatyzować. Ja cały podekscytowany, bo żegnano nas fanfarami. Jak nasza ekipa odlatywała z Okęcia, tłum ludzi przyszedł nas pożegnać. Nie mogliśmy wejść do samolotu, bo fotoreporterzy kazali nam pozować na schodkach. Mnie z Ireną Szewińską, jako tym dwóm największym pewniakom do złotego medalu.

Na miejscu zamieszkałem w pokoju z Jackiem Wszolą, z którym serdecznie się zaprzyjaźniliśmy podczas mistrzostw Europy w Rzymie. Oszalającym wrażeniem zrobiła na mnie wioska olimpijska. Wszystko było tam piękne i doskonale zorganizowane. Urządzili nawet studio nagraniowe, w którym można było usiąść przy mikrofonie i nagrać kasetę z pozdrowieniami dla kibiców w kraju. W pięciu wielkich salach mieściły się bufety, w których do jedzenia było właściwie wszystko od pizzy i makaronów po befsztyki, które smażyono wedle zamówienia, oraz najprzeróżniejsze ryby. Gulasz, paella, sushi co kto chciał. Do tego wszystkie rodzaje owoców, coca-cola z saturatora do woli i kilkadziesiąt herbat do wyboru. Niektórzy koledzy z zaprzyjaźnionych krajów, jak już wracali do ojczyzny, przychodzili z torbami i ładowali towaru do pełna.

Ale najbardziej spodobała mi się giełda olimpijska, czyli taki plac, na którym spotykała się wiara z całego świata, żeby wymieniać znaczki, koszulki, dresy, ręczniki, czapeczki czy co tam kto miał. Ale przede wszystkim pogadać, poznać się. Miało się tam poczucie, że tworzymy jedną wielką olimpijską rodzinę. Z gęby nie schodził mi uśmiech, wdychałem tę atmosferę pełnymi piersiami. O tym właśnie marzyłem. Aż się nie chciało wychodzić do miasta, choć Montreal piękny. Chodziliśmy za to na występy pozostałych Polaków. Byłem na przykład na kilku meczach siatkarzy Huberta Wagnera czy piłkarzy Kazimierza Górskiego, choć nie na tych najważniejszych, finałowych, zwłaszcza tym legendarnym, w którym siatkarze pokonali ZSRR. Bo nie można się było na nie dostać.

#### Otwarcie 21. Igrzysk Olimpijskich w Montrealu, 17 lipca 1976

Na siłowni zaprzyjaźniłem się z legendarnym radzieckim sztangistą Wasilijem Aleksiejewem, który w najcięższej kategorii wagowej ustanowił 80 rekordów świata i wywalczył dwa złote medale olimpijskie. Sam ważył 160 kilogramów, miał brzuch jak mały fiat i wszystkie dostępne na siłowni ciężary podrzucił jak piłeczki tenisowe. Poznałem też słynną czechosłowacką kulomiotkę i rekordzistkę świata Helenę Fibingerovą. Była to kobieta mojego wzrostu, tylko 40 kilogramów cięższa. Przyszła, gdy wyciskałem sztangę w leżeniu na ławeczce, i spytała, czy może się dołączyć. Ćwiczyliśmy na zmianę, tylko ona dołożyła kilka ciężarów. Szybciutko zrobiła serię 1015 powtórzeń i ustąpiła mi miejsca. Uniosłem jej sztangę i oczy wyszły mi z orbit. Ledwo byłem w stanie dźwignąć dwa razy w górę. Wstałem i mówię:

Jezu, Helena, ale ty jesteś silna!

A ona jak mnie nie chwyci w objęcia.

Władek, ty to jesteś fajny chłop! To najlepszy komplement, dziękuję. Jakby mi ktoś powiedział, że jestem śliczna, tobym zaraz dała po mordzie.

Zostaliśmy najlepszymi kumplami.

Raz przeraził nas enerdowski kulomiot Udo Beyer, który miał 194 centymetrów wzrostu, ważył 130 kilogramów i w kącie sali seriami robił przysiady, dźwigając na sztandze 340 kilogramów. Nagle ta sztanga złamała mu się na karku i jak nie walnie o podłogę! Huk nie z tej ziemi, aż dziw, że nie zrobiła dziury w podłodze. A Udo tylko otrzepał ręce.

To byli wielcy mistrzowie, których podziwiałem. Ja przy nich byłem małym. Wszyscy zdobyli zresztą w Montrealu po złotym medalu.

Życie w wiosce toczyło się 24 godziny na dobę. Cały czas była otwarta dyskoteka, trwała jedna wielka nieprzerwana impreza. Z tym że ja grzecznie chodziłem spać o 22. Występ był najważniejszy. Trenowałem dwa razy dziennie i dużo więcej niż wszyscy pozostali. Na jednym z treningów podszedł do mnie Bob Seagren, mój idol z lat dziecięcych, mistrz olimpijski w skoku o tyczce z Meksyku, który już wówczas grał w amerykańskiej operze mydlanej ze znanym aktorem Billym Crystalem. Przedstawił się i pogratulował mi wyników.

Wolly, obserwuję twoją karierę od dawna i nie zdziwię się, jeśli pokonasz tu moich rodaków.

Byłem zaszczycony, że facet, którego zdjęcia wycinałem z gazet jako dzieciak, mówi mi takie rzeczy. Wszystko układało się perfekcyjnie. Czuję się niezwykle mocny i pewny. Żadnej tremy, żadnego stresu.

26 lipca, w dniu finału skoku o tyczce, w Montrealu rozpadał się deszcz i znacznie spadła temperatura. Wykonałem jeden skok próbny i zapisałem jeszcze jeden. Przede mną miało skakać pięciu innych zawodników, ale jak jeden mąż zrezygnowali. Ledwo założyłem dres, a tu znów wyczytano moje nazwisko. I popełniłem młodzieńczy błąd: powinienem był odpuścić, po prostu się przebiec, skoro potrzebowałem rozgrzewki. Miałem w planie dwa skoki, więc chciałem oddać dwa. Więc choć nie czułem się rozgrzany, prosto z ławki udałem się na rozbieg.

Poprzeczkę zawiesiłem na 5,30, czyli na wysokości jak dla mnie dziecinnie bezpiecznej. Być może niedokładnie rozgrzane, schłodzone deszczem mięśnie sprawiły, że



nie wygiąłem tyczki do końca. Wyrzuciła mnie w powietrze, ale nie na tyle, żebym przeskoczył poprzeczkę. Nim się połapałem, co i jak, już leciałem głową w dół prosto w dołek, w którym opiera się tyczkę. Zdołałem jednak zrobić salto w przód i ostatecznie upadłem plecami na zeskok. Ale nogami do nierównego dolka. I pękła torebka stawowa w lewej nodze.

Z powodu adrenaliny nawet nie poczułem bólu, ale spostrzegłem, co się stało, gdy zeszywniała mi stopa. Pędem pobiegłem do lekarza naszej ekipy, profesora Sowińskiego, żeby zrobił mi zastrzyk przeciwbólowy. Obejrzał stopę i mówi:

Zapomnij o konkursie, nic się nie da zrobić.

Nie ma mowy, skaczą! Przyjechałem tu wygrać!

Nie zrobię ci zastrzyku, bo nie chcę, żebyś już kończył karierę. Młody jesteś, pojedziesz na następne igrzyska.

Błagałem go, ale był nieugięty. Oczywiście miał rację. Nawet z blokadą przeciwbólową miałbym szansę najwyżej na piąte, szóste miejsce, ale nie na triumf. Nie czując bólu, biegałbym normalnie, a że to jeszcze była stopa, którą się odbijałem, mógłbym doprowadzić do nieodwracalnych zniszczeń w kostce. Skończyłoby się operacją, której rezultatu nie dało się przewidzieć.

Nie zamierzałem jednak odpuszczać. Nie wierzyłem, że to koniec. Postanowiłem skakać z bólem. Obwinałem ciasno obolałą stopę bandażem i z wielkim trudem, ale jakoś w końcu wcisnąłem w but. Gdy przyszła moja kolej, raczej poczłapałem, niż pobiegłem z tyczką. Ale jakimś cudem pokonałem 5,25. No dobrze, to w następnej kolejności 5,45. Wybijałem się, ale za każdym razem brakowało mi dynamiki, żeby przelecieć nad poprzeczką. Raz za razem strącałem ją na ziemię. I to był koniec wyśnionego występu na igrzyskach. Sklasyfikowano mnie na 11. miejscu.

Polska wróciła jednak z Montrealu ze złotym medalem w skoku o tyczce. Wywalczył go Tadek Ślusarski. Cztery lata wcześniej, w Monachium, nie zaliczył w finale żadnej próby. W Montrealu też nie był faworytem, bo kilka miesięcy przed wyjazdem zerwał ścięgno i

skręcił stopę. To, że w ogóle poleciał, zawdzięczał trenerowi kadry Andrzejowi Krzesińskiemu, który własnym honorem gwarantował przed władzami Związku, że Tadek dobrze wypadnie. Nic nie zapowiadało jego sukcesu, bo do finału awansował dopiero z 16. rezultatem. W finale oddał tylko trzy skoki, zaliczone w pierwszych próbach 5,20, 5,40 i 5,50. Ten ostatni dał mu złoto.

Władysław Kozakiewicz (ten najmłodniejszy) z trenerem Ryszardem Tomaszewskim i kanadyjskimi Polonusami przed konkursem. Montreal, 1976

A mi tym trudniej było pogodzić się z klęską, że wierzyłem, że w tamtej formie 5,60 skoczyłbym bez problemu. Poczułem narastający ból w opuchniętej nodze i w sercu, że tak zawałem najważniejszy występ w życiu. Druga taka szansa może się już nie powtórzyć. Gdy adrenalina opadła, nie mogłem zrobić kroku na obolałej nodze. Profesor Sowiński zapowiedział, że w wiosce olimpijskiej natychmiast włoży ją w gips. A tu trzeba było pozbierać po sobie tyczki i torbę. Siedziałem tak zdruzgotany, że słynny komentator Bohdan Tomaszewski wyznał mi później, iż nie miał odwagi podejść i mnie pocieszać. Wyobraził sobie, jak muszę rozpamiętywać przygotowania dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, a wszystko na marne.

Pojawił się za to Jacek Wszola, który pomógł mi się pozbierać. Spakował moje manele, wsadził mnie w autobus i wróciliśmy do wioski. Tam przesiedzieliśmy w milczeniu w pokoju bite trzy godziny. Żaden z nas nie musiał nic mówić, wszystko było wiadomo. W końcu Jacek walnął pięścią w stół:

Dobra, Wladek, nie przejmuj się. Pomszczę cię i wygram.

Wtedy obaj wzięliśmy te słowa za młodojecką przechwałkę. Jacek miał 19 lat, faworytem nie był. Kto mógł przypuszczać, że dotrzyma słowa? 31 lipca w ciągnącym się cztery godziny konkursie nie przeszkodził mu rzęsty deszcz. Wręcz przeciwnie, okazał się sprzymierzeńcem.

Ja tymczasem z nogą w gipsie i poruszając się o kulach, wstąpiłem do „klubu

przeegranych”. Założyliśmy go wraz z Józefem Zapędzkiem, dwukrotnym mistrzem olimpijskim w strzelaniu z pistoletu szybkostrzelnego z Meksyku i Monachium, któremu w Montrealu trzy razy zacięła się broń i został zdyskwalifikowany. Oraz ze złotym medalistą olimpijskim z Monachium w podnoszeniu ciężarów Zygmuntem Smalcerzem, który spalił wszystkie trzy próby w rwaniu. Wszyscy przyjechaliśmy do Kanady z wielkimi nadziejami i wszyscy zawiedliśmy, więc razem było nam różnie. Dobiła jeszcze jedna płotkarka i razem poszliśmy w miasto. Godzina 22 przestała nas obowiązywać, a Montreal cały aż tętnił igrzyskami. Mimo klęski chcieliśmy się jeszcze trochę nacieszyć tym sportowym świętem. Ale w głowach każdemu siedział już następny sezon, kolejne zawody i okazje do udowodnienia całemu światu, że ten zły występ to wypadek przy pracy. Bo nadal jesteśmy najlepsi.

## **Pierwsza dyskwalifikacja**

Wspomnienie zawałonego startu w Montrealu prześladowuje mnie do dziś, za to gipsu pozbyłem się bardzo szybko. Już trzy tygodnie po igrzyskach, 14 sierpnia 1976 roku, wystąpiłem na mityngu w Viareggio, gdzie skoczyłem 5,20.

Mimo nieudanego występu w Kanadzie byłem rekordzistą Europy, zewsząd sypały się więc zaproszenia na międzynarodowe zawody. Z Włoch pojechałem do Nicei, stamtąd od Zurychu, gdzie zadebiutowałem w słynnym mityngu Weltklasse, w którym później wystąpiłem aż 12 razy.

1 września czekał mnie start na mityngu w Kolonii. Tam przed startem dopadł mnie Stefan Paszczyk, po 1989 roku szef Polskiego Komitetu Olimpijskiego, poseł na Sejm i ambasador Polski w Argentynie, a wówczas kierownik szkolenia w Polskim Związku Lekkiej Atletyki.

Albo założysz buty Adidasa jak reszta reprezentacji, albo wracasz do Polski!

Ale ja skacę w tigerach.

Za start w tigerach czeka cię dyskwalifikacja. Masz to jak banku!

Rzeczywiście, cały związek miał wówczas podpisany kontrakt z Adidasem. Ale były wyjątki: Irena Szewińska i ja mieliśmy indywidualne kontrakty. Jeszcze w 1975 roku zgłosili się do mnie przedstawiciele japońskiej firmy Tiger, w latach 90. wchłoniętej przez znanego producenta sprzętu lekkoatletycznego Asics. Zaoferowali trzyletni kontrakt za 10 tysięcy dolarów. W PRL to była suma astronomiczna, można było za to utrzymać rodzinę do końca życia. Byłem zachwycony, ale wiedziałem, że muszę to skonsultować z szefem Głównego Komitetu Kultury Fizycznej Bolesławem Kapitanem. Wyraził zgodę, co prawda ustnie, ale przy świadkach. Nie miał pojęcia o lekkoatletyce i było mu to obojętne.

A skacz sobie, w czym chcesz, tylko wygrywaj dla nas jak najwięcej!

Memoriał Kusocińskiego. Bydgoszcz, 1976

No to skakałem. Na igrzyskach w Montrealu nikomu z polskiej ekipy moje tigery jeszcze nie przeszkadzały. Miesiąc później w Kolonii już tak. Może dlatego, że wróciłem bez medalu? Irena zdobyła w Montrealu trzeci złoty medal na trzecich igrzyskach, tym razem w biegu na 400 m, więc nikt się jej nie czepiał. Zresztą i tak nikt nie śmiałyby jej ruszyć, miała już wówczas status ikony polskiego sportu. Mnie jeszcze daleko było do takiej pozycji i Paszczyk nie chciał słuchać tłumaczeń, że mam zgodę Kapitana.

Wskakuj w adidasy, nie ma gadania!

Nie będę skakał w kolcach, do których nie jestem przyzwyczajony. Nie chcę skończyć jak w Montrealu odparłem.

Raz, że nie chciałem stracić kontraktu. Adidas płacił sportowcom tylko w sprzęcie, ponieważ umowę zawierał z całym Związkiem. Płacił mu 40 tysięcy marek i miał do

dyspozycji całą plejadę polskich lekkoatletów, wówczas najlepszych na świecie. Namawiali mnie oczywiście na Adidasa jeszcze przed igrzyskami w Montrealu, ale im powiedziałem, że Tiger zaprojektował dla mnie specjalne buty. W normalnych biegać nie mogę, bo mam platformy poprzeczne i mnie nogi strasznie boją. Oczywiście, to była ściema, ale nie poddawali się i wysłali mnie do siedziby Adidasa w Herzogenaurach pod Monachium, żeby tam zaprojektowano buty idealnie przylegające do mojej stopy. Założyciel firmy Adi Dassler osobiście mierzył mi stopy, mam nawet zdjęcie, jak mi ją obrysowuje. Za jakiś czas przysłali je do Warszawy, ale ja się zaparłem, że mnie cisną, że nogi po nich boją, i dalej skakałem w tigrach.

A dwa, że byłem krnąbrny. Było tajemnicą poliszynela, że Paszczyk przyjechał do Kolonii prosto z siedziby Adidasa w Herzogenaurach. Musieli go tam obsztorcować, że czołowe gwiazdy polskiej lekkoatletyki, Szewińska i Kozakiewicz, skaczą w butach konkurencji. Wiedzieliśmy, że jak każdego polskiego działacza obdarowali go tam darmowym sprzętem, a może i pieniędzmi. Generalnie my, zawodnicy, uważaliśmy wówczas działaczy za niekompetentnych darmozjadów. Jeździli po zawodach, nie mając żadnego pojęcia o sporcie. Ale jak mogło być inaczej, skoro szefem UKF i ministrem sportu został profesor Bogusław Ryba, który zasiadając na pierwszych zawodach lekkoatletycznych w życiu, zwrócił się do otoczenia:

A który to nasz zawodnik?

Ten w białoczerwonym stroju, panie ministrze.

Podczas sprintu na 100 m któryś z zawodników ruszył za szybko i start trzeba było powtórzyć.

Falstart wyjaśnił ktoś ministrowi.

A który to ten Falstart? Pokażcie no...

Za chwilę był wyścig na 400 m.

A dlaczego oni dalej biegną? dziwił się Ryba, gdy minęli linię 100 m.

To było tylko śmieszne. Ale nie było nam do śmiechu, gdy na cykl startów do USA poleciał z Jackiem Wszolą i ze mną w roli opiekuna Czesław Ząbecki, wiceprezes PZLA. Dopiero na miejscu odkryliśmy, że nie zna słowa po angielsku i w najmniejszym stopniu nie jest w stanie organizować nam pobytu. Strasznie nas to wkurzyło, więc zaczęliśmy z Jackiem podpuszczać go, żeby coś dla nas załatwił.

Panie prezesie, pan zapyta organizatorów, o której podstawią busa pod hotel.

Ząbecki zniknął, udając, że idzie rozpytać, po czym wracał i oznajmiał:

Oni jeszcze sami nie wiedzą. Mamy czekać na dole i zobaczyć, kiedy podjedzie...

Tak wyglądała jego pomoc. Głównym jego zajęciem były starania, żeby przyszczędzić tych parę dolarów, które zabrał ze sobą. Głównie na jedzeniu. Raz pościł przez kilka dni i musieliśmy go dożywiać.

Niemcy, centrala Adidasa. Zdejmowanie miary. Obok Tadeusza Ślusarskiego (na kanapie) stoi założyciel firmy Adidas Adolf Dassler. Herzogenaurach, 1977

Oczywiście, zdarzali się kompetentni działacze, prawdziwi pasjonaci, jak Piotr Nurowski, późniejszy szef PKOl, który zginął w katastrofie smoleńskiej. Nigdy mnie nie ganiał za nic, wiedział, jak jest, i nie miał nic przeciw temu, żeby sportowcy coś sobie dorabiali z prywatnego kontraktu. Albo pułkownik Milewski z Warszawy, który choć był wojskowym trepem, kochał sportowców i zamiast trzymać nas żelazną ręką, pomagał, jak umiał, omijać peerelowskie absurdalne przepisy. I bronił, jeśli któryś z nas czymś tam podpadł, podobnie jak Marian Renke, który został szefem UKF przed igrzyskami w Moskwie.

Ale więcej spotykało się działaczy działających głównie we własnym interesie. Mieliśmy poczucie, że nieźle sobie żyją dzięki nam, bo przecież to my zarabialiśmy na cały związek. Byliśmy walutą. Na przykład za starty na mityngach w Rzymie i Mediolanie dostawaliśmy po 20 dolarów diety, ale Włosi organizowali później dla PZLA trzytygodniowy

obóz treningowy w Formi dla 20 zawodników i działaczy.

Polska zaczęła też produkować tyczki o nazwie SkyPol, wypuszczając przy tym plakaty z moją podobizną po całym świecie. Nie dostałem za to ani grosza. Na wszystkim zarabiał PZLA, a nie wykluczam, że i indywidualnie jacyś działacze, którzy wpadli na ten pomysł.

Z tych wszystkich powodów wkurzyłem się w Kolonii na Paszczyka, bo niby to dlaczego jego interes ma być na wierzchu, a nie mój? Poszedłem na rozbieg w tigerach i skoczyłem 5,45, co było przyzwoitym światowym wynikiem.

Następnego dnia nie zdążyłem się jeszcze dobrze wyspać, a już zostałem odstawiony na lotnisko, na samolot do Polski. Prosto z lotniska przyjechałem do siedziby związku na Foksal, gdzie stanąłem przed komisją dyscyplinarną.

Wszedłem do pokoju, a tam siedziało siedmiu facetów, wszyscy z marsowymi minami. Będą mnie sądzić, jakbym popełnił nie wiadomo jaką zbrodnię. Śmiać mi się chciało.

A gdzie mój obrońca? zapytałem.

Jak to obrońca? zdumieli się.

Widzę tu samych prokuratorów, chociaż jeden obrońca by się przydał.

Przesłuchanie było hucpą, bo doskonale wiedzieli, że miałem zgodę szefa Urzędu Kultury Fizycznej. Poszukali innego kija. Wymyślili, że skażą mnie za... odmowę występu w reprezentacyjnych barwach w rocznicę wybuchu II wojny światowej! Brzmiało tak, jakbym wykonał jakiś polityczny gest, co najmniej odmawiając włożenia dresu w biało-czerwonych barwach. A przecież chodziło wyłącznie o buty. Absurd oskarżenia był tym większy, że na mityngach startowaliśmy w strojach klubowych, a nie narodowych, jak podczas mistrzostw świata, Europy czy na międzynarodowych meczach. Żaden z polskich sportowców nie miał na stroju orzełka.

Wyrok brzmiał: dyskwalifikacja na sześć miesięcy. Zmartwiłem się, że nie pojedę z

kadrą na zimowy cykl startów w Australii, mimo że organizatorzy wyraźnie poprosili o moją obecność, bo chcieli skonsultować metody treningowe. Jak się miało okazać, nie była to ostatnia dyskwalifikacja w mojej karierze, ale pierwsza z wielu. Co ciekawe, za każdym razem przepadał z tego powodu wyjazd do Australii.

Z Warszawy wróciłem do Gdyni, gdzie przynajmniej mogłem wykurować do końca nieszczęsną nogę. Okazało się, że odpoczynek bardzo mi się przydał. Pierwsze skoki w 1977 roku pokazały, że jestem w niesamowitej formie. Dyskwalifikacja obejmowała wyłącznie imprezy zagraniczne, nie mógłbym pojechać, nawet gdybym chciał, bo cofnięto mi paszport. Nie tylko nie zarabiałem na zagranicznych mityngach, ale zabrano mi wszystkie stypendia sportowe.

Za to w kraju mogłem, a nawet musiałem startować. I wygrywałem każde zawody. Wpadłem przy tym na szatański pomysł, jak nie zerwać kontraktu z Tigerem, a jednocześnie sprawić, żeby działacze nie mieli się o co przyczepić. Wyczytałem w umowie z Japończykami zapis, że mogę startować albo w tigerach, albo w butach krajowych. Był to zapis pusty, bo przecież Polska nie produkowała profesjonalnych kolców. Logo Tigera tworzyły cztery skrzyżowane, lekko zakręcone paski. Zamalowałem czarną pastą część z nich, tak że utworzyła się litera „W”, przypominająca nieco logo polskich butów, tak zwanych wałbrzychów. Ale koledzy tę moją przeróbkę ochrzcili „władkami”.

Skakałem tak dobrze, że PZLA postanowił łaskawie skrócić mi o trzy tygodnie międzynarodową dyskwalifikację, żebym mógł wystartować w halowych mistrzostwach Europy w San Sebastián. Byłem młody, chciałem mieć już to wszystko za sobą i dalej bić się o rekordy na skocznich całego świata, więc zgodziłem się z radością. A powinienem był powiedzieć draniom: „Mielście rację, słusznie mnie zawiesiliście, chcę odbębnić karę do końca”. Bo przecież nie chodziło im o moje dobro, tylko o własne interesy, żeby mogli sobie rozdać premie za kolejny medal czy rekord, a przy tym utrzyć mi nosa, pokazując, kto tu jest panem i władcą. I wiedzieli, co robią, bo ja w tym San Sebastián po raz pierwszy w karierze zdobyłem mistrzostwo Europy, skacząc 5,51, co było rekordem imprezy. Skoczyłem 15 centymetrów lepiej od kolejnego zawodnika.

Memoriał Kusocińskiego. Bydgoszcz, 1977



W ogóle w 1977 roku w całym sezonie przegrałem tylko jeden jedyny start. Ostatni. Podczas Pucharu Świata w Düsseldorfie skoczyłem na swoim poziomie 5,60, ale Amerykanin Mike Tully uzyskał tyle samo w pierwszej próbie i strącił mnie na drugie miejsce.

Z San Sebastián zjechaliśmy całą lekkoatletyczną bandą do Warszawy na półfinał Pucharu Europy. Na stadion Skry przyszły tłumy pragnące obejrzeć światową śmietankę. Byliśmy zdeterminowani, żeby pokonać u siebie mocne ekipy RFN, ZSRR i Jugosławii. Najwięksi sportowi idole Polaków Szewińska, Wszola, Malinowski po prostu nie mogli przegrać przed własną publicznością. Tymczasem pierwszego dnia Wszola, mistrz olimpijski z Montrealu, na którego wszyscy tak bardzo liczyli, zajął drugie miejsce, przegrywając z Niemcem. Jacek, niezwykle ambitny sportowiec, był zdruzgotany. W Pucharze Europy każdy zawodnik zbiera dla drużyny punkty, które się później sumuje. Wygrywa drużyna, która zebrała najwięcej. Bał się, że przez jego drugie miejsce Polsce zabraknie punktów do zwycięstwa.

Tym razem to ja go pocieszałem i obiecywałem, że zwycięstwem odrobnię straty. Pocieszaliśmy się w jego mieszkaniu.

Zobacz, Władek, co tam mamy w barze. No, muszę czymś zapić ten smutek.

Zajrzałem, a tam były tylko butelki jakiegoś kolorowego likieru, lokalny przysmak z San Sebastián, który Jacek przywiózł z Hiszpanii. Paskudztwo, ale chciałem mu dotrzymać towarzystwa. Ani się obejrzeliśmy, jak gadając do nocy, osuszyliśmy całą butelkę, potem następną, a w końcu cały barek. Zupełnie zapomniałem, że następnego dnia, a właściwie już za parę godzin, sam startuję. Taksówką wróciłem do swego pokoju w „Meksyku” i spać. Rano wstaję, łeb jak bania, ból, że nie mogę stać równo, na oczy ledwo widzę. I nagle strach, że w takim stanie zawalę konkurs. Na szczęście skok o tyczce zaczynał się dopiero o 12. Przyjechałem na Skrę. Najpierw rozgrzewka, ostrożnie, bo bałem się, że się nie daj Boże porzygam. Tylko truchtałem.

Rywale zaczęli skakać od 4,40. Jacek, który czuł się winny nie tylko własnej klęski, ale już i mojej porażki, przyniósł dwie aspiryny. Popiłem i mówię do niego:

Dobra, zanim oni zbliżą się do mojej wysokości, to się chwilę zdrzemnę. Obudź mnie przy 5,10. Położyłem się na drugim zeskoku i natychmiast zasnąłem. Rywali było sporo, długo skakali, pospałem godzinkę. Nagle szarpie mnie Jacek.

O Jezu, Władek, wstawaj, już 5,30!

Wstałem. 5,30 to jeszcze nie tragedia, w końcu byłem aktualnym rekordzistą Europy z 5,62. Ale kibice już się zaczęli domagać Kozakiewicza i dziwili się, co jak tak długo się koncentruję. Najważniejsze, że ból głowy przeszedł, ale kac nadal mnie męczył.

5,30 skoczyłem w pierwszej próbie, poprosiłem o 5,50 i znów zaliczyłem za pierwszym razem. Podobnie z 5,60. Myślę sobie: ale będzie numer, jak na tym kacu pobiję rekord Europy. Ale ryzykfizyk, ustawiłem poprzeczkę na wysokości 5,66. Publiczność oklaskami odmierzała każdy mój krok. I... znów zaliczyłem w pierwszej próbie! Zawody były już wygrane, więc postanowiłem zaatakować rekord świata. Zabrakło mi milimetrów.

I może lepiej, bo jeszcze zacząłbym w każdym zawodach skakać na kacu. A tak zdarzyło mi się sporadycznie, choć kolejny raz w tym samym sezonie. W tamtym okresie byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni z zawodnikami z Jugosławii, którzy przyjeżdżali na obozy do Warszawy, by trenować razem z nami. Skoczkini wżwyż Stanka Lovše, ich jedyny skoczek o tyczce Miran Bizjak i długodystansowiec Dušan Janićijević. W czerwcu pojechaliśmy wszyscy na mityng lekkoatletyczny do Mariboru, który oczywiście wygrałem, jak wszystko w 1977 roku. Samolot powrotny miałem dopiero dwa dni po zawodach, więc Miran mówi:

Dawaj, Władek, pojedziemy do naszego przyjaciela, który ma tu niedaleko winnicę.

Napchaliśmy się w siedmioro do małego renaulta 4: Stanka, Dušan, jeszcze parę osób. Zajeżdżamy przepiękną winnicę, dom, a przed nim już zastawiony wielki stół. Usiedliśmy i zaczęła się cudowna biesiada. Świeży chleb, pomidory dopiero zdjęte z krzaka, no i właściciel co rusz donosił dzbany tego swojego przepysznego winka. Polski serbskochorwacki, wiadomo, słowiańskie języki, więc opowieść przeplatała opowieść. W którymś momencie ten właściciel mówi:

Ja pierniczę, dosyć mam już chodzenia z tym dzbanem. Idziemy do piwnicy.

Zeszliśmy i usiedliśmy wszyscy naokoło wielkiej beczki, rozdał nam specjalne długie rurki i tak ciągnęliśmy to wino. Co jakiś czas ktoś nie wytrzymał trudów, przewracał się na plecy i zasypiał. Pospał, pochrapał, budził się i na powrót dołączał do pijących. Trwało to i trwało. Za którymś razem przebudził się jeden z organizatorów, patrzy na mnie, oczy mruży i mówi:

A ty co tutaj jeszcze robisz?

A co niby mam robić? To samo, co wszyscy.

Jeszcze nie wyleciałeś?

Ano, jak widzisz nie.

Ale tam twój samolot...

Natychmiast otrzeźwiałem. Kompletnie straciłem poczucie czasu. Rzeczywiście, zaraz odlot, a ja w winnicy! Zanim znaleźliśmy w tym towarzystwie kogoś na tyle trzeźwego, żeby mógł mnie odwieźć, zanim dojechalśmy na lotnisko, samolot dawno odleciał. W ekipie konsternacja. Gdzie Kozakiewicz? Ki czort? No, chyba nie wybrał wolności? Wybierałby w Jugosławii, gdy co miesiąc jest w innym kraju Europy? Był już późny wieczór, poleciałem następnym, z samego rana. Ledwo wysiadłem na Okęciu pędem na stadion AWF, gdzie miałem zawody. Znow z ciężką głową, bo te hektolitry pysznego słoweńskiego winka długo nie chciały wyparować, wymęczony podróżą i stresem. W dodatku musiałem startować na nieznanej, nowej tyczce, bo nie było czasu czekać, aż moje wydobędą z samolotu. Ale znow każdą wysokość zaliczałem w pierwszej próbie, aż pobiłem o dwa centymetry ówczesny rekord Europy.

Próba pobicia rekordu świata (5,74 m). Warszawa, Skra, 1977

Następny konkurs dzień po ostrej popijawie przydarzył mi się jeszcze tylko w 1979 roku, na mityngu w Brukseli, ale wówczas byłem usprawiedliwiony. Właśnie dostałem informację z Polski o narodzinach córki.

## **Mój ci ten posąg**

Między igrzyskami w Montrealu a tymi w Moskwie za zwycięstwa w mityngach zaczęliśmy wreszcie dostawać pieniądze. Wcześniej nie było ani takiego zwyczaju, ani możliwych sponsorów.

Za wygrane dostawaliśmy dyplomy, medale, puchary i nagrody rzeczowe, przeważnie najprzeróżniejszy sprzęt AGD. Im dalej od Polski, tym bardziej kłopotliwy. Taki Stanisław Królak czy Ryszard Szurkowski za zwycięstwa w Wyścigu Pokoju często inkasowali pralkę Frania czy telewizor. Nie był to dla nich wielki problem, mieli do dyspozycji samochody z ekipą, mechanikami, częściami zapasowymi, więc łatwo to było przetransportować do domu. Dla nas nagrody rzeczowe były tyleż spełnieniem marzeń człowieka z PRL, co prawdziwym utrapieniem. Na przykład gdy na trzecim kolejnym mityngu wygrywało się maszynę do kawy, mającą w tamtych czasach rozmiar i wagę małego fiata.

Zwykle jak już wyjeżdżaliśmy z Polski, to na cykl mityngów trzy, pięć, sześć z rzędu. Wracaliśmy po dwóch, trzech tygodniach. A że w większości dyscyplin stanowiliśmy światową czołówkę, to zawsze przynajmniej stawaliśmy na pudle. I góra nagród rosła, przy podróżach z miasta do miasta uciążliwa jak cholera. Ale weź tu wyrzucić robota kuchennego, magnetofon czy szybkowar, gdy to w Polsce taki cymes. Jak sam nie potrzebujesz, to zawsze jest komu oddać.

Na palcach jednej ręki mogę policzyć takie starty, w których nie zająłem któregoś z pierwszych trzech miejsc. Musiała się przydarzyć jakaś katastrofa, ale i wówczas potrafiłem nie wrócić z mityngu z pustymi rękami. Miałem na przykład pecha do startów w Cagliari na

Sardynii, gdzie dwa razy z rzędu zaliczyłem „zerówkę”, nie pokonując żadnej wysokości. Ale już podczas pierwszego startu wyczałem, że do pchnięcia kulą zgłosiło się tylko dwóch zawodników. No to myk, zgłosiłem się na trzeciego. Zawody się odbyły, zająłem oczywiście trzecie miejsce, nawet się przy swoich próbach specjalnie nie kompromitując, i dwa lata z rzędu wracałem do domu z przepięknym kryształowym pucharem.

Tych pucharów miałem w domu w szczytowym okresie kariery ponad trzysta, aż któregoś dnia większość z nich się wytlukła, gdy runął specjalnie zaprojektowany regał. Zostałem z pięćdziesięcioma kilogramami zbitego szkła. Ale tylko się uśmiełem. Dziś to, co zostało, czyli ze sto pucharów, trzymam w kartonach. Na ścianach wolę wieszać obrazy.

Pamiętam swój pierwszy medal za wygrane zawody młodzików. Był z aluminium, z bardzo pospolitej sztancy, i można było taki kupić w każdym sklepie sportowym za złoty pięćdziesiąt. Ale ja byłem tak bardzo dumny, że nie oddałbym go i za tysiąc złotych. Nosilem go z dumą na kłacie przez kilka dni.

Natomiast za zwycięstwa w startach międzynarodowych pojawiły się nagrody. A to zegarek, a to aparat fotograficzny, czasem radio, czasem magnetofon, robot kuchenny czy osławiona kafemaszyna. Albo telewizor. Wspaniała rzecz w tamtych czasach, ale i kłopot, gdy akurat jesteś w Brukseli albo Paryżu. Dostajesz wielkie pudło, a przecież jeszcze masz sprzęt sportowy i te cholerne tyczki. I weź z tym wszystkim targaj się do kraju... Pół biedy, jak od razu po zawodach wracasz do Polski, ale czasem po drodze jeszcze inne mityngi. Podróżowanie z nagrodami było koszmarem.

No, ale przecież nie mogłem kręcić nosem na podium, że to za duże, dajcie coś mniejszego, co mi się zmieści do torby. Tradycją stało się, że po dekoracji do organizatorów ustawiały się pielgrzymki, żeby spróbowali wymienić coś bardzo kłopotliwego na trochę mniej. Nie zawsze się udawało, a możliwości, żeby wypłacili równowartość w pieniądzu, nie było wówczas wcale. Toteż po zawodach w hotelu odbywał się obchód pokoi, sprawdzanie, kto tam co wygrał (a jak już mówiłem, Polacy stawali na podium niemal zawsze), i pytanie, czyby się nie wymienić.

Przychodził na przykład zmarnowany Władek Komar.

Coś tam wygrał? Zegarek? Szczęściarzu! Ja za trzecie miejsce dostałem trzecią maszynę do kawy. Ratuj!

Dobra, takiej maszyny jeszcze nie mam.

Ale na kolejnym mityngu obaj dostaliśmy po kolejnej maszynie do kawy. Teraz on miał trzy, a ja dwie. Chodzimy, pytamy i naszych sportowców, i zaprzyjaźnionych z innych krajów. Wszyscy tylko szczerzą zęby. Każdy już parę razy woził do domu maszynę do kawy, każą więc nam iść w diabły, zadowoleni, że nie na nich trafiło.

W końcu mówię do Władka:

Musimy pójść po rozum do głowy, bo już do końca kariery będą nam wtrzywać te maszyny.

Przed kolejnym mityngiem złapaliśmy przedstawicielkę organizatorów i kazaliśmy się prowadzić do pokoju z nagrodami.

Proszę pokazać, jakie nagrody przewidziano za pierwsze miejsce w skoku o tyczce. Maszyna do kawy? O nie! Niech ją pani zamieni z nagrodą dla zwycięzców w biegu na 100 metrów! Zegarek? Wspaniale! Wam wszystko jedno, a ja muszę się telepać do Polski z tyczkami, to już mi odpuście tę maszynę.

Babka się trochę zdziwiła, że taki jestem pewien pierwszego miejsca, ale poprzeklejała nalepki. No a kto miał wygrać zawody, jak nie ja, skoro wtedy wygrywałem wszystko?

Najlepiej było startować w Szwajcarii, bo tam nagrodami zawsze były przepiękne zegarki firmy Longines (a często dostawało się jeszcze jeden, podczas prezentacji mistrzów przed zawodami). Wiadomo: Szwajcaria. Wszystkie rozdałem, jak nie rodzinie, to przyjaciom, nawet jednego sobie nie zostawiłem. Zdarzyło mi się też wygrać kilogramową sztabę srebra za skoki na rynku w Recklinghausen. Też ją oddałem komuś po powrocie do Polski i już nawet nie pamiętam komu. Z kolei gdzieś we Włoszech nagrodą okazał się kawał słynnego sera Grana Padano wielkości koła od samochodu. Też dobrze.

Sklep RTV, 1986

Za to w Jugosławii była taka kultura, że organizatorzy jeszcze przed zawodami pytali, co kto chce, byle w cenie do 500 dolarów. Poprosiłem o dywan, bo widziałem, że znajomi przywieźli taki piękny, gruby, kremowy, wełniany. Proszę bardzo, żaden problem, kupili dokładnie taki, jaki opisałem. Po zawodach mi przynoszą, a pode mną ugięły się nogi. Wielka rola dywanu, niemal druga taka paka jak tyczki. Jak ja się z tym na lotnisko zabiorę? Kapitan z LOTu tyczki jeszcze mi wpuści, ale dywan? Uprosiłem, żeby go wysłali pocztą. Szedł statkiem ruski rok, ale ostatecznie trafił na moją podłogę.

Raz na mityngu w Koblenz wręczono mi za zwycięstwo piękną szklaną, ręcznie zdobioną paterę. Płaski, wielki talerz ze szkła, któremu twórca nadał nieforemny kształt. Organizatorzy cmokali, że to wyjątkowo cenne dzieło lokalnego artysty, warte kilkaset marek. Ale ja od razu wiedziałem, że będę miał z nią krzyż pański w podróży. Lecz głupio mi było odmówić, zwłaszcza że wszyscy tak się nad nią rozpływali. Ciężkie to jak cholera, nieporęczne, że ani pod pachę wziąć, ani do torby włożyć. Zresztą torba już pełna zakupów do domu, butów i torebek dla żony, bo z każdego wyjazdu coś jej przywoziłem. Trzeba ją zabrać do samolotu i trzymać na kolanach, bo taka krucha. A przede mną kolejne mityngi.

No więc targam ją ze sobą, zwłaszcza że organizatorzy odprowadzili nas niemal do samych drzwi samolotu. Ale jak doleciałem z Frankfurtu do Zurychu, myślę sobie: a, porzucę tę paterę, że niby o niej zapomniałem. Wstałem i ruszyłem do rękawa, patera została pod siedzeniem. Leci za mną stewardesa:

Herr Kozakiewicz, pan coś zostawił, i to coś cennego!

Och, dziękuję, dziękuję uprzejmie. Moja patera, cóż bym bez niej zrobił...

Z lotniska do hotelu pojechaliśmy autobusem. Specjalnie wetknąłem tę paterę w ciemny kąt, na półkę, i wychodząc, porzuciłem po raz drugi. Ledwo wszedłem do pokoju i rzuciłem bagaże na ziemię, a ktoś tarabani w drzwi. Otwieram: kierowca.

Herr Kozakiewicz, pańska piękna patera, zostawił pan w busie! Pewnie już się pan niepokoił.

Rozpłynąłem się w podziękowaniach, ledwo tłumiąc śmiech, że ten kawał szkła mi nie odpuszcza.

Po zawodach przybyła mi kolejna paka, bo znów coś wygrałem, zdaje się, że kolejną maszynę do kawy. Postanowiłem więc definitywnie rozstać się z paterą. Zostawiłem ją w pokoju. Niech sobie weźmie ktoś z obsługi albo zostawią jako wystrój. Spakowałem się, zszedłem na dół, wymeldowałem w recepcji, załadowałem do busa na lotnisko, a tu... ten sam kierowca. Zachował czujność.

Herr Kozakiewicz, a gdzie pana patera? Pewnie zostawił pan w pokoju. Niech pan leci sprawdzić, byle szybko, bo samolot...

W kolejnym samolocie czujna stewardesa znów dopadła mnie przy wyjściu. A potem to już wszyscy z ekipy mi o niej przypominali, bo sobie zapamiętali, że tacham takie coś pod pachą. No i trzymam cholerę w domu do dzisiaj!

Albo taka historia. Podczas mityngu w Cagliari cała ekipa polskich lekkoatletów mieszkała w pięknym starym hotelu z wypielęgnowanymi ogrodami i tarasami. W dniu wylotu wszyscy mniej więcej o tej samej porze znosiliśmy manele do recepcji, szykując się na odjazd autokaru na lotnisko. Schodzimy, patrzymy, a tu na półpiętrze Leszek Gajdziński znakomity dyskobol, wielokrotny rekordzista Polski, olimpijczyk z Meksyku, ale i medalista w pchnięciu kulą na uniwersjadzie w Moskwie mocuje się z brązowym posągim Apolla na półmetrowym marmurowym postumencie. Gajdziński to był wielki chłop, 120 kilogramów żywej wagi, z wyglądu bardzo podobny do Władka Komara, nawet miał taką samą bródkę, przez co bez przerwy ich mylono. I taki sam wielki siłacz jak Władek. Targa tego Apolla i klnie, że dość już ma Włochów, bo to kolejny mityng, na którym mu wciskają nagrodę, którą ledwo da się unieść. I jak on ma to zatargać do domu!? W końcu się zeźlił, że to bez sensu, na cholerę mu cała ta antyczna rzeźba, jeszcze taka ciężka, i oświadczył, że ją zostawia w hotelu.

Wojciech Buciarski zaczął go przekonywać, żeby się nie wygłupiał, bo to cenna



rzeźba i szkoda ją zostawić. Ale Gajdziński się uparł, że ma dość.

Tak ci się podoba, to ją bierz i sam się z nią męcz rzucił do Buciarskiego.

A ten na to z radością, że pewnie, chce. Zaniósł tyczki do autobusu, wrócił na piętro i targa rzeźbę po schodach, a potem przez lobby na parking. A tu lecą przerażeni recepcjoniści, pytają, co on wyrabia, co zamierza zrobić z hotelowym posągiem? Buciarski na to, że zabiera do domu swoją nagrodę, i dalej z nią do autobusu. Pół hotelowej załogi się zleciało, wrzeszcza, wznoszą ręce do nieba, że to ukochany posąg właściciela, żeby Buciarski się nie wygłupiał, bo wezwą policję. Mnóstwo krzyków, zamieszania. Myśmy wszyscy w autobusie sikaliśmy ze śmiechu po nogach, bo Gajdziński już nas wprowadził w temat, że wkręcił Wojtka. Ale ten nie daje za wygraną, nie rozumie, czego od niego ci Włosi chcą. Cały czas stoi i się wyklóca: „Mój posąg! Mój posąg!”. W końcu i do niego dotarło, co i jak. Wsiadł do autobusu cały zawstydzony i wściekły na Gajdzińskiego. A przecież mogło paść na każdego z nas, który by się na tę rzeźbę połaszczył.

Często robiliśmy sobie różne numery. Najczęściej takie, które wychodziły dopiero podczas kontroli granicznych, bo wiadomo było, że bagaż zostanie dokładnie przejrzany. W latach 70. bagaże nie były prześwietlane na lotnisku jak dziś, że czasem co najwyżej każą wyjąć z podręcznej torby laptopa i położyć go na taśmie. Wtedy trzepali cały bagaż i wylatującym, i powracającym, bo wiadomo było, że co drugi wiezie coś na handel. Albo i dewizy.

Toteż nieraz zdarzyło się, że jeden zawodnik włożył chyłkiem drugiemu do torby ze sprzętem na przykład kilka cegieł. Później na lotnisku w Warszawie konsternacja.

Wiele rzeczy widziałem, ale żeby ktoś cegły samolotem z Zachodu do Polski woził, to jeszcze nie nie mógł się nadziwić celnik.

No to ten od cegieł rewanzował się draniowi, pakując mu na innym wyjeździe w bagaż dziesięć rolek papieru toaletowego. I znowu konsternacja na Okęciu.

Widzę, że obywatel sportowiec dał się za granicą zwieść wrogiej propagandzie o przejściowych kłopotach z zaopatrzeniem w naszym kraju.

Ja żadnego badziewia nie dałem sobie wtrynić, bo raz, że byłem czujny, a dwa, że tachałem już tyle maneli, sprzętu, tyczek, że może żal było kolegom wykręcać mi takie numery. Ale dałem się raz podpuścić Marianowi Woroninowi. Na Pucharze Europy w Turynie w 1981 roku mieszkaliśmy w jednym pokoju. Wracam raz po południu, patrzę, a tu jakaś wielka nowa torba sportowa stoi przy łóżku. Marian wyjaśnił, że wszyscy dostaliśmy dary od włoskiej Polonii. Po jednej takiej torbie na pokój. Wiadomo, w kraju kryzys, bida z nędzą. Takie gesty były na porządku dziennym.

Weż, podziel to dla nas po równo mów.

Z ochotą wziąłem się do dzielenia. Były tam czekolady, salami, dżinsy (za ciasne na mnie, ale uznałem, że będą doskonałym prezentem), dobrałem też sobie parę koszulek. Zadovolony, podzieliłem wszystko na dwie kupki. A tu wpada Marek Łuczyński, kiedyś dziesięcioboista, a wówczas kierownik szkolenia w Polskim Związku Lekkiej Atletyki, i z wielkimi oczami na mnie.

Co ty wyrabiasz, Władek, jakim prawem parcelujesz moje rzeczy?

To były jego zakupy na powrót, a torbę wstawił do nas, bo już zwolnił pokój i zaraz miał jechać na samolot. Długo musiałem go przekonywać, że mnie Marian wrobił (na szczęście nie zdążyłem mu zeżreć żadnej czekolady). Do dziś, gdy spotkam Mariana, to mu wymyślam od oszustów. I że na taki wstyd mnie naraził.

Najbardziej niesamowitą nagrodę zdobył jednak Władek Komar, którego, jako znanego na świecie siłacza, zaproszono kiedyś na zawody strongmanów do Szkocji. Przy dźwiękach kobzy ciskało się tam na odległość 100kilogramową drewnianą belką, nosiło ciężary zwisające po obu stronach z drążka i dwie walizki po 120 kilogramów każda, mocowało na rękę i przetaczało wielkie, 350kilogramowe opony. Zaproszono najlepszych miotaczy kulą z całego świata, ale to Władek poradził sobie ze wszystkich najlepiej.

Wygrał... świnię. Żywego prosiaka! Wyobraźcie sobie jego konsternację podczas wręczania nagród. Ktoś tam z dalszego miejsca dostał butlę lokalnej whisky, inni jakieś fajne przedmioty, a on tradycyjną nagrodę główną, którą niezmiennie od średniowiecza była

świnia. Był niepokieszony, bo poza prestiżem i wpisaniem na zawsze do ksiąg nie zarobił ani grosza. Z ciężkim sercem oddał w końcu komuś tego świniaka. Bo jak tu go targać go do Polski?

## Tajemniczy pokój

Pewnego pięknego dnia w 1976 roku, wracając z hotelowego barku do pokoju po mityngu w Stuttgarcie, natknąłem się na kolejkę przed jakimiś drzwiami.

Patrząc, stoją prawie sami amerykańscy lekkoatleci, moi koledzy ze skoku o tyczce, David Roberts i Mike Tully, jeden z najlepszych płotkarzy w historii Edwin Moses, Kanadyjczyk Greg Joy, którego Jacek Wszola pokonał w finale skoku wzwyż na igrzyskach w Montrealu, Hasely Crawford, który zdobył pierwszy w historii złoty medal olimpijski dla Trynidadu i Tobago. A między nimi Irena Szewińska. Przechodziłem obok, bo nie moja sprawa, ale usłyszałem szept Ireny:

Pssst, młody! Chodź no tu i stawaj przede mną.

A za czym kolejka ta stoi? zażartowałem.

Cicho bądź. Wejdiesz, przedstawisz się i wyjdiesz.

Zabrzmiało tajemniczo. Zanim zdążyłem dopytać, co i jak, drzwi się otworzyły i wepchnęła mnie do środka. Tam za biurkiem siedziało trzech ludzi, przed nimi metalowa kasetka.

Kozakiewicz.

Sprawdzili na liście, pokiwali głowami i położyli na blacie 300 dolarów.

Proszę, to dla pana, dziękujemy bardzo i zapraszamy za rok.

Wyszedłem oszołomiony. Jak to? Za co? Taka suma i tak łatwo? Związek nic nam nie płacił za starty, jedyne, co dawał na wyjazd, to paszport, na który mogliśmy sobie kupić w PKO 10 dolarów po oficjalnej cenie. Przelot, pobyt, czyli hotel i posiłki, opłacał zawsze organizator. Im ważniejsze zawody, tym lepszy hotel, z większą liczbą gwiazdek. Jak we włoskim Rieti, to mały pokój z wąskimi łózkami, ale jak w Tokio to prawdziwy pałac. Więc oprócz ewentualnej nagrody za podium jedyne, co jeszcze zyskiwałem na wyjeździe, to możliwość zwiedzenia Luvru, Watykanu czy na przykład obejrzenia „Ostatniej Wieczerzy”, o ile akurat startowałem w Mediolanie. Nic nie wydawałem, ale i nic nie zarabiałem.

Irena Szewińska i Władysław Kozakiewicz podczas gali „Złote Kolce”, 1975

Wychodzi Irena.

Dostałeś?

300 dolarów!

Ciiii... A podpisywałeś coś?

Nie, nic nie kazali.

No to idealnie. Wszystko w porządku zrobiłeś. Teraz pamiętaj: po każdym mityngu szukaj takiego pokoju i takiej kolejki. Zawsze powinny czekać na ciebie jakieś pieniądze.

Okazało się, że już jakiś czas temu amerykańscy sportowcy przekonali organizatorów największych imprez, że nagrody rzeczowe to za mało. Co miał zrobić ze stosem nagród zawodnik, który przylatywał do Europy na cykl startów na dwa, trzy miesiące? Przemieszczać się z mityngu na mityng ciężarówką, a na koniec wysłać do ojczyzny kontener z niezliczoną ilością maszyn do kawy i podobnego sprzętu? W dodatku oni mieli sponsorów, którym

zależało, żeby pokazywali się na europejskich zawodach. I agentów, którzy mówili: Mój zawodnik wystartuje u was, ale za zwycięstwo chce tyle. A jeśli pobije rekord świata, to dwa razy tyle. Chcecie mieć tłum na trybunach i miliony przed telewizorami, to płacicie!

Słowem, było to silne lobby.

Nami, sportowcami zza żelaznej kurtyny, nikt się nie przejmował. Agentów nie mieliśmy, wysyłał nas związek, któremu być może jakoś tam się rewanżowano organizowaniem obozów, zaproszeniami dla działaczy na kongresy itp. Nikt więc nas o pieniądzach dla zwycięzców nie poinformował. Wiedzieli, że mogą nas mieć za darmo. Pamiętam, że zaproszono nas wówczas z Tadkiem Ślusarskim do Paryża na pokazowy konkurs pod wieżą Eiffla, w którym ograliśmy wszystkich Francuzów. Tysiące ludzi przyszły obejrzyć najlepszych ówczesnie skoczków świata. Amerykanie kosztowałiby organizatorów kosmiczne pieniądze, bo to był wielki show. Myśmy mieli z tego tylko przyjemność kilkudniowego pobytu w Paryżu, który, jak wiadomo, wart jest mszy.

Inna rzecz, że pieniądze za starty pojawiły się chyłkiem, po cichu. Nie było oficjalnych informacji, jak dziś, że za pierwsze miejsce jest tyle, za drugie tyle, a za trzecie tyle. Jako pierwsza o nowych zasadach dowiedziała się Irena, która zawsze miała największą smykałkę w tych sprawach. A że była z niej zawsze prześwietna kobieta i koleżanka, to przy pierwszej okazji dała cynk mnie, a ja kolejnym Polakom. Z tym że my z Ireną ustawialiśmy się w tej kolejce najczęściej, bo po prostu najczęściej wygrywaliśmy.

Szewińską poznałem bliżej, gdy dzień po maturze ustnej poleciliśmy razem do Toronto na cykl zawodów. Tylko we dwójkę. Mimo że od razu zaproponowała mi przejście na „ty”, nie mogłem się przemóc i cały czas zwracałem się do niej per „proszę pani”. Była już wówczas niekwestionowaną królową polskiego sportu. Miała na koncie pięć medali igrzysk w Tokio, Meksyku i Monachium, w tym dwa złote, i kilka tytułów mistrzyni Europy. Odnosiłem się do niej z wielkim szacunkiem, a ona od razu zaoferowała mi przyjaźń i pomoc. Nie tylko startowaliśmy wspólnie, ale i ćwiczyliśmy. Przeważnie brałem ją na plecy i robiłem przysiady dla wzmocnienia nóg.

W Toronto zamieszkaliśmy u rodziny państwa Rębalskich, starej polskiej emigracji. I co rusz jeździliśmy po Kanadzie na jakieś spotkania polonijne. Któregoś razu pan Rębalski

zapropował, że zawiezie nas samochodem nad Niagarę. Zgodziliśmy się z radością, wiadomo, każdy chciałby zobaczyć z bliska ten cud natury. Okazało się jednak, że on w tej Ameryce jeździ dacią produkowaną w Rumunii na licencji Renaulta. Sprowadził ją sobie, bo nawet z kosztami frachtu wyszło dużo taniej niż najtańszy samochód w Kanadzie. Troszkę się zdziwiliśmy, gdy podjechał, ale darowanemu koniowi w paszczę się nie zagłąda.

Jedziemy nad tę Niagarę. Niby z Toronto do wodospadów tylko półtorej godzinki jazdy autostradą, ale to była zima, luty, na drogach straszna zawieja. W zadymce prawie nie było widać. A ta dacia zaczęła w pewnym momencie robić pyr, pyr, pyr i raptem rozkraczyła się gdzieś nad jeziorem Ontario. Siedzimy w środku, na zewnątrz biało, wiatr bije w okna, nikt nie przejeżdża, nie ma kogo poprosić o pomoc. Co robić? Iść i liczyć, że do najbliższej miejscowości jest wystarczająco blisko, czy zostać? Ale jak długo czekać? Patrzymy, zbliżają się jakieś światła. Wybiegliśmy, machamy. Stanął wielki jeep i wychodzi facet w kombinezonie mechanika. Zajrzał, spróbował uruchomić silnik i krzyczy:

Benzyny wam zabrakło!

I ochrzanił Rębalskiego, że dupa z niego, a nie kierowca, skoro w taką pogodę nie zadbał o paliwo, narażając nas wszystkich na zamrożenie. Ale dodaje, że mamy szczęście, bo ma w bagażniku zapasowy kanister, tylko nie ma lejka. Wziął kanister, nalewa bokiem, a tu odbiło powietrze, coś tam w środku bulknęło i chlusnęło mu na spodnie. I jak nie przeklnie:

Kurwa mać!

O, to pan też z Polski? odezwała się na to Irena. Okazało się, że jego rodzina już od trzech pokoleń mieszka w Kanadzie, ale szczęśliwie dla nas nauczył się przeklinać po polsku, bo inaczej nigdy byśmy się nie zorientowali. Przyjrzał się nam lepiej.

Pani Irena? Nie może być! Nad Niagarę pojedziecie jutro, teraz zabieram was do siebie.

Pojechaliśmy do niego do domu, a tam zaraz zastawiają stoły, jedzenie, wódka i schodzą się jedna polska drużyna za drugą. I przyjęcie na cześć Szewińskiej, bo mnie wtedy jeszcze nikt nie kojarzył. Zostaliśmy u nich na noc i dopiero następnego dnia puścili nas nad

Niagarę, która zresztą była skuta lodem, nic poza wielkimi soplami nie było widać.

Zżyliśmy się z Ireną na tym wyjeździe i pewnie dlatego powiedziała mi później jako pierwszemu o tych pokojach, kolejce i pieniądzach. A ja natychmiast przekazałem to dalej Jackowi Wszole, Bronkowi Malinowskiemu, Tadkowi Ślusarskiemu i Władkowi Komarowi. Z tym ostatnim nie poszło łatwo, bo on, stary wyjadacz wszelkich imprez sportowych, nie chciał wierzyć, że sam czegoś takiego nie wyczał. Myślał, że go podpuszczamy.

Aha, jasne, 300 dolarów za występ i jeszcze co?

Na jakimś kolejnym mityngu zaciągnęliśmy go do kolejki razem z Tadkiem Ślusarskim. Władek już przed drzwiami, teraz jego kolej, a on w tył zwrot i spyla. Rzuciliśmy się za nim.

Stój, wariacie, po prostu wejdź i powiedz nazwisko.

Ja powiem nazwisko, a oni mnie może do armii amerykańskiej zapiszą.

Wszedł, wyszedł oszołomiony, zupełnie jak ja za pierwszym razem. I oczywiście zaraz wszystko wydał, bo pieniądze nigdy się go nie trzymały. Uwielbiał bankietować. Ekstra forsa. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Po zawodach w Fürth odbył się bankiet, który przeszedł do historii. Zorganizowano go nie w restauracji, jak zazwyczaj, ale na hotelowym krytym basenie, wokół którego stały stoliki. Zasiadły tam wszystkie największe sławy światowej lekkoatletyki. Organizatorzy podali szampana, żeby uczcić rekord świata amerykańskiej oszczepniczki Kate Schmidt, dwukrotnej medalistki igrzysk w Monachium i Montrealu, która w Fürth rzuciła na odległość 69,32. Eleganckie przyjęcie trwało do momentu, aż ktoś złośliwie czy niechący potrącił Jacka Wszolę i ten w ubraniu wleciał do basenu. Pochyliłem się, podałem rękę, żeby pomóc mu wyjść, ale drań wciągnął mnie do wody.

Wtedy sprawy wymknęły się spod kontroli. Dystyngowane rozmowy zamilkły, rozpętało się dzikie party. Co chwila w basenie lądowała jakaś sportsmenka w pięknej kreacji, umalowana, z fryzurą od fryzjera, lub zawodnik w smokingu czy innym galowym stroju.

Nadszedł kelner z tacą pełną piw i nim się spostrzegł, już był z tą tacą i butelkami w basenie.

Niektórzy się bronili. Ludvík Daněk, czechosłowacki dyskobol, medalista igrzysk w Meksyku, Tokio i Monachium, chłop wielki jak góra i silny jak niedźwiedź, 2 metry i 130 kilogramów żywej wagi, chwycił się futryny i zaparł w drzwiach, że traktorem byś go nie wyrwał. Ale my też byliśmy niegorsze chłopy i ciągniemy go: ja za jedną nogę, Władek Komar za drugą, a amerykańscy kulomioci i dyskoboje za ręce. Daněk zobaczył, że futryna puszcza, już się odrywa od ściany, i krzyczy:

Dobra, dobra, puszczajcie. Ja już sam wskoczę.

Puściliśmy. Zdjął spodnie, marynarkę, koszulę, elegancko zawiesił to wszystko na krześle i w samych gatkach hops do basenu. Wyłonił się z wody, a tu obok niego pływa całe jego ubranie, które wrzucili za nim. Bo jak wszyscy mokrzy, to wszyscy! Kto tam jeszcze suchy siedział przy stoliku, z organizatorów czy przedstawicieli miasta, i rechotał, patrząc, co się wyprawia, zaraz został ochlapany.

Władysław Kozakiewicz trzyma puchar po ustanowieniu rekordu świata na Haiti (5,57 m) u rodziny Rębalskich, którzy najpierw chcieli wydać za niego córkę, a potem nazwali go zdrajcą. Toronto, 1976

Nagle patrzymy, a Mike Tully, amerykański tyczkarz, który wygrał ze mną te jedyne zawody w 1977 roku, stanął nad basenem i ściąga mokre ciuchy. Tully był niezwykle przystojnym, świetnie zbudowanym blondynem, zdążył nawet zagrać w jakimś hollywoodzkim filmie (kpiliśmy sobie z niego, bo rola była niema i siedząca). Za to tak świetnie grał w tenisa, że przez jakiś czas był nawet klasyfikowany na liście ATP. Rozbiera się, rozbiera... Został w samych spodenkach ale i te zdjął i nagusieńki, hop do basenu. Jak to zobaczyliśmy, to jego śladem wszyscy zaczęliśmy ściągać ciuchy, a ubrania na brzeg. Władek Komar zaczął chlupać się z Kate Schmidt, ona go za coś łapie, on ją. Poleciały grube żarty:

Patrzcie, kurde, to nie komar, to kaczka, bo jemu w wodzie staje!



Edwin Moses skoczył do pokoju i przyniósł gitarę, więc jeszcze sobie wszyscy pośpiewaliśmy różne międzynarodowe hity. Później kolejka ustawiła się do suszarek, bo każdy chciał chociaż odrobinę osuszyć ubranie. Zabawa na całego. A następnego dnia właściciel hotelu zmuszony był spuścić wodę z basenu.

Tak się bawiła w tamtych czasach światowa czołówka. Pełna integracja. Może nie zawsze tak ekstremalna, ale lubiliśmy się nawzajem i chcieliśmy spędzać wspólnie czas. Nie to, co dziś, że zawodnicy przed startem i po nim odgradzają się od świata słuchawkami. Nikogo nie znają i znać nie chcą. Przyjechać, wystartować, skasować, zniknąć.

## **Ania, Kasia i Małgosia**

Gdzieś tak w okolicach 1976 roku poczułem, że chciałbym związać się z jakąś dziewczyną na stałe. Przejadły mi się uroki kawalerskiego życia. Bo też ile można tego dolce vita, tych jednorazowych przygód w pokoju w „Meksyku”?

Coraz bardziej zaczęła mi doskwierać samotność. W sporcie sukces za sukcesem w kraju i za granicą, ale w życiu osobistym pustka. Na krótko miałem z kim świętować zwycięstwa, ale ostatecznie drzwi pokoju się zamykały i zostawałem sam. Poczułem, że potrzebuję kogoś, kto będzie mnie rozumiał, komu będę mógł się zwierzać. Prawdziwej partnerki. Oczywiście, mogłem zawsze pojechać do Gdyni i wyzalić się mamie, ale chodziło o coś innego.

W miarę jak robiłem się coraz bardziej popularny, coraz częściej próbowano mnie swatać. Zwłaszcza podczas wyjazdów do Ameryki, ponieważ zawsze zatrzymywaliśmy się wówczas u Polonii. Co przylatywaliśmy, a zwykle większą ekipą Irena Szewińska, jej koleżanka biegaczka Ela Katolik, Wojtek Buciariski, Broniek Malinowski, średniodystansowiec Henio Szordykowski, Jacek Wszola i wielu innych na lotnisku czekał już tłum Polonusów, który rozparcelowywał nas po dwóch, trzech lub pojedynczo. Każda

rodzina chciała gościć wybitnych polskich sportowców. Być może dlatego, że najmłodszy z tego towarzystwa i nieżonaty, zwykle trafiałem do rodziny, w której była młoda, ładna panienka na wydaniu. I zaczynało się...

Pamiętam, że w 1975 roku przylecieliśmy do Winnipeg, miasta na północny zachód od Toronto. Te wyjazdy na zawody za ocean zawsze były zimą, kiedy w Europie zamierał sezon. O Polsce często żartowano, że można u nas spotkać na ulicach niedźwiedzie polarne, ale dopiero tam żaden nie sprawiłby sensacji. Lądujemy, a tu zasy pyłki domów. Wychodzimy z odprawy celnej, a tam setki ludzi z Polski, białoczerwone flagi, transparenty „Witamy polskich sportowców!”.

Trafiłem do dużej posiadłości z pięknym domem. Właścicielowi bardzo dobrze powiodło się w Kanadzie, a jego córka... przepiękna. Miss Polonii w Winnipeg. A do tego jeszcze ciepła, zabawna, inteligentna. Zakochaliśmy się w sobie w dwa dni. Chodziliśmy na polonijne wieczorki i potańcówki. Wszędzie razem, nie odstępowaliśmy siebie na krok. Nawet na zawody jechaliśmy, trzymając się za rączki. No, ale my, sportowcy, do tych miast przyjeżdżaliśmy góra na tydzień. Starty od piątku do soboty, a w poniedziałek odlot na następne zawody (akurat wtedy to miały być mistrzostwa Stanów Zjednoczonych w Nowym Jorku). A ona do mnie:

Nie jedź, zostań!

Jej ojciec też mnie przekonywał. Praca? Żaden problem. Wspaniały dom, zapatrzona jak w obraz rodzina... No, ale jakże tak, 22 lata, cała kariera przede mną, a tu ni stąd, ni zowąd mam osiąść w Winnipeg? Odparłem, że muszę jechać. Postanowiła odwiedzić mnie na lotnisko, przez całą drogę płakała. Zatrzymaliśmy się, żeby się uspokoiła, przytuliłem ją i z tego wszystkiego... spóźniłem się na samolot. Na szczęście miałem dzień zapasu. Długie rozmowy, ale ja nieprzejednany. No, muszę jechać. Następnego dnia znów ona mnie odwozi, znów płacze, znów stajemy. Ale proszę ją:

Błagam, jedźmy, bo jak nie wystartuję w tych zawodach, spotkają mnie straszne konsekwencje.

I odleciałem.

Władek i Ania przed ślubem. Warszawa, 1977

Dość często zresztą zdarzało się, że ktoś z Polonii podpytywał mnie czy innych sportowców, czybyśmy nie chcieli zostać na Zachodzie, osiąść tam, żyć jak ludzie.

Ze swoim talentem będziesz tu miał jak król. A jakby co, to i praca poza sportem się znajdzie słyszałem w Paryżu, Zurychu, Frankfurcie, Brukseli czy Londynie. Im większy kryzys narastał w kraju, tym namowy były bardziej intensywne. Po 1980 roku, a zwłaszcza po wybuchu stanu wojennego, nie było mityngu, żeby ktoś, odwożąc mnie po wszystkim na lotnisko gdzieś w Niemczech czy we Francji, nie złapał za ramię przed wyjściem z auta:

Na pewno chcesz wracać do tego kraju? Zastanów się. Wariat jesteś czy co?

A czy mnie tam źle? Przynajmniej u siebie jestem odpowiadałem.

Bo miałem poczucie, że i tak mam lepiej niż większość narodu. Zarabiałem za granicą, zawsze coś przywozłem, a jak nie, to było za co kupować w Peweksie czy Baltonie. Miałem na miejscu rodzinę i byłem jednym z najpopularniejszych sportowców. Owszem, PZLA co jakiś czas mnie dyskwalifikował, cofano mi paszport, robiono trudności. Cały czas czułem nad sobą bat. Ale traktowałem to jak kłótnie w rodzinie. A niekompetentnych i kierujących się własnym interesem działaczy uznawałem za upierdliwą, ale konieczną część tego sportowego biznesu. Nie widziałem sensu w układaniu sobie życia poza Polską.

Dotąd na dłużej związany byłem tylko z Danusią, moją pierwszą szkolną miłością i koleżanką z Bałtyku Gdynia, gdzie trenowała skok wzwyż. Była prześliczną dziewczyną, a skoczkinię wzwyż z tymi ich długimi nogami to, jak wiadomo, najładniejsze dziewczyny ze wszystkich lekkoatletek, zgrabne jak cholera. Ale byliśmy jeszcze bardzo młodzi i jak wspominałem, skończyło się na czułościach.

Ślub. Gdynia, 18 listopada 1977

Po igrzyskach w Montrealu na kończącym sezon obozie w grudniu w Zakopanem poznałem Basię, siatkarkę reprezentacji Polski, która trenowała tam z kadrą Andrzeja Niemczyka. Mieszkaliśmy w słynnym hotelu COS. Zagadnąłem ją z głupia frant w barku, ale wydałem jej się wtedy bufoniasty. Dopiero po drugiej rozmowie dała się namówić na randkę i zaczęliśmy się spotykać. Była starsza ode mnie z rok i wydawało mi się, że świetnie mnie rozumie. Wreszcie miałem z kim pogadać o wszystkim. Poleżeć, poprzytulać się, a nie tylko kreślić w łóżku esyflorese i do widzenia.

Grudzień się skończył, obóz też, postanowiliśmy pojechać na sylwestra do jej rodzinnej Łodzi. Poznałem wówczas jej mamę i dziecko, o którym mi wcześniej nie powiedziała. Sytuacja mocno mnie zaskoczyła i trochę przerosła. Miałem 23 lata, byłem za młody i zbyt niedojrzały, by móc zastąpić chłopcykowi ojca. W dodatku z Bašką znaleźliśmy się zaledwie trzy tygodnie.

Ale zaraz był Bal Mistrzów Sportu „Przeglądu Sportowego”, na który poszliśmy razem. Gazety i telewizja od razu to wychwyciły ona była filarem reprezentacji, jedną z najlepszych rozgrywających w Polsce i ogłosiły nas parą. Tymczasem ja przez cały czas zastanawiałem się jeszcze, czy to na pewno „ona”. Pojechaliśmy razem do moich rodziców, do Gdyni. Mamie nie bardzo przypadła do serca, siostrze bardziej, ale obie odradzały mi ten związek. Ja też miałem wątpliwości, bo za szybko staliśmy się sobie bardzo bliscy.

Zaczęły na tym cierpieć nasze treningi. Ja zarywałem swoje, żeby jechać do niej, do Łodzi, ona swoje, żeby jak najwięcej być ze mną. Co rusz dostawała okropny opieprz od Niemczyka, który żądał, żeby skoncentrowała się na siatkówce, jeśli chce w niej odnieść sukces, bo w takiej kondycji psychicznej ciągnie cały zespół w dół.

Przez jakiś czas spotykałem się też z zagranicznymi sportsmenkami, które poznawałem na zawodach. Na przykład ze śliczną skoczkinią wzwyż Debbie Brill, wielokrotną mistrzynią Kanady i uczestniczką igrzysk w Monachium, która mieszkała w Vancouver. Przez jakiś czas byliśmy w sobie zakochani, ale półroczne przerwy w randkach zniweczyły kiełkujący związek. Częściej spotykałem jej rywalkę, reprezentantkę ZSRR Tamarę Bykową, z którą też byłem blisko. Studiowała w Kijowie dziennikarstwo i nawet w

jakimś wywiadzie w swojej gazecie wyznała, że z wzajemnością jest zakochana we Władku Kozakiewiczu i oboje myślimy o ślubie, co jednak nie było prawdą. Nigdy nie czytałem jej artykułów, a mogłoby to być bardzo ciekawe. Kiedyś na bankiecie po mityngu w Mediolanie nachyliła mi się do ucha i szepnęła:

Władek się przeży, Ania karmi Kasię. Akademik na ul. Miłej. Warszawa, 1980

Zobacz, jaka propaganda, ile naznosili potraw. A przecież wiadomo, że mają w kraju biedę, bezrobocie, głód.

Tamara, co ty pleciesz, przejdź się po sklepach.

Byłam, przecież to wszystko atrapy specjalnie dla nas. No, chyba nie dałeś się nabrać?

Była gorącą komunistką. O Zachodzie zawsze wyrażała się z obrzydzeniem i pogardą, jaki to zgniły, zepsuty. Nie potrafiłem jej przekonać, że to nie do końca prawda. Inna rzecz, że sportowcy z ZSRR nie mieli tyle swobody co my, którzy robiliśmy na wyjazdach, co chcieliśmy, i chodziliśmy, gdzie nam się spodobało. Oni zawsze byli skoszarowani, pilnowani i trzymali się w grupie. W Paryżu wyrwałem ją na wspólny wypad na wieżę Eiffla.

Patrz, Władek, kurczę, wiedzieli, że będziemy szli tą trasą, dlatego powystawiali atrapy w tych sklepach i puścili na ulicę same dobre samochody.

W tłusty czwartek 1977 roku koledzy tyczkarze, Mariusz Klimczyk i Leszek Hołownia z Budowlanych Bydgoszcz, przyszli do mojego pokoju w „Meksyku” na warszawskim AWF i wyciągnęli do uczelnianego klubu i dyskoteki Relax w budynku nieopodal. Byłem zmęczony po treningu, więc nie chciało mi się stać ani tańczyć. Usiadłem sobie, zjadłem pączki i spoglądałem na dziewczyny. Chłopaki podeszli do trzech pływaczek z pierwszego roku i zaczęli je bajerować. Nie chciało mi się nawet do nich podchodzić, ale wołają:

Władek, chodź! Poznasz kogoś.

Bo ich było dwóch, a dziewczyny trzy. I przedstawiają mi jakąś Anię. Patrzę śliczna. Akurat puścili z głośników mój ulubiony wówczas hit, więc spontanicznie zaproponowałem, żebyśmy zatańczyli. Zatańczyliśmy ten utwór i następny. To pytam, czy nie spotkałaby się ze mną po zajęciach następnego dnia i nie pojechała samochodem do Wołomina, gdzie mieszkała moja babcia, mama mamy. Ona, że chętnie, bo nie jest z Warszawy i nie zna okolic. Mieszkała w „tartaku”, czyli żeńskim akademiku. Umówiliśmy się przy samochodzie.

Przychodzę, a na szybie za wycieraczką karteczka: „Przepraszam cię, Władek, ale nie mogłam z tobą jechać”. Dobra, machnąłem ręką i pojechałem sam. Wróciłem i myślę, że ją odwiedzę w akademiku. Zaczepiłem jakąś dziewczynę na portierni, bo mężczyznom nie wolno było wchodzić do żeńskiego akademika, czy można prosić Anię. A ona wraca i mówi, że nie można prosić, bo Ania nie chce ze mną rozmawiać. Co jest? Czym ją uraziłem? Niech przyjdzie i wyjaśni. Dziewczyna poszła, wróciła i mówi, że Ania nie przyjdzie.

Któraś z recepcjonistek, zapewne będąc świadkiem miliona podobnych spięć i dramatów, rzuciła:

Dobra, idź do niej, ale szybko wracaj, byle nie za długo.

Poszedłem. Zła. Siedzi.

No co jest? Nie dość, że odmówiłaś wyjazdu, to się teraz dąsasz.

Jak to odmówiłam? Przyszłam, tylko mnie olałeś, samochodu już nie było.

Żartujesz sobie ze mnie. To po co to było?

Wyjąłem z kieszeni jej list, zmiąłem, rzuciłem na ziemię, bo już się wkurzyłem. Ona wielkie oczy: jaki list? Okazało się, że to nie ona napisała. Pewnie któraś z koleżanek, zazdrosna, że Kozakiewicz nie z nią się umówił. Tymczasem Ania nawet nie wiedziała, kim jestem. Ot, Władek, student AWF, nawet w miarę przystojny. Była pływaczką, trenowała styl grzbietowy, a od pewnego momentu pięciobój nowoczesny, nie interesowała się lekkoatletyką. Oczywiście, słyszała o Kozakiewiczu, bo wtedy już w Polsce wszyscy słyszeli,

ale z wyglądu mnie nie kojarzyła.

Wszystko sobie wyjaśniliśmy, a cała ta aferka scementowała nas na tyle, że zaczęliśmy ze sobą chodzić. Jej rocznik był wyjątkowy. Dziewczyny i późniejsze żony znaleźli sobie na nim Jacek Wszola, Marian Woronin i dziesięcioboista Darek Ludwik. A także Broniek Malinowski, który niestety nie dożył ślubu z Mirką. W 1981 roku, tydzień przed uroczystością, zginął w wypadku samochodowym w czołowym zderzeniu w Grudziądzu. Na moście, który dziś nosi jego imię. Ania miała być świadkiem na ich ślubie, bo byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni.

Ania była najładniejsza z całego tego żeńskiego towarzystwa. Ale ważniejsze było to, że szybko złapaliśmy nić porozumienia i się zaprzyjaźniliśmy. Z dużą przyjemnością odkrywaliśmy się nawzajem. Nie było tak, że z miejsca, po dniu czy dwóch, poszliśmy do łóżka. A w łóżku też nie chodziło tylko o seks. Potrafiliśmy godzinami leżeć wtuleni i gadać o wszystkim. Celebrowaliśmy to, że do niczego nam się nie spieszy.

Oczywiście „życzliwe” koleżanki nie ustawały w staraniach, żeby nas skłócić. Bez przerwy latały do niej donosić:

Anka, widziałyśmy Władka, jak jechał samochodem z jakąś kobietą!

Tak? A kiedy?

A wtedy i wtedy.

Aha. Ale wiecie co, to byłem ja.

Kiedyś przyleciały do niej z jakąś gazetą, już nie pamiętam jaką, a brukowców jeszcze przecież wtedy nie było. I pokazują artykuł ze zdjęciem: „Skandal! Nasi olimpijczycy, Jacek Wszola i Władysław Kozakiewicz, siedzieli w dyskotecie na Mazurach nie dość, że w oparach dymu papierosowego, to jeszcze z prostytutkami! To tak reprezentują narodowe barwy?”. Tylko że to były nasze narzeczone, Krysia Jacka i moja Ania! Rzeczywiście, byliśmy wszyscy w oparach dymu. Jacek palił bodaj od 12. roku życia i nawet podczas zawodów szedł gdzieś w załom stadionu, żeby zakurzyć dymka, czym szokował rywali i organizatorów.

Idylla rodzinna. Warszawa, Stare Miasto

Pojechaliśmy do Gdyni, do mojej rodziny, która od razu ją zaakceptowała. Bo też nie dało się inaczej: była śliczniutka, milutka, delikatna, aż przyjemnie było z nią rozmawiać. Poznaliśmy się w lutym, a już po wakacjach wiedzieliśmy, że chcemy być ze sobą do końca życia.

No to kiedy się pobieramy?

W każdej chwili. Ale najpierw, wariacie, muszę cię przedstawić moim rodzicom. Przecież nawet ich nie znasz.

W październiku pojechaliśmy więc do jej rodziny do Rzeszowa. Ania była tak onieśmielona, że z wrażenia pomyliła klatki schodowe. Druga, nie, trzecia? Rodzicom na mój widok opadły szczęki.

Mówiłaś, że narzeczony to sportowiec, ale nie najlepszy w Polsce?!

Trochę posiedzieliśmy przy wiśnióweczce i poszliśmy spać po długiej drodze. Rano poprosiłem rodziców do pokoju. Mama i tata usiedli na tapczanie, a ja przyklękłem, żeby tradycji stało się zadość, i mówię:

Chciałbym prosić o rękę państwa córki, bo chcemy się pobrać w najbliższym czasie.

Aż ich zgięło. Matka w płacz, a ojciec nic nie powiedział, tylko pobiegł do drugiego pokoju („co jest, chyba nie wróci z dubeltówką?”). Ale on pobiegł do barku, z którego przyniósł najlepszy koniaczek.

Czyli się zgadzacie?

Oczywiście, że tak. Teraz wypijmy za to i mówicie, co, jak i kiedy.



Wesele urządziliśmy w Gdyni, bo tam było mi łatwiej wszystko pozałatwiać i w urzędach, i w kościele. Co prawda w urzędzie stanu cywilnego dowiedzieliśmy się, że do końca grudnia mają zajęte wszystkie terminy, lecz kierownik urzędu zaznaczył:

Pracujemy codziennie do 15, ale dla pana, panie Kozakiewicz, przedłużymy odrobinę dzień pracy. Urządzimy uroczystość o 15.15.

Przyjęcie odbyło się w restauracji Yacht Clubu przy skwerze Kościuszki. Katering zapewniła moja szkoła gastronomiczna. Mój nauczyciel, który kiedyś pokazywał mi, co i jak, teraz nadzorował wszystko w kuchni, a pichcili uczniowie.

Troskliwy tatuś. Akademik na ul. Miłej, Warszawa 1980

Po ślubie wróciliśmy do Warszawy i ja zamieszkałem w moim pokoiku w „Meksyku”, a ona z koleżankami w „tartaku”, bo władze uczelni nie zgodziły się na koedukacyjny pokój ani w męskim, ani w żeńskim akademiku. Dopiero po kilku miesiącach przyjaciel mojego brata Leszek Nikitin, dziesięcioboista, wyjeżdżając do Szwecji, pozwolił nam zamieszkać w swoim pokoju przy ulicy Miłej, który dostał od Legii Warszawa. Było to mikroskopijne mieszkanie. Pokój z aneksem kuchennym miał 12 metrów, do tego łazieneczka, w której mieściły się tylko wanna i kibel. Na wannie położyliśmy dechę, która zasłaniała ją do połowy, a na niej pralkę. Ciasno było jak cholera, ale cieszyliśmy się, że jesteśmy na swoim. Znany fotograf i były lekkoatleta Leszek Fidusiewicz zrobił nawet fotoreportaż dla którejś gazety pod tytułem: „Jak mieszka czołowy sportowiec Polski”. Ale materiał, zamiast mi pomóc, tylko zaszkodził, bo o mieszkaniu Nikitina przypomniała sobie Legia, której zawodnikiem nigdy nie zostałem i nam je wymówiła. Wynajęliśmy więc dwupokojowe mieszkanie na Młocinach, a potem rektor AWF pozwolił nam mieszkać w dwupokojowym mieszkaniu dla pracowników uczelni, jako że Ania wciąż tam studiowała. Dopiero po igrzyskach w Moskwie, gdzieś w 1981 roku, dostałem przydział na mieszkanie własnościowe.

Zimą 1978 roku Ania zaszła w ciążę. Na wieść o tym natychmiast pogałem do księgarni i kupiłem amerykańską książkę „Wszystko o człowieku”, w której było opisane

tydzień po tygodniu, z ilustracjami, jak się rozwija dziecko. Na jej podstawie wyliczyłem, kiedy będzie poród jak się okazało, o wiele precyzyjniej niż lekarz, który pomylił się o dwa tygodnie. Niestety, zawierzyliśmy jemu, jako fachowcowi, i w czasie „mojego” terminu, w sierpniu 1979 roku, zgodziłem się wziąć udział w kilku zagranicznych mityngach, a Ania pojechała do rodziców do Rzeszowa.

Ponieważ brzuch był już ogromny, przy każdej możliwej okazji starałem się do niej dzwonić. W tamtych czasach nieznających jeszcze komórek dodzwonienie się z Zachodu do Rzeszowa z jakichś powodów przekraczało możliwości techniki. Hotelowa centrala była w stanie połączyć mnie co najwyżej z Warszawą, przy czym rozmowę trzeba było zamawiać i godzinami czekać przy telefonie. Dzwoniłem więc do kolegi tyczkarza i świadka na naszym ślubie kościelnym Darka Łosia i prosiłem, żeby on z kolei zamawiał rozmowę z mieszkaniem rodziców Ani w Rzeszowie. Za jakiś czas znów do niego dzwoniłem, a on zdawał relację.

Rozmowa z Zurychu:

Jeszcze nic.

Rozmowa z Kolonii:

Jeszcze nic, ale Ania ma już spakowaną torbę, żeby jak wody zaczną odchodzić, mogła jechać do szpitala.

Za parę godzin znów ten sam cyrk z połączeniami.

Jeszcze nic, ale Ania już w szpitalu, bo udało się załatwić miejsce.

Zamawiałem rozmowę z Warszawą, Darek z Rzeszowem, rodzice ze szpitalem, a recepcja z oddziałem, na którym pielęgniarka szła sprawdzić, co i jak. Głuchy telefon.

Następnego dnia przenieśliśmy się całą ekipą do Brukseli. Przed treningiem dzwonię, po treningu dzwonię, nie odchodzę od telefonu. W końcu się dodzwaniam.

Jeszcze nic, ale w szpitalu już zaczęła się akcja!

Po paru godzinach, które przesiedziałem jak na szpilkach wreszcie:

Masz córkę!

Ufff. No to Kasia już na świecie! Bo nie wiedziałem, czy będzie Kasia, czy Dawid. Akurat z kolegami tyczkarzami, Tadkiem Ślusarskim i Wojtkiem Buciariskim, jedliśmy w hotelowej restauracji kolację. Wracam do stolika i krzyczę na cały głos:

Jest córka! 3 kilo 250 gramów, 56 centymetrów! Zdrowa i silna jak ja!

I do kelnera:

Szampana, dawaj nam szampana!

A kelner na to, że nie wolno.

Słucham? Jak nie wolno? myślałem, że się przesłyszałem.

Nie mogę. Organizator mityngu zabronił podawania alkoholu sportowcom przed zawodami.

Ale córka mi się urodziła, a szampan to przecież nie wódka!

Żadnego alkoholu nie podam.

Wściekłem się, wstałem od stołu, zacząłem na niego krzyczeć, kazałem wezwać szefa. Ale szef mi powtórzył to samo. Organizator zapłacił za nasz pobyt w hotelu, więc hotel musi się stosować do jego warunków.

Przecież to jakiś kretynizm! To pójdę do sklepu, tam kupię i wypiję w pokoju. W sklepach organizator też zabronił sprzedawać sportowcom?

Tego nie wiem, może pan sprawdzić. Wiem, że ja panu alkoholu nie podam na pewno.

Bądź pan człowiekiem, córka mi się urodziła, pierwsze dziecko!

Nic na to nie poradzę.

Wróciłem wzburzony do stolika, a tam... stoi butelka szampana, stoją kieliszki, chłopaki już je napełniają. Podchodzą też jacyś obcy ludzie i stawiają na stół kolejne dwie butelki. W restauracji było sporo gości, którzy słyszeli, że facetowi urodziła się córka, a nie pozwalają mu świętować. I dawaj, zamawiać dla nas szampany. Im było wolno, bo to byli jacyś przypadkowi ludzie, którzy akurat jedli tam kolację. Złośliwie wznieśliśmy kilka toastów w stronę kelnera i jego szefa, bo było nam bardzo wesoło. A ci z kwaśnymi minami, bo jak się schlejemy i zawalimy start, będzie na nich. Ale nic nie mogli zrobić. Pobiesiadowaliśmy w najlepsze, przypijając do życzliwych Belgów. Do sklepu i tak jeszcze poszliśmy i kupiliśmy trochę gorzały, żeby kontynuować imprezę w pokoju. Nieznacznie tylko przesadziliśmy. Tadiusz, który przed snem postanowił sobie zrobić ciepłą kąpielkę, obudził się o 5 nad ranem i stwierdził, że leży w wannie w zimnej już wodzie. Skostniały wpakował się do łóżka, marudząc pod nosem:

Już na własnych śmieciach. Zdjęcie zrobione krótko po narodzinach Małgosi. Gdynia, 1983

Jak mogliście dać mi tam zasnąć, bandyci, łobuzy? Mogłem się utopić albo szkarlatyny dostać, a wy w najlepsze chrapiecie.

Ale myśmy chrapali mocno i rano wyruszyliśmy na mityng na maleńkim rauszu. Głowa aż tak strasznie nie pękała. Zwyciężyłem na cześć Kasi, skacząc 5,61 i bijąc rekord stadionu. Atakowałem też rekord świata, ale minimalnie straciłem poprzeczkę. Tadekowi przydługa zimna kąpiel też nie zaszkodziła zajął drugie miejsce, a Wojtek Buciariski czwarte. Polska tyczka była wtedy potęgą i odrobina alkoholu nie była w stanie tego zmienić.

Kasię zobaczyłem dopiero dwa tygodnie później, ponieważ z Brukseli wysłano mnie na akademickie mistrzostwa świata w Meksyku, czyli uniwersjadę. Decyzję o wyjeździe

podjęto w ostatniej chwili, więc nikt nie pomyślał, żeby kupując mi bilet przez Nowy Jork, postarać się o wizę USA, ponieważ na lotnisku Kennedyego musiałem zmienić terminal. Trzeba było wyjść z hali przylotów i przejść po amerykańskiej ziemi dosłownie 50 metrów. Tylko że po wyjściu równie dobrze można było wskoczyć w taksówkę i jechać na Manhattan. Idę więc z biletem do Mexico City w rękę, ale oczywiście nie chcą mnie wpuścić.

Gdzie pańska wiza?

Nie mam. Nie przyleciałem do USA, jestem w drodze do Meksyku.

A, to proszę z powrotem do samolotu, którym pan przyleciał.

Ale...

Jest pan z Polski, musi pan mieć wizę. Na miejscu postara się pan o nią i wówczas zapraszamy serdecznie.

Ale ja na zawody do Meksyku...

Wstawili się za mną belgijscy i francuscy zawodnicy, którzy przylecieli tym samym samolotem z Brukseli.

Panie, to jest najlepszy tyczkarz na świecie. Jak go cofniecie, nie zdąży na mistrzostwa świata!

Najlepszym tyczkarzem na świecie jest Dave Roberts, reprezentant USA odparł urzędnik z dumą.

Wcale nie! Jestem od niego lepszy, od Ripleya i Tullyego zresztą też. Właśnie pokonałem ich wszystkich na mityngu w Brukseli powiedziałem. A jakiś Belg podetknął mu gazetę z wynikami mityngu. Rzucił okiem:

No, skoro tak, to proszę bardzo.

I wbił mi pieczętę do paszportu! Wyobrażacie sobie dziś coś takiego? Do Meksyku doleciałem, uniwersjadę wygrałem, skacząc 5,60, wróciłem i w połowie września wreszcie wziąłem Kasię na ręce. Pamiętam, że jak zobaczyłem ją pierwszy raz w mieszkaniu teściów w Rzeszowie, to usiadłem przy łóżeczku na miękkich nogach i przez dwie godziny patrzyłem, nie mogąc wymówić słowa. Trafnie to podsumował w „Szopce lekkoatletycznej” znany satyryk Józef Prutkowski:

„Kozakiewiczu, kochany chłopie,

Cyfry nigdy nie kłamią.

Tyś pierwszy na świecie, drugi w Europie,

Trzeci we własnym mieszkaniu”.

Cztery i pół roku później spadłem na czwartą pozycję, bo urodziła się Małgosia. Tym razem akurat nigdzie nie startowałem i gdy pewnego dnia o 6 rano nadeszła pora, mogłem sam odwiedzić Anię do gdyńskiego szpitala. Oczywiście, porody rodzinne były wówczas jeszcze sprawą nieznaną, więc zobaczyłem tylko, jak Anię wiozą na salę, a mi zatrzasnęli drzwi przed nosem. Udałem się więc do lobby pobliskiego hotelu Gdynia i co godzinę zachodziłem na recepcję pytać, jak tam. Wlokło się to w nieskończoność, w lobby odwiedzali mnie więc znajomi, żeby mnie wspierać. W końcu o 16 mówią mi:

Ma pan córkę!

To wpuście mnie, chcę ją zobaczyć zacząłem już się wpychać przez drzwi.

Panie, Kozakiewicz nie Kozakiewicz, nikt tu nie ma wstępu i koniec!

Myślałem, że wpuszczą mnie na gębę, ale nic z tego. Powiedzieli, że mogą mi córkę

co najwyżej pokazać przez szybę. I pokazali jakieś takie małe, pomarszczone nieszczęście, bez włosów, a przecież pamiętałem, że jak pierwszy raz zobaczyłem Kasię, to miała gęstą, ciemną czuprynę. I nie mogłem ani cmoknąć, ani pogłaskać, przytulić. Tylko popatrzeć przez minutę, dwie.

Za jakiś czas na rozmowę przyszła wykończona i zboląła Ania, lekko też przerażona, bo leżała dziesięć godzin na sali z dziesięcioma innymi rodzącymi w bólach kobietami, osłoniętymi tylko parawanem. W dodatku jedno dzieciątko urodziło się martwe i Ania bardzo to przeżyła. A w trakcie porodu Małgosi lekarz... położył się Ani na brzuchu i dusił, żeby mała szybciej wyszła na świat.

Słuchaj, Władek, poprosiłam o podanie mi Małgosi do łóżka. Oddziałowa wydała mi ją z takiego wózkołóżka, w którym leżała szóstka zawiniętych w bety noworodków. Pieszczę, tulę, rozwijam, patrzę... ale to chłopiec! Pytam więc siostrę, że to kogo ja właściwie urodziłam. A ona, że to pomyłka, że już naprawiają. I dopiero wtedy podali mi Małgosię. Ale czy to na pewno ona?

Chłopca? To trzeba było brać! zarechotałem, choć oczywiście z córki byłem tak samo szczęśliwy. Tak jak w przypadku Kasi, nie znaliśmy płci przed rozwiązaniem, ale było nam wszystko jedno. Marzyliśmy wyłącznie o tym, żeby maleństwo było zdrowe.

Małgosia okazała się dzieckiem niezwykle grzecznym i spokojnym. W przeciwieństwie do Kasi, która po urodzeniu przez kilka miesięcy ostro dawała nam w kość, bo kompletnie nie przejawiała potrzeby snu, za to ogromną chęć zabawy. Co jakiś czas tylko zapadała na półgodzinną drzemkę, a potem dalej bawić się z rodzicami. Nie zliczę bezsennych nocy, w trakcie których, jeśli nawet na troszkę zasypiała, to tylko trzymając Anię lub mnie za palec.

O synu nie marzyłem, bo wcale nie planowałem, żeby mój potomek koniecznie poszedł drogą mojej sportowej kariery. Wręcz przeciwnie, oboje z Anią wiedzieliśmy, z iloma wyrzeczeniami i z jak ciężką, często niewdzięczną pracą wiąże się zawodowe uprawianie sportu, jeśli się chce osiągnąć poziom europejski. Chcieliśmy tego oszczędzić córom. Owszem, pokazaliśmy im wszystkie dyscypliny, ale do niczego nie zmuszaliśmy. Miały wolną rękę i obie wołały pianino niż bieżnię. Kasia zresztą od małego uwielbiała grać na

wielu instrumentach, choć najwięcej na nerwach. Małgosia jest dziś dziennikarką modową, redaktorką naczelną jeżdżącą po największych światowych pokazach haute couture. Trochę sama projektuje, otworzyła też internetową wypożyczalnię sukien wieczorowych.

## **Nielzia, nie nada, eto maskowskaja olimpiada**

Na uniwersjadzie w Meksyku po raz pierwszy zobaczyłem 19letniego radzieckiego skoczka Konstantina Wołkowa, o którym już słyszeliśmy, że to wielki talent.

Właśnie zdobył tytuł mistrza ZSRR i był wielką nadzieją gospodarzy przed zbliżającymi się igrzyskami w Moskwie. Wszyscy działacze przekonywali go zresztą, że tak właśnie jest.

Zrobił na mnie nieprzyjemne wrażenie. Zacięty, chmurny, arogancki. Uśmiechał się pod nosem tylko wówczas, gdy innym zawodnikom coś nie wychodziło. Wyraźnie okazywał nam wszystkim wyższość, choć nie miał jeszcze ku temu zbyt wielu powodów. Jest dobry, to prawda, ładnie skacze, ale to jeszcze nie jest zawodnik, który mógłby nas ograć na igrzyskach myśleliśmy sobie. Inna rzecz, że z radzieckimi sportowcami nie dało się pogadać, kiedy byli w grupie. Sam na sam jeszcze tak, jeśli któryś chciał, ale jeśli tylko pojawiał się obok kolega z kadry, obaj natychmiast milkli. A Wołkowa obstawa nie odstępowała na krok. Może dlatego wydał nam się taki nieprzystępny i zdystansowany.

Start w Meksyku był ciągle przesuwany, bo szalały deszcze i mocno wiało. Zaczęliśmy konkurs bardzo wcześnie rano i nie mogliśmy skończyć. Wołkow strącił dwie próby na 5,50 i przed trzecią czekał, aż wiatr zmieni kierunek na bardziej korzystny. Czekał i czekał, czas mijał, a zawodnik miał wtedy na oddanie skoku tylko trzy minuty (dziś wymogi transmisji telewizyjnej skróciły ten czas do zaledwie jednej minuty). Ale on czekał i czekał, sprawdzał wiatr i sprawdzał aż sędzia machnął czerwoną chorągiewką, że czas przekroczony. Zgodnie z przepisami jego kolejka przepadła, co oznaczało dla niego koniec zawodów. Ale



Wołkow dalej szykował się do skoku.

Władysław Kozakiewicz otrzymuje medal od Mariana Renkego przewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki oraz szefa polskiej ekipy w Moskwie. Przed olimpiadą, 1980

Oni do niego po hiszpańsku:

Proszę zejść z rozbiegu, czerwona chorągiewka.

On do nich po rosyjsku:

Proszę się odsunąć, zaraz będę skakał.

Oni swoje, on swoje.

Ponieważ znałem rosyjski, podszedłem, żeby mu życzliwie wytłumaczyć, że czas upłynął i jego skok przepadł.

Wiem o tym, ale chcę oddać ten skok dla siebie. Chcę zobaczyć, czy pokonam wysokość.

Słuchaj, ale to są oficjalne zawody, a nie trening. Tak się nie robi, przecież konkurs toczy się dalej.

Ostatecznie nie pozwolili oddać mu tego skoku, a on, pakując się, rzucił w naszym kierunku z nienawiścią:

Poczekajcie, przyjedziecie do Moskwy, to inaczej pogadamy. Już my wam pokażemy!

Zabrzmiało to jak słynne „Nu, pagadi!” wypowiedane przez Wilka w pamiętnej kreskówce z Zającem. Nie przejąłem się tym i wygrałem zawody, skacząc 5,60. Jednak

nadszedł 1980 rok i Wołkow nie tylko wygrał w marcu halowe mistrzostwa Europy w Sindelfingen, ale wynikiem 5,60 ustanowił rekord imprezy. Po prawdzie osiągnął to dzięki trikowi. Radzieccy działacze przed konkursem wymusili na niemieckich organizatorach pogłębienie dołka, w którym opiera się tyczkę przy skoku. Według przepisów musi on mieć głębokość od 18 do 23 centymetrów. Im głębiej w ziemię wejdzie tyczka, tym wyżej można ją złapać przy wyniesieniu w powietrze. W Sindelfingen głębokość wynosiła przepisowe 18 centymetrów. Rosjanie uprosili jednak Niemców, żeby pogłębili dołek o 5 centymetrów. To faworyzowało Wołkova, który przywiózł najtwardsze tyczki. Tymczasem moje były wyłącznie miękkie i ostatecznie zająłem czwarte miejsce. Trik z dołkiem okazał się zagranieciem psychologicznym: zwycięstwo i rekord HME dodały Wołkowowi pewności siebie i animuszu.

Ale i we mnie ta porażka wywołała sportową złość. W maju odbył się mityng w Mediolanie, na którym po raz pierwszy w życiu pobiłem rekord świata! Skoczyłem 5,72, choć wcześniej poważnie się zastanawiałem, czy w ogóle warto jechać na te zawody, bo sezon letni jeszcze się nie zaczął i nie czułem się w pełni formy. W pierwszej chwili żałowałem decyzji o starcie, bo do konkursu przystąpiło mnóstwo słabych, którzy zaczęli od 4,40. Ja zaczynałem metr wyżej, więc na swoją kolejkę musiałem czekać aż cztery godziny. Kiedy w końcu zacząłem skakać, wszystko zaliczałem w pierwszej próbie. 5,50, 5,60... czemu nie spróbować rekordu świata? Wuuut, patrzę: poprzeczka stoi. Jest! W autobusie ze stadionu do bazy naszej ekipy w Formio tylko kierowca zachował trzeźwość.

Znów poczułem się pewniakiem do medalu, ale na krótko. Już po rekordowym skoku poczułem ukłucie w pachwinie, jakbym sobie naciągnął mięsień. Trenowałem i startowałem normalnie, ale ból się zwiększał i zwiększał. Aż któregoś dnia wstałem rano i poczułem, że nie mogę chodzić. Ból był zbyt wielki. Zbadał mnie profesor Sowiński, zrobił jakieś zastrzyki i powiedział, że po trzech dniach mogę wznowić treningi. Ale jak wznowić, jak nadal boli? Nic się nie poprawiło. Bolała mnie ta pachwina przez miesiąc, więc w tym czasie byłem w stanie trenować tylko od pasa w górę: ręce, brzuch, ramiona, zwis na drążkach i na linie. Nie mogłem nawet truchtać. Z trzech miesięcy do igrzysk zrobiły się dwa. Zacząłem mieć wątpliwości, czy w ogóle polecę do Moskwy.

Otwarcie Igrzysk Olimpijskich w Moskwie, 1980

Zdesperowany, że nic nie pomaga, postanowiłem za radą kolegi spróbować akupunktury, która była wówczas zabiegiem rzadkim i owianym magią dalekowschodniej tajemnicy. Jedynym znanym nam specjalistą w Polsce był mieszkający w Oliwie Mieczysław Wiktor. Poprosiłem go o ratunek, a on przez dziesięć dni intensywnie mnie nakłuwał, aż stwierdził:

Już wszystko dobrze. Idź na stadion i pobiegaj.

Jak to? Po paru nakłuciach igiełką w paru miejscach? Poszedłem i z duszą na ramieniu zacząłem leciutko truchtać, z każdym krokiem oczekując przyjścia ataku bólu. A tu nic. Z truchtu przeszedłem więc w normalny bieg i dalej nic. Bólu nie ma. Skoro tak, to wykonałem ostry sprint.

Nic nie boli! Juhuuuu! Jestem jak nowo narodzony!

Obolała pachwina nie dokuczyła mi już nigdy w życiu, niestety ponadmiesięczna przerwa zrobiła swoje. Pojechałem z kadrą na obóz do Brunico we Włoszech i nie byłem w stanie przeskoczyć 5 metrów. Gdy raz przeskoczyłem, to cieszyłem się jak juniorek. Mało tego mimo że cały czas ćwiczyłem ręce, nie byłem w stanie wygiąć tyczki. Zmusiłem trenera Tomaszewskiego, żeby robił mi dwa treningi dziennie. Padało czy grzało słońce, wyciągałem go na stadion, choć próbował się migać. Zszokowany ojciec i trener Jacka Wszola stwierdził, że nigdy w życiu nie widział, żeby to zawodnik tak gonił trenera do roboty, a nie odwrotnie. Ale ostry zapieprz przyniósł skutek. Powoli zacząłem przeskakiwać 5,30, 5,40, 5,50, wreszcie 5,60 i 5,65, co już dawało jako takie szanse na medal w Moskwie. Tymczasem zainspirowany moją harówką Wszola sam pobił rekord świata, skacząc wzwyż na mityngu w Eberstadt 2,35.

Wówczas gruchnęło, że wiele państw, w tym USA, Kanada i RFN, postanowiło zbojkotować igrzyska w Moskwie w proteście przeciwko radzieckiej interwencji w Afganistanie. Przyjazdu odmówiła również Chińska Republika Ludowa, choć chyba z innego powodu. My, zawodnicy, od strony politycznej prawie tego nie komentowaliśmy. Przecież nikt z nas nie wiedział, co się dzieje w Afganistanie. Nikt z nas nie kochał Roskich, ale interesował nas głównie sport. Igrzyska to igrzyska, może ostatnie w karierze mówiliśmy

sobie. Podobnie było zresztą przed igrzyskami w Pekinie niektóre kraje zastanawiały się nad bojkotem z powodu łamania praw człowieka, ale sami zawodnicy myśleli tylko o startach. Zresztą Międzynarodowy Komitet Olimpijski zadbał, żeby nikt się z żadnymi protestami nie wychylał, bo groziła za to dyskwalifikacja.

Każdy sprawdzał raczej, jak ten bojkot wpłynie na jego dyscyplinę. W niektórych z nich wycofanie się czołowych krajów kompletnie przewróciło klasyfikację. Na przykład taki Jan Kowalczyk, który zdobył złoty medal w jeździectwie w skokach przez przeszkody, w normalnych okolicznościach, gdyby przyjechali Niemcy, Amerykanie, Kanadyjczycy, Norwegowie, mógłby mieć problemy z wejściem do pierwszej dziesiątki...

Ale w skoku o tyczce najsilniejsi byli wówczas nie Amerykanie, ale Rosjanie, ze wspomnianym Wołkowem, Władimirem Poliakowem i Jurijem Prochorenką, którzy skakali w okolicach 5,70, oraz Francuzi. „Trzej muszkietierowie” Philippe Houvion, Patrick Abada i JeanMichel Bellot skakali równie dobrze jak my, Polacy, i przedstawiciele ZSRR. A do tego właśnie objawił się czwarty z nich „DArtagnan” Thierry Vigneron, który 1 czerwca w Colombes pobił mój rekord świata o trzy centymetry, a trzy tygodnie później wyrównał. Natomiast 17 lipca w Paryżu Houvion wyrubował go o kolejne dwa centymetry: 5,77.

Myśmy byli z Francuzami bardzo serdecznie zakumplowani, a oni zakochani w naszym kraju, a zwłaszcza w naszych dziewczynach. Abada, wielki donżuan, szczególnie upodobał sobie polskie płotkarki. Kochał się między innymi w Elżbiecie Rabsztyn, siostrze Grażyny, trzykrotnej rekordzistki świata na 100 m przez płotki. Ale Ela wolała wyjść za niemieckiego płotkarza Haralda Schmidta, z którym zresztą tworzą szczęśliwą parę do dziś. Wówczas Patrick chodził z Zosią Bielczyk, dwukrotną mistrzynią Europy w hali w biegu przez płotki, wreszcie z Danusią Perką, mistrzynią Europy na 60 m przez płotki, która jednak wyszła za swego trenera.

Jeden z francuskich skoczków Serge Ferreira wykręcił mi kiedyś niezły numer. Po mityngu w Dijon namówił mnie, żebym nie wracał do Paryża na samolot pociągiem z całą ekipą, ale pozwolił się podrzucić awionetką, bo ma kurs pilota. Ucieszyłem się, bo fajna przygoda. Wsiadamy do dwumiejscowej awionetki, zapalił silnik, wziął do ręki instrukcję i zaczął sprawdzać punkt po punkcie. Trochę zdjął mnie niepokój.

Mam nadzieję, że to nie będzie twój pierwszy samodzielny lot?

Nie, no co ty, Władek. Po prostu taka procedura, trzeba przed startem sprawdzić 30 punktów.

Wystartowaliśmy. Lecieliśmy może kwadrans, głównie w chmurach, bo nisko wisały. W końcu Serge mówi:

Musimy zawrócić. Za gęste chmury.

To lećmy nad nimi.

Ale wtedy nie będę widział autostrady do Paryża.

Okazało się, że nie umie jeszcze określać trasy na podstawie przyrządów pokładowych, więc porusza się wzdłuż dróg i szos, wypatrując drogowskazów: do Paryża w lewo, to i on leci w lewo. Wróciliśmy, wpadłem zziębnięty na dworzec, szczęśliwie był szybko jakiś pociąg, więc udało mi się zdążyć na samolot.

Medaliści olimpijscy od lewej: Bronisław Malinowski, Władysław Stecyk, Adam Sandurski i Władysław Kozakiewicz. Moskwa, wioska olimpijska, 1980

Wreszcie przylecieliśmy do Moskwy. W wiosce olimpijskiej było zupełnie inaczej niż w tej w Montrealu. Zdecydowanie bardziej pusto, i to nie tylko z powodu braku przedstawicieli kilku państw. Taka była organizacja. W Kanadzie w wiosce kotłowało się, że głowa mała, życie toczyło się 24 godziny na dobę, właściwie non stop trwała jedna wielka impreza. W Moskwie na każdym kroku towarzyszyli nam mundurowi, jak nie żołnierze, to milicja. To jeszcze było zrozumiałe po tragedii w Monachium w 1972 roku i o to nikt się nie czepiał. Ale wprowadzono karykaturalne środki ostrożności, po sowiecku, i nie było z nikim dyskusji, choćby były głupie. Zakwaterowano nas na przykład w kilku blokach, ale wejść można było tylko do klatki, w której się samemu mieszkało. I nie chodziło nawet o to, że nie wpuszczali do bloku kobiet. Chciałem odwiedzić Mariana Woronina, który mieszkał w klatce

obok. A tu zatrzymuje mnie żołnierz i mówi: „Nielzia!”.

Czemu nie wolno? Kto zabronił? Przecież to blok polskiej ekipy.

Wy tu nie mieszkanie, to nie wejdziecie. Po co chcecie wchodzić?

Do kolegi.

Po co do kolegi?

Moja sprawa po co, mam się jeszcze może spowiadać?

Nie wejdziecie i już. Chcecie się spotkać, to na dole.

To ja ręce w trąbkę i krzyczę pod oknami:

Mariaaan! Zejdź na chwilę na dół!

No, absurd kompletny. A i spacerować z piętra na piętro w obrębie klatki nie za bardzo im się podobały. Na każdym piętrze był strażnik i choć pozwalał, to krzywo i podejrzliwie patrzył. W Montrealu, jak wspominałem, była dyskoteka otwarta 24 godziny na dobę. W Moskwie też była, ale zamykano ją o 22, bo cisza nocna. A zawodnicy kończyli starty o 21 czy nawet 22 i chcieli się wybawić, wyszaleć, zrzucić stres, odreagować.

Nielzia! Wybiła 22, koniec szaleństw, wszyscy do swoich pokoi.

Nikt ich nie posłuchał, wszyscy bawili się dalej, więc organizatorzy wyłączyli światło. Nam w to graj, po ciemku jeszcze lepiej. Śmiechy, żarty. To wykręcili korki i umilkła muzyka. Ale jacyś sprytni Australijczycy przynieśli magnetofon na baterię i muzyka znów popłynęła, wszyscy byli ubawieni całą sytuacją. Wtedy do sali weszło z pięćdziesięciu chłopów i bardzo delikatnie, choć stanowczo, posuwając się zwartym szeregiem krok za krokiem, wypchnęli bawiących się na dwór. Ale nas to tylko jeszcze bardziej ubawiło. Przecież nadal mieliśmy magnetofon, a skoro tak, to zarządziliśmy imprezę pod chmurką. Niestety, skonfiskowali Australijczykom ich magnetofon i rozeszliśmy się do pokoi.

Jacyś sportowcy z Afryki, bodaj z Etiopii, nie chcieli mieszkać w tych dusznych pokojach, zwłaszcza że temperatura na zewnątrz dochodziła do 30 stopni. Rozbili więc na trawnikach takie małe, jednoosobowe namiociki. Przechodzimy, patrzymy, tylko czarne nogi ze środka sterczą. Zaraz przybiegli do nich żołnierze i mówią:

Nielzia. Zwijajcie to i rozejść się do pokojów.

A co to wam przeszkadza? Dajcie tu ludziom leżeć wzięliśmy ich w obronę, bo znaliśmy rosyjski.

Ale nikt z nami nie dyskutował. Zebrało się więcej żołnierzy i na powrót zagonili biedaków do bloków.

W Montrealu zjeść można było w wiosce olimpijskiej w dowolnej chwili i co kto chciał. Tu śniadanie od 6.30 do 10 i koniec. Stołówka zamknięta, światła zgaszone. To łomoczemy.

Otwórzcie, dajcie chociaż napić się herbaty.

Nielzia. Tu macie godziny otwarcia.

To jechaliśmy do miasta. Moskwa bardzo ładna, tylko przeludniona, ale władze wysiedliły na czas igrzysk trzy miliony moskwian, zwłaszcza z tych najbiedniejszych dzielnic. Ulice rzeczywiście były bardzo puste i w pełni przejezdne, żadnych korków, ale tylko te główne. Chodziliśmy po placu Czerwonym i paru ulicach naokoło. Nie można z nich było zrobić kroku w boczne uliczki, bo były zamknięte szlabanami, a przy nich posterunki. A jak się gdzieś już dało wejść, to witryny były zabite deskami albo zaklejone gazetami. Przygnębiające wrażenie, jakby cała ulica była przeznaczona do wyburzenia. Normalne życie tam się nie toczyło.

Ten plakat dostał I nagrodę na konkursie olimpijskim. Kozakiewicz najwyraźniej nie rozumie dlaczego. Moskwa, 1980

Po zwycięstwie sportowca czekała dekoracja, potem wywiady, wizyty w studiu telewizyjnym i jeszcze kontrola antydopingowa. Więc taki zawodnik, jak wracał do wioski, to często była już północ albo jeszcze później. Ja z moim złotym medalem wróciłem o pierwszej. W takiej sytuacji w Montrealu po prostu zostawiało się medal w szafce i wtapiało w taneczny wir. A w Moskwie przy bramie do wioski żołnierze przekazali sobie nas z Tadkiem Ślusarskim, który zdobył srebro, i prowadzą do bloku. Ciemno, cicho, że aż strach iść. Człowiek chętnie darłby mordę ze szczęścia, jakby tylko ktoś się z okna wychylił. A tu nijak nie dają poświętować. Nielzia, nie nada. Nie ma się z kim szczęściem podzielić. Dobrze, że kiedy wszedłem do pokoju, to już tam na nas czekała spora banda, która jakoś zdołała się przemyścić. Stuknęło parę szampanów, bo to było nasze pierwsze złoto na tych igrzyskach.

Tak nam to po paru dniach obmierzło, że aż ułożyliśmy sobie prześmiewczy wierszyk: „Nielzia, nie nada. Eto maskowskaja olimpiada”. Na każdym kroku czuliśmy ich niechęć nie tylko do nas, Polaków. Do wszystkich sportowców. To pewnie przez ten stres naszych strażników i strach, że czymś podpadną, ale czuliśmy, że jesteśmy tu tylko po to, żeby im sprawiać kłopoty. No, ale prawdziwe kłopoty to miałem sprawić organizatorom dopiero w dniu startu, 30 lipca.

## **Dwa gesty**

Nieżyczliwa, duszna atmosfera w wiosce olimpijskiej, cisza nocna o 22 i wszystkie pozostałe absurdy moskiewskich igrzysk to było nic w porównaniu z tym, co działo się na zawodach.

Kibice gospodarzy gwizdali na większość rywali swoich zawodników. Było to czymś niespotykanym, bo lekkoatletyka to nie piłka nożna. Na mityngach, na mistrzostwach Europy czy poprzednich igrzyskach widzowie dopingowali każdego zawodnika rytmicznymi



brawami. A w Moskwie tylko swoich. Ale pal diabli! Gorsze było to, że już pierwszego dnia zorientowaliśmy się, iż organizatorzy jawnie forują gospodarzy. Ba, co rusz oszukują, byle tylko medal zdobył jakiś radziecki sportowiec.

Weźmy rzut oszczepem. Jak ciskał Wolfgang Hanisch z NRD, nic się nie działo, poza gwizdami oczywiście. Ale jak do próby podchodzili reprezentanci ZSRR Dainis Kula i Aleksandr Makarow, organizatorzy lecieli otwierać obie bramy stadionu na Łuźnikach. Robił się cug, który czuliśmy wszyscy, dzięki czemu oszczep dostawał od dołu powiew, taki sam, jaki skoczkowie narciarscy dostają pod narty, i niosło go dobrych kilka metrów dalej. Kuli poniosło aż za 91 metr. Niemiec, przed którego próbą bramy na powrót zamykano, rzucił aż o pięć metrów bliżej.

Igrzyska Olimpijskie. Kibice z Polski. Moskwa, 1980

W trójskoku absolutnym faworytem był Brazylijczyk Joao Carlos de Oliveira, ówczesny rekordzista świata. Na mityngach był nie do pobicia, skakał prawie 18 metrów! Ale gospodarze bardzo chcieli, żeby wygrał Wiktor Saniejew, który zdobywał złote medale na igrzyskach w Meksyku, Monachium i Montrealu. W Moskwie miał szanse zdobyć czwarte złoto z rzędu. Żeby mu pomóc, sędziowie zaliczyli Brazylijczykowi tylko jeden z sześciu skoków! Tłumaczyli, że zahaczył zamachową nogą o ziemię, a to liczyło się jako czwarty skok. Gdyby konkurs odbywał się na żuźlu, zostałby ślad, który by to potwierdził lub nie. Ale rywalizacja toczyła się na nawierzchni tartanowej. Nieszczęsny Brazylijczyk rwał włosy z głowy, ale Saniejew skoczył 17,35 i sędziowie pilnowali, żeby de Oliveira go nie pobił. Co skoczył, łup, czerwona chorągiewka w górę. Sędzia przy rozbiegu spoglądał w stronę kolegi przy piaskownicy. Jak tamten pokręcił głową, że skok daleki, to ten pierwszy podnosił chorągiewkę. Ostatecznie konkurs wygrał inny przedstawiciel ZSRR, Jaak Uudmäe, przed Saniejewem. De Oliveira zajął trzecie miejsce.

W skoku w dal Walery Podłużnyj, mistrz Europy, spalił w eliminacjach wszystkie trzy próby. To mu dali czwartą! Dlaczego, nie wiadomo do dzisiaj, ale za tym czwartym razem wreszcie awansował do finału, w którym zdobył brąz.

W rzucie dyskiem faworytem był reprezentant NRD Wolfgang Schmidt, rekordzista świata i mistrz Europy. Wiadomo, że dysk spada płasko, zostawia na trawie odcisk i leci dalej. Zadaniem sędziów jest znaleźć miejsce pierwszego zetknięcia z ziemią. Z daleka tego nie było dokładnie widać. Ale ja rozgrzewałem się na wysokości miejsca, gdzie dyski spadały, i na własne oczy widziałem, że po rzucie Schmidta sędziowie szukają miejsca upadku cztery, pięć metrów bliżej.

Ależ kręć! Żeby nas nie przekręcili martwiliśmy się z Tadkiem Ślusarskim.

W skoku o tyczce jest tak, że zawodnik staje na rozbiegu mniej więcej 40 metrów od poprzeczki. Skąd może mieć pewność, że sędziowie ustawili mu wysokość 5,50 metrów, jak prosił, a nie 5 centymetrów wyższą? A preferowanemu rywalowi 5 centymetrów niższą? Baliśmy się manipulacji, tym bardziej gdy odkryliśmy, że wszyscy sędziowie obsługujący konkurs skoku o tyczce to... radzieccy trenerzy tej dyscypliny! Wszyscy co do jednego! Myśmy przecież ich doskonale znali.

Na pewno pomagali swoim zawodnikom w ten sposób, że przed ich skokami niby przypadkowo rzucali źdźbło trawy, żeby im pokazać, skąd wieje wiatr. Było to oficjalnie zabronione i za taką pomoc groziła dyskwalifikacja. Ja akurat nie przywiązywałem do tego wagi, jednak są tacy, którzy chcą wiedzieć, skąd wieje, z powodów psychologicznych. To trochę jak z sędziami skoków narciarskich, którzy machnięciem chorągiewki sygnalizują zawodnikowi, kiedy startować. W każdym razie było to nielegalne i nawet oficjalna radziecka telewizja to wychwyciła!

Zabronione były też konsultacje z trenerami, którzy siedzieli na trybunach. Nie wolno nam było do nich podejść. A jakby któryś z nich krzyknął coś do swojego zawodnika, coś odpowiedział z miejsca dyskwalifikacja. Mało tego, nam, zawodnikom z jednego kraju, nie pozwolili nawet rozmawiać ze sobą! Ekipa niemieckiej telewizji pokazywała cały konkurs i na archiwalnych nagraniach widać, jak przychodzą do nas z Tadkiem i przestrzegają:

Cicho, nie wolno tu rozmawiać. Nielzia!

Pocieszaliśmy się, że może sędziowie niczego nie zachachmęcą na samej skoczni, bo tuż obok niej rozstawił swój stolik wybitny działacz Międzynarodowej Federacji

Lekkoatletycznej, sędziwy Belg Adrian Paul. No, już na jego oczach chyba nie odważą się na jakieś bezczelne kanty?

Wszystko to sprawiło, że w dniu konkursu byłem rozdrażniony i podminowany. A jeszcze do tego byłem niewyspany, bo nie spałem całą noc. Grzecznie położyłem się do wyra o 22, ale sen nie chciał przyjść, tylko wierciłem się w pościeli. Gdzieś po 1 w nocy usłyszałem, że drzwi cichutko się otworzyły i do pokoju wszedł na paluszkach Jacek Wszola. Znów, jak w Montrealu, dzieliliśmy pokój, tylko że on dopiero przyleciał z Polski, bo start miał kilka dni później. Sportowcy przylatywali do Moskwy wahadłowo. Jedni przyjeżdżali, drudzy wyjeżdżali, nie było tak, że na miejscu cały czas przebywała jedna wielka ekipa. Zaczęliśmy gadać, on palił fajurkę za fajurką, co potem nie przeszkodziło mu zdobyć srebrnego medalu. Rozmowa mocno mnie odstresowała, ale sen przyszedł dopiero około 5. A już o 7 musiałem iść na śniadanie, bo konkurs zaczynał się w południe. Nie byłem jednak w stanie niczego przełknąć, wypilem tylko kawę. Zabrałem banana, jabłko, czekoladę, żeby wzmocnić się podczas startu, i zmaltretowany pomaszerowałem na stadion.

W drodze spotkałem polskich dziennikarzy.

O, Władek! A wiesz, robiliśmy zakłady w biurze prasowym, kto wygra tyczkę, i nikt na ciebie nie postawił. W trójce byli Wołkow, Vigneron, Ślusarski...

A idźcie w diabły! To teraz żeście mi dodali otuchy.

Mistrz olimpijski Władysław Kozakiewicz. Moskwa, 1980

Nagle poczułem ogarniającą mnie panikę. Może wiedzieli, co mówią? Cztery lata temu w Montrealu byłem faworytem i zawałem najważniejszy start w życiu, a teraz nawet faworytem nie jestem. Niedawno ta kontuzja, a teraz jeszcze bezsenna noc. Dopadł mnie straszny dół. Na stadionie treningowym trochę potruchtałem, ale cały czas maksymalnie spięty. Patrzę, a młodszy ode mnie trzy lata i debiutujący na igrzyskach Mariusz Klimczyk biega sobie wesoło, pogwizduje, podskakuje. Zero stresu. Myślę sobie: kurczę, jak to jest, ja, stary wyga, który cały świat objeździł i tyle nawygrywał, trzęsienie portkami, a ten małolat taki

wyluzowany?

Kurde, Mariusz, nie boisz się? Przecież to najważniejszy start w twoim życiu. Ja chodzę cały wkurzony, rozdrażniony, jak po gorących węglach.

Czego tu się bać? Trzeba skakać jak najwyżej, a które miejsce z tego będzie, to się zobaczy na koniec.

I to było właściwe podejście. Mariusz zajął zresztą świetne szóste miejsce, bijąc po drodze rekord olimpijski, który myśmy mu chwilę później po kolei odbierali.

Już na Łużnikach oddałem jeden skok próbny. Przeskoczyłem czyściutko 5,30 i w tym momencie zeszło ze mnie całe napięcie i strach. Drugi raz nie skakałem, żeby nie kusić losu, jak w przeklętym Montrealu. Sprawdziłem jeszcze, czy na rozbiegu jest mój znak, skąd zaczynać, który zrobiłem poprzedniego dnia czarnym, niezmywalnym flamastrem. Zazwyczaj przyklejaliśmy kawałek taśmy albo rysowaliśmy kredą, ale w Moskwie baliśmy się, że kredę zetną, a taśmę złośliwie przekleją, jeśli w ogóle jej nie usuną, bo nieźlia. Spojrzałem, jest moja krecha na tartanie. Rozbieg rozpoczynałem z jednego miejsca i nabiegałem sześć kroków właśnie na tę linię. Najważniejsze było, żeby trafić ją czubkiem stopy, bo od tego miejsca miałem naliczone czternaście kroków biegowych do skoku. Wszystkiego razem 42 metry rozbiegu. Wszystko w porządku, więc spakowałem tyczki, usiadłem na ławeczce, zacząłem oglądać zawody i spokojnie czekałem na swoją kolej.

Pierwszy wał. Moskwa, 1980

W pierwszym konkursowym skoku zaliczyłem 5,35 w pierwszej próbie i wszystkie następne podobnie. Przy 5,50 po raz pierwszy przy gigantycznych, wściekłych gwizdach publiki. Gwizdało z 50 tysięcy widzów na Łużnikach, których było tam z 70 tysięcy, bo odliczam turystów i przedstawicieli innych krajów oglądających zawody. Stworzyli potworny harmider przypominający dźwięk wuwuzeli znanych z mundialowych stadionów RPA. Zaczynało się niezbyt głośno, ale w miarę pokonywania rozbiegu ich gwizd narastał. I człowiek miał świadomość, że gwizdzą wyłącznie na niego. Aż głowa od tego bolała.

Oczywiście, nie gwizdali wyłącznie na Kozakiewicza. Gwizdali na Ślusarskiego, na Francuzów, na nas wszystkich, którzy mogliśmy zagrozić ich zawodnikom.

5,55 opuściłem. Skoczył za to Tadek i objął prowadzenie w konkursie. Ale ja na to 5,60 znów w pierwszej próbie i 5,65 podobnie. Do tego lista startowa tak się szczęśliwie dla mnie ułożyła, że zawsze skakałem jako pierwszy. Jak przeskoczyłem, to rywale byli pod presją. I po moim 5,65 zaczęli wszyscy po kolei zrzucać. Ja tymczasem spokojnie siedziałem i czekałem. Ostatecznie 5,65 przeskoczyło czterech zawodników, oprócz mnie Wołkow, Ślusarski i Houvion, ale tylko ja w pierwszej próbie. Dawało mi to prowadzenie, ale wciąż jeszcze mogłem znaleźć się poza podium. Pomyślałem sobie: „Cholera jasna, jak oni wszyscy skoczą 5,70, a ja nie, to skończę na czwartym miejscu”.

Do 5,70 znów stanąłem na rozbiegu jako pierwszy i znów zerwały się potworne gwizdy. Na trybunach był mały sektor, w którym siedzieli Polacy, w rewanżu gwizdający na Wołkova. Jak stanąłem, to próbowali mi pomóc dopingiem, ale gdzie tam, z miejscową publiką byli bez szans. Na stadionie słyhać było tylko jeden wściekły gwizd. Ja też się wściekłem, wezbrała we mnie adrenalina. Znów zaliczyłem wysokość w pierwszej próbie. Radocha była tak wielka, że wtedy pokazałem publice wała po raz pierwszy. Tak naprawdę był to nieplanowany, spontaniczny odruch zemsty za te gwizdy, za ten strach przed oszustwami sędziów, całą tę opresyjną atmosferę. „No i co?! Gwizdacie? A ja i tak jestem najlepszy!”.

Na stadionie nie było żadnej reakcji, bo nikt tego nie zauważył. Co innego w telewizji. Tam cały świat zobaczył, że Polak pokazał Ruskim wała, i to jeszcze w Moskwie! Ale miałem się o tym dowiedzieć dopiero później.

Konkurs jeszcze się nie skończył. Co prawda 5,70 nikt już nie skoczył, ale Wołkow po dwóch nieudanych próbach trzecią, ostatnią, przeniósł na 5,75. Gdyby skoczył, złoto byłoby jego. Ale to ja skakałem jako pierwszy. I znów to samo: gwizdy, rozbieg, wybiecie, przelot nad poprzeczką bez muśnięcia i zaliczona próba. I wtedy pokazałem publice kolejnego wała. Wołkow mógł jeszcze próbować mnie szachować i starać się skoczyć 5,80, ale został przy 5,75. Wybił się, ale nie zdołał przeskoczyć poprzeczki. Wygrałem!

Dekoracja przy pustych trybunach. Za Kozakiewiczem Tadeusz Ślusarski. Moskwa,

1980

Złoto było już moje, ale zostały mi jeszcze trzy próby, więc poprosiłem o 5,78. Pomyślałem, że tak dobrze mi idzie, to spróbuję pobić rekord świata. Wychodzę na rozbieg, a tu znowu gwizdy. Tego już nie potrafiłem zrozumieć, przecież już wszyscy odpadli. Normalnie na mityngu wszyscy kibicowaliby pobiciu rekordu świata, fajnie przecież zobaczyć coś takiego na własne oczy. Zwłaszcza że aktualny rekord należał nie do ich zawodnika, ale do Francuza, który zresztą siedział na ławce i patrzył, czy ja skoczę, czy nie skoczę. A ja skoczyłem. Wydarłem się jeszcze w powietrzu, spadając, bo już wiedziałem, że się udało. Wstałem i nie wiedziałem: śmiać się czy płakać z radości. Wała trzeci raz już nie pokazałem. Pomyślałem sobie, że stanę na najwyższym stopniu podium, białoczerwona flaga pójdzie w górę, a mi zagrają Mazurka Dąbrowskiego. To będzie największy wał dla publiczności.

Ale organizatorzy postanowili mnie upokorzyć. Zazwyczaj dekoracja odbywała się następnego dnia przed pierwszymi zawodami. A tu już późna noc, bo wywiady, kontrola dopingowa, i nagle organizatorzy wołają na dekorację. Stadion już dawno się opróżnił. Stanęliśmy przy pustych trybunach. Pomyślałem sobie: „A pies was trącał, nie zepsujecie mi tego święta”. I patrząc, jak flaga idzie do góry, śmiałem się od ucha do ucha. Mazurek się skończył, medale i kwiaty wręczyli, a ja stoję i stoję na podium. Aż Tadek Ślusarski do mnie:

Ej, ej, złaźże już stamtąd. Ile można?

No, daj postać jeszcze trochę. To jest taka przyjemność, że chcę zapamiętać do końca życia.

Czułem się, jakbym wygrał milion w totolotka. Spełniły się wszystkie moje marzenia, skończyły koszmary po zawalonych igrzyskach w Montrealu. Jednocześnie poczułem jakąś pustkę. Coś się dokonało, coś się skończyło. Pomyślałem, że teraz mógłbym nawet zakończyć karierę sportową.

Słynny komentator lekkoatletyczny Bohdan Tomaszewski opowiadał mi później, że

ten Mazurek Dąbrowskiego przy pustych trybunach był dla niego jednym z bardziej smutnych i jednocześnie radosnych, jakie słyszał. Ale to nie był koniec smutnych doświadczeń tego wieczoru. Później zadumany Tomaszewski siedział w jednym z ostatnich autobusów jadących ze stadionu do wioski, napchanym po brzegi. Rozpadało się. Kierowca już miał ruszać, kiedy nadbiegł jeszcze jeden spóźniony pasażer w czerwonym dresie. Ale kierowca wyprosił go na zewnątrz, zamknął mu drzwi przed nosem i ruszył. Mijając stojącego samotnie na przystanku zawodnika, Tomaszewski dojrzał jego twarz i rozpoznał w nim Wołkova. Zerwał się z miejsca i próbował interweniować u kierowcy.

Jak pan mógł go zostawić? Przecież to zdobywca srebrnego medalu!

Przecież przegrał odparł kierowca i pojechał dalej.

## **Jezus Maria, Kozakiewicz!**

Awantura o „gest Kozakiewicza” rozpetąła się dopiero dzień po konkursie. Nie miałem pojęcia, że w trakcie zawodów w Polsce przerwano nadawanie „Dziennika Telewizyjnego”, największej telewizyjnej świętości, żeby połączyć się z Moskwą na mój kluczowy dla medalu skok na 5,75.

Mój gest ewidentnie wymierzony w publikę mogli zobaczyć wszyscy. Tuż po wszystkim jeszcze nie podejrzewałem, że będą z tego kłopoty. Jeszcze przed dekoracją udaliśmy się z Tadkiem Ślusarskim, który wraz z Wołkowem zdobył srebrny medal, do studia telewizyjnego na stadionie. Program prowadził znany dziennikarz Tomasz Hopfer. Zaczęliśmy opowiadać o przebiegu zawodów. Kątem oka spostrzeegliśmy, że na ekranie odtwarzają nasze skoki. Patrę, a mojego wała też odtworzyli. W tym momencie zawołałem:

O, a to było dla...

Tak to właśnie było, a teraz... przerwał mi natychmiast Hopfer, kopiąc mnie pod stołem w kostkę i szybko zadał jakieś pytanie. A ja chciałem tylko uściślić, że to było dla tej gwizdzącej publiczności. Było nam tak wesoło, że nie przywiązałem do tego większej wagi.

Po powrocie do wioski olimpijskiej był szampan i krótka chwila radości z członkami ekipy. Nikt już tam nie wspomniał słowem o geście, więc i ja zapomniałem. Z rana o 8 był codzienny apel, na który stawili się wszyscy sportowcy i działacze. Tam jeszcze raz oficjalnie pogratulowano mi pierwszego złotego medalu dla Polski na tych igrzyskach i omówiono dzisiejsze starty. Odczytałem wszystkim telegram: „Kozakiewicz stop 590 w Los Angeles osobiście załatwiłem stop Bogdan Łazuka”. Ktoś pokazał mi pierwszą stronę francuskiego dziennika sportowego „L'Équipe”, którą w całości zajmowało zdjęcie mojego wała. Ucieszyłem się i byłem tym mocno rozbawiony, ale po apelu podszedł do mnie Marian Renke, były poseł na Sejm i dyplomata, ambasador na Kubie i w Hiszpanii, a wówczas prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

Władek, mamy problem. Poszła nota z ambasady radzieckiej do polskiego rządu, żeby cię zdyskwalifikować za obrazę narodu radzieckiego.

Wybałuszyłem oczy.

Za jaką znowu obrazę?

No przecież wała pokazałeś publiczności, i to nie raz.

I za wała chcą mnie dyskwalifikować? Zgłupieli do reszty?

Nie żartuj sobie, bo sprawa bardzo poważna. Musimy się zastanowić, jak z tego wybrnąć.

Okazało się, że rzeczywiście ambasador ZSRR w Warszawie Borys Aristow osobiście zadzwonił z pretensjami do Edwarda Gierka, że obraziłem cały naród radziecki. Zażądał, żeby odebrać mi medal i dożywotnio zdyskwalifikować. Mało tego, domagał się też unieważnienia rekordu świata, skoro został zdobyty w takich okolicznościach! Tłumaczył, że Polska i tak będzie miała złoto, bo przecież Tadek Ślusarski był drugi, no to teraz będzie pierwszy.



Skonsternowany Gierek, który nie oglądał konkursu, zadzwonił, do Renkego z pytaniem, czy rzeczywiście pokazałem wała, a jeśli tak, to dlaczego. Zaledwie kilka dni wcześniej Gierek odwiedził nas w wiosce olimpijskiej i nawet osobiście życzył mi sukcesu, a tu taki pasztet. Poprosił więc Renkego, by ten załagodził sprawę najlepiej, jak umie. Odbyliśmy naradę.

Może wyjaśnimy, że zawsze robisz taki gest, jak wygrywasz?

Boję się, że to nie przejdzie, panie prezesie. Pierwszy raz w życiu zrobiłem coś takiego.

O, zrobiłeś, bo pobiłeś rekord świata!

Tylko że akurat po tym rekordowym skoku nie pokazałem wała.

To może ta ręka cię bolała? Skurcz cię złapał i rozmasowałeś bolące miejsce?

Dwa razy by mnie skurcz w łokciu złapał? Panie prezesie, każdy widział, że to był wał jak byk!

No dobrze, to przyznamy, że pokazałeś wała, ale broń Boże nie do publiczności. Pokazałeś do poprzeczki!

Jak to do poprzeczki?

Gdy udało ci się przeskoczyć kluczową wysokość, pokazałeś poprzeczce wała. Że ona tam, a ty na dole ze złotym medalem. Ha!

Czy ktoś normalny w to uwierzy?

Nie muszą wierzyć. Jeśli taka będzie oficjalna wersja, to nikomu nie będzie zależeć, żeby ją podważyć. Najważniejsze, że nie będzie podstaw, żeby odbierać ci medal. Zaraz zaaranżujemy wywiady, w których o tym opowiesz.

Udzieliłem kilkunastu, ale nikt się nie dał nabrać. Reakcja normalnych ludzi była

niesamowita. Przekonałem się o tym jeszcze w Moskwie, gdy fotoreporter Leszek Fikusiewicz namówił mnie na sesję zdjęciową na placu Czerwonym. Jak mnie zobaczyli polscy turyści jak nie dopadną, jak nie chwycą i nie zaczną podrzucać pod niebo! I ze mną na rękach ruszyli w marsz, wyśpiewując „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Ostatnim Polakiem, którego tak fetowano na placu Czerwonym, był chyba hetman Stanisław Żółkiewski, gdy zdobył Moskwę w 1610 roku. Patrząc z góry, a tu lecą w naszą stronę milicjanci, aż im białe czapki z głów pospadały. Do dziś mam zdjęcie, na którym ja lecę w górę na wysokość kremlofskich wież, a obok zacięte, przerażone twarze milicjantów.

Co tu się dzieje? Co to za zgromadzenie? Przecież tu jest Mauzoleum Lenina! Zakłóćcie spokój wodza rewolucji! Tu nie wolno nawet głośno rozmawiać, a co dopiero robić taką demonstrację!

I dawaj robić śledztwo, sprawdzać dokumenty. Na szczęście zobaczyli złoty medal na szyi i dali spokój. Pozwolili nam rozejść się bez konsekwencji.

Po powrocie do Polski może nikt mnie w górę nie podrzucał, ale nie mogłem spokojnie przejść ulicą, żeby ktoś nie podszedł, nie uściśnął ręki, nie wziął w ramiona. Starzy, młodzi, mężczyźni, kobiety, dziadki, nawet stare babiny. Wszyscy dziękowali:

Panie Władku, nigdy panu nie zapomnę tego gestu!

Że też się pan nie bał Roskim tak dać po nosie!

Chociaż w ten sposób odplacił pan szubrawcom za nasze krzywdy. I to tam, w tej ich Moskwie!

Ludzie od razu dorobili sobie do gestu głęboką filozofię. Do nikogo nie docierało, że to tylko o tę publiczność chodziło, no i jeszcze o to traktowanie niemiłe w wiosce. Jak się tłumaczyłem, mrugali, że dobrze, dobrze, muszę tak mówić, ale oni wiedzą, co i jak. Były takie sytuacje, że na przykład szła naprzeciw mnie jakaś sterana kobiecina, objuczona siatami, pochylona. Na mój widok jak się nie rozpromieni.

Jezus Maria, Kozakiewicz!

Ciepnęła tymi siatami o ziemię i jak mi się nie rzuci na szyję. Wyściskała mnie, wycalowała, pozbierała siaty i wyprostowana poszła dalej. A ja, ogłupiały, stałem jak wryty.

Co poszedłem do sklepu coś kupić, to tłum rozstępował się przede mną jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Panie Władku, pan idzie do przodu. No, nie będzie nasz mistrz stał w kolejce!

Ale nie chciałem z tego korzystać, głupio mi było. Kryzys w kraju, wszystko trzeba wystać, i co, ja, czerstwy cham, mam być uprzywilejowany kosztem tych biednych babin?

Czy wyście powariowali, ludzie? A dajcie mi spokój! Mam życzenie sobie w kolejce postać.

I stawałem na końcu. To dla odmiany podchodzili po autografy i prosili, żeby opowiadać ze szczegółami o igrzyskach. Tłum wokół mnie gęstniał i nagle całe to stanie i zakupy robiły się dla ludzi nieważne. A ja zawsze zasuwałem anegdoty, żeby zrobiło się im choć trochę weselej. Aż żona zaczęła się odgrażać, że przestanie mnie wysyłać po sprawunki. Bo nawet jak po chleb na róg pójde, to przepadam na dwie godziny.

Konferencja prasowa po konkursie skoków. Wołkow siedzi sam (z prawej). Trzeci po lewej Bohdan Tomaszewski. Kozakiewicz rządzi w środku. Moskwa, 1980

Raz pojechaliśmy z Anią do Szczecina. Bieda z zaopatrzeniem, a jeszcze kartek nie można zrealizować w obcym mieście. Zajrzeliśmy do mięsnego kilka minut przed zamknięciem: oczywiście w środku gołe haki. Wycofujemy się, ale jedna z ekspedientek mnie poznała i woła:

Panie Władku, pan zaczeka. Oddam panu, co sama sobie odłożyłam. Proszę, jaki boczuś piękny, żeberka, pan weźmie. Ale się mąż ucieszy, jak mu powiem, że panu oddałam...

Do knajpy żadnej nie mogłem wejść, bo od razu wszyscy chcieli ze mną przepijać pod ten złoty medal i stawiać mi kolejkę za tego wała. Nawet partyjni dygnitarze na bankiecie z okazji spotkania premiera z medalistami z Moskwy podchodzili do mnie, klepali po plecach i mówili:

Aleś pan tym Ruskim wała pokazał. Zuch! Należało się im!

Owo spotkanie odbyło się w Urzędzie Rady Ministrów na zaproszenie ówczesnego premiera Edwarda Babiucha. I już na samym początku okazało się bardzo niefortunne. Po pierwsze, przyjechaliśmy z żonami Jacek Wszola, Marian Woronin, Jan Kowalczyk, ja i wielu innych. Ale nasze panie nie zostały wpuszczone, kazano im poczekać przed wejściem do budynku. Weszliśmy na górę i stanęliśmy na sali w rzędzie, na zmianę: kobieta, mężczyzna. Więc Babiuch, witając się z nami, na przemian to całował w rękę kobietę, to ścisnął ją facetowi. Ale że proporcje były nierówne, w pewnym momencie cmoknął w rękę Władysława Stecyka, srebrnego medalistę w zapasach. Babiuch miał prawo się pomylić, tym bardziej że przed Stecykiem stał wielki wioślarz Ryszard Stadniuk z łapami jak graby. A ze Stecyka był nieduży chłopaczek, startował w kategorii 52 kilogramów.

Wycalowanemu Władkowi zrobiło się głupio:

Panie premierze, nie trzeba... zaprotestował, co wywołało u nas dodatkowy śmiech i konsternację u oficjeli.

Tyle że zaraz zrobiło się nam nie do śmiechu. Za medale mieliśmy obiecane samochody. Za złoto poloneza, za srebro dużego fiata, a za brąz malucha. Ale Babiuch przemówił, że „wicie, rozumiecie, mamy pewne przejściowe trudności, musimy oszczędzać”. Jednym słowem samochodów nie będzie. Obiecano nam o wiele mniejsze nagrody pieniężne.

Dla mnie to nie był koniec rozczarowań. Trzech zdobywców złotych medali Broniek Malinowski, Kowalczyk i ja miało dostać Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Babiuch bierze mnie na stronę i mówi:

Wie pan, panie Władku, miałem z panem duży problem.

A cóż się stało?

Bo przyznano panu kiedyś srebrny Krzyż Zasługi, ale złotego pan nie ma, a to idzie w kolejności, więc ja nie mogę panu przyznać Kawalerskiego.

No, ale to przecież premier decyduje, kto jaki dostanie order.

No, tak, ale wie pan, jestem związany przepisami...

Za złote medale miały być Krzyże Kawalerskie, które były już tak zwanym odznaczeniem „chlebowym”. No, ale nie będę się upominał u premiera o odznaczenie dla siebie samego, choć on przecież wszystko może. Czy to o ten moskiewski gest chodziło? Nie pytałem, a i on się słowem nie zająknął.

Wszyscy byli rozczarowani i mieli kompletnie gdzieś ten cały bankiet. W pewnym momencie Jacek Wszola zaczął pakować do kieszeni kabanosy. Nie po kryjomu, ale ostentacyjnie, żeby wszyscy widzieli. Babiuch poszedł do niego z życzliwym uśmiechem, no bo to przecież złoty i srebrny medalista olimpijski, idol młodzieży.

Panie Jacku, niech pan je, wystarczy dla wszystkich. A jak zabraknie, to doniosą.

Wie pan, panie premierze, ale przed drzwiami czeka moja żona, a ona od dwóch lat tego nie widziała.

Babiuch zmył się jak niepyszny.

Plac Czerwony. Władysław Kozakiewicz podrzucany przez Polaków przy Mauzoleum Lenina. Moskwa, 1980

Nowego samochodu nie dostałem, nadal jeździłem kilkuletnim renault 20, ale za to przestałem mieć kłopoty z „chłopcami radarowcami”, jak śpiewał wówczas o milicjantach z

drogówki Andrzej Rosiewicz. Przestałem dostawać mandaty za przekroczenie prędkości.

Ale nie tylko to. Wracając od teściów z Rzeszowa, gdzieś przed Radomiem nie zdążyłem wyhamować w deszczu i lekko puknąłem samochód jadący przede mną. Odrobinę wgniotłem mu zderzak, sam straciłem reflektor. Bez dwóch zdań to była moja wina, więc chciałem się jakoś dogadać. Ale stuknięty zobaczył, z kim ma do czynienia, i zażądał kosmicznych pieniędzy. Może uznał, że jak znany sportowiec, to sypie się z niego gotówka? Zaczęliśmy się handryczyć, aż nadjechała milicja. Milicjant sprawdził moje papiery, poszedł, pogadał z właścicielem i wraca:

Proszę jechać, panie Władku. Ja miałbym pana karać po tym, co pan zrobił w Moskwie? Zaraz się wezmę za tego łachudrę. Czepił się mistrza, a sam jedzie służbowym wozem bez papierów. I jeszcze wiezie lewy towar!

Innym razem złapali mnie tuż przed Częstochową, w drodze na halowe mistrzostwa Polski w Katowicach. Minąłem górkę i zobaczyłem, że machają, ale byłem już tak rozpędzony, że zatrzymałem się ze 200 metrów za nimi. Na wsteczny i wracam, a milicjanci do mnie:

Oj, panie Władysławie, wygrał pan dzisiaj.

Jak to wygrałem? Przecież dopiero jadę na zawody.

Ale my tu przed panem złapaliśmy Ślusarskiego, który jechał 120, i Wszolę, który jechał 130. Pan jechał 137. Gratulacje, ale mandat musi być.

Wypisali kredytowy. W Katowicach na mityngu wszyscy trzej uderzyliśmy ze śmiechem do prezesa Górnika Zabrze, który był pułkownikiem milicji: żeśmy trochę narozrabiali, ale w dobrej wierze, żeby się nie spóźnić na zawody, więc niech nam te mandaty anuluje.

A on na to: Nie ma tak dobrze, łapserdaki. Anuluję mandat tylko temu, kto wygra. Niestety, Tadek miał pecha, bo my obaj z Jackiem wygraliśmy swoje konkurencje.

Przyjemnym efektem sukcesu w Moskwie było też to, że znacznie urosła moja wartość dla organizatorów zagranicznych zawodów. Jeszcze przed wyjazdem na igrzyska umówiłem się ze słynnym promotorem mityngu w Londynie Andrew Normanem, że tuż po występie w Moskwie wystartuję w jego zawodach. Ustaliliśmy, że dostanę za występ tysiąc dolarów, co było bardzo przyzwoitą kwotą. Ale po zdobyciu złotego medalu złapał mnie jeszcze na miejscu, żeby się upewnić, czy na pewno przyjadę, obiecując tym razem już 2 tysiące dolarów. Zgodziłem się z radością. Oczywiście, korzyść była obopólna: wiadomo, że ranga zawodów, w których startuje mistrz olimpijski, rośnie, co przekłada się na ceny biletów i liczbę widzów na trybunach. Postanowiłem to wykorzystać w negocjacjach z organizatorami kolejnych mityngów w Rzymie czy Nicei. Za występ w Sztokholmie, którego wcześniej nie planowałem, udało mi się nawet podbić cenę do 4 tysięcy dolarów. Wystraszony już mocno, że afera z gestem urosła do takich rozmiarów, iż mogą mnie z tego powodu czekać jakieś paszportowe pieriepałki, poleciałem do Rzymu, a stamtąd do Londynu prosto z Moskwy, bez zawijania do Polski. Niestety, podczas mityngu w Nicei naciągnąłem mięsień dwugłowy i musiałem przerwać objazd.

W sumie aż tak bardzo nie żałowałem, bo miałem też inne zmartwienia na głowie. Jeszcze przed igrzyskami władze Gdyni w uznaniu za to, że cały czas jestem wierny Bałtykowi i rozslawiam miasto na całym świecie postanowiły umożliwić mi kupienie działki budowlanej w Redłowie, najładniejszej okolicy w Trójmieście. I to za śmiesznie niskie pieniądze, niemal kieszonkowe. Gdyby mogły, dałyby mi ją pewnie w prezencie, ale że przepisy tego nie przewidywały, wyceniły ją niezwykle tanio. W trakcie przygotowań do igrzysk nie miałem do niej głowy, ale po powrocie z Moskwy postanowiłem, że postawię tam dom. Z jednej strony pomysł był kompletnym szaleństwem, ponieważ akurat kryzys sięgał zenitu. We wszystkich sklepach ziały puste półki i gołe haki, po kraju rozlewały się strajki. Takich rzeczy jak cegły, cement, deski czy nawet zwykły drut i gwoździe nie dało się po prostu „wystać”. Wszystko trzeba było organizować na lewo albo z polecenia. Ale z drugiej strony moja popularność w kraju nigdy nie była większa, więc jeśli coś załatwiać, to teraz kombinowałem.

Poprosiłem dyrektora stoczni o pomoc. Nie żeby dał mi materiały za darmo, ja chętnie zapłacę, bylebym tylko miał za co. Najmniejszy problem był z drewnem, bo wiadomo, że stocznia do normalnego funkcjonowania potrzebuje masę desek na rusztowania. Dyrektor polecił mi więc zaprzyjaźniony tartak, w którym po niższej kupiłem mnóstwo drzewa na

szalunki. Gorzej było z cementem. Cement w 1980 roku był w Polsce droższy od złota, a właściwie bezcenny, bo w ogóle nie do kupienia. Tylko zakłady budowlane mogły dokonywać zakupów w cementowniach. Na szczęście nasza stocznia miała status takiego zakładu, więc dyrektor wypisał mi kwit, że pozwala mi kupić w takiej to a takiej cementowni 5 ton cementu. Świetnie! Wynająłem kierowcę ciężarówki, który (oczywiście w godzinach pracy) zgodził się za parę groszy pojechać gdzieś pod Gdynię. W drodze zastanawiałem się, ile to będzie worków te 5 ton cementu i czy damy radę zabrać je za jednym razem. Przyjechaliśmy, facet wziął kwit, podbił i kazał nam się ustawić w kolejce za innymi ciężarówkami.

A wszystkie worki zmieszczą mi się na pace? pytam.

Jakie worki? Pod silos pan podjeżdżaj, nasypiemy panu.

Jak pod silos? Mam ciężarówkę bez plandeki, przecież wywieje mi ten cały cement po drodze! Dopłacę za worki.

Panie, ja od dwóch lat nie widziałem cementu w worku. Nie kupisz pan nigdzie. Podjeżdżasz pod silos albo do widzenia!

Podjechałem, nasypali, no ale co robić? Wyprosiłem w cementowni jakąś płachtę, przykryłem tę górę cementu, poprzywiązywałem, gdzie się dało, żeby jej wiatr nie zerwał, i pojechaliśmy. Ale kurzyło się za nami niemożliwie. Nie wiem, ile z tych 5 ton wywiało, ale wszystkie auta, które miały pecha jechać za mną, były całe białe od cementu, a ich wściekli kierowcy trąbili i wygrażali.

Dojechaliśmy, zrzuciliśmy tę górę na działce, nakryliśmy plandeką, ale wiadomo, że pierwszy deszcz i po cemencie. Zacząłem wszystkimi kanałami szukać worków i udało się. Siostra, która pracowała wówczas w zakładzie budowlanym, załatwiła stare worki. Przez cały dzień z moim świadkiem ślubnym szuflowaliśmy ten cement do worków. Skończyliśmy już po zmroku i byliśmy zmachani jak górnicy po zejściu z przodka. Nie mogliśmy się rozprostować. No dobrze, pozbyłem się góry cementu, ale teraz miałem przed sobą górę worków cementu na nieogrodzonej działce w centrum Gdyni. Pomyślałem, że jak ludzie się zwiedzą, to wywieje mi je szybciej, niżby to zrobił wiatr na ciężarówce. Potrzebna szopa a



potrzeba matką wynalazków. Przez cały następny dzień obudowałem te worki dechami, które kupiłem w tartaku, tworząc sporych rozmiarów szopę. Siostra załatwiła drzwi z jakiejś budowy, więc całość miała nawet normalne zamknięcie. Zadowolony pojechałem. Przyjeżdżam na drugi dzień, a tu... nie ma jednej ściany szopy! Ktoś mi ją ukradł. Widocznie były mu potrzebne deski i drzwi, bo cementu nie ruszył.

Szybko zgodziłem stróża, żeby mi tego wszystkiego pilnował, zwłaszcza że już ludzie zaczęli się schodzić, by popatrzeć, jak to „Kozakiewicz się buduje”. Ale brat bardzo szybko przyłapał stróża na tym, że handluje naszym dobytkiem. Któregoś dnia podjechał niezapowiedziany, patrzy, stoi warszawa z otwartym bagażnikiem, w środku już jeden worek cementu, a stróż taszczy kolejny. Brał za worek pół litra i jeszcze się dziwił oburzeniu Edka.

A co to panu aż tak bardzo ubędzie, jak pan ma tyle cementu? Tego na trzy domy starczy.

Pewnie jest trochę prawdy w żartach, które wtedy krążyły, że niejeden dom stanął w Gdyni dzięki Kozakiewiczowi...

Z fachowcami miałem zresztą więcej uciechy. Pierwsza ekipa murarzy, którą zatrudniłem, do południa była już pijana w trzy dupy i nie wiedziała, jak kłaść cegły. Od rana na trzeźwo, zanim zajęła się bieżącą robotą, musiała najpierw naprawiać wszystko to, co spartoliła poprzedniego dnia po pijaku. W efekcie pierwsza ściana, jaką pobudowali, się przewróciła. Mnie oczywiście na miejscu nie było, brat jeździł ich pilnować, ale za każdym razem wracał załamany.

Władek, ten dom nigdy nie stanie. To jest jakaś kołomyja. W tym kraju nie ma dobrych, trzeźwych fachowców.

W końcu jakaś kolejna ekipa sprawiła, że jednak ściany wyrosły i pojawiła się konieczność zbudowania stropu. Wymyśliłem, że kupię w stoczni stal, tak zwane dwuteowniki, czyli długie na siedem metrów stalowe szyny o szerokości 22 centymetrów używane do budowy okrętów. Dyrektor dał zezwolenie na zakup, z którym poszedłem na swój oddział do chłopaków. Poprosili o wymiary i zapewnili, że na drugi dzień przytną wszystko, jak należy. Zastrzegli, że żadnych pieniędzy ode mnie nie przyjmą, ale jakbym miał

ochotę odwdziżyć się wódeczką, to najlepiej od razu, z góry. Szybko skoczyłem, gdzie trzeba, i przyniosłem im całą siatkę pełną butelek wódki. Przychodzę na drugi dzień, a tu wszyscy leżą jak kozły pijani. W ogóle do domu nie poszli, tylko na miejscu uchlali się tym, co przyniosłem. Ale szyny leżą pocięte równo co do centymetra i czekają na mnie. Wielka góra, bo wymarzyłem sobie, że dom będzie miał aż trzy kondygnacje. Stocznia pożyczyła mi przedłużoną olbrzymią ciężarówkę na przewóz. Po załadunku kierowca wjechał nią na specjalną wagę i wyszło 18 ton. Kupa pieniędzy, ale trudno, sam chciałem. A tu wychylił się wagowy i pyta, dla kogo ten towar.

Dla Kozakiewicza? A, jak dla Władka, to piszcie: 6 ton 200 kilogramów.

Tak to się właśnie w komunizmie odbywało. Zostawiłem kolejnych parę butelek gorzały za załadunek, więc przypuszczam, że i ci prędko do domów nie wrócili. Ale na miejscu już rozładowywałem tylko z dwoma kumplami. We trzech przerzuciliśmy 18 ton stalowych szyn. Choć ja się na treningach nie oszczędzałem, to nigdy nie zafundowałem sobie takiego treningu siłowowyttrzymałościowego jak wtedy. Nie po raz ostatni zresztą, bo później sam rozładowałem ciężarówkę piasku, a potem żwiru.

Budowa trwała rok. Zgodnie z obowiązującymi wówczas surowymi normami wolno było postawić dom jednorodzinny do 120 metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Ale oczywiście, jak każdy w tamtych czasach, robiliśmy szachermacher pozwalający obejść przepisy. Na przykład piwnica była tak naprawdę salonem z kominkiem, ale że była niższa niż reszta pokoi na papierze, funkcjonowała jako pomieszczenie gospodarcze. Parę metrów udało nam się też zachachmęcić na łączniku między domem a garażem. I tak zrobiło się 160 metrów kwadratowych.

Dom był gotowy, ale zaczął się krzyż pański z wyposażeniem. W 1981 roku nie było możliwości, żeby gdzieś w Polsce kupić nową wannę. Stare, używane, oczywiście tak, ale o nowych zapomnij. Cała niewielka produkcja rozchodziła się, zanim trafiła do sklepów. Zdobyłem telefon do dyrektora fabryki produkującej wanny, umywalki i kibelki w Grudziądzu i zapytałem, jak wyglądają moje szanse. Odparł, żebym wystartował w niewielkim mityngu, który zorganizują, to da się coś załatwić. Dla zachęty dodał, że patronem zawodów oprócz jego fabryki będzie miejscowa fabryka mebli, więc upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu.

Z pralkami podobnie, też nie można ich było nigdzie dostać. Więc dzwonię do dyrektora zakładu, gdzie je produkowali.

Nie ma sprawy, będzie dla pana pralka, panie Władku zapewnia dyrektor. Ale w rewanżu prosi, żebym ja mu załatwił kolorowy telewizor.

Swój mam panu oddać?

Nie, no skąd! Ja potrzebuję nowy. Na pewno ma pan tu większe możliwości ode mnie. Kto odmówi mistrzowi olimpijskiemu?

Uruchomiłem kolejne dojścia. Na jeden koniec Polski pojechałem po telewizor, zawiozłem go na drugi i odebrałem pralkę. Wymiana barterowa, bo złotówki w tamtym czasie były bez wartości (no, chyba że bony PKO).

W pozostałych przypadkach moją kartą przetargową była farba. Dzięki dyrektorowi stoczni mogłem liczyć na jej nieograniczoną ilość wiadomo, ile się jej zużywa do malowania statków. Sporo dobra udało mi się dzięki tej farbie wywalczyć jak nie krzesła, to lodówkę z zamrażarką. Teraz konieczna już była codzienna walka, żeby mieć ją czym zapłacić, zwłaszcza w czasach kryzysu i stanu wojennego. Ale wciąż miałem o wiele lepiej w porównaniu ze zwykłymi ludźmi. Magia złotego medalu olimpijskiego nadal działała.

## **Ortaliony, pończochy, spirytus, waluta**

Magia złotego medalu może i działała, ale nie na granicy Polski. Zauważyłem, że podczas wylotów z Okęcia czy powrotów ze startów jestem coraz dokładniej przeszukiwany, a mój bagaż wnikliwie trzepany.

Czyżby władza szukała na mnie jakiegoś haka, żeby nagłaśniając próbę przemytu albo nielegalnego wywozu waluty, dać mi publicznie klapsa za Moskwę? zastanawiałem się. Ale przecież mogła dokonać tego za pomocą banalnej prowokacji, podrzucając mi coś nielegalnego do bagażu. Zacząłem się bardzo pilnować i dokładnie sprawdzać bagaż tuż przed nadaniem.

Przed którymś ze startów przyszedli do mnie koledzy lekkoatleci, którzy lecieli ze mną. Zwierzyli się, że mają problem z wywiezieniem na Zachód grubszej waluty. Wiadomo: w Polsce można było mieć dolary czy marki na koncie, ale PKO wypłacało je w postaci bonów, za które można było robić zakupy w Peweksie. Natomiast nijak nie wolno było tych dolarów wywozić w większej ilości. Każdy podróżny kombinował więc, jak umiał, wymyślając przeróżne schowki. Ale celnicy też doskonale je znali.

Władek, wieziemy sporo waluty, a ostatnio celnik zajrzał nawet za ściankę termosu. Może włożymy ci rolkę do tyczki, a ty ją zatkasz kołkiem i zakleisz plastrem? Nikt nie wpadnie, że coś tam jest schowane.

Tyczki rzeczywiście nadawały się idealnie na schowek. Były wydrążone w środku na tyle, że Edek przewiózł w nich kiedyś zawartość kilkunastu butelek spirytusu. Coś mnie jednak tknęło.

Przepraszam, panowie, ale muszę odmówić. Jak wpadnę, to się nie wypowiadam, że to wasza forsa. Cofną mnie i pewnie jeszcze dowalą dyskwalifikację odparłem.

I co? Choć nigdy wcześniej nic takiego się nie zdarzyło, tym razem celnicy dokładnie sprawdzili tyczki! Może to jakaś grubsza intryga była szyta przeciwko mnie?

Było tajemnicą poliszynela, że większość PRLowskich sportowców z racji częstych wyjazdów za granicę i w miarę lekkich kontroli zawsze zabierała ze sobą coś na handel. I nie wracała z pustymi rękami. Z Polski wiozło się głównie kryształ, wódkę, futra, szynkę Krakus, a przywoziło zegarki, dzinsy i inne ciuchy, sprzęt elektroniczny, w tym japońskie i niemieckie telewizory, magnetofony. No i przede wszystkim rajstopy. Te ostatnie były ulubionym przemytniczym towarem, po pierwsze dlatego, że w kraju był na nie ogromny popyt, a po drugie, bo były lekkie i niekłopotliwe w transporcie. Można ich było sporo

nabrać.

Na przykład Władek Komar wyspecjalizował się w ortalionach, zresztą całkiem dobrej jakości. Dogadał się z kimś, kto je tutaj później rozprowadzał, i chwalił się nam, że pół Polski chodzi w jego ortalionach. A były tak solidne, że widywał je na ulicy jeszcze w latach 90. Wtedy nie wytrzymał, podbiegał do przestraszonego właściciela, by kordialnie pogratulować mu znakomitego gustu i wyczucia mody.

Ja akurat nigdy nie bawiłem się w handel. Przede wszystkim nie miałem do tego głowy. Co innego Władek Komar czy Andrzej Supron, wicemistrz olimpijski z Moskwy w zapasach, absolutny król przemytu wśród sportowców. Swój największy numer wywinął właśnie podczas igrzysk w Moskwie, gdzie w wiosce olimpijskiej otworzył... prawdziwy kantor, prawdopodobnie wtedy jedyny prywatny kantor w całym Związku Radzieckim. Po oficjalnym kursie dolara wymieniano na 99 kopiejek, a Supron oferował zachodnim sportowcom po 2 ruble za dolara. Na czarnym rynku płacili 1012 rubli, tylko że ci biedni zachodni zawodnicy nie mieli pojęcia, jak w ZSRR ten czarny rynek znaleźć.

Walili więc do Suprona, który rozstawił się na centralnym placu wioski olimpijskiej, zwanym giełdą, na którym zawodnicy wymieniali się znaczkami, koszulkami, dresami albo gdzie po prostu przychodzili pogadać. On wymieniał dewizy, wywiesił nawet tabliczkę z informacją we wszystkich możliwych językach. I nikt mu nic nie zrobił! Mimo że po wydarzeniach w Monachium ochrona była bardzo szczelna, a w wiosce pełno milicjantów, jakoś żaden z nich nie przyczepił się do Andrzeja. Może odpałał im działkę?

W każdym razie zarobił na tym potworne pieniądze. I co najśmieszniejsze, nie przeszkodziło mu to zdobyć srebrnego medalu! Tylko bezczelny Polak z „najweselszego baraku w obozie socjalistycznym” mógł wpaść na coś takiego! Przedstawiciele pozostałych demoludów za bardzo się bali, a zachodni sportowcy nie mieli tej determinacji i nie byli tak przedsiębiorczy.

Jak tylko przychodziło zaproszenie na zawody i bilet lotniczy czy kolejowy, od razu było wiadomo, co trzeba będzie zabezpieczyć na drogę. Jeśli wyjazd był do Skandynawii, to obowiązkowo wódkę, która na miejscu była cholernie droga. Kiedyś polska reprezentacja poleciała na mecz z Finlandią do Helsinek, a tu na granicy kontrola i zaglądała do każdej

torby. Pozaglądali dość pobieżnie i niczego nie znaleźli. Ale patrzą, a tam, po drugiej stronie granicy, zostały dwie wielgaśne torby. Naszej ekipy, ale czyje konkretnie? Nie wiadomo, nikt się nie przyznaje. Jak to? Gdzie jest właściciel? Czy nikomu nie brakuje bagażu? dziwili się celnicy. Przestali, gdy zajrzeli do środka. W torbach były hektolitry wódki, po sto butelek w każdej. Ktoś z ekipy zobaczył, że celnicy nie puszczaają sportowców bez sprawdzania, jak to często bywało na lotniskach, ale traktują jak każdego innego pasażera. Więc postanowił te torby porzucić. Finowie cofnęli całą reprezentację i dawaj jeszcze raz kontrolować, ale tym razem już każdą kieszeń, każdy zakamarek bagażu. No i wytrzepali drugie tyle butelek, bo każdy gdzieś tam po jednej, po dwie sobie poutykał. I wwiózłby bez problemu, gdyby nie ta porzucona kontrabanda.

Mnie do handlu brakowało także determinacji. Podobnie było z Jackiem Wszolą. Pewnie dlatego, że w przeciwieństwie do wielu przedstawicieli innych dyscyplin wyjeżdżaliśmy bardzo często i zdobywaliśmy nagrody. Na nas, lekkoatletów ze światowej czołówki, było wielkie zapotrzebowanie, co chwila lataliśmy na jakieś mityngi. Inni mieli dobrze, gdy raz w roku pojechali na mistrzostwa świata czy Europy, ewentualnie na jakieś zaprzyjaźnione demoludyczne zawody. Więc jak już jechali, to chcieli się obłowić na cały rok.

Z Anią na obozie wypoczynkowym po Moskwie. Eubea, Grecja, 1980

Dla mnie to było zbyt skomplikowane, bo najpierw trzeba było zorganizować towar w Polsce. Nigdy nie miałem pojęcia, jak inni potrafili na przykład na zawody w Bułgarii kupić gdzieś całą torbę kremów Nivea, które i u nas były przecież ledwo do dostania. No, a na miejscu trzeba było mieć kogoś, kto pomoże to hurtowo sprzedać, bo przecież sportowiec nie wyjdzie na ulicę handlować towarem na sztuki (zwłaszcza że musi jeszcze wziąć udział w zawodach, na które przyjechał). Ale zdarzali się i tacy, którzy ryzykowali i w ten sposób. Władek Komar potrafił wwieźć do Związku Radzieckiego kilkaset obrączek z tombaku, wypytywać na miejscu, kto by mu pomógł sprzedać ten towar za małą prowizję, znaleźć zainteresowanych i jeszcze kupić na powrót na przykład wiadro kawioru. Ja tak nie umiałem i nie chciałem.

Akurat wtedy w ZSRR nie kawior wziął z powrotem do Polski, ale... stare ikony! Mieszkałem z nim w pokoju, w którym prowadził negocjacje w sprawie sprzedaży tombaku. Zeszli się kupcy, ustalili cenę, lecz Władek mówi:

Wszystko dobrze, tylko ja nie chcę waszych rubli, bo nie będę miał później co z nimi zrobić. Waluty nie macie?

Nie mamy, ale jak ma być coś specjalnego, to mogą być ikony. Za to złoto będą ze trzy, cztery. Pasuje? To zaraz przyniosę.

Władek, zastanów się, skąd będziesz wiedział, że to stare ikony, a nie jakaś podróbka? W dodatku nie wiadomo, czy to nie kradzione albo jakiś zabytek. Co będzie, jak cię złapią?

Nie złapią Komar miał gotową odpowiedź.

Przynieśli ikony. Rzeczywiście, wyglądały, jakby facet właśnie zaszedł do cerkwi i zdjął je prosto z ikonostasu. Władkowi się spodobały, transakcja została dopięta. No, ale teraz powstało pytanie, jak to cholerstwo przewieźć, zwłaszcza gdy wiadomo było, że na granicy Rusczy ostro trzepią. Władek wymyślił, że jedną z nich przewiozę mu w takim elektrycznym buciku do grzania obu nóg, który kupiłem dla mamy. Rozkręciliśmy go i okazało się, że do środka wejdą nawet dwie ikony. Zapakowałem but z powrotem w folię, zakleiłem plastrem i postanowiłem nadać na bagaż. Drewna promienie Roentgena przecież nie wykryją. Ale co zrobić z tą trzecią, najlepszą ikoną, która była w pięknej, srebrnej koszulce?

Ni cholery nie oddam jej na bagaż. Do torby podręcznej też nie schowam, bo zajrzą do niej na pewno. A niech tam, pójdę na bezczelnego! zapowiedział Władek i... włożył sobie tę ikonę w spodnie, za pasek na brzuchu. I tak miał wielki brzuch, więc nie wyglądało to podejrzanie. Jeśli nie wezmą go na kontrolę osobistą, to nie znajdą.

No ale co z koszulką? Oczywiście metal na bramce zadzwonił.

Piiii!

Wot, a ty szto imiejesz? Wyjąć wszystko z kieszeni i położyć tu rozkazała celniczka.

Władek wyłożył klucze, breloczki i scyzoryk, bo wtedy jeszcze wolno było z nimi latać. I przeszedł po raz kolejny.

Piiii!

Co znowu? Może to kurtka dżinsowa, bo ma metalowe guziki? Oddał kurtkę i znowu przechodzi.

Piiii!

No co z wami, obywatelu, wstrzymujecie całą kolejkę. Co tam macie metalowego? Na osobistej mamy sprawdzić?

Stałem w kolejce za Władkiem i choć byłem już mocno przerażony, czym to się skończy, rzuciłem do celniczki:

U niewo żelieznyje jajcy!

Celniczka zarechotała i udając zagniewaną, rzuciła do Władka.

A paszoł ty! i przegoniła go dalej.

W ten sposób wszystkie ikony trafiły do Polski. Władek w końcu ich nie sprzedał, tylko powiesił w domu i chwalił się gościom, że to przeszmuflowane święte ruskie ikony.

Generalnie dla Władka nie było wyjazdów na pusto. Z tym że o ile zabierał ze sobą towar wcześniej zamówiony, na który czekali na miejscu zainteresowani kontrahenci, o tyle często nie wiedział, z czym będzie wracał. Któregoś razu podczas naszych startów w Kolonii jakiś Polonus zorganizował mu ze 200 nowych świec samochodowych Boscha, które były wówczas w Polsce prawdziwym rarytasem. Wszystko fajnie, ale te świece ważyły w sumie ponad 50 kilogramów. Jak to przewieźć, żeby nikt się nie zorientował? Władek sprytnie władował je wszystkie do niewielkiej torby podręcznej i zawiesił ją sobie na ramieniu. Biceps mu się naprężył jak na siłowni. Ale że był z niego siłacz nad siłacze, to zachował kamienną



twarz i nawet nie mrugnął, gdy celnik przeszukał mu torbę sportową i spytał, co ma w bagażu podręcznym.

Tutaj takie drobne rzeczy, tylko prywatne. Też chcecie sprawdzić? i już niemal podawał ją celnikowi, który gdyby wziął to do rąk, prawdopodobnie dostałby przepukliny.

U szczytu kariery wylatywałem z Okęcia nawet dwa razy w miesiącu, więc celnicy już mnie dobrze znali. To znaczy znali mnie i tak z gazet i telewizji, ale już wiedzieli, że ja nigdy niczego nie wywożę na handel, a przywożę co najwyżej nagrody. Więc choć w moje torby też zawsze zaglądali, bo zaglądali wszystkim, to raczej pobieżnie, bez większego patroszenia. Ale zdarzyło się, że raz podpuścili na mnie młodego celnika. Może mu powiedzieli, że ten to na pewno musi coś wieść, bo chłopak z poważną miną wyciągał i rozwijał mi każdą parę skarpetek, rozkładał każdą koszulkę. Kolejka wściekła, bo dłużyło się to w nieskończoność, a wszyscy chcieliby już do samolotu. Mnie też już gula rosła, bo skąd nagle taka szczegółowa kontrola? Zapewniam go, że lecę tylko na jeden start, mam tylko najpotrzebniejszy sprzęt sportowy. Ale on swoje, powolutku szpera po wszystkich zakamarkach.

Dobrze, dobrze, to ja zdecyduję, czy wszystko w porządku. Pan otworzy tę torebkę.

A sam pan sobie otwórz, ja panu pozwalam ja mu na to.

A to była torebka, w której trzymałem bardzo śmierdzącą zawartość: przeróżne kleje, żeby się ręce podczas zawodów nie ślizgały na tyczce, plastikowogumowe korki, którymi się je zatykało, agrafki, plastry, kolce do butów i tym podobne. Pokleił sobie ręce, usmarował mundur, pokłął się, bo wszystko musiał wyjąć, obejrzeć i odłożyć na bok. Pozostali celnicy chyba właśnie na to liczyli, bo ledwo tłumili śmiech. Myślałem sobie: no, sam tego chciałeś, kolego. W końcu nieszczęśnik mówi, że dziękuje i mogę iść.

Zaraz, zaraz, a kto mi to wszystko zapakuje? zapytałem.

Oczywiście ciuchy spakowałem sam, żeby mi ich nie pobrudził usmarowanymi łapami.

W 1973 roku wystartowałem na Mistrzostwach Armii Zaprzyjaźnionych w Pradze,

choć, jak wspomniałem, nigdy nie byłem w wojsku. Jako jedyny prawdziwy sportowiec w tym gronie oczywiście znalazłem tych wszystkich biednych radzieckich, czeskich i enerdowskich wojaków. Ale ponieważ nie zabrałem nic na handel, pozostali wracali o wiele bardziej zadowoleni ode mnie. W drodze powrotnej nawet wysocy rangą wojskowi przechwalali się, że jak zwykle w Czechach dobrze poszły kryształowe wazony i nasza pościel, i co wiozą z powrotem.

Hotel Victoria. Bal Mistrzów Sportu. Jacek Wszola, Władysław Kozakiewicz i Tadeusz Ślusarski tańczą z żonami. Warszawa, 1981

A ty, patafianie, z niczym nie wracasz? Wyjazd z wojskiem to najlepsza wycieczka, bo nikt nie odważy się sprawdzać patrzyłem, jak pukają się w głowę.

Cztery lata później Wojsko Polskie znów się o mnie upomniało i próbowało wysłać mnie na Mistrzostwa Armii Zaprzyjaźnionych na Kubie. Nigdy tam nie byłem, ale wyjazd na śmieszne zawody był mi nie na rękę. Byłem już czołowym zawodnikiem na świecie, więc tym razem dzięki mej pozycji udało mi się wymigać. Powiedziałem pułkownikowi, który mnie usilnie namawiał, żeby wzięli Wieska Szkolnickiego, mojego kolegę z Bałtyku Gdynia, bo raz, że on przynajmniej rzeczywiście jest zawodowym żołnierzem, a dwa i tak będzie tam najlepszy ze wszystkich.

Wiesiek bardzo się ucieszył, bo nie wyjeżdżał zbyt często za granicę. Długo kombinował, co zabrać ze sobą na handel, radził się nas, konsultował, co też tam na tej Kubie najlepiej schodzi. Aż w końcu oznajmił, że postawi na rajstopy. Gdzieś usłyszał, że na Kubie to towar wysoce deficytowy, i się tego uczeplił. Oczywiście, zabrał nasze, polskie nylony.

Wiesiek, wariat z ciebie. Przecież to biedny kraj, jeszcze biedniejszy niż Polska. Kto tam będzie kupował od ciebie te rajstopy i za co? Za kubańskie peso? Poza tym Hawana to nie Londyn czy Frankfurt, gdzie zawsze znajdziesz jakiegoś życzliwego Polonusa, który ci pomoże w zbyciu towaru. Przecież tam nie da się wyjść z hotelu bez obstawy. Jak to sobie wyobrażasz? Weźmiesz torbę z rajstopami pod pachę, pójdiesz na bazar, staniesz i zaczniesz handlować? Zgarną cię w trzy sekundy. A przede wszystkim w jakim języku będziesz

negocjował cenę? pytaliśmy.

Ale on przekonywał, że sobie poradzi. I rzeczywiście wrócił z tej Kuby wyjątkowo zadowolony.

Ileś zarobił?

Zarobić to nic nie zarobiłem, bo faktycznie nie sprzedałem ani jednej pary. Wszystkie rozdałem cudownym kubańskim dziewczynom, z którymi spędzałem cudowne kubańskie wieczory.

I pochwalił się nam, na jaką to wpadł sprytną metodę. Podrywał dziewczynę, w trakcie rozmowy wręczał jej jedną pończochę z pary, obiecując, że drugą da, jeśli ta odwiedzi go w pokoju hotelowym. A kolejną parę nad ranem. Potem dziewczyna polecała go koleżance, ta następnej i zyskiwał kolejne miłe wieczory. Taki to wyszedł z niego biznesmen!

Ostatnio wspólny znajomy pytał mnie, co zabrać na Kubę, bo wylatuje z rodziną na wakacje, a nie wie, jak tam właściwie z warunkami życia, co tam można kupić w sklepie.

Pamiętasz Wieśka? Koniecznie zabierz rajstopy poradziłem.

W przemyt się nie bawiłem. Ot, czasami trzeba było się trochę nagimnastykować, żeby przewieźć przez granicę prezenty dla rodziny czy znajomych. Kiedyś spędziłem trzy tygodnie na obozie treningowym w Madrycie. Na powrót kupiłem jakieś duperele dla Ani, dwuipółlitrową butelkę czerwonego wina oraz pięciolitrową butelkę soberano, pysznego hiszpańskiego brandy. Wartość nie była duża, co najwyżej dla koneserów. Butla była tak ogromna, że nawet nie próbowałem jej chować, i na Okęciu wystawała w torbie podręcznej. Gdy celnik zapytał, co wiozę, odparłem, że zgodnie z przepisami butelkę wina i butelkę koniaczku.

Panie, ale jakiej wielkości! Litr wolno wwieźć, a pan tu małą cysternę targasz!

Zapłaciłem za litr, a że dodali trochę więcej, to zaraz mogę upić zaproponowałem, udając, że odkręcam zakrętkę. Celnik machnął ręką i mnie przepuścił.

Tę mniejszą wypił później duszkiem Edek w reakcji na mój rekord Europy 5,60. Potem strasznie to odchorował, ale podobno było warto. Braciszek, w przeciwieństwie do mnie, lubił się bawić w przemyt, wpadając przy tym na przeróżne szatańskie pomysły przechytrzenia celników. Wsławił się przemytem do Szwecji czy Norwegii sporej ilości spirytusu wpompowanego strzykawką do butelek po szampanie, z których zawczasu wylał zawartość, nie zdejmując korka. Sportowcy wiozący sporo butelek szampana, żeby świętować sukcesy, nie wzbudzili w nikim podejrzeń. Szampan to przecież żaden alkohol. Czyli w porządku.

Kiedy po zakończeniu kariery w latach 90. mieszkałem już w Niemczech, zostałem menedżerem kilku zawodników ze Wspólnoty Niepodległych Państw, czyli Białorusi, Rosji, Ukrainy. Jeden z nich pochodził aż z Władywostoku. Ci to dopiero mieli przemyt we krwi! Załatwiałem im starty na europejskich mityngach, na których zarabiali po tysiąc dolarów, co u nich było prawdziwą fortuną, więc zawsze mnie pytali przed przyjazdem, co chciałbym, żeby dla mnie przemycili. Mówię im, że nic mi nie potrzeba, żeby dali spokój, bo w razie problemów na granicy nie dojadą na mityng. Ale oni tylko mrugali:

Nie bojsia, Władek, nie ma ryzyka. Mów, czego ci potrzeba.

No to poprosiłem jednego czy drugiego o kawior. Myślałem o puszcze, dwóch, a oni mi nawieźli po 20 kilo najlepszego astrachańskiego kawioru! Jak to poupychali w pociągu, nie wiem do dziś, ale mieli jakieś swoje tajne skrytki. Innym razem przeszmyglowali skórę syberyjskiego niedźwiedzia. To dopiero było niebezpieczne, bo handel futrem zagrożonego wyginięciem niedźwiedzia był zakazany i karany równie surowo co przemykanie materiałów wywrotowych. Niestety, niedźwiedź długo u mnie nie poleżał. Którejś nocy moje psy rozdarły go na strzępy.

Innym razem jeden z zawodników z namaszczeniem wyjął z torby ikonę. Piękną, w złotej koszulce. Ucałował i wręczył mi:

Cenna rzecz, XVII wiek! Sprzedaj albo jak chcesz, to powieś w domu.

Więcej wydałem na ekspertyzę, chcąc ustalić jej prawdziwą wartość, niż zarobiłem na

sprzedaży. Ikona okazała się nie XVIIwieczna, ale całkiem współczesna. Do tego najadłem się nerwów w obawie, żeby się nie okazało, że to jakaś znana ikona rąbnięta z cerkwi i zrobi się wrzawa na całą Polskę i Niemcy. Zapowiedziałem więc chłopakom, żeby mi odtąd nigdy żadnych ikon w prezencie nie przywozili.

To następnym razem przywieźli mi kiel mamuta z Syberii, który ważył chyba ze 30 kilo. Myślałem, żeby włożyć go do jakiejś szklanej szkatuły i trzymać na biurku, ale uznałem, że niepotrzebna mi kolejna durnostojka. I sprzedałem kiel na eBayu.

## **Duży Wolly i Mały Wolly**

Choć o wspólnych przygodach i awanturach z Władkiem Komarem sporo już napisałem, muszę poświęcić mu osobny rozdział. Bo był kimś więcej niż tylko najbardziej popularnym i najbarwniejszym sportowcem PRL, a dla mnie tylko kolegą. Był starszy ode mnie o 13 lat.

Gdy się poznaliśmy, miał już w Polsce status legendy. Podówczas był już mistrzem olimpijskim z Monachium, bywalcem salonów towarzyskich i mężem Małgorzaty Spychalskiej, córki przewodniczącego Rady Państwa. Z miejsca poculiśmy do siebie sympatię. I przylgnęliśmy do siebie do tego stopnia, że wkrótce, gdy wskoczyłem do światowej czołówki, na zagranicznych mityngach zaczęto nas nazywać Big Wolly i Little Wolly. Tym małym byłem oczywiście ja, bo mimo swych 187 centymetrów przy tym dwumetrowym, ważącym 130 kilo kolosie wyglądałem jak dzieciak.

Być może zbliżyło nas do siebie to, że obaj urodziliśmy się na Litwie i nie mieliśmy łatwo po repatriacji. Jego ojciec, Władysław Komar senior, też miał ponad 2 metry wzrostu i jak syn uprawiał w młodości lekkoatletykę. Podczas studiów rolniczych w Brukseli wystartował w mistrzostwach Belgii w boksie, ale tytuł przyznano mu zaocznie, ponieważ rywal czmychnął z ringu na widok swego przeciwnika. Po powrocie do Rogówka na Litwie

co jakiś czas brał udział w zawodach w skoku wzwyż czy biegach przez płotki. W 1934 roku jako Vladislavas Komaras reprezentował Litwę na mistrzostwach Europy w Turynie, a po lekkoatletycznym pojedynku z Polską nasza prasa pisała, że jedyne zwycięstwo zapewnił Litwie jedyny Polak w jej zespole.

Z kolei mama Władka Wanda pchała kulą i pobiła rekord Polski słynnej Haliny Konopackiej. Reprezentowałaby Polskę na igrzyskach olimpijskich w Los Angeles w 1932 roku, ale organizatorzy wykreślili pchnięcie kulą z programu.

Władek urodził się w roku 1940 w Kownie. W wyniku zawieruchy wojennej trafił do domu dziecka sióstr urszulanek w Otorowie niedaleko Poznania, który stał się dla niego szkołą życia. Po wojnie mama z drugim mężem ściągnęła go do Warszawy. Tu z powodu akcentu miał tak samo przechłapanie jak ja w pierwszych latach w Gdyni, tyle że on mówił gwarą wielkopolską.

Mimo to Władek sportem zainteresował się przez przypadek. W 1958 roku wystartował w turnieju bokserskim „Trybuna Ludu”, ponieważ główną nagrodą była piękna walizka. Wywalczył ją jednak Jerzy Kulej, późniejszy dwukrotny złoty medalista olimpijski z Tokio i Rzymu. Komarem zaopiekował się słynny trener „Papa” Feliks Stamm, twórca polskiej szkoły boksu.

Władek wpadł wówczas na pomysł forteli mających niszczyć psychicznie przeciwników, które z powodzeniem stosował przez całą karierę. Przed meczem bokserskim z NRD zakradł się na halę i żyłką przeciął szwy na jednym z worków. Na oficjalnym treningu szybko podbiegł do „swojego” worka i walił, aż ten się rozsypał ku przerażeniu rywali.

W 1959 roku został znokautowany w ringu przez rywala, stracił przytomność, karetka na sygnale odwiozła go do szpitala i to był koniec jego przygody z boksem. Przerzucił się na lekkoatletykę. Z racji siły i postury wybrał pchnięcie kulą. Tydzień treningów wystarczył, by zakwalifikować się do reprezentacji Polski juniorów.

Na swój największy sukces czekał aż do trzydziestego drugiego roku życia. Na igrzyska w Monachium w 1972 jechał po klęskach na dwóch poprzednich, w Tokio i Meksyku. Mimo to głośno wszystkich przekonywał, że jedzie do Niemiec po złoty medal.

Namówił przy tym władze Polskiego Komitetu Olimpijskiego, żeby przez rok dofinansowały mu dożywianie. Obiecał przy tym, że w razie braku medalu zwróci pieniądze, które PZLA na to wyda. Przez rok dostawał więc codziennie kilogram polędwicy, grejpfruty i pomarańcze. I jadł, kompletnie nie martwiąc się, z czego zapłaci w razie kolejnego niepowodzenia. Śmiał się tylko, że będzie sobie łamał nad tym głowę w drodze powrotnej z Monachium.

Nie musiał. Na igrzyskach najpierw wygrał z przeciwnikami wojnę psychologiczną. Organizatorzy przygotowali na treningi dwa rodzaje kul. Normalne, czarne, ważące 7 kilogramów, i białe, lżejsze o 2 kilo. Komar kupił w sklepie sprej i przemalował białą kulę na czarno. I na treningu ku przerażeniu rywali ze 25 razy „pobił” rekord świata. W konkursie olimpijskim w pierwszej próbie pchnął 21,18 metra i przez dwie godziny czekał, patrząc, jak rywale bezskutecznie atakują ten rezultat.

Pamiętałem z telewizji dekorację medalistów i poruszające łzy tego kolosa, gdy grali mu Mazurka Dąbrowskiego. Opowiadał nam później, że poryczał się, bo gdy flaga szła na maszt, wspominał zamordowanego ojca. Uznał, że to hołd dla niego.

Przez całą karierę niepokorny i lubiący się postawić Komar miał te same problemy z działaczami co ja. Tak jak mnie co rusz go dyskwalifikowano i odbierano mu prawo startów w zagranicznych zawodach. Nazywał to żartobliwie „kontuzją paszportową”, ponieważ w takich przypadkach zabierali mu też paszport. Najbardziej bolesna z tych szykan spotkała go właśnie po sukcesie w Monachium, gdy był na topie. On sam mówił nam, że popadł w niełaskę z powodu rozwodu z Małgosią Spychalską, choć z jej teściem nadal był przecież w świetnych stosunkach. Zdarzało mu się obalić flaszkę z Marianem Spychalskim w krzakach nad Wisłą, gdy byłemu ministrowi obrony narodowej udawało się urwać obstawie. Tak nam się przynajmniej przechwalał.

Ponieważ Władek żył mocno i nie odkładał żadnych pieniędzy, w okresach „kontuzji paszportowych” nie miał z czego żyć. Z tarapatów związanych z jedną z nich wybawił go Tadeusz Drozda, który wciągnął Komara do swego kabaretu. Wraz z Krzysztofem Litwinem objeżdżali Polskę jako „Tercet na luzie”.

Już od początku lat 60. Władek flirtował z filmem. Chwalił się nam, że ponoć Jerzy

Hoffman poważnie rozważał jego kandydaturę do roli Kmicica w „Potopie”. Zadebiutował rolą szlachcica w „Kazimierzu Wielkim” Ewy i Czesława Petelskich. W jednej ze scen miał wyskoczyć nagle na drogę i łapiąc konia za uzdę, rozbroić cwałującego Wiesława Gołasa. Zabrał się do tego tak energicznie, że w pierwszej próbie powalił na ziemię przerażone zwierzę razem z aktorem.

Zagrał w „Borysie Godunowie”, „Sherlocku Holmesie” i serialu „Przyłbice i kaptury”. Aż w końcu Roman Polański dał mu rolę w „Piratach”. Władek długo podejrzewał, że telefon z Paryża to jakiś kawał Drozdy albo innego kumpla. Opowiadał, że na spotkanie z Polańskim poszedł onieśmielony, ale z miejsca przypadli sobie do gustu i przeszli na ty. Polański kazał wytwórni filmowej zwrócić Komarowi pieniądze za bilet lotniczy, choć doskonale wiedział, że przyjechał do Paryża samochodem z jego przyjacielem Andrzejem Kostenką.

Większość zdjęć kręcono przez dziesięć miesięcy w El Kantaoui w Tunezji, ale także na Szeszelach i Malcie. Polański tylko raz wydarł się na Komara: gdy grany przez niego pirat Jesus miał rzucić kulą armatnią w innego korsarza. Ujęcie powtarzano wielokrotnie, ponieważ Komar nie mógł trafić. Po kolejnej próbie zdenerwowany Polański wrzasnął:

Władek, kurwa, jesteś mistrz olimpijski i nie umiesz trafić z pięciu metrów?

Ale przecież ja nigdy nie rzucałem do celu odparł rozbijając Komara.

Władek stał się też bohaterem jednej z bodaj najsłynniejszych, obok historii o czarnej wołdze, miejskich legend PRL: w 1974 roku wraz z Andrzejem Jaroszewiczem, synem premiera, mieli seryjnie mordować kobiety na tle seksualnym, obcinać im piersi i zakopywać ciała w lesie pod Józefowem. Tę absurdalną plotkę wywołała tak zwana afera „Słonia”. Mężczyzna, którego tak nazywano, był warszawskim playboyem. Podczas przyjęcia w mieszkaniu na Żoliborzu poszedł z dziewczyną do wanny, gdzie oboje ulegli zacydzeniu przez nieszczelny piecyk gazowy. Komar był na tym przyjęciu. Gdy przyjechała milicja, zdał relację z tego, co się stało, stojąc przed blokiem wśród tłumu gapiów. Zapytany, co robił, gdy tamci się kąpali, odparł, że wraz z Lelio Lattarim, zadomowionym w Polsce włoskim kierowcą rajdowym, siedzieli przed telewizorem i „słuchali Jaroszewicza” (premier właśnie wyjaśniał powody podwyżki cen wódki i benzyny). Ale gapie po swoim powiązali fakty: Komar, trup dziewczyny w wannie, Jaroszewicz (bo samochód rajdowy Lattariego przed



blokiem wzięto za auto Andrzeja, który też startował w rajdach). Kilka dni później telewizja poinformowała o znalezieniu w Józefowie okaleczonych zwłok licealistki i wszystko stało się jasne: Komar z Jaroszewiczem topią dziewczyny, obcinają im piersi, a ciała zakopują w lesie.

Nasza znajomość zaczęła się od kart. Przyjechałem do Warszawy na zgrupowanie kadry juniorskiej na bielańskim AWF. Wszedłem do pokoju brata, a tam za stołem kilku bardzo znanych sportowców ostro rznąło w kierki. Jako 18letni juniorek stanąłem sobie cichutko z boku i w milczeniu się przyglądałem. Nagle Komar odwrócił się do mnie z groźną miną:

A ty kto? Co mi patrzysz w karty? Może komuś podpowiadasz?

To mój młodszy brat Władysław pospieszył z wyjaśnieniem Edek.

Co on tu robi?

No, też skacze o tyczce.

A chociaż dobrze?

Zaraz będzie lepszy ode mnie.

To chodź tu, młody, stawaj za mną i patrz, czy dobrze gram. Co dwa Władki to nie jeden, zaraz tu wszystkich ogramy.

I rzeczywiście „ograliśmy”, bo Komar nie tylko był niezrównanym karciarzem, ale też niezłym szulerem. Prowadziło to czasem do groźnych sytuacji. Kiedyś podczas mityngu w Helsinkach jakiś fiński sportowiec zaprosił go z Bronkiem Malinowskim do swojego znajomego do domu na pokera. Podczas rozgrywki Bronkowi pot lał się po skroniach, bo nie dość, że prawdopodobnie grał pierwszy raz w życiu, to jeszcze widział, że pula pieniędzy urosła z setek dolarów w tysiące, a Władek w tych swoich wielkich łapskach kryje asy, króle i ciągiem wygrywa i wygrywa.

Nagle właściciel wyszedł na chwilę do innego pokoju, wrócił z pistoletem i położył go

na stole. I w te słowa do Władka:

Wiem, że szachrujesz. Jak cię przyłapię, to zastrzelę.

Komar na to oczywiście, że ależ gdzie tam, ależ skąd. Udawał roztrzęsionego, ale dalej robił bezczelnie swój szachermacher i ograł faceta na grube tysiące. A ten nic nie zrobił, bo nie wierzył, że Władek po takiej demonstracji siły zaryzykuje nieuczciwą grę. Przerażony Broniek Malinowski oświadczył po wszystkim, że już nigdy w życiu nie siądzie do kart.

Nie był to zresztą najgorszy numer, jaki Władek wykręcił Bronkowi. Podczas mityngu w Sztokholmie mieszkali w pokoju z długodystansowcem Jerzym Kowolem. Jak to zwykle bywało po zawodach, Władek mocno zabradziażył na bankiecie. Wrócił do pokoju bardzo późno w nocy, podpity, ale rozpoznawał sytuację na tyle, że nie chciał palić światła, by nie budzić chłopaków. Wybrał łóżko, które, jak mu się wydawało, było puste i... zwałił się w ubraniu prosto na Kowola. Po czym natychmiast zasnął, chrapiąc wniebogłose. Jurek ledwo się spod niego wygrzebał. Później Bronka przebudził jakiś dziwny dźwięk. Patrzy, a Władek staje przed szafą, otwiera drzwi, podnosi klapę walizki jak mu się wydawało, Jurka Kowola i sika do środka. A po wszystkim zamyka „klapę”, drzwi od szafy i spokojnie kładzie się z powrotem do łóżka.

Rano o wszystkim opowiedział Władkowi.

Bzdura! Co ty mi tu opowiadasz?!

Tak? No chodź i zobacz! Mówię ci, że nalaleś do walizki Jurka.

Podeszli do szafy, patrzą, a walizka Bronka leży na górze, bo brał coś z niej przed snem i tę Jurkową przełożył na dół...

Niestety, dla Władka każda okazja była dobra, żeby pójść w tango, tak przed zawodami, jak i po. Na bankietach, gdy my piliśmy kieliszek wina, to on butelkę wódki. Pamiętam, jak byliśmy razem na innym mityngu w Sztokholmie. Dla niego to były bardzo ważne zawody, bo musiał na ich zrobić wynik minimum, by pojechać na Puchar Europy do Turynu, co zapewniałoby mu stypendium. Miał akurat słabszy okres i nie potrafił pchnąć

więcej niż 20 metrów, a minimum wynosiło ze 20 i pół czy jakoś tak. Dlatego uważnie go z Jackiem Wszolą pilnowaliśmy, żeby nie zabradziażył przed startem. Pilnowaliśmy na zmianę, robiliśmy, co mogliśmy, żeby nie spuścić z niego oka, co nie było łatwe, bo miał mnóstwo znajomych i bez przerwy ktoś próbował go gdzieś wyciągnąć. Ale my nie pozwalaliśmy: Koncentracja, przygotowania, wynik! Zabradziażysz sobie na bankiecie po zawodach.

Więc siedzieliśmy bez przerwy we trójkę w pokoju i graliśmy w karty. Oczywiście on nas oszukiwał i ogrywał, ale stawki nie były wysokie, więc się z tego śmialiśmy. Wszystko szło dobrze do ostatniego wieczoru przed startem. Udało nam się go nie puścić na miasto: jest szansa, że następnego dnia będzie świeży. Gdzieś tak godzinę przed snem, czyli około 21, zorientowaliśmy się, że zabrakło nam wody mineralnej. Na to Władek mówi, że skoczy na dół do baru i przyniesie. Był na bosaka, w spodniach od dresu i podkoszulku bez rękawów.

Poszedł. Czekamy z Jackiem pięć minut, dziesięć, piętnaście.

Kurde, niedobrze. Powinien już być, czyli zabradziażył gdzieś na dole. Trzeba iść go szukać.

Ubraliśmy się, schodzimy do recepcji, ale nigdzie go nie ma. Bar pusty, na fotelach siedzą amerykańscy sportowcy i grają w karty.

Widzieliście może Władka Komara?

Wolly? Był tu jeszcze przed chwilą. Pokazał nam parę takich karcianych sztuczek, że nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Ale nagle weszła taka elegancka blondynka, wzięła go pod rękę, zabrała do rollsroycea i pojechali. A jak otworzyli drzwi, to tam w środku siedział jakiś szejk czy cholera wie kto, ale z turbanem na głowie.

Jak to, w tym dresie i podkoszulku wsiadł do limuzyny? jeszcze liczyliśmy, że to jakaś podpucha i zaraz ukaże się Władek i nas obśmieje. Ale Amerykańcy się zaklinali, że i im oczy wyszły z orbit, jak zobaczyli blondynkę i szejka.

Poszliśmy na górę, bo co mogliśmy zrobić? Przecież nie będziemy szukać po Sztokholmie wariata. A jak podamy policji rysopis Władka, powiemy o blondynce i szejku, to

nas jeszcze wsadzą za awanturnictwo.

Mistrz olimpijski w pchnięciu kulą Władysław Komar przy swoim maluchu z ulubionym portretem wodza rewolucji Lenina. Warszawa, przed domem przy ul. Klaudyny, 1990

Wstaliśmy rano, jego nie ma. Zjedliśmy śniadanie, zaczęliśmy się szykować do zawodów nie ma. Wrócił około 12 pijany może nie w trzy dupy, ale na bani. Ubrany w to, w czym wyszedł, tylko jeszcze z turbanem na głowie. I kompletnie rozanielony.

Siadajcie, zaraz wam opowiem, jak fajnie było...

Co fajnie? Piłeś, nie spałeś, łachudro, a zaraz startujesz!

I jeździmy po nim jak po łysej kobyle. Jacek najmocniej, chociaż był młodszy od Władka o 16 lat.

Chłopcy, no już nie krzyczcie na mnie, ja nic nie zrobiłem, ja nie chciałem... Ale napatoczyła się znajoma z Warszawy i wzięła mnie na bankiet. Jest hostessą jakiegoś szejka, mieli tu spotkanie i jechali na wieczorne party. Jak mnie zobaczyła, to mówi do szejka, że tam stoi mistrz olimpijski w pchnięciu kulą. A ten na to: „Prawdziwy? To bierzemy go ze sobą. Niech się nie przebiera nawet, bo wygląda autentyczniej. Damy mu tylko turban...”. No to dali i zabrali. Nie mogłem odmówić, choć całe przyjęcie przełaziłem na bosaka.

No dobra, była 12, a zawody o 16, więc jeden z nas pobiegł do baru po podwójną kawę szatana, drugi napuścił wanienkę wody dla Władka i przygotował kąpiólkę. Włazł do wanny, posiedział w ciepłej wodzie, a my myk, wyjmowaliśmy koreczek i cyk, zimna woda. I po jakimś czasie znów ukrop. I tak na zmianę.

Chłopcy, już mnie tak nie mordujcie...

Po wszystkim przespał się dwie godziny i wstał jak nowo narodzony. Pojechaliliśmy

razem na stadion, bo tyczka i kula zawsze są pierwsze. A Władek cały czas w turbanie, bo nie zgodził się go oddać. Zadowolony z siebie, w świetnym nastroju. 7kilogramową kulę podrzucił sobie nogą jak piłkarz piłkę. Przyłożył się do rzutu, kulę do szyi, zgiął się do przodu i... wyleciał razem z kulą z koła do przodu. Czyli próba nieudana. Sędziowie zaczęli się śmiać.

Podeszliśmy do niego z Jackiem.

Baranie, przestań się wygłupiać i pchaj tą kulą porządnie!

Spowazniał, oddał mi turban, stanął, przymierzył się i jak nie pchnie tą kulą! Patrzemy, a ona leci i leci, i leci... Zasuwał 21 metrów! Czyli jest minimum na Puchar Europy. W kolejnych próbach cisnął 19, 18 i 17 metrów, bo nie miał już ani siły, ani motywacji.

Na Puchar Europy do Turynu pojechaliśmy więc wszyscy razem i też tam go pilnowaliśmy do startu. Mieszkaliśmy w akademikach. Dostaliśmy maleńkie jednoosobowe pokoiki, do których z korytarza wchodziło się po wąskich na pół stopy schodkach. Po zawodach i bankiecie, na którym my z Jackiem ledwo umoczyliśmy usta w winku, a Władek pochłonął butelkę wódki, rozeszliśmy się do siebie, bo byliśmy mocno zmęczeni startem i przyjęciem. Ale mimo że spaliśmy jak zabici, o 3 obudził nas potężny huk. Coś się zważyło, ale tak, że mało nie pospadaliśmy z łóżek! Wybiegamy na korytarz z Jackiem Wszołą, patrzymy, a Władek leży z nogami na tych schodach, łbem na podłodze i nagi, bo zawsze sypiał nago. Wstał do toalety i zapomniał o schodach. Myślał, że za drzwiami jest płasko, i poleciał dobre dwa i pół metra w dół. Dobrze, że miał czaszkę ze stali.

Przeżyliśmy całą masę przygód i nawykaliśmy mnóstwo numerów. Chyba najślynniejszym z nich było „uprowadzenie” rekordzisty świata w skoku wzwyż, reprezentanta ZSRR Władimira Jaszczarki, podczas halowych mistrzostw Europy w Mediolanie w 1978 roku. Jak zwykle my, dwa Władki, mieszkaliśmy w jednym pokoju, do którego często zaglądał Wołodia. Rok wcześniej pobił rekord świata, uzyskując 235 centymetrów starą metodą przerzutową, czyli brzuchem nad poprzeczką, a nie tyłem, jak skakał Jacek Wszoła, a dziś już wszyscy. Utalentowany był z niego facet jak cholera, dosłownie fruwał nad ziemią. Choć miał zaledwie 19 lat, z miejsca się zaprzyjaźniliśmy, bo nie tylko był z niego swój chłop, otwarty i wesoły, skory do bratania się i imprezowania, ale

jeszcze miał wielki sentyment do Polaków. Po ojcu był Kozakiem zaporoskim, ale jego matka, jak twierdził, z pochodzenia była Polką. Z tego sentymentu nawet startował w butach Polsportu, chociaż nie miał z tą naszą firmą żadnego kontraktu.

W nastroju był szampańskim, bo rok po mistrzostwie Europy juniorów właśnie wtedy w Mediolanie wywalczył mistrzostwo Europy seniorów i zdaje się poprawił własny rekord świata. Wydawało się, że wielka kariera stoi przed nim otworem. Niestety, skończyła się zaledwie rok później, bo zamiast leczyć poważny uraz kolana, strasznie się rozpił, kompletnie zdegenerował i już do sportu nie wrócił.

Nie wiedzieliśmy, że mimo młodego wieku Wołodia jest już zaawansowanym alkoholikiem. Kiedy do nas zajrzał i zapytał, czy nie mamy czegoś do wypicia, bo on ma co świętować, Komar wyjął na stół swoją flaszkę i nalał mu szklanice. Jak się Wołodia przyssał do butelki, to już nie chciał się odessać. Sam wypił niemal całą i rozpoczął następną. W końcu zostawiliśmy go i pojechaliśmy do Mediolanu na zakupy, bo następnego dnia wracaliśmy do Polski.

Kiedy wieczorem wróciliśmy do hotelu, zorientowaliśmy się, że radzieccy działacze w popłochu wszędzie szukają Jaszczenki. Wypytyują w recepcji, latają i sprawdzają po pokojach. A on tymczasem w najlepsze balował u nas. Ledwo wróciliśmy do pokoju, a tu łomot do drzwi: działacze dopytują, czy przypadkiem nie pije u nas. Odpowiedzieliśmy, że go nie ma, ale nie dawali za wygraną. Wrócili, znów łomotali i wpychali się do środka, żeby sprawdzić. No to wpakowaliśmy Wołodię do szafy i otworzyliśmy:

Smatritie. Jest? Nie ma!

A ci stoją skonsternowani, bo już cały hotel przetrząsnęli dokładnie i wyszło im, że musi pić z Polakami. Sprawdzili jeszcze w łazience i stoją, nie wychodzą.

W końcu zirytowany Komar do nich w te słowa:

Widzicie, że Wołodii tu nie ma. A jak chcecie znać prawdę, to wam powiem, że obaj z Kozakiewiczem widzieliśmy przez okno, jak wsiadał do czarnej limuzyny w towarzystwie jakichś facetów w czarnych garniturach. Władek może potwierdzić.

Pokiwałem głową.

Ruscy działacze skamienieli, a potem jak się nie poderwą do panicznego biegu. Uznali, że najwyraźniej jakieś imperialistyczne służby namówiły ich gwiazdę do ucieczki i Wołodia lada moment wystąpi o azyl polityczny. Ich mistrz Europy, rekordzista świata! Wybuchnie skandal na cały świat, afera nie do zamiecenia pod dywan, no i polecą głowy. Czyje? Oczywiście działaczy, że nie dopilnowali. Wszystko to można było wyczytać z ich twarzy, to szarych, to czerwonych na przemian.

Za jakiś czas słyszymy za oknem pisk opon, patrzymy, a pod hotel podjeżdżają samochody policyjne i do środka wbiegają karabinierzy. I teraz już Jaszczenki szukają po hotelu nie tylko działacze, ale i policja. On tymczasem nieniekpokojony przez nikogo spokojnie kontynuuje w naszym pokoju libację. Przez następne dwa dni.

Musieliśmy wracać do Polski. Opuszczając hotel, nie powiedzieliśmy nikomu ani słowa o tym, że Wołodia nadal u nas rezyduje, bo już trochę baliśmy się skutków tego kawału.

Trening na hali gimnastycznej Legii

Pokojówka znalazła go śpiącego w naszej szafie, w której schował się po naszym wyjeździe. W samą porę, by mógł jeszcze wystartować w konkursie skoków. Choć ledwo się trzymał na nogach, działacze jakoś go jednak doprowadzili do używalności. Bardzo chcieli, żeby jego występ przeciął plotki o ucieczce. Tyle że kiedy nadszedł moment rozpoczęcia konkursu, Wołodia wyszedł przed trybunę i oznajmił, że jest mu niezwykle przykro, ale nie jest w stanie skakać z powodu niedyspozycji. Natomiast może dla przemitych widzów zagrać na gitarze i zaśpiewać kozacką dumkę. Możecie sobie wyobrazić zdumienie publiczności, która przybyła obejrzeć występ młodego mistrza Europy, i konsternację działaczy, gdy Wołodia wprowadził swoją zapowiedź w czyn i zaśpiewał, brzdąkając w struny.

Zaprzyjaźnieni byliśmy z wieloma sportowcami z ZSRR. Głównie z tymi, którzy byli

otwarci na świat, innych cudzoziemców, i nie bali się swoich działaczy, by z nami pogadać, popić, zbratać się. Kolejnym takim, który zaglądał do naszego pokoju, był ukraiński skoczek w dal Walery Podłużny, trzykrotny olimpijczyk, który zdobył brązowy medal w Moskwie.

Kiedyś się zamyślił przy wódeczce i mówi do nas tak:

Wiecie, mało brakowało, a ja też byłbym Polakiem i miałbym tak dobrze jak wy. Jeździłbym, gdzie bym chciał i kiedy chciał. Bo ja pochodzę z polskiej rodziny. Przed wojną tam, gdzie mieszkaliśmy, była Polska. Kiedy po wojnie wytyczali nową granicę, okazało się, że będzie przechodzić przez pole mojego dziadka. Przyszli do niego jacyś urzędnicy i mówią: „Wybieraj, gdzie chcesz mieszkać, w Polsce czy w Związku Radzieckim?”.

I co, nie wolał w Polsce? dopytywaliśmy.

Nu kak, dieduszka dumał i dumał cztery dni. I, job twaju mat, nie papał!

Podłużny nie mógł przeboleć, że dziadek wybrał Sowieców. Może bał się, jak na jego decyzję zareagują radzieccy urzędnicy? Potem rodzinę rzuciło w głąb Ukrainy, on sam urodził się w Doniecku, ale zawsze miał wielki sentyment do nas, Polaków.

Na mityngach czy obozach nie tylko razem mieszkaliśmy i biesiadowaliśmy, ale też wspólnie trenowaliśmy: biegaliśmy, skakaliśmy, rozciągaliśmy się. Nigdy nie udało mi się wygrać z nim w sprincie, chociaż był 130kilogramowym kolosem. Ja też byłem szybki, ale zawsze wyprzedzał mnie o dwa, trzy metry. Na dłuższym dystansie go przeganiałem, ale na 3040 metrów nie miał sobie równych.

Mieszkaliśmy niedaleko siebie i nasze rodziny się zaprzyjaźniły. Często razem biesiadowaliśmy, poznałem jego siostrę i mamę, która potrafiła w nieskończoność opowiadać, jak im się cudownie żyło na Wileńszczyźnie. Moja Ania często opiekowała się synem Władka Mikołajem, gdy jego rodzice gdzieś się wypuszczali w miasto. Jego żona nie miała lekko. Władek lubił się przechwalać swoimi podbojami. Często oglądając telewizję, patrząc na konferansjerki na festiwalach, prezenterki czy aktorki, nie wahał się przy niej przechwalać, że tę czy tamtą miał. Na wyjazdach o dziewczyny było bardzo łatwo. Nie tylko muzycy mają swoje groupies, my, lekkoatleci, też mieliśmy.



Nigdy nie zapomnę, jaki numer wykręciliśmy wspólnie Grażynie Rabsztyn, rekordzistce świata w biegu na 100 metrów przez płotki. Po serii wspólnych startów na mityngach ona zostawała na kolejne, a my z Jackiem Wszolą, Władkiem Komarem i Tadkiem Ślusarskim wracaliśmy do Polski. Ponieważ nawygrywała sporo nagród, nie chciała ich targać dalej. Poprosiła więc nas, żebyśmy je zabrali ze sobą. W jednej z toreb niechcący zostawiła swój aparat, bo jakiś czas wcześniej fotografia stała się jej pasją i namiętnie robiła zdjęcia.

Gdy tylko się rozstaliśmy, wystarczyła jedna wymiana spojrzeń między mną a Władkiem i wiedzieliśmy, co chcemy zrobić. Komar zaordynował:

Panowie, majty w dół, wypinać tyłki, robimy sesję!

I zrobiliśmy. Każdy wygłupiał się przy tym, jak tylko mógł. Wypstrykaliśmy całą rolkę do końca. Po powrocie do Polski Grażyna odebrała swoje paczki i zaniosiła filmy do wywołania zaprzyjaźnionemu fotografowi Leszkowi Fidusiewiczowi, byłemu pięcioboistcie. On z kolei oddał rolki jakimś stażystom w redakcji „Sportowca”. Ci wywołali zdjęcia i pytają szefa:

A kto panu dał te zdjęcia do wywołania?

Grażyna Rabsztyn, a bo co?

O, naprawdę pani Grażyna? A nic, no fajne zdjęcia porobiła... odparli, ale z takimi uśmieszkami, że Fidusiewicz sam zajrzał do koperty. Patrzy, a tam nasze gołe dupy i nie tylko.

Kiedy oddawał kopertę Rabsztyn, zapytał, co i jak, czy już na stałe tak ukierunkowała swoją fotograficzną pasję, bo kompletnie mu to do niej nie pasowało. Ta, cała czerwona ze wstydu, zaczęła się tłumaczyć. Bo Grażyna była bardzo porządną kobietą.

I na pierwszych zawodach, na których nas z Władkiem złapała, zrobiła nam kosmiczną awanturę.

Ale z was świnie! Jak mogliście mnie tak załatwić?! Wstyd na całą Polskę, bo dziennikarze od razu puścili to dalej! Nie daruję wam!

Ale oczywiście darowała i sama się później śmiała z naszego wygłupu. Natomiast nas kompletnie nie zdziwiło, skąd od razu wiedziała, że to my byliśmy inicjatorami psikusa.

Władek zginął tragicznie w wypadku samochodowym pod Ostroficami, na trasie Świnoujście Szczecin, latem 1998 roku. A wraz z nim Tadek Ślusarski, bo razem wracali z zawodów w Międzyzdrojach. Dziwnym zrzędzeniem losu w ich samochód uderzył inny olimpijczyk Jarosław Marzec, który startował w Moskwie w biegu na 400 metrów. On także zginął na miejscu.

Godzinę przed wypadkiem przejeżdżałem dokładnie przez to miejsce, jadąc z Hanoweru do Gdyni. Moi najbliżsi szaleli z rozpacz i niepewności przez kilka godzin, ponieważ w mediach informowano, że zginęło dwóch mistrzów olimpijskich, ale nie wymieniono nazwisk. Potem podali, że kulomiot i tyczkarz, a na koniec, że Komar i Kozakiewicz! Mama już oczy wypląkiwała, że straciła syna. Wiedzieli, że musiałem jechać tą trasą.

Kiedy w końcu stanąłem w drzwiach, powitali mnie tak, jakbym cudem ocalał z katastrofy.

## **Ostatni medal dla Polski**

13 grudnia zastał mnie na zgrupowaniu w Zakopanem. Po pierwszym szoku, głównie z powodu niemożności połączenia się telefonicznie z rodziną, dostaliśmy wszyscy specjalne przepustki na powrót do domu. W moim przypadku oznaczało to przejazd przez całą Polskę, spod Tatr aż do Gdyni.

Nigdy wcześniej ani później ta trasa nie była tak pusta. To było przerażające, jak po jakiejś katastrofie. Nie licząc pojazdów wojskowych, przez całą drogę minąłem może ze dwa traktory, ale żadnych samochodów osobowych. Legitymowany byłem na każdej rogate, gdzie wojsko porozstawiało posterunki ze szlabanami. Przepustka w zasadzie nie była mi potrzebna, zwykle na sam widok mojej gęby żołnierze od razu się rozjaśniali i przepuszczali dalej. To działało przez cały stan wojenny. Godzina policyjna praktycznie mnie nie dotyczyła, zawsze potrafiłem się wyłgać, że jestem w drodze z treningu albo wracam właśnie z jakichś zawodów. Przydawało się to i podczas organizowania aprowizacji dla rodziny i przyjaciół. Raz na przykład u zaprzyjaźnionych ludzi w Nowej Wsi Lęborskiej udało mi się kupić pół cielaka i świnie, które wiozłem do domu w bagażniku. Tuż przed Trójmiastem zatrzymała mnie milicja.

Wiesz pan coś?

Nic specjalnego, kupiłem sobie tylko trochę jedzenia.

To proszę pokazać.

Na treningu w Zakopanem

Otworzyłem bagażnik. Milicjant zamarł, wpatrując się w 300 kilo mięcha, już poćwiartowanego na piękne kawałki. Chwilę pomilczał, aż w końcu mówi.

No, pan to chyba lubi sobie pojeść, panie Władku.

Wiecie, panowie, muszę, taki zawód. Jeśli chcę wygrywać, to muszę jeść.

No to życzymy smacznego i udanych startów.

Nawet żadnego haraczu nie wzięli, choć w podobnych przypadkach to było na porządku dziennym.

Żeby poruszać się swobodnie po Polsce, oprócz przepustki dostawałem w urzędzie miasta ekstra kartki na benzynę, której w owym czasie przypadało zaledwie 15 litrów na osobę miesięcznie. Dawali mi całe bloczki po sto takich kartek, dzięki czemu stałem się prywatną stacją benzynową dla przyjaciół i znajomych.

Pamiętam, jak wracałem któregoś dnia z Anią z Warszawy do Gdyni. Leciałem pustą trasą 140 na godzinę sportowym trzydrzwiowym fiatem 128 i gdzieś za Mławą minąłem radar ale tak szybko, że milicjanci ledwo zdążyli wygrzebać się z wozu i nie zdążyli porządnie zamachać. Zadowolony pojechałem dalej. Na roгатce przed Elblągiem patrol poprosił mnie na bok.

Przepraszamy, panie Władku, ale musi pan poczekać. Jakaś grubsza sprawa polityczna. Gonią za panem przez pół Polski. Sam szef podał przez radiostację, żeby zatrzymać pański samochód.

No to czekamy. Za jakiś czas dojeżdża milicyjny polonez na sygnale. Wyskakuje z niego milicjant, dobiega do naszego wozu i drze się:

Ha, wiedziałem, że cię dogonię, s...synu! Wiedziałem, że się nam nie wymkniesz!

Wziął moje dokumenty i połączył się przez radiostację:

Tak, szefie, mamy drania. Z dokumentów wynika, że to Władysław Kozakiewicz, zamieszkały w Gdyni.

Ten sportowiec Kozakiewicz? usłyszałem przez głośnik pytanie komendanta.

Potwierdziłem skinieniem głową.

Mówi, że tak.

Ten tyczkarz?

Mówi, że on.

Ten, co zdobył złoty medal w Moskwie?

Potwierdza.

No to mu pogratuluj i życz szerokiej drogi. Bez odbioru zakończył komendant, a skonsternowanemu podwładnemu o mało co słuchawka nie wypadła z ręki. Nie powiedział słowa, tylko tak na mnie spojrzał... Gonił mnie przez ponad 80 kilometrów i myślał pewnie, że dopadł samego Zbigniewa Bujaka, jednego z niewielu przywódców „Solidarności”, który wciąż się ukrywał przed internowaniem.

Przez całą zimę 1981 i wiosną 1982 roku przed halowymi mistrzostwami Europy w Mediolanie trenowałem skoki na sali. Ale nic mi nie wychodziło. Byłem bez formy i nie wiedziałem dlaczego. Bardzo możliwe, że głównym powodem było rozstanie z trenerem Tomaszewskim. Inicjatywa wyszła z jego strony. Był do bólu uczciwy, a ponieważ uznał, że nie jest mi w stanie więcej pomóc, postanowił się usunąć.

Potrzebujesz nowych bodźców. Znajdź sobie nowego trenera oznajmił.

Rozstałem się z nim ze smutkiem, ale w zupełnej zgodzie. Trenowałem przeważnie sam albo z pomocą Edka. Nie byłem jednak w stanie skoczyć wyżej niż 5,40, tymczasem minimum uprawniające do startu na tych mistrzostwach wynosiło 10 centymetrów więcej.

Szczęśliwie kilka tygodni przed wyjazdem do Mediolanu nadeszło zaproszenie na dziesięciodniowe treningi w Sindelfingen dla mnie oraz dla skoczka wzwyż Janusza Trzepizura. Tam nie tylko solidnie przyłożyłem się do treningów, ale wreszcie zacząłem się porządnie odżywiać, z czym w Polsce, mimo moich zdolności aprowizacyjnych, wciąż były kłopoty. Udało mi się skoczyć 5,60, który to wynik powtórzyłem później w Mediolanie. Dało mi to brązowy medal mistrzostw. Nie miałem pojęcia, że to ostatni medal, jaki wywalczyłem dla Polski...

Zaczął się sezon letni, zbliżały się mistrzostwa Europy na stadionie w Atenach, a ja nadal byłem bez formy. Skakałem między 5,40 a 5,50, co mnie zupełnie nie zadowalało. Oświadczyłem więc w Polskim Związku Lekkiej Atletyki, że odpuszczam występ w Atenach.

Lepiej, żeby mistrz olimpijski nie wystartował, niż zblądził się kiepskim wynikiem. Poza tym pamiętałem, czym się dla mnie skończył nieudany występ na mistrzostwach Europy w Pradze w 1978 roku. Dwa tygodnie przed zawodami złapałem gripę i z 40 stopniami gorączki wylądowałem w łóżku. Niestety, trener popełnił błąd, wysłał mnie pod pierzynę i kazał w dwa dni wypocić choróbsko. Po dwóch dniach wznowiłem intensywne treningi, chociaż nie byłem jeszcze zdrowy. Więc potem znów poszedłem do łóżka, tym razem spędzając w nim tydzień, i to na antybiotykach. Kiedy w końcu wstałem na nogi, czułem kompletną niemoc. Próbowałem przekonać działaczy, że mój wyjazd do Pragi jest bez sensu, ale nie chcieli słuchać.

Nawet nie żartuj, mistrzostwa Europy bez najlepszego zawodnika kontynentu? Jedziesz i koniec.

Pojechałem wraz z Tadkiem Ślusarskim i Mariuszem Klimczakiem. Ten drugi zaliczył w eliminacjach „zerówkę”, zawalając wszystkie trzy próby, i do głównego konkursu w ogóle nie przystąpił. Na wieczornym zebraniu z działaczami łaskawie mu wybaczone, bo przecież „to jest sport, każdemu może się to przytrafić”. W konkursie Ślusarski odpadł pierwszy. Ja, osłabiony gripą, zdołałem skoczyć tylko 5,45, co dało mi czwarte miejsce. Pechowe tym bardziej, że trzeciemu w konkursie Finowi niesłusznie uznano próbę, choć po jego skoku poprzeczka podskoczyła i oparła się na górnych prętach stojaka. Zauważyłem to, ale nie interweniowałem, bo byłem przekonany, że zaraz go przeskoczę. Ale nie dałem rady.

Kolejki przed sklepami w Gdańsku, 1982

Na wieczornej naradzie zostałem publicznie obsztorcowany. Moje czwarte miejsce uznano za klęskę, a winą obarczono wyłącznie mnie, ponieważ „bimbałem sobie, zamiast przyłożyć się do treningu”. Grypa nie była dla nich żadnym usprawiedliwieniem. Nałożono na mnie półroczną dyskwalifikację, jak za pamiętny występ w tigerach na mityngu w Kolonii. Odebrano mi tym samym możliwość startów za granicą, a więc sporych zarobków. I po raz drugi przepadł mi wyjazd z kadrą do Australii. Wysłali tam Wojtka Buciarńskiego. Dlaczego właśnie jego? Bo nie zaważył w Pradze. Ale przecież nie zaważył, bo tam w ogóle nie startował, a nie startował, bo się nie zakwalifikował do mistrzostw Europy! Taka to panowała

w związku logika. Logika idioty: Buciarskiego, który był wtedy bez formy do Australii, a Kozakiewicza za czwarte miejsce na dyskwalifikację. Bo musiał ponieść karę.

Krew mnie zalała. Udzieliłem wywiadu, w którym wygarnąłem, że tracę ochotę na startowanie w reprezentacji, jeśli jestem za takie rzeczy karany. Co to za porządki, że zawodnikowi bardziej opłaca się dać „zerówkę”, niż stanąć do walki w konkursie i przegrać? Przecież ja też przeżywałem tę klęskę, a działacze napiętnowali mnie, jakbym nie przegrał na stadionie, ale co najmniej ukradł coś w sklepie. Albo dał w pysk któremuś z nich co w sumie powinienem był zrobić, ponieważ przez cały boży dzień chodzili po tej Pradze narąbani.

Bąłem się, że teraz, w razie nieuchronnego niepowodzenia na mistrzostwach Europy w Atenach, cała kołomyja się powtórzy. Skutek był jednak taki sam, jakbym pojechał i zawalił występ: kolejna dyskwalifikacja na pół roku, z odebraniem stypendium PZLA włącznie. W połączeniu z odmową wydawania mi służbowego paszportu sprawiło to, że straciłem wszelkie źródła utrzymania. Mistrzostwa Europy obejrzałem w telewizji z Jackiem Wszolą, który co prawda do Aten polecał, ale działacze odesłali go do domu, gdy zobaczyli, że mistrz olimpijski z Montrealu i wicemistrz z Moskwy zamierza startować w tigerach zamiast w butach Adidasa, z którym związek nadal miał podpisany kontrakt. Nie obchodziło ich, że Jacek też miał kontrakt, tyle że z japońską firmą.

1983 rok rozpoczął się nie najlepiej. Do halowych mistrzostw Europy w Budapeszcie przygotowałem się źle, zbyt późno odpuszczając ciężkie treningi. Podczas zawodów nogi miałem jak z waty i zająłem dopiero 11. miejsce. To dopiero była prawdziwa klęska! Ale tym razem działacze, o dziwo, nie tylko nie skazali mnie na karę śmierci, ale odpuścili mi nawet dyskwalifikację. Ja za to poprosiłem trenera Tomaszewskiego o odnowienie współpracy. Na szczęście się zgodził. Zacząłem trenować tak ciężko, jak nigdy dotąd w karierze, a jednak forma wciąż leciała na pysk. Nie byłem w stanie skoczyć wyżej niż 5,40.

Trenerze, a może właśnie trzeba odpuścić? Przyhamuję z tą orką, trochę odsapnę, złapię świeżość i w ten sposób odzyskam formę?

Nie, Władek. To kwestia wieku. Zaraz skończysz 30 lat, po prostu musisz trenować więcej niż kiedyś. Do mistrzostw świata w Helsinkach trzy tygodnie, zasuway!

Zasuwałem, ale było tylko gorzej. Teraz już 5,40 stało się nieosiągalną wysokością; skakałem 10 centymetrów mniej.

Trenerze, chyba odpuszczę występ w Helsinkach.

Masz rację, to rzeczywiście nie ma sensu. Odpuść.

Co? Ja mam odpuścić? Niedoczekanie!

I znów wziąłem się do roboty. Forma leciutko drgnęła. Zacząłem się poprawiać i na organizowane po raz pierwszy w historii mistrzostwa świata w lekkoatletyce pojechałem nie tyle z nadziejami na medal, ile z poczuciem, że może jakoś to będzie.

Na miejscu podszedł do mnie i grzecznie się przedstawił młody reprezentant ZSRR, o którym mieliśmy jeszcze wszyscy usłyszeć.

Dzień dobry, nazywam się Siergiej Bubka.

W eliminacjach zdążyłem skoczyć 5,30, jak większość zawodników, po czym konkurs przerwano z powodu deszczu. Nie przestawało padać, więc konkurs przenoszono z dnia na dzień. Aż ostatniego dnia, tuż przed zamknięciem imprezy, od razu rozegraliśmy finał. Na domiar złego była wichura, więc wielu dobrych zawodników nie zaliczyło żadnej wysokości. Dlatego nie byłem nawet aż tak bardzo rozczarowany ósmym miejscem. Po zawodach prezes PZLA Czesław Ząbecki kazał mi wracać do Polski.

Ale ja mam zaproszenia na mityngi i nawet kupione bilety.

Nic mnie to nie obchodzi. Na zagraniczne starty jadą tylko ci zawodnicy, którzy awansowali do finałów.

Przecież wystartowałem w finale. Ósme miejsce to pies?

Nie zasłużyłeś na zagraniczne mityngi.



Nie zasłużyłem? Całą karierą zasłużyłem, skoro mnie zapraszają. Nie zawsze da się zwyciężyć.

A co ty zrobiłeś dla polskiego sportu?

Tym mnie wytrącił z równowagi. Bo kim on był, żeby mnie tak pytać? Nie wytrzymałem.

Skąd tyś się urwał, człowieku? Ja już czterech prezesów przeżyłem i co, dla każdego miałem skakać oddzielnie?

Na szczęście dla mnie właśnie wybuchła afera z obrabowaniem stoiska ze sprzętem Adidasu przez polskich 400metrowców, więc nie miał głowy, żeby blokować mi starty.

Bracia Kozakiewiczowie

Ale to był dopiero początek utrapień z działaczami. W 1984 roku, który miały zakończyć igrzyska w Los Angeles, trenerem kadry został Edward Szymczak. Na co dzień trenował w moim macierzystym Bałtyku Gdynia braci Kolasów, Mariana i Ryszarda. Powinienem być więc się cieszyć z takiego wyboru. I cieszyłem się. Do pierwszego spotkania. Zaprosił Tadka Ślusarskiego i mnie do słynnego warszawskiego SPATiFu na Foksal. Myśleliśmy, że po to, żeby z nami, najstarszymi, najbardziej doświadczonymi i utytułowanymi zawodnikami obgadać, co i jak po przyjęciu nowej funkcji. A on, trener, najpierw zaproponował nam wódkę. Walnął jedną pięćdziesiątkę, a potem drugą i do nas w te słowa:

Słuchajcie, chłopcy. Teraz ja jestem tu szefem i to ja decyduję o tym, kto wyjeżdża za granicę, a kto nie.

No i co?

A to, że musicie mi płacić procenty. Powiedzmy 20 procent tego, co zarobicie na

zagranicznych mityngach.

Wybuchliśmy śmiechem.

Że co, że jak?

Wiecie, bo jak nie, to może być tak, że wy dostaniecie zaproszenie, ale ja, jako trener kadry, deleguję na wyjazd kogoś innego. Radzę wam szczerze, dostosujcie się do nowych zasad, bo będziecie stratni.

Tadek Ślusarski, najspokojniejszy człowiek na świecie, który miał już wtedy 34 lata i sporo się w sporcie różnych rzeczy naoglądał, jak nie palnie:

Ty palancie, coś ty się z ch... zerwał!? A poszedł won!

Tamtego zatkało, a myśmy po prostu wstali i wyszli z knajpy. Wzburzeni jak nie wiem. No, bo jak to, facet, który nie miał z nami nic wspólnego, nic mu nie zawdzięczaliśmy, bo mieliśmy swoich trenerów, nagle nas szantażuje, że jak mu nie posmarujemy, to nie wyjedziemy? Na zawody, na które dostajemy imienne zaproszenia? Myśli sobie, że jak zamiast nas wyśle tam swoich braci Kolasów, to tam ich przyjmą z otwartymi rękami?

Dotąd było tak, że jak już wreszcie zacząłem zarabiać na mityngach, to się dzieliłem dolarami z moim trenerem, bo uważałem, że ma istotne zasługi w moich sukcesach. Trener Tomaszewski zresztą zawsze przyjmował pieniądze z wielkim zakłopotaniem, wręcz zażenowaniem. Nigdy się nie zająknął, że chciałby więcej, że mu się to należy. A tu taki Szymczak, który nie tylko niczego mnie nie nauczył, ale wręcz korzystał z naszych doświadczeń z Tomaszewskim, rości sobie prawa do stałego procentu! Zwykle nawet gdy trenowałem na stadionie Bałtyku Gdynia, to zawsze sam, a on ze swoją grupą oddzielnie. Któregoś razu zaszedł do mnie i zapytał, czy może podglądać treningi, bo może wypatry coś, na czym skorzystają jego zawodnicy. Ja nie tylko się zgodziłem, ale nawet z życzliwości oddałem mu do dyspozycji wszystkie moje dzienniczki, gdzie były opisane dzień po dniu wszystkie moje treningi: „W czwartek siła przed południem, po południu ogólnorozwojówka. W piątek skakanie rano, szybkość po południu” itd. Wszystko dokładnie skopiował i zaczął w ten sposób trenować braci Kolasów. Gdybym wówczas wiedział, że wkrótce bezczelnie

zażąda procentów, w życiu bym mu nie dał tych dzienniczków.

Szantaż Szymczaka rozsierdził nas tym bardziej, że po igrzyskach w Moskwie PZLA położył łapy na części naszych zagranicznych zarobków. Wcześniej nikt nie wiedział, że dostajemy jakieś pieniądze od organizatorów mityngów, bo odbywało się to nieformalnie, pod stołem. Ale z czasem wszyscy zaczęliśmy jeździć dobrymi samochodami, budować domy, i w związku się pokapowali, co i jak. I nałożyli na nas obowiązek płacenia 40 procent od tego, co dostajemy na mityngach. Nie wiedzieli, co prawda, ile dokładnie zarabiamy, bośmy nie podpisywali żadnych papierów, określili więc, że minimum do zapłacenia wynosi 200 dolarów.

No to obskakiwałem kilka zawodów, zarabiając na każdym, powiedzmy, od 600 do 2 tysięcy dolarów, wracałem, przychodziłem do związku, kładłem na stół 200 dolarów i wychodziłem, trzaskając drzwiami, nawet bez pokwitowania. Problem polegał na tym, że mało kto zarabiał na zawodach tyle co ja. Wielu zawodników startowało wyłącznie za bilet i pobyt w hotelu w Brukseli, Paryżu czy Zurychu, byle tylko wystąpić, bo może uda im się wybić, wypromować. I dochodziło do skandalicznych sytuacji. Na przykład Małgosi Duneckiej, sprinterke i żonie Leszka Duneckiego, srebrnego medalisty z Moskwy na 400 m i mistrza Europy z Pragi, kazano po powrocie z kilku mityngów zapłacić 600 dolarów haraczu. Ona, owszem, zajmowała to tu, to tam drugie czy trzecie miejsca, ale nie dostała za to ani grosza! Jakim prawem kazali jej więc cokolwiek płacić, i to pod groźbą zakazu kolejnych wyjazdów? Ale ona płaciła i wielu innych też. Gdybym miał uczciwie odprowadzać pieniądze za każdy start, to na przykład z tysiąca dolarów zarobionych za zwycięstwo w Lozannie 400 musiałbym odprowadzić do kasy związku, a 200 dać Szymczakowi. Wtedy zostałyby mi w kieszeni 400 dolarów, czyli mniej niż połowa. A kto, do cholery, skakał?

Z Tadkiem Ślusarskim byliśmy jednak wciąż zbyt mocni, żeby Szymczak mógł spełnić swoje groźby. Ja właśnie zdobyłem swój siódmy i jak się miało okazać ostatni złoty medal mistrzostw Polski. Zresztą od 1972 roku wygrywał Tadek albo ja (tylko w 1980 roku, gdy przygotowaliśmy się do igrzysk w Moskwie, pod naszą nieobecność triumfował Zbyszek Matyka). Tadek, choć był już grubo po trzydziestce, wciąż skakał rewelacyjnie i wkrótce w Bolonii pobił swój rekord życiowy, skacząc 5,71. Ja zaś na treningach z Tomaszewskim postawiłem na rozbudowę najsłabszych ogniw mojego ciała. Wzmocniłem siłę, mięśnie brzucha i nóg, uchwyt na tyczce, dzięki czemu mogłem zacząć korzystać z tych

najtwardszych i chwycić je 1015 centymetrów wyżej niż dotąd. W efekcie mistrzostwa Polski w Lublinie wygrałem, skacząc 5,65. Kilka dni później na mityngu w Birmingham uzyskałem 5,70, a potem, w trójmeczcu Wielka Brytania Węgry Polska w Edynburgu 5,75. Czyli zaledwie trzy centymetry mniej, niż wynosił mój rekord świata z Moskwy.

W maju na przedolimpijskie zgrupowanie do Formi między Rzymem a Neapolem udałem się wraz z kolegami tyczkarzami Tadkiem Ślusarskim, Marianem Kolasą i Zbigniewem Radzikowskim. Byłem w rewelacyjnym nastroju, bo forma rosła. Kombinowałem, że w Los Angeles będę w stanie nie tylko powalczyć o podium, ale nawet postarać się obronić złoty medal. Tyle że we Włoszech z coraz większym przerażeniem nasłuchiwałem w radiu, że kolejne państwa socjalistyczne ogłaszają bojkot igrzysk w USA. Najpierw zrobił to ZSRR, oczywiście w rewanżu za nieobecność Stanów Zjednoczonych cztery lata wcześniej w Moskwie. Kolejnego dnia ktoś przybiegł na trening z wielce niepokojącą wieścią, że do bojkotu przyłączyły się Czechosłowacja i NRD. Kolejnego dnia doszłusowały do nich Bułgaria, Wietnam i Mongolia.

Głównym tematem rozmów podczas posiłków czy biesiad w zaprzyjaźnionej knajpce stały się spekulacje, czy Polska się przyłączy, czy nie. Tliła się w nas nadzieja, że jednak nie. Wszak byliśmy najweselszym barakiem w socjalistycznym obozie, który zawsze był nieco na opak w stosunku do reszty. Pocięliśmy się, że jesteśmy już po przymiarkach strojów olimpijskich, w których mieliśmy maszerować na otwarcie igrzysk. I że wciąż wahają się Węgry. Otuchy dodała nam też deklaracja Rumunii, że swoich sportowców do Los Angeles wyśle. Skoro oni mogą, to czemu nie my?

Hiobową wieść przynieśli nam Włosi, którzy usłyszeli ją w swoich wiadomościach. Sprawę przedstawiono tak, że to my, zawodnicy, czyli i ja, Władysław Kozakiewicz, wystąpiliśmy do polskich władz z prośbą o przyłączenie się do bojkotu w proteście przeciwko amerykańskiemu imperialistycznym zapędom. Władze tylko łaskawie przychyliły się do świadomego gestu swoich sportowców. Krew nas zalała, ale szybko przeważało poczucie wielkiego zawodu i smutku. Pognaliśmy w te pędy do knajpy, by utopić zale.

Zaprzyjaźniony kelner, gdy tylko usłyszał, co i jak, postawił przed nami wielki dzban lokalnego wina (na koszt zakładu). Siedzieliśmy, sącząc ze szklanek w milczeniu, które przerywały tylko rzucane jedna po drugiej „k...”. Wszyscy byliśmy rozczarowani i wkurzeni,

ale najbardziej siarczyste przekleństwa miotał Marian Kolasa. Dla nas z Tadkiem byłyby to trzecie igrzyska, ale dla niego pierwsze i kto mógł przewidzieć, czy nie ostatnie? W dodatku był w niezłej formie.

Siedzieliśmy już tam dobrą godzinę, kończyliśmy drugi czy trzeci dzban, nagle patrzymy, a tu stół się kołysze, podnosi w górę, szklanki spadają, wino się rozlewa. Wszystko wkoło wiruje, my wstajemy, ale nas ciska o ziemię. Aż tak się narąbaliśmy? Takie mocne to wino! Patrzmy, a z restauracji ludzie uciekają w panice na zewnątrz, zaś ściany wokół nas zaczynają się rysować i pękać. Rany boskie, trzęsienie ziemi! Jak się później okazało, znaleźliśmy się zaledwie 30 kilometrów od epicentrum w Monte Cassino. Mówiliśmy sobie potem, że to Bóg grzmiał na haniebną decyzję polskich władz, ale i tak nikomu to nie poprawiło humoru.

Wraz z Januszem Peciakiem, mistrzem olimpijskim w pięcioboju nowoczesnym z Montrealu, zastanawialiśmy się przez chwilę, czyby nie polecieć indywidualnie do Los Angeles i mimo wszystko wystartować. Była taka możliwość, organizatorzy dopuszczali podobne rozwiązanie, nawet byłoby im to na rękę. Nasze plany doszły jednak do kogo trzeba i wytłumaczono nam, że reperkusje takiego postępu byłyby trudne do przewidzenia. Jako sportowcy byłibyśmy w Polsce skończeni, Marian Renke już by nas nie wybronił. Obiecał mi zresztą zgodę na występy w nowym sezonie w barwach klubu lekkoatletycznego z Brukseli, który miał siedzibę na stadionie Heysel (tam, gdzie rok później, podczas finału piłkarskiego Pucharu Europy między Juventusem Turyn i Liverpooliem zginęło ponad 30 włoskich kibiców). Ale ostatecznie nic z tego wyjazdu nie wyszło, ponieważ sponsor się wycofał.

Tymczasem na obozie w Formi kompletnie straciliśmy zapał do trenowania. Przez dwa dni tylko graliśmy w piłkę. Szybko jednak wróciliśmy do normalnego rytmu treningowego, ponieważ oznajmiono nam, że zamiast do Los Angeles pojedziemy do... Moskwy, gdzie kraje bojkotujące amerykańskie igrzyska urządzą własne Zawody Przyjaźni (natychmiast ochrzciliśmy je mianem „olimpiady dożynkowej”). Odmówić wyjazdu nie mogłem, ale moją frustrację dopełniły wyniki konkursu olimpijskiego w skoku o tyczce w Los Angeles. Zwyciężył Francuz Pierre Quinon, skacząc 5,75, czyli mniej niż ja w Moskwie i tyle, ile skakałem w tym czasie. Drugie miejsce zajął Mike Tully z wynikiem 5,70, a trzecie Thierry Vigneron, który uzyskał aż o dziesięć centymetrów mniej. Szlag mnie więc trafiał, bo gdybym pojechał, w najgorszym wypadku miałbym co najmniej brąz.

## Ceremonia otwarcia Zawodów Przyjaźni. Moskwa, 1984

W Moskwie znalazłem się po raz pierwszy od igrzysk, ale okazało się, że wszyscy mnie tam doskonale pamiętają. Dziarskim „zdrastwujcie, towarzyszu Kozakiewicz!” powitany zostałem i przez recepcjonistów Hotelu Rossija, gdzie nas wszystkich wciśnięto (wioska olimpijska była już bowiem zamieszkała przez zwykłych ludzi), i na piętrze przez rozpromienioną na chwilę „etażną”, która z groźną miną pilnowała tam porządku.

Pierwszego dnia cała polska ekipa zatrzała się w hotelowej stołówce. Wszyscy, tylko nie ja, ponieważ w hotelowym barku zamówiłem do pokoju pół kilo kawioru i dwa szampany za śmieszne pieniądze. Sprzed czterech lat zostało mi 2 tysiące rubli, których nijak nie miałem okazji dotąd wydać, a nikt nie chciał mi ich wymienić. Postanowiłem więc odżywiać się na własny koszt, zwłaszcza że kawior w hotelu kosztował sześć rubli za kilogram, łosoś dwa ruble, a Szampanskoje Igristoje zaledwie rubla. Te trzy produkty stanowiły całe moje pożywienie podczas pobytu w stolicy ZSRR.

Same zawody miałem gdzieś. Zresztą okazały się jeszcze większą farsą niż moskiewskie igrzyska, ponieważ lokalni sędziowie jeszcze bardziej otwarcie forowali zawodników gospodarzy. W biegu na 800 metrów radziecki zawodnik dosłownie wypchnął rywali na murawę, za co oczywiście nie spotkała go żadna kara. Wybitny mistrz świata w dziesięcioboju Torsten Voss z NRD, który po zakończeniu kariery z powodzeniem przesiadł się do bobslejów, zdobywając aż cztery medale mistrzostw świata, był z kolei bezczelnie blokowany w biegu na 1500 metrów. Co rusz jakiś radziecki zawodnik zabiegał mu drogę, spowalniając go. Gdy Niemiec zmieniał tor, zmieniał tor jego prześladowca. Tego było za wiele nawet dla szowinistycznej radzieckiej publiczności, która z niesmakiem gwizdała z trybun.

Kiedy więc przyszło do konkursu skoku o tyczce, oddałem jeden jedyny skok na 5,40. Zaliczyłem go i schowałem tyczki do torby. Wymówiłem się kontuzją łydki odniesioną podczas pokazowego konkursu na sopockim mołu dwa tygodnie przed wyjazdem do Moskwy. Powiedziałem, że zaszkoziły mi wibracje sprężynujących desek, na których

lądownaliśmy. Tak naprawdę byłem w stanie skoczyć na tych całych Zawodach Przyjaźni 5,70 lub 5,75, tyle że nie byłem przyjaźnie nastawiony. Nie chciałem własnym nazwiskiem firmować hucpy, na którą władze ZSRR pozwoliły sobie wobec całego świata, bojkotując igrzyska w Los Angeles.

Wygrał Wołkow, skacząc 5,80. Ale założę się, że oddałby wszystko za zwycięstwo cztery lata wcześniej, nie mówiąc o Los Angeles. Drugi był Siergiej Bubka, który wkrótce miał zdominować skoki o tyczce. Mój skromny skok i tak dał mi szóste miejsce, uważałem więc, że przynajmniej działacze nie będą mieli się do czego przyczepić.

Czas pokazał, że jednak się myliłem.

## **Zdrajca, uciekinier, renegat**

Jeszcze podczas Zawodów Przyjaźni mianowano mnie szefem ekipy polskich lekkoatletów, która prosto z Moskwy miała ruszyć na objazd po zagranicznych mityngach. Dostałem do ręki wachlarz paszportów i biletów wszystkich uczestników.

Najpierw poleciliśmy do Hanoweru. Spóźniliśmy się i na stadion weszliśmy wielką białoczerwoną ekipą. Powitano nas olbrzymią owacją, ponieważ byliśmy jedyną ekipą zza żelaznej kurtyny. Stamtąd przenieśliśmy się do Budapesztu. Po mityngu złapał mnie tam trener naszych sprinterek Andrzej Piotrowski i oznajmił, że ma do przekazania przykrą wiadomość:

Masz zdać funkcję kierownika ekipy i natychmiast wracać do Warszawy.

A co z resztą sportowców?

Jedziemy dalej na mityngi w Zurychu i Brukseli.

Ale ja też już mam bilety w oba miejsca. Dlaczego mam wracać? Zrobiłem coś złego?

Nie wiem, stary, ja jestem tylko posłańcem odparł.

Najpierw zadzwoniłem do domu, by sprawdzić, czy nie stała się jakaś tragedia. Wszyscy zdrowi. No to o co chodzi? Miałem przecież zaakceptowany kalendarz startów, więc skąd ta zmiana? Dlaczego tylko ja mam wcześniej wracać? Postanowiłem się nie podporządkować. Przeczekałem w ukryciu odjazd autokaru do Polski, choć mnie szukali po całym hotelu, a wyszedłem dopiero wtedy, gdy pojawił się autokar wiozący sportowców do Zurychu. Wystartowałem bez problemu i odlecieliśmy wszyscy do Brukseli na Memoriał Ivo van Dammea.

Tam złapał mnie organizator mityngu Wilfred Meert.

Śłuchaj, Wolly, nie możesz startować. PZLA żąda, żebym natychmiast odesłał cię do kraju.

Odparłem, że przecież to bez sensu, bo i tak zapłacił za moje bilety lotnicze. A skoro już jestem na miejscu, to czemu mam nie wystartować? Przyznał mi rację. Wystartowałem, skoczyłem 5,55, wróciłem do kraju i od razu poszedłem do związku zapytać, o co im znowu chodzi. Tam naskoczył na mnie prezes Ząbecki:

Nie dość, Kozakiewicz, że perfidnie zbojkotowaliście Zawody Przyjaźni, to jeszcze odmówiliście powrotu do kraju na wezwanie PZLA?! I bez zgody związku wystartowaliście w Zurychu i Brukseli?! Staniecie przed Komisją Dyscyplinarną!

Festiwal Kabaretów Studenckich „Paka’85” z gestem Kozakiewicza w „godle”. Od lewej: Jacek Fedorowicz, Władysław Kozakiewicz i Maciej Zembaty (czwarty). Kraków, 1985

Stałem po raz kolejny. Przedstawiłem argumenty, wysłuchali w milczeniu i kazali



mi wyjść z sali. Wyszedłem, ale stojąc pod drzwiami, słyszałem naradę moich prokuratorów:

Już nam wlaź na głowę. Jak go nie ukarzymy, poczuje się jeszcze pewniej.

Trzeba mu utrzyć nosa.

Co za przykład dla młodych zawodników, gdy przyzwalamy na taką samowolę?

Tylko jeden mówił, że nie można karać zasłużonego sportowca nie wiadomo za co, bo zarzuty są dęte.

Wróciłem i znów usłyszałem, że dostaję dyskwalifikację na pół roku. Do tego zawiesili moje stypendium i kadrowe, czyli znów zostałem odcięty od środków do życia, co przez pół roku skazywało mnie na utrzymywanie rodziny z oszczędności. No i tradycyjnie, już po raz trzeci, przypadł mi wyjazd do Australii na zimowe zgrupowanie.

Cieszcie się, bo dostaliście najniższy wymiar kary usłyszałem na koniec.

A jaki macie najwyższy wymiar dla kogoś, kto nie popełnił żadnego przestępstwa? Dożywotnie zawieszenie czy zsyłkę na Sybir? zapytałem.

Usłyszałem, żebym się nie mądrzył, tylko... lepiej dobrze przygotował się do halowych mistrzostw Europy w Pireusie, które wypadały dwa tygodnie po zakończeniu dyskwalifikacji. Ta skrajna bezczelność wyprowadziła mnie z równowagi.

Na żadną karę nie zasłużyłem, więc skoro mnie dyskwalifikujecie, to ja mam gdzieś, czy na pół roku, czy na 20 lat. Nie mam zamiaru więcej startować dla PZLA. Do Pireusu się nie wybieram, niech jadą młodszy. Jakbym tam nie zdobył medalu, to co, przyłożycie kolejną dyskwalifikację? Sami sobie skaczcicie! wygarnąłem i wyszedłem.

Następnego dnia wysłałem do PZLA oficjalne pismo, że rezygnuję z występów w reprezentacji; niech mnie już nigdzie nie powołują. Zawsze byłem gotów startować dla Polski na każde zawołanie, zdrowy czy nie, w formie czy bez, ale to traktowanie przelało czarę goryczy.

Przymusową przerwę w startach wykorzystałem na podreperowanie sypiącego się organizmu. Profesor Sowiński, który cały czas opiekował się lekkoatletami, usunął mi zwapnienia i narośle z kolana powstałe w wyniku długotrwałych przeciążeń. Nie było więc szans na to, żebym wystartował w marcu w Pireusie, dlatego nikt się o to nie czepiał. Wróciłem do treningów w kwietniu 1985 roku, a na maj dostałem imienne zaproszenie wraz z Tadkiem Ślusarskim na występ w Sao Paulo w Brazylii. Polecieliśmy i 12 maja 1985 roku obaj skoczyliśmy po 5,20, co nie było złym osiągnięciem, zważywszy na to, że on miał już 35 lat, a dla mnie był to pierwszy występ po operacji kolan.

Ale Sao Paulo nie byłoby sensu wspominać, gdyby nie to, że to był mój ostatni start w barwach Polski. Choć już rok wcześniej zostawiłem w PZLA pismo, że oficjalnie rezygnuję ze współpracy, po powrocie z Brazylii zaszedłem do związku dowiedzieć się, co i jak. Od prezesa Ząbeckiego usłyszałem, że jeśli chodzi o dalsze starty w zagranicznych mityngach, to zgodę otrzymam dopiero wówczas, gdy skoczę 5,70. Trudno było to odebrać inaczej niż jako kolejną bezsensowną szykanę. Po pierwsze, inni nie dostali takiego limitu. A po drugie, miałem już 32 lata, za sobą świeżo przebytą operację i dojście do takiego poziomu mogło mi zająć cały sezon (choć równie dobrze mogłem nie osiągnąć go wcale).

Poczułem się jak stary koń wyścigowy, którego po latach udanych gonitw biorą na odstrzał. Miałem już dość użerania się, przepychanek, szantażowania dyskwalifikacją. Postanowiłem skończyć karierę i znaleźć sobie zajęcie poza sportem, jak wielu moich kolegów lekkoatletów.

Ale Ania zabroniła mi się poddawać. Siedliśmy i zaczęliśmy wymyślać, co zrobić w tej sytuacji. I wymyśliliśmy wyjazd do RFN. Helmut Ptak, znajomy Niemiec polskiego pochodzenia, obiecał, że jako menedżer zajmie się tam moimi startami. Nie muszę przecież startować pod szyldem PZLA, mogę być zrzeszony w jakimkolwiek klubie (tak jak dziś Agnieszka Radwańska, która gra na tych turniejach, na których chce, i reprezentuje tam siebie, a Polskę tylko na igrzyskach albo w Pucharze Davisa).

Nie powiedziałem nikomu nawet słowa o planowanym wyjeździe. Nawet najbliższej rodzinie: mamie, bratu czy teściowej. Z oczywistych powodów nic nie wiedzieli też w PZLA, gdzie zwykle załatwiałem wszystkie wyjazdowe formalności i służbowy paszport. Tym razem

załatwiłem prywatne paszporty dla Ani, Kasi i malutkiej Małgosi oraz trzymiesięczne wizy turystyczne. Dla zmyłki zapakowaliśmy się w malutkie daihatsu charade Ani, a nie w moje większe renault. Tyczki władowałem na dach i 13 lipca w dniu, w którym Siergiej Bubka jako pierwszy człowiek w historii przeskoczył o tyczce 6 metrów wyruszyliśmy w nieznane.

Wjeżdżając w Gdańsku na prom „Rogalin” płynący do niemieckiego portu Travemünde, wcale nie myśleliśmy, że to na zawsze, że to jakaś ucieczka. Chciałem trochę postartować, zarobić, ile się da, i najpóźniej po zakończeniu sezonu letniego wrócić do Gdyni. Miałem świadomość, że jak na sportowca jestem już stary facet, tylu młodszych, lepszych wokół. Gdzie mi do takiego Bubki? Za chwilę skończę ze sportem, więc to ostatnia okazja, żeby jeszcze trochę zarobić. Żaden polski działaczyna nie może mi tego zabronić.

Nie była to żadna ucieczka, bo przecież zostawialiśmy 150metrowe mieszkanie w centrum Gdyni, na Świętojańskiej, któreśmy kupili po sprzedaży domu. Choć wybudowałem go z takim trudem i był tak piękny nieduży, ale ładnie położony na skarpie, jak go oświetliliśmy wieczorem małymi latarniami ogrodowymi, to było go widać, gdy się jechało z Sopotu do Gdyni i funkcjonalny, Ania bała się w nim mieszkać sama z dziećmi, gdy byłem w podróży. Akurat w Redłowie głośno zrobiło się o serii brawurowych włamań w biały dzień i przez główne drzwi, które złodzieje otwierali siekierą. Okradziono w ten sposób kilka domów. Tymczasem nasz nie dość, że nie miał krat w oknach, to jeszcze wszyscy doskonale wiedzieli, że należy do mnie. Ania bała się, że kiedy powiedzą w telewizji, że skaczą gdzieś za granicą, złodzieje mogą uznać, że to właściwy moment na włamanie. Przekonała mnie, że lepsze będzie mieszkanie w centrum Gdyni.

Bardzo szybko znaleźliśmy kupca na dom. Tymczasem znajomi opowiedzieli mi o rodzinie, która chce sprzedać część czteropiętrowej kamienicy na Świętojańskiej i przenieść się do mniejszego mieszkania. Zajmowali wielkie mieszkanie na pierwszym piętrze, ale jako że nie mieli pracy, nie stać ich było nawet na czynsz. W dodatku ojciec rodziny był zbieraczem śmieci, którymi zawałił cały jeden pokój od podłogi do sufitu, że ledwo dało się wejść. Kupiłem im pięciopokojowe mieszkanie w nowym budownictwie z widokiem na morze, wyposażyłem je w nową lodówkę, pralkę, meble, telewizor, dopłaciłem i mieszkanie na Świętojańskiej było moje.

Do wywiezienia śmieci zostawionych przez głowę rodziny trzeba było aż dwóch

ciężarówek, a on i tak część worków zatargał do swego nowego mieszkania. Długo się urządzaliśmy, umeblowaliśmy od nowa, położyliśmy parkiety, cyklinowaliśmy, wyremontowaliśmy kuchnię i zamieszkaliśmy tam po moim powrocie z Zawodów Przyjaźni w Moskwie w 1984 roku. Więc gdzieżbym miał już rok później porzucać takie wychuchane gniazdo? Uciekając na zawsze, przecież bym je sprzedał. A tak zostały w nim wszystkie nasze ciuchy, dziecięce ubranka, wszystkie moje puchary, medale i trofea...

Wybrałem prom, bo bałem się jechać przez NRD, gdzie pogranicznicy zawsze wiercili dziurę w brzuchu, po co, jak i dlaczego... Nigdy nie było wiadomo, co im do głowy wpadnie. W Travemünde czekał na nas Helmut Ptak. Zatrzymaliśmy się w jego domu w Bad Zwischenahn, nieopodal Bremy. Był to przyjemny kurort, w którym miał willę z dwoma oddzielnymi wejściami. Ja od razu zabrałem się do trenowania na miejscowym stadionie, co dla mieszkańców okazało się taką atrakcją, że na trybuny waliły tłumy ciekawskich z burmistrzem na czele.

Nie były to czasy internetu, więc bomba wybuchła dopiero po trzech tygodniach, gdy wystartowałem w pierwszych zawodach, na mityngu w Bernie. Polskie gazety napisały, że Kozakiewicz uciekł do RFN i wystąpił tu o azyl. Tymczasem ja o żaden azyl nie występowałem, po prostu startowałem bez zgody władz związku i na własny rachunek. Zadzwoniłem do Edka, a on opowiada, że w kraju zrobiła się wielka afera. Uznano mnie za uciekiniera, zdrajcę, wszyscy publicznie mnie piętnują. Tym, co tam o mnie piszą, zupełnie się nie przejmowałem. Wiadomość, że PZLA nałożył na mnie dyskwalifikację, też niewiele mnie obeszła.

Pies was drapał, przecież ja sam wysłałem wam pismo o rezygnacji ze współpracy myślałem sobie.

Małgosia (siedzi) i Kasia krótko przed wyjazdem do RFN, 1985

Niestety, groźby PZLA podziały na organizatorów tych największych, najbardziej prestiżowych i najlepiej płatnych europejskich mityngów. W Brukseli Wilfried Meert pokazał mi teleks z Polski, że jeśli Kozakiewicz zostanie oficjalnie zgłoszony do zawodów, to PZLA

wycofa z Memoriału Ivo Van Dammea wszystkich Polaków! A to były wielkie zawody i skandal zrobiłby się ogólnoswiatowy. Startowałem więc w małych, lokalnych zawodach we Włoszech, Szwajcarii, Francji, Niemczech, organizowanych zwykle na miejskich placach, starówkach czy w amfiteatrach. Tam nikogo nie interesowało, pod czyimi auspicjami występuję. Liczyło się tylko, że skacze Kozakiewicz, mistrz olimpijski z Moskwy i rekordzista świata.

Dyskwalifikacja, choć dokuczliwa, była jednak niczym przy prawdziwych kłopotach, o których poinformował mnie Edek. W Polsce podano wersję, że uciekłem z kraju przed... płaceniem podatków.

Co za bzdura, to już nic lepszego nie umieli wymyślić? pytałem ze śmiechem Anię.

Przecież żeby dostać prywatny paszport, musiałem przynieść zaświadczenie z urzędu skarbowego, że z niczym nie zalegam. Zresztą za co miałbym zalegać, przecież nie prowadziłem żadnych interesów, nie byłem prywaciarzem czy przedsiębiorcą. A tu ogłaszają, że moje zaległości sięgają 5 milionów złotych. Po pierwsze, to była równowartość mniej więcej 3 tysięcy dolarów, czyli tyle, ile zarabiałem na jednym mityngu czy dwóch. Czy dla takiej sumy uciekałbym z Polski?

Tymczasem nie tylko nie dostarczono mi żadnych decyzji ze skarbówki, od których mógłbym się odwołać, ale już dwa tygodnie po wybuchu afery... wymeldowano mnie z własnościowego mieszkania na Świętojańskiej, które zostało zaplombowane na poczet niezapłaconych podatków. Te zaś rosły. Edek alarmował, że po jakimś czasie przyszło pismo, że jestem już winien 8, a parę dni później, że 12 milionów!

Podczas akcji zajęcia mieszkania milicja skuła i wyrzuciła z niego mojego ojca, który pilnował dobytku przed złodziejami (mieliśmy już wcześniej dwie próby włamania przez okno). Kiedy milicja przyszła z urzędasami ze skarbówki i zaczęli plombować telewizor i inne sprzęty, wpadł w szal i próbował przegonić ich, wymachując siekierą, ale został spacyfikowany. W przejętym mieszkaniu błyskawicznie, dosłownie w ciągu paru dni, urząd miasta zameldował jakąś ośmioosobową rodzinę. Pozajmowano mi też konta w banku.

Chciałem natychmiast wracać i odkręcać, wyjaśniać, mając poczucie, że nic złego nie

zrobiłem. Nie wystąpiłem przecież o żaden azyl, wyjechałem tylko startować! To tak, jakby dziś ktoś powiedział o Jerzyku Janowiczu, że uciekł z Polski grać na Wimbledonie! Ale Edek przestrzegł mnie, że wtedy najprawdopodobniej będę musiał pożegnać się z paszportem na dłużej. Ze sportem też, bo przecież w Polsce jestem zdyskwalifikowany, a na zagraniczne starty nie wyjadę, z czego więc się będę utrzymywał? Lepiej więc, żebym przeczekał.

To była mądra rada, tym bardziej że w polskich mediach pojawiały się kolejne oskarżenia. Na przykład że sprzedałem dom, który wybudował mi Bałtyk Gdynia (wierutna bzdura, bo owszem, władze Stoczni im. Komuny Paryskiej bardzo mi poszły na rękę w organizacji materiałów, ale przecież za wszystko płaciłem i wszystko to nosiłem na własnych barkach). Oskarżono mnie też, że nie zapłaciłem podatku od sprzedaży tego domu, co również nie odpowiadało prawdzie, bo transakcja była załatwiona legalnie, notarialnie. Jedyne moje przestępstwo wobec ówczesnego prawa polegało na tym, że podatek zapłaciłem od oficjalnej kwoty, jaka znalazła się w papierach, i podanej w złotych. Tymczasem, co było powszechne w podobnych transakcjach, kupiec zapłacił mi w dewizach. Odebrałem to wszystko jako zemstę za odmowę podporządkowania się, próbę ostatecznego zgnębienia mnie.

Na szczęście im gorzej wyglądała moja sytuacja w Polsce, tym lepiej układało się w Niemczech. Na treningu zaczęło się pojawiać mnóstwo dziennikarzy, trafiłem na czołówki większości gazet i dzienników telewizyjnych. Miało to tę dobrą stronę, że poważne tygodniki, jak „Der Spiegel”, „Bunte” czy „Stern”, płaciły mi za wywiady. Skakałem też o tyczce na żywo w studiu ZDF, w programie, którego prezenterem był były niemiecki skoczek Bernd Heller.

Mimo że kiedyś odrzuciłem zaloty Adidasa na rzecz Tigera, niemiecki koncern wystąpił z propozycją kontraktu. W siedzibie w Herzogenaurach na podstawie moich wskazówek stworzono nawet specjalny model butów dla skoczków o tyczce, z dwoma kolcami na usztywnionej pięcie, co dawało większą pewność, że człowiek nie poślizgnie się podczas biegu. Ochrzczono je „kozakiewiczami”, a korzystali z nich także skoczkowie wzwyż. Dziś leżą w gablocie w miejscowym muzeum.

Niestety, bardzo szybko okazało się, że Helmut Ptak to nie żaden przyjaciel, ale hochsztapler. Nie miałem jeszcze konta w niemieckim banku, zaproponował więc, żeby

wpływy ze wszystkich kontraktów spływały na jego rachunek. Ufałem mu bezgranicznie, myśląc naiwnie, że bezinteresownie podał mi pomocną dłoń. I w żaden sposób się nie zabezpieczyłem. Nie mieściło mi się w głowie, że mógłby oszukać rodaka w potrzebie, który nie zdążył się jeszcze odnaleźć w nowych okolicznościach. Gdy po miesiącu wyprowadzaliśmy się od niego do hotelu, obliczyłem, że odłożyło mi się tego ze 30 tysięcy marek. Okazało się jednak, że nie ma zamiaru wypłacić mi ani grosza. Po pierwsze, część potrącił mi jako swoją prowizję. Resztę, jak wyjaśnił, w coś zainwestował, coś kupił, co ma zamiar sprzedać. Słowem: pieniędzy nie ma, ale „pracują”, za jakiś czas wypłaci z nawiązką. Terefere.

Kozakiewicz i kobiety jego życia. Hanower, 1985

Szybko urwał się z nim kontakt. Przestał odbierać telefony, oddzwaniać, stał się niedostępny. A że nie miałem żadnych kwitów, więc oczywiście już nigdy nie zobaczyłem swoich pieniędzy. Okazało się zresztą, że oszukał nie tylko nas, ale też wielu innych Polaków, w tym własną żonę, której wmówił, że kupił dla nas meble. W sądzie nie miałem szans, machnąłem więc na oszusta ręką, choć czułem się paskudnie wykorzystany. W dodatku znów zostaliśmy z Anią i dziećmiakami z tym, z czym przyjechaliśmy do Niemiec trzema walizkami i torbą z tyczkami.

Na szczęście w tym momencie zgłosił się do mnie znany trener Edward Kowalczyk, który wówczas zajmował się lekkoatletami, a dziś odpowiada za przygotowanie fizyczne piłkarzy klubu Bundesligi Hannover 96. Pracował w TurnKlub zu Hannover i namówił jego władze, by podpisały ze mną kontrakt. Przekonał działaczy, że będę nie tylko pierwszą światową gwiazdą klubu, ale i doskonałym nauczycielem młodych zawodników.

Edek, z nieba mi spadłeś! Wreszcie będę mógł oficjalnie startować w każdym mityngu, w jakim zechcę! uściskałem go.

O startach w zawodach decydowała bowiem przynależność klubowa, a nie reprezentacyjna. Klub wynajął mi 90metrowe mieszkanie w Hanowerze i dał pensję w wysokości 3 tysięcy marek, co było stawką isticie gwiazdorską; nawet niemieccy olimpijczycy

nie zarabiali tyle w swych klubach. Przede wszystkim jednak zostałem znów wolnym sportowcem. Znów mogłem wystąpić na każdym mityngu, na jaki dostałem zaproszenie. Moim menedżerem został niemiecki trener Hans Timmermann, do którego jeździłem wcześniej na konsultacje do Recklinghausen. Szczęśliwie od razu przysłała dobra forma. Noga po operacji mnie nie bolała i na mityngu w Mönchengladbach udało mi się skoczyć 5,70, czyli właśnie tyle, ile domagali się w PZLA za zgodę na zagraniczne starty. Czułem, że staję na nogi, że decyzja o wyjeździe i walka o swoje jednak miały sens.

Do Polski odważyłem się wrócić dopiero po pięciu latach, w 1990 roku. Jak przyjechałem, z miejsca poszedłem do urzędu skarbowego w Gdyni zapytać, jakie właściwie mam zaległości i za co. A tam mi mówią:

Panie Władysławie, a daj pan spokój. Nie wie pan, że urząd musiał tak tańczyć, jak mu zagrali? Z niczym pan nie zalega, z żadnymi podatkami.

Na wszelki wypadek poprosiłem o oficjalne pismo. Przechowuję je do dziś.

## **Z czarnym orłem na piersi**

Nadeszły święta Bożego Narodzenia 1985 roku. Smutne, bo po raz pierwszy bez najbliższej rodziny.

Na początku roku zostałem zaproszony do Mainz na Bal Mistrzów Sportu z udziałem kanclerza RFN Helmuta Kohla, wicekanclerza i ministra spraw zagranicznych HansaDietricha Genschera, prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera i całej politycznoartystycznej śmietanki Niemiec Zachodnich. Bankiet odbył się w ogromnej hali na chyba 400 stolików. Na specjalnym podeście prezentowali się najlepsi sportowcy w kraju. Franz Beckenbauer i KarlHeinz Rummenigge robili sztuczki z piłką i zagrywali do siebie, Boris Becker zagrał pokazowy mecz tenisa, jacyś kolarze jeździli w kółko. W kulminacyjnym



momencie ustawiono stojak, zgaszono światło, zapalono jupitery i w ramach niespodzianki wieczoru wykonałem skok o tyczce. Choć to była gala najlepszych sportowców niemieckich, wystąpiłem jako zawodnik z Polski startujący dla klubu z Hanoweru. Życzliwy dziennikarz w Polsce tak opisał ten występ: „Kozakiewicz rozmienia się na drobne i skacze między stolikami, przy których przysypiają pijani Niemcy”.

Artykuł z niemieckiej prasy opisujący udział Władysława Kozakiewicza w Balu Mistrzów Sportu

Tyle że ja byłem dumny z tego zaproszenia. Tylko troszkę się bałem, bo gdybym nieumiejętnie strącił poprzeczkę, mogłaby wylądować ludzom na stolikach. Ale poszło świetnie: skoczyłem 5,72, bijąc tym rekord RFN. Oczywiście nie został on uznany, bo nie były to oficjalne zawody, a ja nie miałem jeszcze niemieckiego obywatelstwa.

Jednak właśnie uzgodniliśmy z Anią, że o nie wystąpimy. Ania mogła uzyskać je o tyle łatwo, że jej babcia urodziła się w Duisburgu, a dziadek w Berlinie, na co mieliśmy dokumenty. A ponieważ byliśmy małżeństwem już ponad pięć lat, to i ja wraz z nią automatycznie zyskiwałem prawo do niemieckiego obywatelstwa. Wystarczyło tylko złożyć papiery, co uczyniliśmy.

Zanim jednak to nastąpiło, zacząłem załatwiać sobie wyjazd na tradycyjny cykl zimowych startów w Ameryce, dokąd jeździłem niemal co rok już od ponad dziesięciu lat (wliczając tę pierwszą eskapadę z Ireną Szewińską w 1973 roku). Z zaproszeniem w rękę na mityngi od Nowego Jorku, przez Los Angeles, po San Francisco, rozłożone w czasie od stycznia do końca lutego, udałem się do konsulatu USA w Hamburgu, by dostać wizę. Urzędnik imigracyjny oznajmił mi jednak, że jako Polak muszę się starać o wizę w ambasadzie amerykańskiej na terytorium Polski. Odparłem, że chwilowo nie mogę tam wrócić, bo mieszkam w Hanowerze. Na to on, że skoro nie chcę mieszkać w Polsce, to jest groźba, że wystąpię w USA o pobyt stały, więc tym bardziej nie może dać mi wizy.

Ale ja właśnie zostałem wyklęty w ojczyźnie za to, że zostałem na stałe w Niemczech! Na cholerę miałbym nagle zostawać w USA? Chcę u was tylko startować przez dwa miesiące

i wracam. Wasi tyczkarze przecież też wtedy startują w Europie tłumaczyłem.

Człowieku, ale ty masz tylko polskie dokumenty. Przecież mogłeś wszystko to zmyślić. Udowodnij mi, że tu mieszkasz!

Ale jak? Mogę najwyżej pana zaprosić do siebie do Hanoweru.

Oświadczył, że mu przykro, ale rozmowa skończona. W akcie desperacji wyciągnąłem egzemplarz dziennika „Bild”, który przezornie zabrałem ze sobą, ponieważ podobne artykuły już nieraz pomogły mi w wizowych tarapatach na różnych lotniskach. Na dwóch stronach i z kilkoma zdjęciami opisywali tam moją sytuację w Niemczech po wyjeździe z Polski. Urzędnik przejrzał artykuł, rozjaśnił się i z okrzykiem: „Aaa, to pan! I od tego trzeba było zacząć!” przybił mi pieczętkę. Słowem, artykuł w „Bildzie” okazał się ważniejszy niż oficjalne zaproszenie od Track and Field Association!

Uradowany poszedłem do ambasady kanadyjskiej, ponieważ czekały mnie też starty w Toronto i Vancouver. Kanadyjczycy nie robili żadnych problemów, zwłaszcza kiedy zobaczyli, że mam już wizę USA. Ale gdy urzędnik już miał wbijać pieczętkę, zorientował się, że mój paszport jest wystawiony wyłącznie na Europę. Nie dość, że odmówił wydania wizy, to jeszcze przy mnie zadzwonił do ambasady USA, wypytując, jakim prawem oni mi swoją wydali, skoro legitymuję się nieważnym dokumentem. Struchlałem, że zaraz przez drania stracę wizę USA, ale amerykański urzędnik odparł:

Skoro daliśmy, to widocznie uznaliśmy, że się należy!

I się rozłączył. Ufff, odetchnąłem. Niestety, Kanadyjczycy pozostali niewzruszeni. Poleciałem więc do Ameryki bez ich wizy, ale po przylocie natychmiast ponowiłem starania w konsulacie kanadyjskim w Nowym Jorku. Jednak tam znów usłyszałem, że nic się nie da zrobić.

Pański paszport jest nieważny na Amerykę rozłożył ręce urzędnik.

No, ale gdzie się znajdujemy? W Ameryce, prawda? Skoro tu jestem, to znaczy, że paszport działa z rozpachy wyciągnąłem najgłupszy możliwy argument.

A wie pan... że to w sumie racja? odparł i przybił wymarzoną pieczętę.

W Los Angeles wyrównałem swój rekord życiowy w hali, skacząc 5,60, a kilka tygodni później w Toronto poprawiłem go na 5,71. Teoretycznie był to także nowy halowy rekord Polski, tyle że nigdy nie został za taki uznany, choć przecież wciąż startowałem z polskim paszportem. Byłby to nowy rekord RFN, gdyby wcześniej przyznano mi niemieckie obywatelstwo. Ale że jeszcze nie przyznano, rekord pozostał bezpaństwowy. W zamian za to był jednak bardzo dochodowy. Z promotorem amerykańskich mityngów podpisałem bowiem kontrakt, że jeśli skoczę 5,70, honoraria za wszystkie kolejne występy ulegną podwojeniu. Tę wysokość udało mi się uzyskać już w drugim starcie.

W Toronto chciałem tradycyjnie zatrzymać się u Rębalskiego, u którego pomieszkiwałem regularnie podczas wizyt w Kanadzie od 1973 roku. W nocy, w śnieżnej zadymce, prosto z lotniska zajechałem pod jego dom taksówką. Wytaszczyłem z wozu toboły, tyczki i dzwonię do drzwi. Rębalski lekko je tylko uchyla i nie zdejmując łańcucha, patrzy na mnie nienawistnie:

A ty czego tu chcesz?

No, jak to? Jak co zimę przyjechałem. Na starty. Przecież tak się umówiliśmy rok temu.

Ale ty zdradziłeś Polskę, uciekłeś do Niemiec! Ja zdrajcy pod swój dach nie wpuszczę!

Nie wytrzymałem:

K... mać, a tyś skąd się wziął tutaj, w tej Kanadzie? Nie uciekłeś z Polski przypadkiem? Nie chciałeś zapewnić lepszego życia sobie i rodzinie? Ale to ja jestem zdrajcą, tak!?

Zadumał się na moment, a potem otworzył przede mną drzwi na oścież. Tyle że ja już nie chciałem mieć z nim nic wspólnego. Zabrałem kłamoty i pojechałem do hotelu.

## Świadectwo otrzymania obywatelstwa Niemiec. Maj 1986

Jego postawa nie była dla mnie niczym nowym. Ludzie oceniali mój wyjazd z Polski, zupełnie zapominając, co działo się w PRL, jak państwo traktowało nas wszystkich. Nie chcieli ani zrozumieć, ani darować mi, że nie miałem już dłuższej ochoty tkwić w tej paranoi. Sporo złego wyrządziła też pewnie zmasowana kampania propagandowa, którą władze PRL skierowały przeciw mnie. Od samego początku dostawałem mnóstwo listów, najpierw na stary adres, a później na hanowerski, pełnych obelg i wyzwisk w rodzaju: „ty gnido niemiecka”, „ty szwabie”, „ty faszysto”, „Kozakiewicz = Hitlerjugend”. Były też rozpaczliwe pytania: „Panie Władku, wszędzie mogłeś pan wyjechać, ale dlaczego, u diabła, do Reichu?!”. To było bardzo przykre i może lepiej, że Ania chowała te listy przede mną, żebym się nimi nie martwił. Albo nie wkurzał i nie palnął później w jakimś wywiadzie czegoś, czego bym żałował.

Dopiero po powrocie z Ameryki, w kwietniu, odebrałem niemieckie obywatelstwo i wszystkie papiery, od dowodu osobistego po prawo jazdy. Nostryfikowałem także mój dyplom z AWF. Mogłem też wreszcie posłać córki do przedszkola. Jako świeżo upieczony Niemiec dostałem też możliwość uczęszczania na intensywny kurs językowy: po osiem godzin dziennie, pięć razy w tygodniu. Kupiłem też działkę w uroczym miasteczku Bissendorf pod Hanowerem i po raz kolejny zacząłem budować dom, tyle że już bez takiego kombinowania jak w przypadku poprzedniego. Budowa zajęła równo rok, ponieważ dom miał aż 420 metrów. Wprowadziliśmy się tuż przed Bożym Narodzeniem w 1986 roku i mieszkam w nim do dzisiaj.

Mogłem też zacząć startować w mistrzostwach Niemiec. Poziom był tak niski, że 1 czerwca 1986 roku w Hanowerze z marszu pobiłem rekord RFN, skacząc 5,67. Dwa tygodnie później w Monachium poprawiłem go o centymetr. Trochę z wyrachowania, ponieważ za każdy rekord była specjalna premia od sponsorów choć oczywiście nie taka, jaką dostawał multirekordzista świata Siergiej Bubka, który za każdym z 35 razy poprawiał własny rekord o centymetr. Ja nie chciałem aż tak cyzelować, ale jak najszybciej stać się pierwszym Niemcem, który przekroczył barierę 5,70. Udało mi się miesiąc później w Paryżu, a mój

wynik przetrwał aż do 1994 roku. Dwa tygodnie po Paryżu, na mityngu w Mönchengladbach, udało mi się skoczyć 5,72, ale już po zawodach okazało się, że nie było oficjalnego zgłoszenia do Niemieckiego Związku Lekkiej Atletyki, więc rekord nie mógł zostać zatwierdzony. Nie mogłem uwierzyć, że w RFN panuje taki sam bałagan jak w PRL. W 1986 roku zostałem też oczywiście mistrzem RFN i powtarzałem to osiągnięcie przez dwa lata z rzędu.

Polscy sportowcy, moi dawni koledzy i przyjaciele, których zacząłem spotykać na międzynarodowych mityngach, odnosili się do mojej decyzji ze zrozumieniem. W końcu najlepiej wiedzieli, przez co wszyscy musieliśmy przechodzić w kraju z działaczami miernotami, których interesowało tylko zbijanie na nas kasy i jakieś tam małe geszefty. Na zawodach startowałem w swoich barwach klubowych, więc tu jakby nic się nie zmieniło. Pierwszy raz koszulkę reprezentacji RFN z czarnym orłem na piersi założyłem na lekkoatletyczny mecz z NRD, zresztą ostatni, jaki odbył się przed zjednoczeniem Niemiec. I oczywiście byłem najlepszy. Ale potem pojechaliśmy do Wersalu pod Paryżem na trójmecz Francji, Niemiec i... Polski. Dziwnie się czułem, skacząc przeciwko dawnym kolegom z kadry, Marianowi Kolasie i Mirkowi Chmarze, zwłaszcza że oni w białoczerwonych strojach, a ja w czarnobiałym. Nie przeszkodziło mi to jednak pokonać ich obu. Pogodził nas wszystkich Thierry Vigneron, który obok Bubki był wówczas najlepszy na świecie. Ja zadowolilem się drugim miejscem i świadomością, że mimo wieku wciąż jestem lepszy od moich młodszych kolegów.

Podczas pozostałych zawodów siedziałem na trybunach w gronie polskich zawodników i trenerów, którzy traktowali mnie najnormalniej w świecie. Niemców nie znałem, więc siedzenie z nimi byłoby dla mnie czymś sztucznym. Czułem się Polakiem, a ci ludzie, z którymi przez tyle lat kradliśmy konie na tyłu zawodach, byli moją rodziną. Nie czułem żadnego ostracyzmu. Wręcz przeciwnie było pełne zrozumienie, choć oczywiście rzucali żarty, pokpiwali:

Nie siadaj obok mnie, Władek, bo jeszcze ktoś zrobi zdjęcie i mnie zdyskwalifikują. Ja w ogóle nie wiem, czy mogę startować z tobą na jednej imprezie udawał przerażenie Marian Woronin.

Kłopot miałem tylko z Jackiem Wszolą, z którym podczas pierwszego spotkania po

moim wyjeździe odbyłem emocjonalną dyskusję. Miał do mnie pretensje, jakby uwierzył w całą tę wrogą propagandę, a przecież znał najlepiej ze wszystkich moją udrękę z działaczami, frustrację z powodu dyskwalifikacji i zakazu zarabiania na zagranicznych mityngach. Ale po nocnej Polaków rozmowie podchodził już do sprawy z o wiele większym zrozumieniem. I tylko powtarzał, że strasznie mu przykro z powodu tej sytuacji. I że on nigdy by nie zrobił tak jak ja, mimo że miał z działaczami swoje przejścia.

Zostawiłeś mnie samego, teraz nie mam się nawet komu wyzalić mówić.

Natomiast znany trener pchnięcia kulą rzucił mi się na szyję, wyściskał i stwierdził:

Dobrześ zrobił! Dałeś nauczkę sukinsynom i teraz bardziej liczą się z nami wszystkimi.

PZLA był jednak pamiętliwy i nie popuszczał. W 1988 roku storpedował mój wyjazd na igrzyska olimpijskie w Seulu, choć skacząc 5,62 miałem już wówczas 35 lat wypełniłem minimum olimpijskie. Żaden Niemiec nie skakał wyżej, więc niemiecka federacja wystąpiła do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego z pytaniem, czy mogą włączyć mnie do kadry. Tam usłyszeli, że nie ma przeciwwskazań. Minęły trzy lata od mojej naturalizacji, więc mogę reprezentować nowy kraj. Dla formalności potrzebna była tylko zgoda PZLA.

A odpowiedź PZLA brzmiała: wprawdzie polski związek nie zgłasza obiekcji, ale na występ Kozakiewicza na igrzyskach nie zgadza się jego macierzysty klub Bałtyk Gdynia. Uważa bowiem, że ich byłego zawodnika obowiązuje dyskwalifikacja, ponieważ zmienił klub na TH Hannover w świetle przepisów nielegalnie.

To była ewidentna złośliwość, bo choć rzeczywiście klub zmieniłem, nie dopełniając formalności, to uznałem moją całkowitą winę, a roczna karencja upłynęła w 1986 roku. Działacze upierali się jednak, że ona liczy się dopiero od teraz. Zrobił mi to mój klub, któremu przez tyle lat pozostałem wierny i do którego, mieszkając już w RFN, kupowałem tyczki za własne pieniądze. Trenerowi Bałtyku, który mnie odwiedził, kupiłem i zamontowałem nawet bagażnik na dachu, żeby miał je jak przewieźć.

Z jednej strony występ znanego polskiego sportowca, mistrza olimpijskiego z

Moskwy, w niemieckich barwach w Seulu mógłby się wydać szokujący. Ale z drugiej nikt przecież nie nazywał zdrajcą, nie mieszał z błotem i nie potępiał publicznie najlepszego polskiego szczypiornisty Bogdana Wenty, który także przyjął obywatelstwo niemieckie i wystąpił na igrzyskach z czarnym orłem na piersi. Może dlatego, że zrobił to kilka lat po mnie, a przede wszystkim już po upadku komunizmu, gdy granice były już szeroko otwarte, a Polska starała się o przyjęcie do Unii?

Wentę spotkało podobne rozczarowanie jak mnie, związane z bojkotem igrzysk w Los Angeles, bo był wówczas w życiowej formie i wraz z kolegami nastawiał się na zdobycie medalu. Opowiadał, że oni, wielkie i silne chłopcy, płakali jak dzieci, kiedy usłyszeli, że w ramach solidarności z narodem radzieckim „postanowili” zbojkotować amerykańskie igrzyska. Wraz z trenerem poszli się upić.

Później Wenta stał się gwiazdą ligi hiszpańskiej, a następnie niemieckiej. W 1993 roku, po przegranym meczu z Francją, zrobili z niego kozła ofiarnego i przestali powoływać do kadry. Przez cztery lata nikt ze związku do niego nawet nie zadzwonił. W 1997 roku przyjął więc niemieckie obywatelstwo właśnie urodziło mu się dziecko, chciał się związać z tym krajem na stałe. Mimo 37 lat dostał powołanie do reprezentacji Niemiec, z którą wywalczył brązowy medal mistrzostw Europy, i w 2000 roku pojechał na igrzyska do Sydney. Mówił, że gdy przed meczem grano niemiecki hymn, on nucił sobie pod nosem Mazurka Dąbrowskiego.

W Seulu pewnie medalu bym nie zdobył, bo wygrał Bubka, skacząc 5,90, a do brązu potrzebne było 10 centymetrów mniej. Ale na pewno byłbym przed oboma reprezentantami Polski, Chmarą i Kolasą, którzy nie zaliczyli ani jednego dobrego skoku. Trener Szymczak, o którym mówiło się od dawna, że ma wiele wspólnego z dopingiem, prosił trenera Tomaszewskiego, żeby mu zdradził, co ja biorę, że jestem taki dobry. Bo nie mieściło mu się w głowie, że można wygrywać inaczej. Przekoksował więc chłopaków przed wyjazdem do Korei. Ale po wpadce Bena Johnsona, kanadyjskiego sprintera, któremu dzięki nowym metodom badania dopingu odebrano złoty medal i rekord świata w biegu na 100 m w Seulu, padł na nich błady strach i uznali, że bezpieczniej będzie start zawalić, niż pójść na kontrolę. Sami mi o tym powiedzieli, tłumacząc, że będą mogli startować dopiero w drugiej części sezonu, po wyczyszczeniu organizmów.

Po wyjeździe do Niemiec to właśnie Szymczak bezczelnie szkalował mnie w mediach, insynuując, że „Kozakiewicz nie bez przyczyny skakał w Moskwie jak w transie”. A ja nie dość, że przeszedłem na miejscu kontrolę dopingową (gdyby tylko coś wykazała, to wściekli za wała organizatorzy nie omieszkaliby tego upublicznić), to jeszcze po igrzyskach byłem kontrolowany na mityngu w Zurychu. Było to tym bardziej przykre, że nigdy, ale to nigdy w życiu nie stosowałem dopingu. Dowód? Gdybym brał, nie byłbym w stanie tak długo utrzymać się w ścisłej czołówce.

Władysław Kozakiewicz (czwarty od prawej) w barwach RFN podczas mityngu zorganizowanego na urodziny króla Tajlandii. Wygrał wtedy z wynikiem 5,60 m. Tajlandia, Bangkok

Przez całą karierę nigdy nawet nie poczułem najmniejszej ochoty, żeby się szprycować. Może dlatego, że zawsze był ze mnie czerstwy cham, i zresztą do tej pory jest. Może to jedyna dobra rzecz z genów mojego ojca, którego lichy się nie imać. I który, gdyby nie wódka, może żyłby do dziś. Tak samo jak on, przez całe życie byłem okazem zdrowia i siły. Nie chorowałem nawet jako dziecko. Brat zapadał na ospę, świnkę i inne tam dziecięce choroby, a mnie, chociaż przecież spałem z nim w jednym łóżku, nic nie było. A od kiedy zacząłem porządnie trenować i zaczęli robić mi coroczne badania w przychodni sportowej w Warszawie, zawsze miałem najlepsze wyniki. Aż zaprzyjaźniony lekarz kręcił głową w zdumieniu i mówił mi w zaufaniu:

Władek, ty masz lepsze wyniki nawet niż ten, ten i tamten. A przecież oni się szprycują! Bierzesz coś, czego ja nie mogę wykryć?

Nie pomyślałem o dopingu, bo najbanalniej w świecie nigdy go nie potrzebowałem. Po co miałem brać, skoro i tak czułem się najlepszy? Zresztą o doping nie podejrzewam też żadnego z moich rywali tyczkarzy. Większość z nich była jednocześnie moimi przyjaciółmi, znaliśmy się ze startów i bankietów jak łyse konie i doskonale znaliśmy nasze możliwości. Widać było, kto, kiedy i jak się poprawia, jak jego forma rośnie. Przecież i ja, zanim wygrałem konkurs na igrzyskach, to wcześniej w sezonie pobiłem rekord świata.



Inna rzecz, że tyczka to akurat bardzo skomplikowana dyscyplina i doping niekiedy mógłby bardziej zaszkodzić, niż pomóc. To kombinacja siły, szybkości, gimnastycznie wytrenowanej gibkości i perfekcyjnego wyczucia. Zbyt wiele siły sprawia, że traci się czucie, a jak czucie, to i koordynację. Ale dziś za nikogo nie dam sobie uciąć ręki, zwłaszcza po tym, jak się okazało, że Lance Armstrong wszystkie zwycięstwa w Tour de France zawdzięcza dopingowi. I jakby tego było mało, on ikona sportu cały ten doping zorganizował i prośbą, i groźbą zmuszał do szprycowania się wszystkich kolegów z teamu!

W naszych czasach dopingowiczów najłatwiej było poznać po tym, że pojawiali się znikąd, coś wygrywali i nagle znikali. Przez całą moją karierę wielu się takich zawodników meteorów przewinęło, zresztą we wszystkich lekkoatletycznych dyscyplinach. Przychodziły mistrzostwa Europy czy świata, a tu lubudu!, człowiek, którego w życiu nie widzieliśmy na oczy, gość o nieznanym nazwisku, brał i wygrywał konkurs rzutu młotem czy skoku w dal. A potem jak kamień w wodę. Był taki przypadek z pewnym polskim kulomiotem.

Niektóre sytuacje były jednak oczywiste. Na przykład jak mój kolega, z któregośmy się śmiali, że z niego łamaga, bo skacze w dal 7,20, góra 7,30 czyli tyle, co ja, kiedy bawiłem się w dziesięciobój raptem zaczął skakać 8 metrów. Wiedzieliśmy wszyscy, że to się nie wzięło tylko z treningu.

O tym się głośno nie mówiło, ale to się widziało i myśmy to między sobą jednoznacznie komentowali. Ale że nikt nikogo za rękę nie złapał, to się z tą wiedzą nic nie robiło. Podobnie ze sprawą enerdowskich sportsmenek, które, co tu owijać w bawełnę, mocno różniły się od swoich rywalek z innych państw. Oczywiście nie mieliśmy pojęcia, że system faszeruje je męskimi hormonami, ale że coś nie gra, to było widać gołym okiem. Przecież one nawet głosy miały inne od normalnych dziewczyn. Nie mówiąc już o tym, że niejednej sypał się wąs.

Tak jak trzymałem się z dala od dopingu, tak nigdy też nie czułem potrzeby współpracy z psychologami sportowymi, choć z czasem stali się oni dostępni dla zawodników i kto chciał, mógł korzystać z ich pomocy. Sam dla siebie byłem najlepszym psychologiem. Po prostu wiedziałem, że jeśli będę solidnie przygotowany, to wygram, a jeśli nie, to znajdą się lepsi. A jak zepsułem jakiś skok czy konkurs, to przecież nie było tragedii, bo zaraz czekały mnie kolejne zawody. Ja nie dość, że tego nie potrzebowałem, to jeszcze wiele

konkursów wygrałem właśnie dlatego, że byłem mocniejszy psychicznie od innych. Potrafiłem się skoncentrować w kluczowych momentach, odkładając presję na bok.

Oczywiście, ludzie są różni. Byli sportowcy, którzy potrzebowali przed startem rytuałów czy jakichś specjalnych trików. Już startując dla Niemiec, poznałem wybitną zawodniczkę w rzucie dyskiem Ilke Wyluddę. Na treningach i pomniejszych zawodach miotła wprost nieziemsko. Ale jak dochodziło do ważnych występów, presji, a tłum dopingował ją z trybun, zawalała, spalała próby lub rzucała blisko. Fizycznie była z niej potężna dziewczyna, mojego wzrostu i ważąca ze 100 kilogramów, ale w głowie pozostała małą, niepewną siebie dziewczynką. Niemiecka federacja przydzieliła jej psychologa, a ten doradził jej, by znalazła sobie pluszaka powiernika, który będzie jej towarzyszył w zawodach. I ta wielka Ilke na każdy start zaczęła zabierać ze sobą małego misia, którego stawiała obok torby sportowej i oczekując na swoją kolejkę, tuliła go i rozmawiała z nim sobie. Została mistrzynią Europy i olimpijską w Atlancie.

## **Koniec kariery, czyli Bubka i inni**

W 1988 roku, po igrzyskach w Seulu, na które nie pojechałem, niby nadal startowałem. Ale czułem, że to już nie są poważne starty.

Czułem, że stopy już mnie tak nie niosą, jak niosły. Ledwo mogłem na nich porządnie stanąć, piekły mnie od dołu. Musiałem je zoperować. Dokuczały stawy skokowe, kolana, ścięgna coraz gorzej utrzymywały ciężar. Zaczynało mi brakować dynamiki. Czułem się bardziej miękki, biegałem też dużo wolniej, coraz trudniej było mi osiągnąć prędkość odpowiednią do właściwego wybicia. Organizm co rusz pokazywał mi, że te 25 tysięcy skoków oddanych w karierze to już dla niego za wiele. I coraz częściej mówił mi, że dosyć już tych katorżniczych treningów. Nakazywał mi częstsze przerwy i żądał coraz dłuższego odpoczynku. Nie byłem już w stanie robić dwóch treningów dziennie. Gdy ćwiczyłem z rana, to po południu nie byłem już w stanie. Musiałem odpoczywać, żeby się zregenerować.

Zacząłem odpuszczać starty. Bo gdy skakałem zbyt często, zdarzało mi się, jak na mityngu w Brukseli, że nie byłem w stanie przeskoczyć pięciu metrów. Ale kiedy startowałem wypoczęty, wciąż potrafiłem przeskoczyć 5,40 czy 5,50, więc zaproszenia nadal przychodziły. Źle mi jednak było z tym, że zapraszają Kozakiewicza, a on daje plamę i nie przeskakuje juniorskiej wysokości. Wtedy w Brukseli po zawodach poszedłem do organizatora, przeprosiłem za występ i odmówiłem przyjęcia startowego. Nie musiałem, przecież to sport, miałem prawo do gorszego występu. Ale wewnętrznie czułem, że nie zasłużyłem na te pieniądze, nie chciałem ich za nic, za samo nazwisko. Coraz bardziej przypominało to odcinanie kuponów od świetlanej kariery i coraz bardziej mi ciążyło. Zawsze wymagałem od siebie więcej, uważałem, że takiemu mistrzowi nie przystoi przegrywanie z tak słabymi wynikami.

8 grudnia 1988 roku, podczas halowego mityngu skoku o tyczce w Barcelonie, nagle usłyszałem, jak tuż przed moim skokiem spiker ogłasza, że dziś są moje urodziny. 15tysięczna publiczność wstała z miejsc i urządziła owację na stojąco, kończąc ją odśpiewaniem „Happy Birthday”. Po zawodach organizatorzy wydali na moją cześć bankiet z wielkim tortem. Byłem bardzo wzruszony i poczułem się bardzo doceniony, zwłaszcza że nie miałem pojęcia o niespodziance. Właściwie, pomyślałem sobie, to dobry moment na zakończenie kariery.

W następnym roku praktycznie przestałem trenować, choć zaproszenia nadal przychodziły. Ale odrzucałem jedno za drugim. Zimą nie startowałem w ogóle. Dałem się skusić tylko na dwa występy. W maju finansową propozycję nie do odrzucenia złożyli mi organizatorzy mityngu we francuskim Dijon. Wymarzył im się bowiem pokazowy konkurs z udziałem trzech mistrzów olimpijskich, aktualnego z Seulu Siergieja Bubki, ich Pierrea Quinona, mistrza z Los Angeles, i mnie. Wygrał oczywiście Bubka, ale ja byłem drugi z wcale nie tak złym wynikiem 5,40. Z Ukraińcem przegrałem zaledwie o 10 centymetrów.

Nie odmówiłem też organizatorom konkursu skoków w Chiari, miasteczku na północ od Mediolanu, do którego miałem wielki sentyment z poprzednich występów. Skakało się tam na uroczym placu miejskim. Mówiłem im, że jestem już trenerem, mogę przywieźć swoich zawodników, ale sam skakać nie będę. Ale prosili, przekonywali, że bardzo im zależy. No dobrze, pojechałem po starej znajomości. Przed moim skokiem na placu wygaszono

wszystkie światła, bo zawody odbywały się wieczorem i jupiter oświetlił jedynie mnie na rozbiegu, jak szykuję się do biegu z tyczką w rękę. Spiker ogłosił, że zaraz oddam ostatni skok w karierze, więc wszyscy wiwatowali na moją cześć. W tym momencie cała publiczność zapaliła specjalne światełka, które rozdali organizatorzy. Mimo trzęsących się ze wzruszenia łydek udało mi się skoczyć 5,50, co jak na ostatni skok w karierze, w dodatku niepoparty treningami, było całkiem dobrym osiągnięciem. A po wszystkim burmistrz wręczył mi starą pamiątkową ozdobną laskę.

No, stary, po takim pożegnaniu nie masz wyjścia, musisz iść na emeryturę pomyślałem sobie.

Nie bałem się tej chwili. Nie lękałem się, jak będzie wyglądać moje życie po zakończeniu sportowej kariery, czym będę się zajmował, ponieważ miałem dokładny plan. Po pierwsze, już od 1988 roku pracowałem jako trener w TurnKlub zu Hannover, prowadząc grupkę młodych zawodników. Przestając być zawodnikiem, straciłem i 3 tysiące marek miesięcznej pensji, i status bezrobotnego, bo tylko w ten sposób mogłem być ubezpieczony. Ale zyskałem etat trenera. W klubie doradzono mi, żebym starał się o nową posadę poprzez urząd pracy, Arbeitsamt, bo zyskam wówczas wiele udogodnień czekających na tych, którzy podejmują pierwszą pracę. Zostałem objęty specjalnym programem, na mocy którego Arbeitsamt przez dwa lata płacił 75 procent mojej pensji, a mój pracodawca, czyli klub, zaledwie 25 procent. Czyli nieco powyżej tysiąca marek.

Zgodnie z umową po dwóch latach pracodawca powinien był mnie przyjąć na stałe, w przeciwnym razie musiałby zwrócić urzędowi to, co tamten mi płacił. Klub liczył, że do mojej pensji będzie się dokładał Niemiecki Związek Lekkoatletyczny i Związek Dolnej Saksonii, bo szkoliłem zawodników w całym landzie. Pechowo dla mnie doszło właśnie do połączenia RFN z NRD, związek musiał zadbać o rzeszę nagle bezrobotnych trenerów i na mnie nie starczyło mu już funduszy.

Byłem zbyt wielkim ciężarem dla TK zu Hannover. W 1992 roku zgodziłem się na obniżkę pensji, ale gdy władze klubu przyszły do mnie z podobną propozycją po raz drugi odmówiłem. Dostałem więc wypowiedzenie, w którym powoływano się na przepis, że instytucja będąca w trudnym położeniu finansowym ma prawo zwolnić pracownika, którego przyjęła jako ostatniego. Ale ja z pomocą zaprzyjaźnionego prawnika znalazłem inny przepis: że nie

wolno zwalniać kogoś, kto ma rodzinę na utrzymaniu. A przecież utrzymywałem niepracującą żonę i dwie córki. I klub wycofał wypowiedzenie, choć podejrzewam, że głównie z powodu konieczności zwrócenia do Arbeitsamtu ponad 80 tysięcy marek, które ten dopłacił przez dwa lata do mojej pensji.

Mistrz Siergiej Bubka podczas olimpiady w Seulu, 1988

Moje zarobki znacznie zmalały i liczyłem się z tym, że w każdej chwili mogę stracić pracę. Ania, która po studiach AWF miała uprawnienia trenera pływania, ale nie mogła znaleźć pracy w żadnym klubie, skończyła kurs rehabilitacji i zaczęła pracować w hanowerskim szpitalu jako rehabilitantka. Robota była jednak ciężka, a pensja na tyle niska, że zaczęliśmy rozglądać się za własnym biznesem. W 1993 roku uruchomiliśmy w Bissendorfie mały ośrodek rehabilitacji. W dwupiętrowym budynku urządziliśmy salę do fitness i drugą do zajęć ruchowych, głównie dla ludzi starszych lub po wypadkach. Ja z kolei skończyłem kurs masażysty i rehabilitanta pomagającego wracać do zdrowia po urazach sportowych kolan, stawów skokowych itp.

Ponieważ stosunki z TK zu Hannover uległy poważnemu ochłodzeniu, w 1994 roku przenieśliśmy swoją grupę do innego hanowerskiego klubu, Leichtathletik Team 85. Moi skoczkowie zaczęli odnosić sukcesy, moja zawodniczka dwukrotnie została mistrzynią Niemiec, a mój 18letni podopieczny ustanowił rekord Niemiec juniorów, którego do dziś nikt nie jest w stanie pobić. Zawodników skaczących ponad 5 metrów wychowałem w sumie kilkunastu, z większością z nich zaczynając od zera.

Przez przypadek zostałem też menedżerem. Zaczęło się jeszcze w połowie lat 80. od pomocy Siergiejowi Bubce. Gdy w 1983 roku w Helsinkach został mistrzem świata, dostał zgodę od władz radzieckiego związku lekkiej atletyki, żeby startować na międzynarodowych mityngach. Rok później w Bratysławie ustanowił pierwszy ze swych 35 rekordów świata, skacząc 5,85. Miesiąc później spotkałem go na mityngu w Londynie. Pogratulowałem mu, a on zaczął podpytywać o moje zarobki na mityngach. Gadaliśmy jak kumple, więc mu powiedziałem, że dostaję 600 dolarów, ale taki zawodnik jak on, mistrz olimpijski i rekordzista świata, za sam występ powinien dostawać z parę tysięcy. I organizatorzy

mitingów pewnie tyle płacą, tylko nie jemu, ale ludziom ze związku, którzy go na te zawody przywożą. Odparł, że działacze wydają mu jedynie 20 dolarów kieszonkowego.

Świetnie znałem organizatora londyńskich zawodów Andrew Normana, więc postanowiłem pomóc Siergiejowi. Postraszyłem go, że jeśli Bubka nie dostanie pieniędzy za występ osobiście, to nie wystartuje.

Ale ja już zapłaciłem facetom z jego federacji!

To niech oni skaczą. Musisz mu coś dać, bo chłop jest zdesperowany. Zgłosi kontuzję albo spali wszystkie trzy próby.

Dobra, masz, przekaz mu za występ 2 tysiące dolarów. Powiedz, że jak ustanowi rekord świata, to mu dołożę jeszcze 5 tysięcy.

Wróciłem do Bubki. Na widok pliku zielonych wybałuszył oczy, bo tyle nie zarobił w całej dotychczasowej karierze. A jak usłyszał o obietnicy specjalnej premii za rekord, złapał się za głowę, pobiegł na stadion i... wyśrubował rekord świata na 5,90!

Przybiegł Andrew i woła:

Powiedz mu, że jak skoczy jeszcze jeden, to płacę premię 10 tysięcy dolarów!

Zapytałem Siergieja, czy ma tyle siły, żeby skakać następny rekord. Tylko wzruszył ramionami. Był jak maszyna. Ale akurat wtedy w Londynie strącił trzy razy poprzeczkę, choć za każdym razem leciał nad nią ze 20 centymetrów. Po zawodach ścisnął mi rękę.

No, patrz, 20 dolarów za występ, a dzięki tobie mam 7 tysięcy!

Dwa tygodnie później na mityngu w Rzymie sytuacja się powtórzyła: ja załatwiłem u organizatorów pieniądze dla Siergieja, a on pobił rekord świata tym razem o 4 centymetry. Oczywiście, robiłem dla niego nie jako menedżer, ale kolega. Nie brałem żadnej prowizji. Kiedyś ktoś mi powiedział o tym, ile można zarobić na skakaniu, co było dla mnie szokiem i w efekcie odmieniło moje życie. Teraz czułem potrzebę rewanżu. Oczywiście, wszystko

odbyło się w tajemnicy. Siergiej nie chciał, żeby ktokolwiek dowiedział się o naszych konszachtach, bo bał się, jak zareagują działacze. Mówił, że mogą z nim zrobić wszystko. Poinformował ich więc, że inicjatywa, żeby płacić mu bezpośrednio, wyszła od organizatorów. Ale za chwilę urósł tak bardzo, że już nie mogli mu podskoczyć.

Bardzo szybko zorientował się, jak działają mechanizmy tego biznesu, i doskonale się w nim poruszał. Wszyscy wiedzieli, że jeśli organizatorzy nie wypłacą mu honorarium za start przed konkursem, nie wystartuje. Po prostu pakował się i wyjeżdżał. Oszustwa ze strony organizatorów, zwłaszcza mniejszych zawodów, nie były niczym niecodziennym. Zdarzało się, że ktoś miał pisemną umowę na kilka tysięcy za start, ale po występie okazywało się, że zera się zgadzają, ale waluta już nie. I dostawał franki albo liry. Słynna w środowisku była opowieść o amerykańskim sprinterze Stevie Williamsie, który uparł się, że nie wyjdzie z biura organizatora mityngu w Lozannie, dopóki nie dostanie należnych pieniędzy. Po kilku godzinach zamiast promotora w biurze zjawiła się szwajcarska policja, która aresztowała biegacza za... natręctwo.

13 lipca 1985 roku na mityngu w Paryżu Bubka jako pierwszy człowiek przeskoczył magiczną barierę 6 metrów. Nie było mnie wówczas przy nim, by go wesprzeć w negocjacjach, ponieważ tego samego dnia wjeżdżałem wraz z rodziną na prom do Travemünde. Pomogłem mu jeszcze w pięciu czy sześciu startach, ale musiałem się przecieź zajmować własną karierą i nową sytuacją po przenosinach do RFN. Potrzebował profesjonalnego menedżera, którym został inny Polak Andrzej Kulikowski, były siatkarz AZS Poznań od lat mieszkający w Szwecji. Pracował w firmie Nordic, która produkowała między innymi tyczki. I właśnie jako jej przedstawiciel poznał Ukraińca.

Po zakończeniu kariery uznałem, że może jednak menedżerowanie nie byłoby głupim pomysłem. Pomyślałem o niewykorzystanym potencjale polskiej lekkoatletyki; sprawny menedżer mógłby uczynić z naszych zawodników czołowy team świata. Przez jakiś czas starałem się pomagać Marianowi Kolasie i Mirkowi Chmarze, ale po pierwsze, rozliczenia finansowe z nimi nie były łatwe, a wymagania olbrzymie (choć przecieź nie mieli osiągnąć porównywalnych z moimi). Po drugie, na naszą współpracę niechętnie patrzył ich trener Edward Szymczak, który brał procent od tego, co zarabiali, a moje pojawienie się uszczuplało jego udziały. Bruździł, jak tylko mógł. W pewnym momencie zażądał, żebym pieniądze za starty zawodników wypłacał nie im, ale kierownikowi ekipy. W efekcie z 2 tysięcy dolarów

Chmara dostawał zaledwie połowę, a reszta szła rzekomo na pobyt i podróże.

Nie ułożyła się też współpraca ze skoczkinią wzwyż Beatą Hołub, która miała niezwykle wygórowane oczekiwania co do startów, jakby była najbardziej pożądaną przez organizatorów imprez zawodniczką świata. Choć starałem się wypchnąć ją, gdzie tylko się dało, odeszła do innego menedżera. Ostatecznie PZLA zaproponował mi, bym został oficjalnym menedżerem grupy polskich lekkoatletów, w zamian za roczną opłatę w wysokości 10 tysięcy dolarów. Skład grupy nie był jednak ustalony, mógł zmieniać się w trakcie sezonu, co uznałem za zbyt wielkie ryzyko.

O wiele lepiej układała się współpraca z zawodnikami zza wschodniej granicy, z krajów byłego już wówczas ZSRR. Zacząłem od załatwiania startów dwóm skoczkom o tycze, Rosjaninowi Jewgienijowi Bondariencie i Białorusinowi Giennadijowi Suchariewowi, z którymi świetnie znałem się z zawodów. Byli na tyle zadowoleni z mojej pomocy, że polecali mnie swoim rodakom. W 1991 roku, podczas Pucharu Europy we Frankfurcie, podpisałem kontrakt z Białoruską Federacją Lekkiej Atletyki, na mocy którego zostałem menedżerem 30 białoruskich zawodników. Wielu z nich to były gwiazdy światowego formatu. Na przykład oszczepniczka Natalia Szykolenko była srebrną medalistką igrzysk w Barcelonie w 1992 roku i złotą mistrzostw świata w Göteborgu trzy lata później. Anna Biriukowa mistrzynią świata w trójskoku ze Stuttgartu w 1993 roku, gdzie pobiła rekord świata. Ellina Zwieriewa zaś dwukrotną złotą medalistką mistrzostw świata w rzucie dyskiem, a później mistrzynią olimpijską z Sydney. Natomiast Władimir Zasiłowicz rzucał oszczepem ponad 80 metrów i zdobył między innymi brązowy medal mistrzostw świata.

Z taką ekipą można było jeździć po świecie, i to właśnie organizowałem. Moim zadaniem było wyszukiwanie im zaproszeń na mityngi, a później załatwianie wiz, biletów lotniczych, pobytu w hotelu. W długiej karierze poznałem chyba wszystkich organizatorów mityngów na świecie i z większością miałem świetne stosunki, bo wiedzieliśmy, że możemy na sobie polegać. To był cudowny okres. Sam nie musiałem już startować, martwiąc się spadającą formą, ale nadal jeździłem po świecie na te same zawody we wszystkich wspaniałych miejscach. Siedziałem sobie na trybunach, popijałem piwko, patrzyłem, jak występują, i zgarniałem 20 procent ich zarobków.

Nie wszyscy prezentowali klasę światową, wielu średnią. Ale gdy im pokazałem, jakie



pieniądze zarabiają ich najlepsi koledzy i koleżanki, nie musiałem ich już bardziej motywować do ciężkich treningów. Poprawiali się z wyjazdu na wyjazd.

Białoruskie ministerstwo sportu było tak zadowolone z mojej pracy, że dostałem zaproszenie do Mińska. Po bankiecie minister objął mnie i mówi:

Słuchajcie, my tu mamy taką tradycję, że szczególnych przyjaciół zabieramy do lasu na łowy. Pojedziemy z samego rana.

Nie byłem zachwycony, bo nigdy w życiu nie polowałem i nie pociągało mnie strzelanie do zwierząt. W dodatku była połowa listopada, na dworze zimno i śnieg. Ale w imię dobrej współpracy nie wypadało ministrowi odmówić. Zerwali mnie z łóżka rankiem o jakiejś haniebnej porze, wsadzili do samochodu, wywieźli do boru pod Mińskiem, wręczyli dubeltówkę i idziemy polować. Przewodnik zaprowadził mnie i jeszcze czterech gości w jakieś miejsce, i rozstawił tak, żebyśmy się nawzajem nie pozabijali. I słyszymy, że gdzieś z oddali rusza nagonka w naszym kierunku. Stoimy, czekamy, nic się nie dzieje. Mocno już zmarzłem, nagle patrzę, a tu zza drzew wychodzi dostojnie wielki łoś z potężnymi łopatami. Stanął z 15 metrów ode mnie. Popatrzyliśmy na siebie. Pierwszy raz w życiu widziałem na żywo łośia. Przepiękne zwierzę. Ani mi w głowie było do niego strzelać. Ale myślę przecież jak tamci go zobaczą, to zechcą zastrzelić. Wycelowałem więc z dubeltówki w powietrze i nacisnąłem cyngiel. Zwierzę uciekło spłoszone, ale jeszcze któryś Białorusin go przyfilował i wystrzelił w jego stronę. Na szczęście nie trafił.

Patrz, ty spudłowałeś i ja spudłowałem pocieszałem go.

W drodze powrotnej pobłądziliśmy, ale na szczęście trafiliśmy na jakąś chatę. Przewodnik postanowił, że poczekamy w niej na transport. Wchodzimy, a w tej chacie obraz jak sprzed wojny: w jednej izbie stół, wielkie łóżko, piec, na którym leży zawinięta w pierzynę babcia, masa dzieciaków kłębi się pod nogami. A gospodarz z żoną nawet nie pytają, kto, co i jak, tylko od razu na nasz widok:

Zachodit'ie! Bóg w dom! Dawajcie, pakuszamy!

I łup butelkę samogonu na stół i jakieś ziemniaki. Okazali nam niezwykłą

serdeczność. Zostawiłem im na stole wszystkie ruble, jakie miałem ze sobą, żeby ci biedni ludzie coś z tej naszej wizyty mieli.

Władysław Kozakiewicz podczas ostatnich zawodów. Włochy, Chiari, 1989

Niestety, sukces mojej grupy lekkoatletów miał też drugą, ciemniejszą dla mnie stronę. Im lepsze wyniki osiągnęli zawodnicy, tym większym zainteresowaniem cieszyli się ze strony innych, większych ode mnie menedżerów, którzy zaczęli mi ich bezczelnie podbierać. Pierwszą straciłem Birukową, tuż po tym, jak pobiła rekord świata w trójskoku, jako pierwsza kobieta w historii przekraczając barierę 15 metrów. I właśnie tam, gdzie jej się udało, na mistrzostwach świata w Stuttgarcie, jej trenera i narzeczonego przekonał do siebie pewien szwedzki menedżer. A potem kolejni kolejnych zawodników.

Część była zastraszana, przymuszana do zmiany menedżera przez mafię. Na porządku dziennym było zmuszanie zawodników do płacenia haraczu od zarobków. W państwach byłego ZSRR nastały dzikie czasy. Jeden z moich białoruskich zawodników wygrał w Niemczech dwa maratony z rzędu, za co zainkasował 70, a potem 110 tysięcy marek. I, niestety, wrócił z nimi do domu. Co gorsza, pochwalił się koledze z pokoju, ile zarobił. I ten kolega przyszedł do niego któregoś dnia z mafiosami, którzy złożyli mu następującą propozycję: albo odda połowę, albo podpalą mu samochód. A jak to go nie przekona, to podpalą dom. A potem dobią się do rodziny. Kazał im iść w diabły, bo sam też znał jakichś mafiosów. Ale widać cieńszych, bo nie zapewnili mu ochrony. A może sami coś z tego mieli? W każdym razie jego samochód rzeczywiście spłonął i chłopak się ugiął. Nie chciał ryzykować, że spełnią pozostałe groźby.

Miałem też z nimi innego rodzaju kłopoty. Namówiłem na współpracę obiecujące juniorki w skoku wzwyż, nieważne już z Rosji, Białorusi czy Ukrainy. Śliczne, zgrabne dziewczyny, które mając 18-19 lat, skakały ponad 190 centymetrów, czyli strasznie wysoko. Spokojnie mogłem je obwozić po całym świecie, na wszystkich mityngach łapały się do czołówek. Zarabiały na początku niewielkie pieniądze, bo nie były znane, ale perspektywy otwierały się przed nimi wspaniałe. Sezon się skończył, wróciły do kraju. Przylatują na pierwsze zawody nowego roku, odbieram je z lotniska i na dzień dobry słyszę:

Zdrastwuj, Władek!

Ale takim męskim głosem, że aż mnie osadziło na miejscu. One tymczasem, jak to radosne dziewczęta, podbiegły i buzi, buzi na powitanie. A ja poczułem na twarzy kłucie zarostu! I zobaczyłem, że kark, szyja całe w pryszczach.

Rany boskie pomyślałem sobie, bo wiedziałem, co się stało. Dziewczyny tak bardzo chciały wygrywać i zarabiać, że dały sobie szprycę z męskich hormonów i im się na głos i twarz rzuciło. Nakoksowane po dziurki w nosie! Najgorsze, że nie mogłem im tego ani zabronić, ani ich przypilnować. Ostrzegałem tylko i je, i pozostałych, że tak nie wolno. Bo nie tylko złapią i zdyskwalifikują na dwa lata albo więcej, ale przede wszystkim szkoda zdrowia! Ale oni mnie uspokajali, żebym się nie martwił.

Władek, komisja antydopingowa, zanim przyjedzie do nas, do Mińska, Moskwy czy Doniecka, najpierw informuje dokładnie, za ile dni będzie i kogo chce przebadać. Na badanie przychodzą podstawieni ludzie! Dokumenty sfalszowane albo i oryginalne, ale osoba się nie zgadza. A we wszystkim nasze federacje pomagają.

I rzeczywiście, żaden z moich zawodników nigdy nie wpadł na dopingu w okresie naszej współpracy. Ale o dopingu mówili między sobą i przy mnie otwartym tekstem. Na przykład mrugali, że w tych zawodach jeszcze wystartować nie mogą, ale w następnych, za tydzień, już tak. Pamiętam, raz sprowadziłem pewną potężną kulomiotkę do Frankfurtu na zawody Pucharu Świata i pytam na powitanie, jak zdrowie, jak forma. A ona do mnie:

Nie biezpakojsia, Władek. Jestem w takiej formie, że aż mi kuśka stoi!

Po czym zarechotała i dała mi kuksańca w bok.

Innym razem miałem skoczka o tyczce, który skakał 5,75. Dzwonię do niego przed sezonem: jak tam forma? A on, że na mityngach będzie szybował 5,90! Świetnie, ale przyszły pierwsze zawody, a on ledwo przeskoczył 5,20. Pytam innych zawodników, co się z nim stało.

A jak ma dobrze skakać, skoro, leń, cały okres przygotowawczy tylko żarł anaboliki i siedział na zeskoku, zamiast trenować? słyszę. Myślał, durak, że jak wziął, to już ćwiczyć nie musi, że nogi go same poniosą.

Z czasem miałem więc tego coraz bardziej dosyć. Podebrano mi najlepszych zawodników i zabrakło mi gwiazdy, która byłaby twarzą naszej całej grupy, wizytówką, kimś, do kogo łatwo byłoby dokooptować kolejnych sportowców. Inna rzecz, że cały czas pracowałem jako trener, więc z konieczności, w przeciwieństwie do innych menedżerów, nie mogłem się zaangażować na pełny gwizdek. Zwłaszcza że mogłem już bezpiecznie wracać do Polski, z czego korzystałem coraz chętniej.

Wpadłem na pomysł biznesu.

## **Do przodu, jak ten czerstwy cham**

W 1990 roku po raz pierwszy odważyłem się wrócić do Polski. Z duszą na ramieniu, jak potraktują mnie rodacy po całej tej antykozakiewiczowej propagandzie.

Ale już na granicy celnik pierwszy rozwiął moje obawy. Na mój widok zawołał:

Witamy w Polsce, panie Władku!

Kilkadziesiąt metrów dalej pogranicznik to samo: rozpoznał mnie i głośno się ucieszył. W drodze do Gdyni za zbyt szybką jazdę zatrzymała mnie drogówka i policjant rozjaśnił się na mój widok: Panie Władku, wreszcie pana do nas przywiało! Szerokiej drogi i proszę uważać, bo dalej też łapią.

I już wiedziałem, że nie jest źle.

Na ulicach nadal byłem rozpoznawany, choć już mało kto brał mnie w ramiona. Ale ludzie prosili o autograf albo pytali, co, jak i dlaczego. Oczywiście o powody wyjazdu do RFN i starty dla Niemiec też pytali, ale nigdy już nie usłyszałem oskarżenia o zdradę.

Próbowałem odzyskać mieszkanie na Świętojańskiej, ale żyła w nim przecież ośmioosobowa rodzina. Co prawda wynająłem adwokata, który udowodnił, że urząd miasta bezprawnie wykreślił mnie z ksiąg wieczystych, i sąd przyznał, że mieszkanie mi się należy. Owszem, przywrócono mi własność i meldunek ale co z tego, skoro lokatorzy nadal tam mieszkali? Mogłem się co najwyżej do nich dokwaterować. Chciałem, żeby urząd miasta załatwił eksmisję i jakieś mieszkanie zastępcze, ale usłyszałem, że to mój obowiązek. Ale ja już przecież kupiłem jedno mieszkanie zastępcze przebywającej tam kiedyś rodzinie, więc dlaczego miałbym to robić drugi raz? Sąd dał mi prawo eksmitowania tej rodziny, ale nie brałem tego pod uwagę. Wyobraziłem sobie czołówki w gazetach: „Burzuj Kozakiewicz wrócił z Niemiec i wyrzuca biednych ludzi na bruk!”. Odpuściłem i po paru latach moje prawo do eksmisji wygasło. Poprosiłem jeszcze miasto Gdynię o jakieś zadośćuczynienie, choćby małe mieszkanie zastępcze, ale nigdy się niczego nie doczekałem.

#### Lekkoatletyka Weteranów w Poznaniu

Któregoś dnia w 1992 roku, idąc Świętojańską, zauważyłem, że nad chodnikami po obu stronach wiszą haki, na których od święta czy to był 1 maja, czy 22 lipca wieszano transparenty. Tych haków było sześć par. Pomyślałem, że można by tam wieszać reklamy. Te haki, które należały do miasta, wydzierzawiłem za śmieszne grosze, Empik policzył mi za parę symboliczne 100 zł miesięcznie, a jacyś prywatni ludzie w ogóle nie chcieli pieniędzy („a wieszaj pan sobie, co tam chcesz”).

Porzysłałem więc oferty do firm. Odzew był niesamowity. Nie mogłem się wprost opędzić od propozycji. Nagle wszystkie liczące się firmy postawiły sobie za punkt honoru reklamować się za pomocą moich haków. Inna rzecz, że Świętojańska stała się już wówczas najbardziej reprezentacyjną ulicą Gdyni. Cena nie grała dla nich roli, więc zarabiałem wariackie pieniądze.

Parę lat te haki świetnie pracowały, choć było z tym sporo utrapienia, bo wiadomo, jak to na Wybrzeżu wieją wiatry, które co rusz zrywały te transparenty i trzeba było je poprawiać. Aż pewnego dnia, w czasach gdy Gdynia chciała się już robić coraz ładniejsza, odmówiono mi przedłużenia umowy. Nie miałem pretensji, tak jak gdy wymówiono mi prowadzenie toru kartingowego. Po sukcesie z hakami poszedłem za ciosem i wydzierzałem plac tuż obok skweru Kościuszki, czyli w samym centrum. Ogrodziłem go, zalałem asfaltem i utworzyłem 400metrowy tor gokartowy z zawijasami. Sprowadziłem z Włoch dziesięć gokartów, najlepszych, jakie wówczas produkowano.

Ale na granicy potraktowano te gokarty jak samochody i kazano zapłacić odpowiednie cło.

Przecież to są zabawki! Nie mają reflektorów, migaczy, drzwi, tylnych siedzeń, bagażnika... To jakież to samochody? pytałem.

Mają cztery koła i kierownicę? Mają. Mogą jeździć po drogach? Mogą? To zgodnie z przepisami są samochodami: płać pan cło! usłyszałem.

Władysław Kozakiewicz i medalista olimpijski Józef Zapędzki podczas obchodów 80lecia PKOL. Warszawa, 1999

Oczywiście policzono mi jakąś gigantyczną sumę, przy której cały biznes kompletnie się nie opłacał. Ale jak wiadomo nikt w takich przypadkach nie kombinuje lepiej od Polaków. Poradzono mi więc, żebym wyjechał z gokartami z kraju, na parkingu za granicą porozkręcał je i wjechał jeszcze raz, deklarując na cle części do gokartów. I tak zrobiliśmy. Pojechalśmy do Niemiec ciężarówką z kartingami na pace, na pierwszym parkingu za granicą w parę godzin poodkręcaliśmy koła, siedzenia, kierownice i ustawiliśmy się w gigantycznej kolejce lawet wiozących „części do samochodów”. Cło wyniosło tym razem grosze i mogłem z pompą otwierać tor.

Pierwszy przejazd wykonała prezydent Gdyni Franciszka Cegielska, zresztą bardzo sprawnie (później lubiła wpaść i sobie pojeździć). Tor na jakiś czas stał się w Gdyni

prawdziwym hitem. Żadnego Roberta Kubicy nie udało się co prawda przy okazji wychować, ale zwłaszcza w lecie waliły do nas tłumy, w tym mnóstwo turystów. Za 10 minut jazdy ludzie płacili 10 zł i już w pierwszym sezonie zwróciły mi się wszystkie koszty, czyli ze 100 tysięcy marek.

W drugim sezonie nie było już tak dobrze, bo pogoda była gorsza, a koszty wyższe. Gokarty zaczęły się też zużywać. Trzeba było wymieniać zdarte opony i zużyte linki do hamowania. Poza tym ludzie chcieli jeździć także po zmroku, więc zamontowałem kosztowne oświetlenie. Nauczyliśmy się jednak promować tor i wynajmowaliśmy go firmom na imprezy.

Oczywiście i tu trafiłem na nieuczciwych współpracowników. Paliwo z kartingów zniknęło pod moją nieobecność, jakoś za szybko zużywały się też opony i zaczęły rosnać rachunki za prąd. Po kilku tygodniach ktoś mi doniósł, że to młody stróż dorabiał sobie, wynajmując tor na nocne jazdy. Było mnóstwo chętnych, by pojeździć sobie nawet do 2 w nocy. Przyłapany na oszustwie stróż dziwił się, o co się czepiam.

W trzecim roku kartingi były już mocno zużyte, więc bez żalu przyjąłem wiadomość, że dzierżawa placu się kończy, bo ktoś go wykupił pod budowę wieżowca. Dziś stoi tu kino.

Ale to nie był koniec moich związków z Gdynią. W 1998 roku zostałem radnym miejskim. Franciszka Cegielska odeszła do rządu Jerzego Buzka, a prezydentem Gdyni został Wojciech Szczurek, który zaproponował mi start w wyborach. Trochę się wahałem, bo oznaczało to dalsze rozstanie z Anią i córkami, które mieszkały w Bissendorfie. Pomyślałem jednak, że będę mógł załatwić wiele spraw dla rodzinnego miasta i będzie to godne zwieńczenie mojej drogi życiowej. Uzgodniłem więc z Anią, że ona będzie sprawować pieczę nad naszym centrum rehabilitacyjnym, a ja, o ile zostanę wybrany, przez pół miesiąca będę mieszkał w Gdyni, a drugie pół z rodziną w Niemczech.

Nigdy nie należałem do żadnej partii i nie chciałem tego zmieniać. Wystartowałem więc z listy AWS jako niezrzeszony sympatyk z jednej z najmniejszych dzielnic Gdyni, Pogórza, gdzie przed wyjazdem do Niemiec byłem zameldowany. I udało się uzyskać w wyborach drugi wynik w całej Gdyni, tuż po prezydencie Szczurku!

AWS zdobył większość, nie musiał więc dobierać do rządu żadnego koalicjanta.

Zasiadłem oczywiście w komisji sportu, bo nie chciałem zajmować się sprawami, na których się nie znam. Moja praca polegała głównie na wyciąganiu pieniędzy na różne imprezy i inwestycje sportowe, od zawodów jachtowych po rozbudowę stadionu czy budowę hali lekkoatletycznej. W mojej kadencji przepchnęliśmy jej projekt, wkrótce zostanie oddana do użytku. Jak trzeba było zdobyć sponsorów na jakieś przedsięwzięcie, często szedłem na spotkanie do prezesów banków czy innych firm, żeby wspomóc rozmowy. Bo zawsze pierwsze pół godziny to było wspomnianie dawnych startów, igrzysk w Moskwie itp.

Ciężyła mi jednak rozłąka z rodziną, bo często, gdy byłem w domu w Bissendorfie, odbierałem telefon, że zaraz jest jakieś niezwykle ważne głosowanie, na którym nie mogę nie być. W pewnym momencie zacząłem mieć dosyć tego przewlekłego rozstania i ciągłego dojeżdżania. A że dostałem właśnie świetną ofertę pracy w niemieckiej szkole pod Hanowerem, postanowiłem zrezygnować z roli radnego rok przed końcem kadencji. Odszedłem, choć nie złożyłem mandatu żeby opozycja nie mogła wprowadzić swojego człowieka.

Praca w gimnazjum w Elze, 65 kilometrów od Bissendorfu, zmieniła całe moje życie. Wcześniej ta szkoła stawiała na muzykę, sport traktując jako niewdzięczną konieczność. Ale w 2000 roku nowy dyrektor okazał się kompletnie zwariowany na punkcie sportu i postanowił go rozwijać. Szukał dyplomowanego nauczyciela z papierami trenera lekkiej atletyki. Jego znajomy, a rodzic chłopca, który trenował u mnie skok o tyczce, polecił mnie. Szybko się dogadaliśmy. Był zachwycony, bo nie dość, że nostryfikowałem w Niemczech dyplom z AWF, to jeszcze jestem mistrzem olimpijskim, co będzie niesamowitą motywacją dla dzieciaków.

Moim celem stało się uczynienie z lekkoatletyki sportu numer 1 w szkole i rozsławienie jej w całych Niemczech. Dotąd wuef polegał tam na tym, jak zresztą w wielu polskich szkołach, że nauczyciel rzucał dzieciakom piłkę i szedł do kantorka, a one sobie grały. Zorganizowałem profesjonalne, systematyczne zajęcia. Efekty przyszły szybko: już w drugim roku zdobyliśmy pierwsze miejsce w okręgu. W trzecim zakwalifikowaliśmy się do ogólnoniemieckich szkolnych finałów lekkoatletycznych, które co roku odbywają się w Berlinie, gdzie startują najlepsze drużyny z każdego landu. I od tego czasu moi uczniowie startują tam regularnie. Są mistrzami Dolnej Saksonii w skoku wzwyż, w dal, pchnięciu kulą i rzucie oszczepem.



Nie przysporzyło mi to przyjaciół wśród pozostałych nauczycieli wuefu w szkole, ponieważ wyróciłem ich spokojne życie do góry nogami. Nagle przybyło im obowiązków i ktoś zaczął rozliczać ich z efektów pracy.

Stadion Gwardii. II Opolski Festiwal Skoków. Adrianna Matyszok z przedszkola nr 30 i Władysław Kozakiewicz. Opole, 21 września 2007

Z czasem rozwinąłem też pozostałe dyscypliny, jak tenis stołowy, piłka ręczna, nożna czy siatkówka, ale zaczęły się intrygi, spiski, obgadywanie. Próbowano nastawić dyrektora przeciwko mnie, ale on widział ogrom zmian i efekty, więc trzymał moją stronę. Nasza szkoła była na głowę typowo sportowe gimnazja z Berlina, Drezna, Lipska, mające dużo więcej godzin sportu niż my. Więc mimo kilku świń, które mi podłożono, bardzo chwalę sobie tę pracę. Tym bardziej że to Polak zagonił Niemców do tak ciężkiej pracy, że aż się niektórzy burzą.

Najbardziej kłuje w oczy status mistrza olimpijskiego i częste wyjazdy. Po pierwsze, na zawody z dziećmi, gdy inni zostają w szkole. Ale i te do Polski, na przykład na różne rocznice czy spotkania starych olimpijczyków. Politycy wciąż lubią pokazywać się w towarzystwie sportowców, ja zaś nigdy takim spotkaniom nie odmawiam. Dzięki temu sportowiec czuje się w jakiś sposób ważny dla Polski i ciągle jeszcze potrzebny. Bywałem z wizytą w Belwederze u prezydenta Lecha Wałęsy. Prezydent Aleksander Kwaśniewski na spotkaniu z olimpijczykami z okazji 80lecia Polskiego Komitetu Olimpijskiego żartował, że kto wie, czy to, że Kozakiewicz tak narozrabiał w Moskwie, nie przyspieszyło przemian demokratycznych. Przed paru laty uczestniczyłem w śniadaniu ze świętej pamięci prezydentem Lechem Kaczyńskim i jego bratem Jarosławem, który był wówczas premierem.

Podczas kampanii wyborczej PSL. Lublin, październik 2011

Kilka razy byłem bliski wejścia do wielkiej polityki. W lutym 2000 roku premier

Jerzy Buzek odwołał z funkcji ministra sportu Jacka Dębskiego za wywiad dla „Gazety Wyborczej”, w którym ten zasugerował, że namawiano go do szukania kompromitujących kwitów na prezydenta Kwaśniewskiego. W dniu jego zwolnienia o 9 wieczorem odebrałem w naszym domu w Bissendorfie telefon od polityka AWS.

Panie Władysławie, rozważamy pana kandydaturę na nowego ministra sportu. Decyzję, czy się pan zgadza, musimy znać jeszcze dziś usłyszałem.

Potrzebuję godziny na zastanowienie!

Zawołałem Anię, córki, połączyliśmy się z siostrą Ani oraz jej mężem i zaczęliśmy wspólnie rozważać wszystkie za i przeciw. Po półgodzinie na kartce znajdował się jeden punkt za i kilkanaście przeciw. Wielki honor i prestiż bycia ministrem polskiego rządu przeciw permanentnemu rozstaniu z rodziną i wielkiej odpowiedzialności przy braku politycznego doświadczenia i wsparcia sztabu własnych, sprawdzonych ludzi. Bałem się, że z powodu swej naiwności i prostolinijności łatwo mogę dostać po tyłku. Czy będę umiał oprzeć się manipulacji, na przykład gdy ktoś da mi do podpisu dokumenty, których znaczenia nie będę do końca ogarniał? I co, jeśli potem spotkają mnie Bóg wie jakie konsekwencje? Gdy telefon zadzwonił po raz kolejny, poprosiłem, by nie brać mnie pod uwagę.

W 2011 roku szef PSL Waldemar Pawlak zaproponował mi, bym otwierał warszawską listę partii w wyborach do Sejmu. Tu już decyzja była łatwiejsza. Uznałem, że skoro dając z siebie najwięcej, ile potrafiłem, zyskałem szacunek w sporcie i szkolnictwie, skoro udawało mi się doprowadzać innych do dobrych wyników, to mogę spróbować tego na największą skalę. Miałem głowę pełną pomysłów, oczywiście głównie dotyczących sportu, na przykład poprawy warunków pracy trenerów i nauczycieli w szkołach. Były też pomysły na promowanie aktywnego trybu życia seniorów do dziś w Fundacji „Zatrzymać Czas” Piotra Muszyńskiego namawiam starszych ludzi, żeby zamiast siedzieć w domu, biegali, grali w piłkę czy jeździli na rowerze i dzieci. I tłumaczyłem sobie, że nie byłbym pierwszym olimpijczykiem w polskim parlamencie. Posłem był Jerzy Kulej, a ostatnio Roman Kosecki i Cezary Kucharski.

Od lewej: Kasia, Władysław Kozakiewicz, szwagier Ani Witek Pionke, siostra Julita, Ania, Małgosia. Siedzi mąż Kasi Dorian Chomici. Bissendorrf

Z drugiej strony zdawałem sobie sprawę z problemu: PSL to nie jest partia, na którą głosują mieszkańcy wielkich miast, a co dopiero stolicy. Ludowcy jeszcze nigdy nie przekroczyli w Warszawie pięcioprocentowego progu wyborczego.

Przekonywano mnie jednak, że startując ze stołecznej listy, będę mógł liczyć na głosy środowisk polonijnych. Bo wyborcy z zagranicy mogą głosować tylko na kandydatów z Warszawy. Okazało się, że niemal cała Polonia zagłosowała na PiS. O tym, jak trudno pozyskać głosy tych ludzi, przekonałem się już podczas przedwyborczych spotkań w USA zwłaszcza na jednym, gdzie przez trzy godziny atakowano mnie jako bandytę, złodzieja, który chce tylko się nakraść, a swoim kandydowaniem co najwyżej zepsuje wynik PiS, walczącego o odzyskanie władzy w kraju. Przez te trzy godziny usłyszałem tyle jobów na swój temat, ile przez całe życie od ojca. Czyli niemało.

W rezultacie większość głosów w stolicy rozdzielili między siebie liderzy największych partii. Gdzież miał z nimi rywalizować Kozakiewicz? Ale choć nigdy nie lubiłem przegrywać, akurat tej porażki nie przyjąłem jakoś ciężko. Tak po prostu wygląda polityka i powinienem był to przewidzieć. W przyszłości jednak nie wykluczam kolejnych z nią flirtów. O ile tylko wpadnę na jakiś konkretny pomysł, jak mógłbym wykorzystać swoje doświadczenie i drogę życiową. I jeśli znajdę partię, która znajdzie mądry pomysł na mnie.

Kiedyś w filmie „Człowiek z blizną” Al Pacino wypowiedział kwestię, która zapadła mi w pamięć: „Nikt nie będzie mi mówił, jak mam żyć! Bo nikt za mnie nie umrze”. Przez całe życie nieustannie słyszałem: zrób to, zrób tamto. Ciągłe ktoś próbował za mnie decydować, co będzie dla mnie lepsze od wyboru szkoły przez ojca, poprzez działaczy, którzy wiedzieli lepiej, gdzie i jak mam trenować i startować, po teściową, która teraz mi, 60latkowi, próbuje układać życie. Tyle że doszedłem, do czego doszedłem, kierując się wyłącznie własną naiwną mądrością, własnym wyczuciem. I słuchając samego siebie.

Ludzie pamiętają mnie głównie za sprawą „gestu Kozakiewicza”. Za to los pokazywał mi wała o wiele więcej razy.

Ale i tak uważam, że życie ułożyło mi się fantastycznie. Mam cudowną rodzinę, od początku tę samą żonę, którą cały czas niezmiennie kocham, dwie wspaniałe córki i dwie wnuczki a pewnie na tym nie koniec. Spoglądając w przeszłość, żałuję tak naprawdę tylko tego, że tak późno odważyłem się chronić mamę przed agresją ojca. I że może zbyt rzadko potrafiłem okazać jej synowską miłość i wdzięczność. Poza tym mimo tych wałów podtykanych mi przez los pod sam nos parłem do przodu jak ten czerstwy cham; jak lubię o sobie mówić.

I wciąż mam w sobie siłę, energię i wolę, żeby przeć dalej. Jak najdalej.